



GALAKTYKA GUTENBERGA

E. E. DOC SMITH



Trójplanetarni
LENSMAN I

SERIA GALAKTYKA GUTENBERGA

to klasyka radzieckiej i amerykańskiej SF

W serii ukazały się książki takich pisarzy jak:



Harry Harrison

H. Beam Piper

Siergiej Sniegow

Clifford D. Simak

James Schmitz

E.E. „Doc” Smith

John W. Campbell

Murray Leinster

Kir Bułyczow

Władimir Michajłow

Herbert G. Wells

Iwan Jefremow

Ilja Warszawski

Edgar Rice Burroughs

E. E. „Doc” Smith

TRÓJPLANETARNI

SOLARIS
Stawiguda 2013

SPIS TREŚCI

SERIA GALAKTYKA GUTENBERGA

KARTA TYTUŁOWA

ISAAC ASIMOV NAPISAŁ KIEDYŚ...

DEDYKACJA

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

CZĘŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

CZĘŚĆ TRZECIA

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

Isaac Asimov napisał kiedyś, że w literaturze science fiction było trzech pisarzy, których pojawienie się można określić jako wybuch *nowej* — trzy talenty, które natychmiast zyskały uznanie czytelników: Edward Elmer Smith, Stanley Weinbaum i Robert Heinlein. W odniesieniu do “Doca” Smitha opinię tę potwierdzają zarówno wydawcy jak i jego amerykańscy koledzy po piórze.

“Doc” Smith rozpoczął swoją karierę literacką pod koniec lat dwudziestych, by następnie przez ponad trzydzieści lat święcić triumfy w Ameryce, gdzie w latach 30. i 40. zdobył ogromną popularność. Z wykształcenia chemik, zrobił doktorat z chemii spożywczej, stąd przydomek “Doc”. Jego pierwsza powieść “The Skylark of Space” powstała już przed rokiem 1920, ale opublikować udało mu się ją dopiero w 1928. Pisał dla groszowych magazynów, kupowanych jak narkotyk nie tylko przez dzieci i młodzież, ale również przez wielu dorosłych. Podczas gdy w Europie młodzież rozczytywała się w powieściach Karola Maya, w Ameryce czytano romanse kosmiczne “Doca” Smitha.

W Europie sukcesu nie odniósł. W Polsce okrzyknięty grafomanem, nie był tłumaczony w ogóle. Stanisław Lem w “Fantastyce i futurologii” nawet o nim nie wspomina. Tymczasem w Ameryce, jak pisze James Gunn w antologii “Droga do Science fiction”, Smith stał się po drugiej wojnie światowej ulubionym autorem amerykańskiego fandomu. Wielu słynnych pisarzy SF, również twórcy kina fantastycznego, “Star trek” czy “Gwiezdných wojen”, przyznają się, że jego twórczość wywarła na nich duży wpływ. Wielu prominentnych naukowców wspomina go jako ulubionego pisarza z dzieciństwa. Do inspiracji jego pomysłami przyznają się nie tylko artyści i wynalazcy, ale nawet wojskowi. Dlaczego więc u nas pozostał nieznany?

Stefan Bratkowski po podróży do Stanów Zjednoczonych napisał kiedyś książkę zatytułowaną “Oddalający się kontynent”, w której próbował ukazać powiększające się różnice kulturowe i cywilizacyjne między Europą i Ameryką. Obecnie, w dobie globalizacji, ta odległość być może się zmniejsza, ale w czasach, kiedy dr Smith pisał swoje *space opery* kurs musiał być mocno rozbieżny.

Gdy powieści Maya o szlachetnych czerwonoskórych rozpałały wyobraźnię europejskiej młodzieży, w Ameryce święcił triumfy western, w którym dzielni kowboje zabijali setkami “dzikich” Indian, a Murzynów nie wpuszczano do restauracji. Tą samą mentalnością obdarza swoich bohaterów dr Smith. Obcy to dziki, prymitywny barbarzyńca, nawet jeśli podróżuje w kosmosie na pokładzie skonstruowanego przez siebie kosmolotu. Żadna z ras występujących w powieści nawet nie zakłada możliwości nawiązania kontaktu. Kontakt, o ile do niego dochodzi, zostaje wymuszony w wyniku nierozstrzygniętej walki. No bo jak odróżnić wyżej rozwiniętą “pod względem ewolucyjnym” formę życia od prymitywnych dzikich? To proste, posiada większą bombę. Kosmiczne floty walczą więc zaciekle, a trup się ściele gęsto i bez litości.

Wiele epizodów musi budzić u wrażliwszego czytelnika mieszane uczucia, bo czyż można sobie wyobrazić, że szlachetny Winnetou zdecydowałby się wytruć całą wioskę Keiowehów, mężczyzn, kobiety i dzieci, żeby ułatwić sobie ucieczkę? Tymczasem równie szlachetny bohater dr Smitha robi to bez oporu, odczuwając jednocześnie “dziką satysfakcję” z tego, że dał im nauczkę za lekceważenie.

Może więc kiepskie powodzenie powieści dr Smitha w targanej wojnami Europie, nie zależało wyłącznie od złego marketingu.

Dla Roda

CZĘŚĆ PIERWSZA
ŚWIT

Rozdział 1

ARYZJA I EDDOR

Jakieś dwa miliardy lat temu dwie galaktyki zderzyły się, a właściwie przeszły przez siebie. Kilkaset milionów lat w tę lub w tamtą stronę nie ma tu znaczenia, gdyż przynajmniej tyle czasu trwało przejście. Mniej więcej wtedy też — uważa się, że z jakimś dziesięcioprocentowym błędem — praktycznie wszystkie słońca obu tych galaktyk weszły w posiadanie planet.

Jest wiele przesłanek ku temu, by wierzyć, że nieprzypadkowo tak wiele planet pojawiło się w czasie tego międzygalaktycznego przejścia¹. Chociaż są też szkoły twierdzące, że to był czysty przypadek i że wszystkie słońca miewają planety w tak naturalny i nieunikniony sposób, w jaki koty mają kocięta.

Tak czy inaczej, zapisy aryzyjskie są zgodne w tym punkcie, że przed Zderzeniem w obu galaktykach nigdy nie było więcej niż trzy układy planetarne, a przez większość czasu tylko jeden. Tak więc, kiedy słońce planety, na której rozwinęła się ich rasa, zestarzało się i ostygło, Aryzjanie, by ocalić swoją cywilizację, musieli, walcząc z czasem, pokonać problemy techniczne związane z przesunięciem całej planety na orbitę młodszego słońca.

Gdy Eddorianie zostali zmuszeni do przeniesienia się na nową płaszczyznę egzystencji, nic materialnego nie zostało zniszczone i ich zapisy historyczne również pozostały dostępne. Te zapisy — folie, taśmy i platynowe płyty, wiecznotrwałe, odporne nawet na toksyczną atmosferę Eddoru — są zgodne pod tym względem z aryzyjskimi. Bezpośrednio przed

Zderzeniem był jeden, tylko jeden system planetarny w Drugiej Galaktyce i aż do pojawienia się Eddorian, Druga Galaktyka była całkowicie pozbawiona inteligentnego życia.

Tak więc przez miliony milionów lat obie rasy, każda jako jedyne inteligentne życie w swojej galaktyce a być może też w całym swoim wszechświecie, pozostawały w całkowitej niewiedzy o sobie nawzajem. W chwili Zderzenia obie rasy były już niezmiernie stare. A jedyne podobieństwo między nimi wynikało z mocy posiadanej przez ich umysły.

Ponieważ Aryzja, pod względem budowy, atmosfery i klimatu, była planetą ziemopodobną, Aryzjanie byli zdecydowanie humanoidalni. Eddorianie przeciwnie. Eddor był i jest wielki i masywny; jego morza wypełnia trująca, mulista ciecz, a atmosfera jest cuchnąca, żrącą mgłą. Eddor był i jest wyjątkowy; tak różny od wszystkich światów w obu galaktykach, że jego istnienia nie można było wytłumaczyć, dopóki sami Eddorianie nie wyjawili, że w ogóle nie pochodzi ze zwykłej czasoprzestrzeni, ale został przeniesiony do naszego wszechświata z innego, całkiem obcego i krańcowo odmiennego.

Tak jak różniły się planety, tak też różnili się ich mieszkańcy. Aryzjanie dochodzili do swojej Cywilizacji poprzez normalne etapy rozwoju; od dzikich i barbarzyńskich kultur, poprzez epoki kamienia, brązu, żelaza, stali i elektryczności. To że wszystkie inne, późniejsze, cywilizacje przeszły tę samą drogę rozwoju, wynika prawdopodobnie z tego, że życie posiane w wymieszanych galaktykach, po ostygnięciu planet, pochodziło od Aryzjan, a nie od Eddorian.

Eddorskie zarodniki, chociaż bez wątpliwości obecne, musiały być zbyt obce dla któregośkolwiek z tych środowisk — pomimo ich szerokiego zróżnicowania — by się rozwinąć i przetrwać w sposób naturalny w zwykłej czasoprzestrzeni.

Aryzianie — zwłaszcza po tym, gdy energia jądrowa uwolniła ich od pracy fizycznej — poświęcali się coraz bardziej badaniom nieograniczonych możliwości umysłu.

Nawet przed Zderzeniem Aryzianie nie potrzebowali statków kosmicznych ani teleskopów. Samymi siłami umysłu obserwowali soczewkowate zgrupowanie gwiazd, które dużo później telluryjscy2 astronomowie nazwali mgławicą Lundmarka3, zmierzające ku ich galaktyce.

Obserwowali uważnie, dokładnie i z dużym entuzjazmem, zjawisko matematycznie nieprawdopodobne, gdyż szansa na bezpośrednie spotkanie dwóch galaktyk, zderzenie się na wspólnej płaszczyźnie równikowej i przejście przez siebie jest tak znikomo mała, że praktycznie nie różni się od zera.

Obserwowali narodziny niezliczonych planet, zapisywali szczegółowo w swoich doskonałych pamięciach każdy detal tego, co się wydarzyło, w nadziei, że w ciągu stuleci, oni lub ich potomkowie, zdołają rozwinąć symbolikę i metodologię nadającą się do wyjaśnienia tego niezwykłego zjawiska. Beztroskie, skoncentrowane na zadaniach, umysły Aryzjan buszowały w przestrzeni, dopóki jeden z nich nie natknął się na Eddorian.

* * *

Eddorianin, jeśli nie przybrał formy człowieka, pod żadnym względem go nie przypominał. Nie można też powiedzieć, że był amebokształtny, jako że określenie takie implikuje plastyczność w formie i brak organizacji. Eddorianie byli zarówno wszechstronni, jak i zróżnicowani. W zależności od potrzeb, zmieniali nie tylko kształt, ale również teksturę. W zależności od potrzeb, kiedy tylko i gdzie tylko potrzebowali, wykształcali — wysuwali — kończyny; kończyny dopasowane dokładnie do aktualnego

zadania. Jeśli potrzebne były silne, to były silne, jeśli delikatne, były delikatne. Małe lub duże, sztywne lub elastyczne, pojedyncze lub rozgałęzione — bez znaczenia. Pręty czy kable, palce czy stopy, igły czy młotki — z taką samą łatwością. Wystarczy pomyśleć i ciało dopasowuje się do wykonywanej pracy.

Eddorianie byli aseksualni, bezpłciowi w stopniu nieporównywalnym z żadną telluryjską formą życia wyższą od drożdży. Nie byli bynajmniej obojnaczy czy androginiczni, ani też partenogenetyczni. Byli całkowicie aseksualni. Byli także, jeśli nie brać pod uwagę śmierci w wyniku gwałtownych wydarzeń, całkowicie i w każdym znaczeniu nieśmiertelni. Każdy Eddorianin, gdy jego umysł, po życiu trwającym miliony lat, osiągnął stan nasycenia, dzielił się po prostu na dwa staro-nowe istnienia. Nowe według pojemności i wigoru, a stare według możliwości i mocy, ponieważ każde z dwojga “dzieci” posiadało całkowitą wiedzę i pamięć swojego “rodzica”.

Jeśli trudno opisać słowami fizyczne cechy Eddorian, to opisanie — czy przedstawienie w jakiegokolwiek symbolice Cywilizacji — umysłu Eddorianina jest całkowicie niemożliwe.

Eddorianie byli nietolerancyjni, despotyczni, drapieżni, nienasyчени, zimni, niewrażliwi i brutalni. Byli gorliwi, pojętni, wytrwali, analityczni i wydajni. Nie ujawniali śladów żadnych pozytywnych emocji czy uczuć spotykanych wśród ras należących do Cywilizacji. Żaden Eddorianin nigdy nie wykazał się niczym chociaż z daleka przypominającym poczucie humoru.

Eddorianie w zasadzie nie byli żądni krwi. Nie kochali jej rozlewu z jakichś swoich słodkich powodów, niemniej ich awersja do tego nie była wcale większa od upodobania. Każde zabójstwo, które przybliżało lub mogło ich przybliżyć do celu było akceptowalne. Rezygnowali z

bezużytecznej rzezi nie dlatego, że to była rzeź, ale dlatego że była bezużyteczna, a co za tym idzie mało wydajna.

I, w przeciwieństwie do mnóstwa celów stawianych sobie przez różne jednostki różnych ras Cywilizacji, każdy Eddorianin miał tylko jeden cel: władzę. *Władzę! WŁADZĘ!!*

Ponieważ Eddor był początkowo zasiedlony przez wiele ras, być może tak podobnych do siebie, jak różne rasy ludzkie na Ziemi, jest zrozumiałe, że wczesna historia planety — gdy była ona jeszcze wciąż w swoim macierzystym wszechświecie — była jedną niekończącą się wojną. A ponieważ wojna była zawsze i prawdopodobnie będzie zawsze mocno związana z postępem technicznym, rasa znana obecnie jako “Eddorianie” zaczęła dominować technicznie. Wszystkie inne rasy zniknęły. To samo spotkało pozostałe formy życia, bez względu na to jak prymitywne, które miały kontakt z władcami planety.

A kiedy rasowi przeciwnicy zostali zlikwidowani, a żądza władzy wciąż pozostawała niezaspokojona, Eddorianie zaczęli walczyć między sobą; prowadzić wojny przy użyciu maszyn zniszczenia, przed którymi mogła ochronić jedynie fantastycznie gruba warstwa skał planetarnych.

W końcu, stosunkowo niezbyt liczna grupa tych, którzy przeżyli, nie będąc w stanie się pozabijać lub zniewolić, zawarła pewnego rodzaju pokój. Ponieważ ich własny wszechświat był praktycznie pozbawiony systemów planetarnych, postanowili przенosić swoją planetę z jednego wszechświata do drugiego, aż znajdą taki, gdzie będzie wiele planet i każdy z nich będzie mógł stać się jedynym władcą coraz większej liczby światów. Plan był wart wysiłku, obiecujący nawet dla najbardziej żądnych władzy Eddorian. Wówczas, po raz pierwszy w swojej niesamowicie długiej historii fanatycznego braku współpracy, Eddorianie zdecydowali się połączyć zasoby swoich umysłów i pracować wspólnie.

Utworzona została swego rodzaju unia; niezupełnie pokojowo, ale też bez zabójczych zmagañ. Eddorianie wiedzieli, że demokracja, ze względu na swoją naturę, jest nieefektywna, więc demokratyczny rząd nie wchodził w grę. Efektywny rząd z konieczności musi być autorytarny. Wszyscy nie byli ani dokładnie tacy sami, ani nie mieli takich samych możliwości.

Perfekcyjna identyczność dwóch takich złożonych struktur jest w rzeczywistości niemożliwa, a każda różnica, nawet minimalna, w takim społeczeństwie stanowiła podstawę do podziałów społecznych.

W ten sposób jeden z nich, nieznacznie silniejszy i trochę brutalniejszy niż reszta, został Suprematorem — Jego Ultymatywną Wysokością — a grupa około tuzina innych, tylko nieskończenie minimalnie słabszych, utworzyła jego Radę; gabinet, który później stał się znany jako Wewnętrzny Krąg. Stan tego gabinetu zmieniał się trochę w ciągu wieków; zwiększając się o jednego, gdy któryś z członków się rozdzielił lub zmniejszając o jednego, gdy któryś z zazdrosnych towarzyszy lub zawistnych podwładnych zdołał dokonać udanego zabójstwa.

A więc w końcu Eddorianie zaczęli działać razem, dzięki czemu powstały, między innymi, tunele podprzestrzenne i w pełni nieinercyjny napęd — napęd, który miliony lat później skonstruował dla Cywilizacji Aryzjanin działający pod imieniem Bergenholm. Innym efektem tej współpracy, do którego doszło wkrótce po zderzeniu się galaktyk, było pojawienie się planety Eddor w naszym wszechświecie.

– Teraz powinienem zdecydować czy mamy założyć w tym wszechświecie stałą siedzibę, czy szukać dalej – oznajmił ostrym tonem Supremator swojej Radzie. – Z jednej strony minie sporo czasu, zanim te planety ostygną. Jeszcze więcej, zanim życie rozwinie się na tyle, by utworzyć część planowanego imperium i zająć nas w większym stopniu. Z drugiej strony spędziliśmy miliony lat na przeszukiwaniu milionów

wszechświatów i nigdzie nie znaleźliśmy takiej obfitości planet, jakie wkrótce, według wszelkiego prawdopodobieństwa, pojawią się w tych dwóch galaktykach. Pewną zaletę stanowi również to, że te planety nie są jeszcze zaludnione. Gdy życie zacznie się rozwijać, będziemy mogli je kształtować, jak nam się spodoba.

Krongenes, mamy jakieś dane na temat możliwości znalezienia planet w innych wszechświatach?

Określenie “Krongenes” nie było imieniem w naszym rozumieniu. Było czymś więcej niż imię. Było kluczem — myślowym skrótem — skondensowanym, skróconym kodem istnienia, osobowości tego szczególnego Eddorianina.

– Nic obiecującego, Wasza Ultymatywna Wysokość – odpowiedział bez namysłu Krongenes. – Żaden ze wszechświatów w zasięgu moich instrumentów nie zawiera więcej niż drobną część niezamieszkałych światów już istniejących tutaj.

– W porządku. Jeśli ktoś z was widzi jakieś istotne przeszkody w ustanowieniu naszego imperium w tym wszechświecie, to proszę o przedstawienie ich teraz.

Nie było obiekcji, gdyż żaden z potworów nie wiedział o istnieniu Aryzji i Aryzjan.

Zresztą, gdyby nawet wiedzieli, to jest wielce nieprawdopodobne, żeby to spowodowało jakieś obiekcje. Po pierwsze, dlatego że żadnemu Eddorianinowi, poczynając od Suprematora, nie przyszłoby do głowy ani nigdy by tego nie przyznał, że jakakolwiek rasa, gdziekolwiek, w jakiegokolwiek sytuacji osiągnęła lub mogłaby osiągnąć poziom Eddorian w jakiegokolwiek dziedzinie. A po drugie, dlatego że — jak to bywa we wszystkich dyktaturach — sprzeczenie się z Suprematorem nie skutkowało przedłużeniem życia.

– Dobrze. W takim razie teraz... Zaraz! Ta myśl nie pochodzi od nikogo z nas! Kim jesteś, obcy, że ośmielasz się wdzierać na posiedzenie Wewnętrznego Kręgu?

– Nazywam się Enphilistor, młodszy badacz z planety Aryzja. – To imię również było symboliczne. Młody Aryzjanin nie był jeszcze Strażnikiem, jakim on i wielu jego kolegów miało wkrótce się stać, gdyż przed pojawieniem się Eddoru, Aryzja nie potrzebowała Strażników. – Wcale się nie wdzieram, z czego musisz sobie zdawać sprawę. Nie dotykałem żadnego z waszych umysłów, nie odczytywałem żadnej z waszych myśli. Czekałem, aż zauważycie moją obecność i będziemy mogli się poznać. W istocie to ciekawe wydarzenie, gdyż zawsze uważaliśmy, że jesteśmy jedyną zaawansowaną formą życia w tym wszechświecie...

– Milcz, robaku, w obecności Pana. Posadź swój statek i poddaj się, a pozwolimy twojej planecie nam służyć. Odmówisz lub tylko się zawahasz i każdy członek twojej rasy umrze.

– Robaku? Panowie? Posadź swój statek? – Myśli młodego Aryzjanina wyrażały czystą ciekawość, bez objawów strachu, obawy czy onieśmienia. – Poddać się? Służyć wam?

Wydaje mi się, że odbieram wasze myśli bez wieloznaczności, ale ich znaczenie jest całkowicie...

– Zwracaj się do mnie przez “Wasza Ultymatywna Wysokość” – zimno pouczył go Supremator. – Natychmiast ląduj albo umrzesz. To jest ostatnie ostrzeżenie.

– Wasza Ultymatywna Wysokość? Oczywiście, jeśli taka jest forma zwyczajowa. Ale jeśli chodzi o lądowanie, a także ostrzeżenie i umieranie, nie sądzicie chyba, że jestem tu obecny ciałem? Czyżbyście byli tak nienormalni, by uwierzyć, że możecie zabić mnie lub kogokolwiek z Aryzjan? Bardzo zabawna, nadzwyczajna psychika!

– W takim razie umieraj robaku – warknął Supremator i wysłał mentalne uderzenie, którego energia wystarczała, by zabić każde żywe stworzenie.

Enphilistor odparł złośliwy atak bez widocznego wysiłku. Jego zachowanie nie zmieniło się ani nie podjął akcji odwetowej.

Eddorianin wysłał w jego kierunku sondę analityczną, ale ta, ku jego zdziwieniu, nie była w stanie wyśledzić myśli Aryzjanina. Tymczasem Enphilistor, nie przerywając obserwacji rozsierdzonych Eddorian, wysłał cichą myśl, tak jakby kontaktował się z kimś u swego boku: – Proszę o kontakt z jednym lub kilkoma Starszymi. Natknąłem się na sytuację przekraczającą moje kompetencje.

– Jesteśmy Starszymi Aryzji w Zespoleniu – umysły Eddorian wypełnił niski, dudniący pseudo-głos, wspierany trójwymiarową wizją starego, białobrodego humanoida. – Od dawna wizualizowaliśmy wasze przybycie. Dawno temu podjęliśmy również decyzję, co z wami zrobić. Zapomnicie o tym incydencie. Przez kolejne przyszłe eony żaden Eddorianin nie będzie świadomy naszego istnienia.

Zespoleniu Starszych podjęło działania, zanim jeszcze ta myśl została wysłana.

Eddorianie zapomnieli całkowicie o wydarzeniu. Żaden z nich nie zatrzymał w swojej świadomości wiedzy, że nie są jedynym inteligentnym życiem we wszechświecie.

* * *

Tymczasem w odległej Aryzji wszyscy Aryzjanie połączyli swoje umysły w celu przeanalizowania sytuacji.

– Dlaczego, po prostu, ich nie zabić? – zapytał Enphilistor. – Oczywiście, byłby to obrzydliwie drastyczny krok, prawie niemożliwy do

wykonania, ale nawet ja mogę sobie wyobrazić... – urwał przytłoczony własnymi myślami.

– To co jesteś w stanie dostrzec, młodzieńcze, jest jedynie małym fragmentem całości.

Nie próbowaliśmy ich zabić, ponieważ nie udałooby nam się tego dokonać. I bynajmniej nie z powodu wrażliwości, jak sugerujesz, ale z powodu czystej niemożliwości. Eddoriańska wola życia jest czymś dalekim poza twoje obecne rozumienie. A nieudana próba uniemożliwiłaby modyfikację ich pamięci, podczas gdy my potrzebujemy czasu... dużo czasu – Zespolenie Starszych urwało, zastanawiając się przez chwilę, po czym zwróciło się do wszystkich.

– My, Starsi Myśliciele, nie dzieliliśmy się z wami naszymi wizualizacjami Wieloświata, ponieważ zanim pojawili się Eddorianie istniała możliwość, że nasze przewidywania są błędne. Teraz jednak nie ma już wątpliwości. Cywilizacja, rozwijająca się pokojowo wśród tych wszystkich tworzących się planet obu galaktyk, już nie powstanie. Żeby umożliwić jej rozwój, będziemy musieli poświęcić znacznie więcej czasu i będzie to dużo trudniejsze.

– Umysły Eddorian mają w sobie ogromny uśpiony potencjał. Gdyby teraz o nas wiedzieli, jest praktycznie pewne, że wytworzyliby broń i urządzenia, przy pomocy których zniweczyliby wszelkie nasze wysiłki. Wyrzuciliby nas stąd, z naszej własnej czasoprzestrzeni.

Potrzebujemy więc czasu... a mając czas osiągniemy sukces. W Cywilizacji pojawią się lency4... oraz istoty godne do ich noszenia. Ponieważ my, Aryzianie, mimo ogromnych wysiłków włożonych w rozwój naszej rasy — chociaż nie jest to jeszcze całkiem pewne, ale prawdopodobieństwo jest znaczne — sami nigdy nie damy rady pokonać Eddorian. Nasi potomkowie będą musieli, z jakichś istot wyewoluowanych

na którejs z planet, wyhodować całkiem nową rasę — rasę dużo bardziej zdolną od nas — która zastąpi nas na straży Cywilizacji.

* * *

Minęły wieki. Tysiąclecia. Kosmiczne i geologiczne ery. Planety ostygły i ustabilizowały się. Życie powstało, wzrastało i rozwijało się. A w miarę jak ewoluowało, diametralnie odmienne, subtelne działania Aryzji i Eddoru kształtowały jego charakter.

↑Smith powołuje się tutaj na teorię powstawania układów planetarnych sformułowaną w połowie XVIII w. i sformalizowaną przez Jamesa Jeansa w 1917 r. Hipoteza zakładała tworzenie się planet z materii gwiazd macierzystych wyrwanej siłami przyptywowymi podczas zbliżenia dwóch gwiazd. Obecnie teoria ta ma jedynie znaczenie historyczne. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza.)

↑Tellus — rzymska bogini ziemi. Nazwy Ziemia i Tellus są w narracji używane równocześnie, bez żadnego klucza, dla określenia naszej planety.

↑Prawdopodobnie galaktyka Wolf-Lundmark-Melotte (WLM) — nieregularna galaktyka, położona na skraju grupy lokalnej, odkryta w 1909 r. przez Maxa Wolfa.

↑Lens — stworzone przez Aryzjan urządzenie dające jego “nosicielowi” nadnaturalne możliwości. Lens jest elementem wiążącym cały cykl “Lensman”

Rozdział 2

UPADEK ATLANTYDY

W Eddorze

– Członkowie Wewnętrznego Kręgu, ze wszystkich światów, łączcie się – nadał Supremator. – Z najnowszych analiz wynika, że nasz Wielki Plan jest realizowany w sposób satysfakcjonujący. Jedyne cztery planety wydają się nie spełniać naszych wymagań: Sol III, Rigel IV, Velancja III i Palain VII. Wszystkie cztery, o czym możecie się przekonać, znajdują się w tamtej galaktyce. W naszej nie pojawiły się żadne problemy.

– Zwłaszcza Sol III wymaga drastycznej i natychmiastowej interwencji. Jej mieszkańcy, w krótkim okresie czasu po naszej ostatniej inspekcji, nauczyli się posługiwać energią jądrową i przyjęli normy kulturowe w żaden sposób nie pasujące do naszych wytycznych. Nasi przedstawiciele, błędnie sądzący, że będą w stanie poradzić sobie sami, bez powiadamiania nas czy proszenia o pomoc, muszą zostać koniecznie zdyscyplinowani. Błędy, bez względu na okoliczności, nie mogą być tolerowane.

– Gharlane, jako Numer Drugi, przejmie natychmiastową kontrolę nad Sol III.

Wewnętrzny Krąg upoważnia go i poleca mu przedsięwzięcie wszelkich kroków koniecznych do przywrócenia i utrzymania porządku na planecie. Musi się również zapoznać dokładnie z danymi dotyczącymi trzech pozostałych planet, które być może też zaczną wkrótce sprawiać kłopoty.

Gharlane, czy twoim zdaniem, żeby mieć pewność powstrzymania niekorzystnych kierunków rozwoju, powinienem wyznaczyć jednego lub

więcej członków Kręgu dla ciebie do pomocy?

– Nie ma takiej potrzeby, Wasza Ultymatywna Wysokość – zdecydował Gharlane po zapoznaniu się z sytuacją. – Te istoty są jeszcze niezbyt inteligentne. Wystarczy jednocześnie tylko jedna forma cielesna, a ponieważ technologicznie wszystkie cztery są na tym samym poziomie, samotnie będę mógł działać bardziej wydajnie niż z pomocą czy współpracą innych.

Jeśli odczytałem te dane prawidłowo, będę musiał zachować jedynie minimalną ostrożność w posługiwaniu się siłą mentalną, gdyż jedynie Velancjanie mają jakieś pojęcie o jej stosowaniu.

– W pełni się z tobą zgadzamy – nieoczekiwanie jednogłośnie oświadczył Wewnętrzny Krąg.

– A więc ruszaj. Jak skończysz, złóż pełny raport.

– Tak jest, Wasza Ultymatywna Wysokość. Sporządzę pełny i definitywny raport.

W Aryzji

– W związku napływającymi żądaniami instrukcji – nadało zespolenie Starszych Myślicieli Aryzji – przedstawiamy i poddajemy ogólnej analizie i dyskusji wizualizację dotyczącą obecnych i przyszłych stosunków między Cywilizacją i jej nieustępliwym, pozbawionym dobrej woli wrogiem. Niektórzy z młodszych członków naszego społeczeństwa, zwłaszcza Eukonidor, który właśnie został mianowany Strażnikiem, żądają wyjaśnienia niektórych działań. Ich niedojrzałe wizualizacje, nie wykazują w pełni powodów, dla których Nedanillor, Kriedigan, Drounli i Brolenteen, pojedynczo lub w zespoleniu, wykonali w przeszłości pewne działania i nie wykonali innych, a także powodów, dla których pewne działania kreatorów Cywilizacji będą w przyszłości ograniczane w podobny sposób.

– Obecna wizualizacja, chociaż bardziej złożona, bardziej kompletna i szczegółowa niż ta, którą sporządzili nasi przodkowie w czasach Zderzenia, zgadza się z tamtą w kluczowych założeniach. Pięć podstawowych punktów pozostaje bez zmian. Po pierwsze: Eddorianie mogą być pokonani jedynie siłą mentalną. Po drugie: zasięg wymaganych działań jest taki, że może je zapewnić tylko organizacja w rodzaju Galaktycznego Patrolu, którą staramy się utworzyć. Po trzecie: ponieważ żaden Aryzjanin ani jakiegokolwiek zespolenie Aryzjan nie jest w stanie być grotem tej organizacji, konieczne jest znalezienie rasy o mentalności odpowiedniej do tego celu.

Po czwarte: rasa ta, będąc środkiem do pokonania Eddorian, zastąpi Aryzjan w roli Strażników Cywilizacji. Po piąte: Eddorianie nie mogą się o nas dowiedzieć tak długo, dopóki nie będzie dla nich, pod względem fizycznym i matematycznym, za późno na skonstruowanie efektywnych urządzeń przeciwdziałających.

– Rzeczywiście radosna wizja – pojawiła się ponura myśl.

– Nie tak bardzo, moja córko. Jeśli się zastanowisz, to zobaczysz, że rozumiesz niezbyt ściśle. Gdy nadejdzie czas, każdy Aryzjanin będzie przygotowany na te zmiany. Wiemy już, co powinniśmy zrobić. Nie wiemy, dokąd nas to zaprowadzi. Niemniej przeznaczenie Aryzjan na tym etapie naszego istnienia — w tym kontinuum czasoprzestrzennym — zostanie dopełnione i będziemy mogli chętnie i z radością przejść do następnego. Czy są jeszcze jakieś pytania?

Nie było żadnych.

Przestudiujcie bardzo uważnie ten materiał. Być może ktoś z was, może nawet dziecko, zauważy coś, co pominęliśmy lub nie sprawdziliśmy wystarczająco dokładnie; jakiś fakt albo analizę mogące skrócić czas

konfliktu lub zmniejszyć liczbę strat wśród rozwijających się cywilizacji, których zniszczenie wydaje się nam obecnie nieuniknione.

Mijały godziny. Potem dni, ale żadne wnioski ani sugestie się nie pojawiły.

– Przyjmujemy więc, że przedstawiona wizualizacja jest najpełniejszą i najlepszą jaką można stworzyć na podstawie obecnie dostępnych informacji i jest możliwa do realizacji przez wspólny intelekt Aryzjan. Może więc teraz kreatorzy, po krótkim przedstawieniu przebiegu swoich prac, poinformują nas, co uważają za konieczne do wykonania w najbliższej przyszłości.

– Od dawna obserwujemy i sterujemy ewolucją inteligentnego życia na wielu planetach – rozpoczęło zespolenie kreatorów – najlepiej, jak potrafiliśmy, kierowaliśmy energię tych istot w kierunku odpowiednim dla rozwoju Cywilizacji. Konsekwentnie prowadziliśmy naszą politykę w taki sposób, żeby jak najwięcej różnych ras osiągnęło poziom intelektu konieczny do efektywnego użycia lensów, bez czego nie jest możliwe powstanie Galaktycznego Patrolu.

– Przez wiele okresów czasu pracowaliśmy osobiście wśród czterech najsilniejszych ras, spośród których zostaną wyłonione istoty odpowiednie, by zastąpić nas w roli Strażników Cywilizacji. Założyliśmy linie hodowlane. Zaszczepiliśmy wzorce rozrodcze, mające na celu koncentrację cech korzystnych i wyeliminowanie niekorzystnych. Jeżeli przed skojarzeniem ostatniej pary osobników nie dojdzie do większych odstępstw od norm fizycznych czy umysłowych, zdecydowany postęp ogólny każdej z tych ras jest nieunikniony.

– Obecnie Eddorianie zainteresowali się naszą pączkującą cywilizacją na planecie Tellus i jest nieuniknione, że wkrótce zaczną ingerować w rozwój trzech innych. Będziemy więc zmuszeni, by pozwolić upaść tym czterem

młodym cywilizacjom. Musimy również przestrzec wszystkich Aryzjan przed nierozważnymi, choć prowadzonymi w dobrej wierze, działaniami. My sami pracujemy pod postacią osobników nieodróżnialnych, o inteligencji nie większej od istot tubylczych danej planety. Nie istnieją żadne ślady mogące powiązać ich z nami. Pozostałym Aryzjanom zabrania się działać w okolicy tych czterech planet, które od teraz będą miały status podobny do tego, jaki został nadany Eddorowi. Eddorianie nie mogą się o nas dowiedzieć, dopóki nie będzie dla nich za późno na efektywne wykorzystanie tej wiedzy. Każda przypadkowa informacja mogąca wejść w posiadanie Eddorian musi zostać natychmiast zniszczona. Nasi Strażnicy są szkoleni, by tego dopilnować i zapobiegać różnym przypadkowym wydarzeniom.

– Ale jeśli wszystkie te cywilizacje upadną... – zaprotestował Eukonidor.

– Z tych materiałów dowiesz się, młodzieńcze, że ogólny poziom umysłowy, a co za tym idzie siła, ciągle rośnie – wtrąciło zespolenie Starszych. – Przy rosnącym trendzie, każde maksimum i każde minimum jest wyższe niż te poprzedzające. Gdy zostanie osiągnięty odpowiedni poziom — poziom pozwalający na efektywne używanie lensu — nie tylko im się ujawnimy, ale wciągniemy do pracy w każdej dziedzinie.

– Jedna rzecz pozostaje dla mnie niejasna – przerwał ciszę jeden z myślicieli – w tej wizualizacji nie zauważyłem niczego, co by uwzględniało możliwość, że Eddorianie mogą zwizualizować nasze istnienie. Mimo tego, że Starsi dawno temu zwizualizowali nie tylko Eddorian, ale również ich poszukiwania w Wieloświecie i byli w stanie utrzymać *status quo*, oraz że sposób myślenia Eddorian jest w swojej naturze raczej mechanicystyczny niż filozoficzny, wciąż jest możliwość, że wróg może wydedukować nasze istnienie dzięki czystej logice. Ta myśl dręczy mnie teraz szczególnie ze

względu na dokładne analizy statystyczne wydarzeń na tych czterech planetach, które wykazują, że nie mogły one być dziełem przypadku. Zaczynając od takich analiz, nawet umiarkowanie bystry umysł zwizualizowałby nas całkowicie. Przypuszczam jednak, że ta możliwość została wzięta pod uwagę i sugeruję, żeby uczestnicy zostali o tym poinformowani.

– Wniosek jest słuszny. Istnieje taka możliwość. Prawdopodobieństwo, że taka analiza nie zostanie zrobiona przed naszym ujawnieniem się, jest bardzo duże, pewności jednak nie ma.

Niemniej, bezpośrednio po wydedukowaniu naszego istnienia, Eddorianie rozpoczną, na tych czterech planetach lub gdziekolwiek indziej, działania skierowane przeciwko nam. Ponieważ jest możliwa tylko jedna efektywna przeciwstruktura i ponieważ Starsi dawno temu uświadomili sobie konieczność monitorowania pierwszych oznak takiej działalności, wiemy, że sytuacja się nie zmieniła. Jeśli się zmieni, natychmiast zwołamy kolejną konferencję wszystkich umysłów Aryzjan. Czy są jeszcze jakieś bieżące sprawy...? Nie ma, to zamykamy konferencję.

W Atlantydzie

Aryponides, wybrany niedawno na trzecią kadencję faros Atlantydy, stał w oknie swojego gabinetu na szczycie wieżowca Farostratu. Ręce trzymał splecione z tyłu. Patrzył, nie widząc rozciągającego się w dal oceanu ani ruchliwego portu, ani rozległej, wspaniałej i zapracowanej metropolii poniżej. Stał bez ruchu, dopóki delikatny sygnał nie oznajmił, że jego goście dochodzą do drzwi.

– Wejdźcie panowie... siadajcie – zaprosił, a sam usiadł u szczytu wyłożonego przezroczystym plastykiem stołu. – Psycholog Talmonides, senator Cleto, minister Philamon, minister Marxes, generał Artomenes...

Poprosiłem panów o osobiste przyjście, gdyż wierzę, że ten pokój jest zabezpieczony przed podsłuchem, czego nie można już powiedzieć o naszych łączach wideo. Powinniśmy przedyskutować i, jeśli to możliwe, podjąć decyzje dotyczące sytuacji w jakiej znalazł się nasz naród.

– Każdy z nas dokładnie wie kim jest, czego niestety nie jesteśmy w stanie powiedzieć o innych. Niemniej narzędzia i techniki psychologii są wystarczająco sprawne i wiarygodne, w związku z czym pan Talmonides, po wyczerpującym i dokładnym badaniu każdego z nas, zapewnił, że nie ma wśród nas osób nielojalnych.

– A cóż jest wart taki certyfikat – oświadczył barczysty generał – kto zaświadczy, że Talmonides nie jest członkiem wrogiej agentury? Proszę wziąć pod uwagę, że nie mam żadnego powodu, by mu nie wierzyć. W rzeczywistości, od dwudziestu lat jest moim najlepszym przyjacielem i wierzę całkowicie w jego lojalność. Niemniej, panie farosie, jest oczywiste, że wszelkie zastosowane środki ostrożności, mogą okazać się niewystarczające lub bezużyteczne, w zależności od tego jak dokładnie określimy kryteria naszych wymagań. Rzeczywista prawda jest i pozostanie nieznana.

– Masz rację – przyznał psycholog – i w takim przypadku może byłoby lepiej, gdybym nie brał udziału w tym spotkaniu.

– To nic nie da – Artomenes potrząsnął głową – kompetentny konspirator byłby na to przygotowany, jak zresztą na każdy inny przypadek. Każdy z nas, pozostałych, mógłby być prawdziwym agentem.

– A fakt, że nasz generał jest tym, który tak dokładnie rozszczepia włos na czworo, mógłby wskazać, kto może być prawdziwym agentem – wytknął zgryźliwie Marxes.

– Panowie! Panowie! – zaprotestował Aryponides – absolutna pewność jest oczywiście niemożliwa, ale wiecie wszyscy, jak był sprawdzany

Talmonides; wiecie, że w tym przypadku nie ma uzasadnionych wątpliwości. Takie ryzyko, jeśli istnieje, musi być podjęte, bo jeśli my nie będziemy mieli pełnego zaufania do siebie w tym przedsięwzięciu, niepowodzenie jest nieuniknione. I po tym ostrzeżeniu może przejdę do mojego raportu.

– Gorączka niepokojów, która ogarnęła świat wkrótce po opanowaniu kontrolowanego wyzwalania energii jądrowej, może być i prawdopodobnie jest z tą technologią związana. W żadnym wypadku nie jest spowodowana imperialistycznymi celami lub działaniami na rzecz Atlantydy. Ten fakt należy stanowczo podkreślić. Nigdy nie byliśmy i nie jesteśmy zainteresowani tworzeniem imperium. Jest prawdą, że inne kraje, które zaczynały jako kolonie atlantyckie, nigdy nie były zmuszane do utrzymania kolonialnego statusu wbrew woli swoich wyborców. Wszystkie kraje były i są braterskimi państwami. Zyskujemy i tracimy razem.

Atlantyda, jako macierz, była i jest izbą rozrachunkową, koordynatorem wysiłków, ale nigdy nie chciała być centrum władzy. Wszystkie decyzje były podejmowane na podstawie swobodnej dyskusji i wolnego tajnego głosowania.

– Tymczasem, co się dzieje? Wszędzie partie i frakcje, nawet w starej Atlantydzie.

Wszystkie kraje są targane wewnętrznymi kłótniami i konfliktami. Ale to nie wszystko.

Uigharów ogarnęła niezrozumiała zawiść w stosunku do Wysp Południowych, a tamci z kolei nienawidzą Majów. Majowie Bantu. Bantu zazdrości Ekoptowi, Ekopt Norheimowi, a Norheim Uigharom. Krąg nienawiści, uwzględniając inne pretensje i animozje między nimi. Wszyscy się boją, że ktoś inny przejmie kontrolę nad całym światem. A do tego

wydaje się szybko rozprzestrzeniać idiotyczny pogląd, że Atlantyda ma zamiar zredukować wszystkie narody na Ziemi do pozycji swoich wasali.

– Tak, moim zdaniem, przedstawia się skrótowo obecna sytuacja na świecie. Ze względu na konstytucyjne ramy naszego demokratycznego rządu zalecam więc kontynuowanie obecnych działań w granicach międzynarodowych umów i traktatów oraz intensyfikację wysiłków wszędzie, gdzie tylko to możliwe. Posłuchajmy więc teraz senatora Cleto.

– Przedstawił pan, panie farosie, sytuację wystarczająco jasno. Myślę jednak, że podstawową przyczyną problemów jest powstanie takiej dużej ilości partii politycznych, zwłaszcza tych składających się głównie ze świrów i ekstremistów. Powiązanie z energią jądrową jest jasne: z chwilą, kiedy broń jądrowa dała małym grupom ludzi możliwość zniszczenia świata, sądzą oni, że uzyskali prawo do dyktowania warunków. Moje zalecenie jest więc jedynie specjalnym przypadkiem pańskiego: za wszelką cenę wpłynąć na elektoraty Norheimu i Uigharu, by poparły międzynarodową kontrolę energii jądrowej.

– Zakodował pan swoje dane w postaci symboli – zapytał Talmonides siedzący przy klawiaturze maszyny liczącej.

– Tak, tu są.

– Dziękuję.

– Minister Philamon – wskazał faros.

– Tak, jak ja to widzę — jak powinien to widzieć inteligentny człowiek — podstawowy udział energii jądrowej w światowym chaosie polega na całkowitej demoralizacji pracowników — oznajmił sucho siwowłoso minister gospodarki. – Wydajność roboczogodziny powinna wzrosnąć przynajmniej o dwadzieścia procent, co automatycznie spowodowałoby spadek cen.

Zamiast tego, krótkowzroczne związki zawodowe wymusiły drastyczne limity na producentach, a teraz wydają się być zdziwione, że gdy produkcja spada, a wynagrodzenia rosną, to ceny wprawdzie też rosną, ale rzeczywisty przychód spada. Panowie, nie ma innej możliwości, koszty pracy muszą być racjonalne. To nadmierne zatrudnienie, ta ochrona przed bezrobociem, ten...

– Protestuję – Marxes, minister pracy poderwał się na nogi. – Wina leży dokładnie po stronie kapitalistów. Ich skąpstwo, pazerność, wyzysk...

– Przestańcie panowie, proszę! – Aryponides uderzył mocno w stół. – To jest znaczące dla tych ciężkich czasów, że dwaj ministrowie ograniczają się do takich wypowiedzi.

Zakładam, że żaden z was nie ma w tej dyskusji nic nowego do powiedzenia.

Obaj chcieli się wypowiedzieć, lecz obu odmówiono w wyniku głosowania.

– Przekażcie swoje zakodowane dane Talmonidesowi – polecił faros. – A teraz generał Artomenes?

– W pana raporcie, raporcie Farosa Atlantydy, jest więcej niż sugestia, że za to wszystko, co się wydarzyło, winę ponosi nasz plan obrony, za który, przede wszystkim, ja jestem odpowiedzialny – zaczął szpakowaty żołnierz. – Częściowo może to być prawdą. Trzeba być rzeczywiście ślepym, by nie widzieć związku i rzeczywiście jednostronnym, by tego nie przyznać. Ale co ja mam zrobić, wiedząc, że nie ma praktycznej obrony przed bombą atomową?

Wszystkie kraje ją mają i wciąż produkuje się więcej i więcej. Miałem zostawić Atlantyde bezzębną, podczas gdy wszyscy pokazują kły? Wszędzie jest pełno szpiegów. Czy to by mogło się udać?

– Prawdopodobnie nie. Nie miałem zamiaru pana krytykować. Musimy sobie jednak poradzić z tą sytuacją. Poproszę o pańskie zalecenia.

– Myślałem o tym dzień i noc, ale nie znalazłem rozwiązania akceptowalnego dla naszej, czy jakiegokolwiek innej, demokracji. Niemniej, mam jedno zalecenie. Wiemy, że Norheim i Uighar to najgorsze przypadki — zwłaszcza Norheim. Mamy obecnie więcej bomb niż oni razem. Wiemy też, że prace Uigharu nad naddźwiękowymi samolotami są ukończone. Nie wiemy, co ma Norheim, bo zlikwidowali mój wywiad jakiś czas temu, ale wysyłam dzisiaj następnego agenta, nawiasem mówiąc, mojego najlepszego człowieka. Jeśli on stwierdzi, że mamy przewagę, a jestem prawie pewien, że mamy, to zalecałbym natychmiastowe uderzenie uprzedzające na Norheim i Uighar jednocześnie. Potem powołalibyśmy rząd światowy wystarczająco silny, by wyperswadować wszystkim krajom, z Atlantydą włącznie, niechęć do współpracy. Wiem, że ta polityka jest niewątpliwie sprzeczna z prawem międzynarodowym i zasadami demokracji, że może nie zadziałać, ale, według mojej oceny, jest to jedyny plan, który może okazać się skuteczny.

– Zdaje pan sobie sprawę ze słabości tego planu – faros zastanawiał się przez chwilę.

– Nie ma pewności czy pański wywiad zlokalizuje wszystkie krytyczne obiekty, wiele z nich musi się kryć głęboko pod ziemią, zabezpieczone przed naszymi rakietami. Wierzimy wszyscy, łącznie z panem, że psycholog ma rację, twierdząc, że pozostałe kraje zareagują nieprzychylnie i gwałtownie. Talmonides, poproszę o pański raport.

– Już wprowadziłem moje dane do maszyny – psycholog nacisnął klawisz i maszyna zaczęła buczeć i szumieć. – Mam tylko jeden istotny nowy fakt: nazwisko jednego z wysokich urzędników oraz pewne

przesłanki na temat możliwości istnienia jakiegoś rodzaju współpracy między Norheimem i Uigharem...

Urwał, bo maszyna ucichła i wypluła raport.

– Spójrzcie na ten wykres – Talmonides pokazał palcem – ponad dziesięć punktów w ciągu siedmiu dni. Sytuacja się bez przerwy pogarsza. Wniosek jest nieunikniony; sami wiecie, że jak się szybko zbliża do jedności, sytuacja wymyka się spod kontroli w ciągu około ośmiu dni.

Z jednym wyjątkiem... o tutaj. Zauważcie, że wykresy skutków i przyczyn są, jak zawsze, przypadkowe. Gdyby nie fakt, że kraje i frakcje są tak równomiernie rozłożone, to niezależnie od tej ostatecznej integracji, sugerującej, że wszystko jest wynikiem dokładnego i z rozmysłem opracowanego planu, przypuszczałbym, że wrażenie braku spójności wynika z niewystarczających danych. Dane są jednak wystarczające. Dowodzą zdecydowanie, że żaden kraj, nawet po całkowitym zniszczeniu Atlantydy, nie ma szansy, by wygrać. Zniszczą się jedynie nawzajem, razem z całą naszą cywilizacją. Według tej prognozy, której decydującym źródłem są dane dostarczone przez generała, taki będzie z pewnością wynik, jeśli nie podejmiemy kroków zaradczych. Artomenes, jesteś oczywiście pewien swoich danych?

– Jestem pewien. Lecz mówiłeś, że masz jakieś nazwisko wskazujące na porozumienie Norheimu i Uigharu. Co to za nazwisko?

– Twój stary przyjaciel...

– Lo Sung! – wykrzyknął gniewnie generał.

– Tak, to on. I, co gorsze, żaden plan nie obiecuje zwycięstwa.

– Zastosujmy więc mój! – Artomenes poderwał się i uderzył pięścią w stół. – Pozwólcie mi wysłać natychmiast dwie rakiety, które obróćą Uigharstoy i Norgrad w kupę radioaktywnego gruzu, a tysiące mil kwadratowych dookoła zamienią w pustynię nie nadającą się do

zamieszkania przez tysiące lat! Jeśli tylko w ten sposób możemy ich czegoś nauczyć, zróbmy to!

– Niech pan siada, generale – polecił spokojnie Aryponides. – Ten plan, jak już pan sam to wyliczył, nie da się obronić. Łamie wszystkie podstawowe zasady naszej cywilizacji. Co więcej, będzie całkowicie bezcelowy, ponieważ jest jasne, że po jego zastosowaniu wszystkie kraje na Ziemi zostaną zniszczone w jeden dzień.

– To co mamy zrobić w takiej sytuacji – zapytał gorzko Artomenes – siedzieć cicho i czekać, aż nas wykończą?

– Dlaczego. Zebraliśmy się tu po to, by opracować plan. Pan Talmonides już zdecydował, na podstawie wiedzy, którą tu zgromadziliśmy, co należy zrobić.

– Widoki nie są najlepsze, a właściwie to są całkiem niedobre – oznajmił ponuro psycholog. – Jedyna możliwość, rokująca sukces z prawdopodobieństwem jedynie zero osiemnaście, to ta rekomendowana przez pana farosa, lekko zmodyfikowana w celu uwzględnienia sugestii Artomenesa dotyczącej wysłania agenta. Tak na marginesie, dobrze by było dla podwyższenia morale, żeby pan faros porozmawiał z tym agentem, zanim wyruszy.

Normalnie, nie zalecałbym planu o tak małym prawdopodobieństwie powodzenia, gdyby to nie była po prostu kontynuacja i eskalacja naszych dotychczasowych działań. Poza tym, nie widzę, co byśmy mogli zrobić.

– Wszyscy się zgadzają – zapytał Aryponides po krótkiej ciszy.

Nie było sprzeciwów. Czterech uczestników konferencji wyszło jeden za drugim, a do pomieszczenia wkroczył młody mężczyzna. Mimo że nie patrzył na farosa, to jego oczy wyrażały zapytanie.

– Melduję się na rozkaz – zasalutował służbiście.

– Spocznij – odsalutował Artomenes. – Pan faros chciałby z wami porozmawiać. Sir, przedstawiam kapitana Phrygesa.

– Nie chodzi o rozkazy, synu... nie – Aryponides położył rękę na ramieniu kapitana i spojrzał w brązowe, znaczone złotymi plamkami oczy, odnotowując na granicy uwagi płomiennie-rudą czuprynę młodego oficera. – Poprosiłem pana tutaj, by życzyć powodzenia. Nie tylko dla nas, ale dla całego narodu, a może całej naszej rasy. Chociaż wszystko we mnie się sprzeciwia temu niesprowokowanemu i niespodziewanemu atakowi, musimy wybierać między opracowanym przez nas planem, a unicestwieniem cywilizacji. Ponieważ zna pan już istotne punkty pańskiej misji, nie muszę ich wyliczać. Ale chciałbym, żeby pan wiedział, kapitanie Phryges, że cała Atlantyda leci z panem tej nocy.

– Dziękuję... dziękuję, sir. – Phryges przełknął dwa razy, by odzyskać głos. – Zrobię wszystko najlepiej, jak potrafię.

* * *

Później, w bezskrzydłym pojeździe lecącym na lotnisko, młody Phryges przerwał przedłużającą się ciszę.

– Więc to był faros... Podobał mi się, panie generale... Nigdy przedtem nie widziałem go z bliska... jest w nim coś takiego... Nie przypomina za bardzo mojego ojca, ale wydaje mi się, jakbym go znał od bardzo dawna!

– Hm... ciekawe... W pewien sposób jesteście do siebie podobni, nawet jeśli wyglądacie całkowicie różnie... Nie mogę tego dokładnie uchwycić, ale coś w tym jest. – Chociaż Artomenes ani nikt inny w jego czasach nie mógł tego stwierdzić, podobieństwo istniało rzeczywiście. Wyrażało się w oczach, w takim “orlim spojrzeniu”, które dużo później będzie się wiązać z nosicielami aryzyjskich lensów. – No, jesteśmy. Twój samolot jest gotowy.

Powodzenia.

– Dziękuję, sir. Mam prośbę. Gdyby można... gdybym nie wrócił... czy zajmie się pan moją żoną i dzieckiem...?

– Oczywiście, synu. Jutro rano zostaną wysłani do Północnych Majów. Przeżyją, nawet jeśli ty i ja nie przeżyjemy. Coś jeszcze?

– Nie, sir. Dziękuję. Do widzenia.

Samolot był ogromnym latającym skrzydłem. Zwykły lot towarowy. Pusty — pasażerów, nawet załogi, nigdy nie poddawano brutalnym przyspieszeniom stosowanym w pojazdach bezzałogowych. Phryges spojrział na panel. Małe silniczki przewijały taśmy urządzeń kontrolnych. Wszystkie wskaźniki świeciły na zielono. Założył wodoodporny kombinezon, wślizgnął się przez rozciągliwy przełaz do zbiornika przeciwprzyspieszeniowego i czekał.

Krótko zawyła syrena. Czarna noc rozświetliła się oślepiającą bielą, gdy ujarzmiona energia atomu wydostała się z dysz samolotu. Przez pięć, sześć sekund twarda i ostra krawędź natarcia berylowego skrzydła w kształcie litery V wycinała sobie drogę w rzednącym powietrzu.

Pojazd chwilami wydawał się stać nieruchomo, a w chwilę później wibrował brutalnie. Trzął się, jakby miał zamiar rozlecieć się na kawałki. W zbiorniku przeciwprzyspieszeniowym tego się nie czuło. Wcześniej, słabsze pojazdy rozlatywały się przy prędkości dźwięku, po zderzeniu z twardym jak ściana oporem atmosferycznym, ale ten był zbudowany solidnie i wyposażony tak, by wytrzymać to bez szkody.

Piekielne wibracje ucichły. Fantastyczna gwałtowność napędu wyrażała się wyłącznie w parciu do przodu. Phryges wiedział, że samolot wyrównał po osiągnięciu prędkości przelotowej dwa tysiące mil na godzinę. Wszedł ze zbiornika, starając się nie nachlapać na wypolerowaną stalową podłogę. Zdjął kombinezon i wrzucił go z powrotem do zbiornika. Wytarł i wypolerował podłogę ręcznikami, które także wrzucił do zbiornika.

Włożył miękkie rękawiczki i wyrzucił na zewnątrz zbiornik przeciwprzyspieszeniowy, a potem również urządzenie, które mu to umożliwiło. Cały złom spadnie do oceanu, zatonie i nikt go nigdy nie znajdzie. Obejrzał dokładnie ładownię oraz właz, czy nie ma rys, zadrapań i innych śladów. Jeśli Norskowie chcą, to mogą teraz szukać, długo i dokładnie.

Z tyłu samolotu, obok małego włazu awaryjnego była przymocowana czarna matowa kula. Zwolnił najpierw zaczepy. Odetchnął głęboko; ciśnienie w międzyczasie mocno się obniżyło, ale on miał za sobą specjalny trening na wypadek takich nagłych fluktuacji. Przetoczył kulę nad właz i otworzył. Dwie połączone zawiasami półkule były wypełnione ukształtowanym materiałem przypominającym gumę. Wydało się niemożliwe, żeby człowiek wielkości Phrygesa, zwłaszcza wyposażony w spadochron, mógł się zmieścić w tak małej przestrzeni, lecz ten kształt był dopasowany do niego.

Kula musiała być niewielka. Samolot, mimo rozkładowego rejsu, był dokładnie śledzony od chwili wejścia w zasięg radarów Norheimu. Nie powinno być żadnych podejrzeń, gdyż kula była wykonana z materiału niewidzialnego dla radarów. Tym bardziej, że Norheimowi — o ile wywiad Atlantydy był w stanie to sprawdzić — nie udało się jeszcze skonstruować żadnego urządzenia umożliwiającego żywemu człowiekowi opuszczenie ponaddzwiękowego samolotu w locie.

Phryges czekał, dopóki sekundowa wskazówka jego zegarka nie dojdzie do zera, po czym skulił się w jednej półkuli, a druga zamknęła się i zablokowała. Właz się otworzył. Kula wraz z zamkniętym w niej człowiekiem runęła w dół, hamując gwałtownie do prędkości opadania.

Gdyby powietrze było nieco gęstsze, atlantycki kapitan umarłby. Wszystko było jednak dokładnie obliczone.

Spadając jak pocisk pod ostrym kątem w dół, kula zmniejszała się. To był również nowy wynalazek Atlantydów. Syntetyczny materiał kuli pod wpływem tarcia powietrza erodował, cząsteczka po cząsteczce, tak szybko, że żaden dostrzegalny fragment nie powinien dotrzeć do ziemi.

Korpus zniknął pozostawiając porowatą wyściółkę. Będąc wciąż na wysokości ponad trzydzieści tysięcy stóp, Phryges odrzucił resztki swojego kokonu i wytrenowanymi ruchami obrócił się tak, by widzieć ziemię, słabo widoczną w szarym świetle świtu. Pod sobą zobaczył autostradę biegnącą równoległe do linii jego lotu. Powinien wylądować nie dalej niż sto jardów od niej.

Walczył ze zniewalającą chęcią pociągnięcia przedwcześnie za uchwyt. Należało czekać, czekać do ostatniej sekundy, bo spadochrony były duże, a radary Norheimu omal że czesaly grunt.

W końcu, będąc już bardzo nisko, pociągnął za pierścień. Spadochron otworzył się z hałasem. Uprząż zacisnęła się z dzikim szarpnięciem na kilka sekund wcześniej, zanim jego kolana zamortyzowały uderzenie lądowania.

Za blisko, w ostatniej chwili. Był pobladły, roztrzęsiony, niemniej cały. Zebrał falujące, wyrywające się płótno i zwinął razem z uprzężą w nieforemny tobołek. Rozłamał małą ampułkę i wylał kilka kropel płynu na materiał, który zaczął znikać. Nie palił się, po prostu rozkładał i znikał. W ciągu minuty pozostało tylko kilka stalowych sprzączek i pierścieni, które zagrzebał pod ostrożnie podniesioną darnią.

Wciąż miał czas. Za trzy minuty pojawi się sygnał, o ile Norskom nie udało się wykryć i zlikwidować całej atlantydzkiej siatki. Nacisnął guzik na małym urządzeniu i przytrzymał. Na wyświetlaczu pojawiła zielona linia, zmieniła kolor na czerwony i zgasła.

– Cholera! – gwałtownie wciągnął powietrze. Świetna nawigacja, intensywność sygnału wskazywała, że ma nie dalej niż milę do kryjówki,

ale czerwony błysk ostrzegał przed udaniem się tam. Kinnexa — wolał, żeby to była Kinnexa — przyjdzie po niego.

Jak? Zastanawiał się. Przyleci? Przyjedzie drogą? Przyjdzie pieszo przez las? Nie miał możliwości się dowiedzieć — kontakt, nawet wiązką kierunkową, był poza wszelką dyskusją.

Poszedł w kierunku drogi i przycupnął za drzewem. Tu powinna go znaleźć. Wciąż czekał, naciskając od czasu do czasu przycisk swego nadajnika.

Długi, nisko zawieszony samochód zakręcił w pobliżu. Phryges spojrział przez lornetkę.

To była Kinnexa — albo jej sobowtór. Opuścił lornetkę. Prawą ręką wyjął blaster, a lewą pistolet pneumatyczny. Nie, to na nic. Jest przygotowana. Musi być. Samochód też jest pewnie ciężko uzbrojony. Jeśli teraz tak wyjdzie, zostanie od razu usmażony. Chyba że ktoś ją ubezpiecza.

Niemniej nie warto sprawdzać.

Samochód zwolnił i zatrzymał się. Dziewczyna wyszła, obejrzała przednią oponę, po czym wyprostowała się i spojrzała wprost na jego kryjówkę. W lornetce było ją widać, jakby była na wyciągnięcie ręki. Wysoka blondynka, dobrze zbudowana, lekko zaokrąglona lewa brew.

Złotawy błysk zdradził koronkę na zębie, a na górnej wardze widać było drobną bliznę. Był odpowiedzialny za oba te uszkodzenia. Zawsze chciała się bawić w złodziei i policjantów ze starszymi i większymi chłopakami. To była Kinnexa! Nauka Norheimu nie była w stanie tak dokładnie podrobić cech szczególnych dziewczyny, którą znał od dziecka.

Dziewczyna wróciła do samochodu i ruszyła. Phryges wyszedł pokazując gołe ręce.

Samochód zatrzymał się.

– Odwróć się. Tyłem do mnie. Ręce za sobą – poleciała sucho.

Phryges, chociaż zdziwiony, posłuchał. Poczuł palec dotykający krótkich włosów z tyłu na szyi. Zorientował się, że szuka prawie niewyczuwalnej blizny po ranie, którą mu zrobiła, gdy miała siedem lat.

– Och, Fry! To rzeczywiście ty. Dzięki bogu! Wstydziłam się tego przez całe życie, a teraz...

Obrócił się i uściskał, zanim zdążyła odetchnąć z ulgą.

– Szybko! Wsiadaj... Ty prowadzisz... I nie za szybko! – ostrzegła pośpiesznie, słysząc wizg opon. – Tu jest ograniczenie do siedemdziesięciu. Nie mogą nas zatrzymać.

– Spokojnie Kinny. Powiedz, jak sytuacja. Gdzie jest Kolanides? A raczej, co się z nim stało?

– Nie żyje! Inni chyba też. Wsadzili go w psychosondę i wywrócili na lewą stronę.

– A blokady?

– Nie pomogły. Oni tutaj mają zwyczaj wspomagania psychosondy: zdzieranie skóry i posypywanie solą. Nikt z nich o mnie nie wiedział ani gdzie idą raporty, bo też bym była martwa.

Ale to nie robi różnicy, spóźniliśmy się o tydzień.

– Co masz na myśli? Przyspieszyli? – powiedział szorstko, ale ręka, którą położył na jej ramieniu, wyrażała samą delikatność.

– Powiem ci w skrócie, bo nie ma czasu. Ostatni raport dostałam wczoraj. Mają rakiety wielkości naszych i tak samo szybkie, a może nawet szybsze. Jedną z nich chcą odpalić na Atlantyde, dzisiaj, równo o siódmej.

– Dzisiaj? Boże święty! – W głowie mu zaszumiało.

– Tak – powiedziała Kinnexa bezbarwnym głosem – i nic już nie mogłam zrobić.

Gdybym spróbowała dostać się do którejś z naszych placówek lub nadać jakąś wiadomość, po prostu złapaliby mnie. Myślałam, myślałam i

wymyśliłam jedną rzecz, którą można by zrobić, ale nie w pojedynkę. Razem, może nam się uda...

– Mów. Powiedz o co chodzi. Nikt nigdy nie uważał, że nie umiesz myśleć, a poza tym znasz ten kraj jak własną rękę.

– Musimy ukraść samolot. Być nad rampą dokładnie w chwili startu. Jak otworzą pokrywę, zanurkować na pełnej szybkości, zawiadomić Artomenesa — o ile zdążę, zanim zagłuszą moją falę — i załatwić raketę w jej własnym silosie.

Plan był szalony, niemniej oboje byli w takim napięciu i tak zdesperowani, że nie widzieli w nim nic niezwykłego.

– Dobre i to, jeśli nie da się wymyślić nic lepszego. Problem pewnie w tym, że nie wiesz, jak ukraść samolot?

– Dokładnie. Nie mam gdzie schować blastera. Kobiety w Norheimie nie noszą obecnie płaszczy ani peleryn. A spójrz na tę sukienkę! Widzisz tu miejsce, gdzie mogłabym schować broń.

Spojrzał z zainteresowaniem, a ona się zaczerwieniła.

– Rzeczywiście się nie da – przyznał – ale jeśli mamy spróbować, to wolałbym wybrać jakiś nasz samolot. Myślisz, że da się to zrobić?

– Nie ma szans. Zawsze trzymają jednego człowieka wewnątrz. Nawet jeśli zabijemy wszystkich na zewnątrz, to samolot wystartuje, zanim się zbliżymy na tyle, żeby otworzyć właz.

– Masz rację. Słuchaj, jesteś pewna, że cię nie namierzyli?

– Jestem pewna – uśmiechnęła się ponuro. – Świadczy o tym to, że wciąż jestem żywa. Mam paszporty, jakie zechcesz, od konduktora w metrze do bankiera z Ekopty. Dla ciebie i dla mnie. A także dla nas oboje jako małżeństwo.

– Zdolna dziewczyna. – Zastanawiał się minutę, a potem potrząsnął głową. – Nie widzę możliwości, by się stąd wydostać. Łódź podwodna

byłaby za tydzień, poza tym, z tego co mówiłaś, wynika, że się nie przekradnie. Tobie jednak mogłoby się udać. Wyrzuciłbym cię gdzieś...

– Nie ma mowy – przerwała spokojnie, ale stanowczo. – Co byś wolał, zginąć w wybuchu obok porządnego faceta czy opuścić go i być psychosondowany, obdzierany ze skóry, posypywany solą, a w końcu — ciągle żywy — rozciągany i ćwiartowany.

– Dobrze – zgodził się – takim razie mąż i żona. Turyści. Nowożeńcy z jakiegoś pobliskiego miasteczka. Całkiem niezłe pasuje. Da się zrobić?

– Bez problemu – otworzyła schowek i wybrała zestaw dokumentów. – Wypełnię je w ciągu dziesięciu minut. Resztę musimy wyrzucić razem z mnóstwem innych rzeczy. Zdejmij tę skórzaną kurtkę i załóż ubranie pasujące do zdjęcia w paszporcie.

– Masz rację. Droga prosta jak strzełił i nikogo nie widać. Daj mi to ubranie, przebiorę się teraz. A może lepiej się zatrzymać?

– Myślę, że lepiej się zatrzymać – zdecydowała dziewczyna. – Szybko. Będziemy też musieli znaleźć miejsce, by ukryć lub zakopać rzeczy.

Gdy mężczyzna zmieniał ubranie, Kinnexa zebrała wszystkie zbędne rzeczy i zawinęła je w kurtkę. Zobaczyła, jak Phryges dopasowuje płaszcz i zauważyła, że pod pachami nie ma kabur.

Spojrzała na niego.

– Gdzie masz broń? – zapytała. – Powinny być trochę widoczne, tymczasem nawet ja nic nie widzę.

Pokazał jej.

– Takie małe? Nigdy nie widziałam takich małych blasterów!

– To nie są blastery. Blaster mam w tylnej kieszeni. To są pistolety pneumatyczne.

Zatrute igły. Nic nie warte powyżej stu stóp, ale z bliska śmiertelnie niebezpieczne. Jedno ukłucie, gdziekolwiek i człowiek umiera w ciągu

dwóch sekund.

– Fajne! – Bojaźliwym dziewczęciem Kinnexa z pewnością nie była. – Masz pewnie jeszcze jeden. Pasowałby mi do kabury na udzie. Daj, pokaż jak to działa.

– Normalnie, jak blaster. O tak – zademonstrował jej, a potem, gdy on prowadził, ona pracowicie ćwiczyła.

Dzień mijał powoli, bez specjalnych wydarzeń. Jedynie pewien incydent — którego szczegóły nie są istotne — był takiej natury, że sprowokował pytanie: – Mogłabyś mi powiedzieć, gdzie dokładnie jest ta rampa? Na wypadek, gdybyś podczas tej awantury skrzyła kark wcześniej ode mnie — zapytał spokojnie Phryges.

– Jasne! Wybacz, Fry, zupełnie wyleciało mi z głowy, że ty nie wiesz, gdzie to jest.

Obszar szósty; współrzędne cztery siedem trzy kreska sześć zero pięć.

– Zapamiętałem – powtórzył ciąg cyfr.

Żadne z nich nie “skrzyło karku” i o szóstej po południu młoda para, w oczywisty sposób spędzająca swój miesiąc miodowy, zaparkowała swój wielki samochód na parkingu na Polu Norgradzkim i weszła przez bramę. Ich dokumenty, łącznie z biletami, były w całkowitym porządku. Na tyle nie rzucali się w oczy i na tyle nie wzbudzali podejrzeń, jak tylko to możliwe dla młodej pary. Ani więcej, ani mniej.

Szli leniwie, przyglądając się z zainteresowaniem każdej nowej rzeczy, powoli zbliżając się, po swej okrężnej trasie, do niewielkiego hangaru. Zdaniem dziewczyny lotnisko mogło się pochwalić setkami naddźwiękowych myśliwców, tyłoma, że obsługa techniczna pracowała całą dobę. W tym hangarze znajdował się ostronosy, krótki samolot w kształcie litery V, jeden z najszybszych w Norheimie. Był gotów do lotu.

Nie było możliwości, by tacy goście mogli wejść do hangaru bez przeszkód. Nie liczyli na to.

– Proszę się wrócić – zawołał wartownik – proszę dołączyć do grupy. To miejsce nie jest dozwolone dla zwiedzających.

Fft! Fft! Miętko, lecz śmiertelnie zakaszłał pistolet pneumatyczny Phrygesa. Kinnexa rzuciła się, podciągnęła rękami spódnicę i pobiegła. Wartownik próbował ją powstrzymać, chciał podnieść karabin, ale brakło mu sił. Umarł chwilę później.

Phryges również pobiegł, ale tyłem. W rękę miał blaster i pluł ogniem, gdyż w zasięgu igieł nie było już nikogo. Odruchowo i bezużytecznie przykucnął, gdy wokół niego zaświstały kule karabinowe. Karabiny były problemem, niemniej brali to ryzyko pod uwagę i akceptowali je.

Kinnexa dotarła do wjazdu myśliwca, otworzyła go i wskoczyła. Phryges skoczył za nią.

Kinnexa upadła na niego. Odepchnął ją i zatrzasnął wjazd. Spojrzał i zaklął gorzko. Mały okrągły otwór psuł linię jej nosa, a z tyłu brakowało jej połowy głowy.

Rzucił się do sterów i z rykiem poderwał samolot do góry. Włączył odbiornik i nadajnik, dostrajał szybko. Na próżno. Tak jak się tego obawiał, zdążyli już zagłuszyć wszystkie częstotliwości, których mógł użyć, z mocą nie pozwalającą nawet na połączenie wiązką kierunkową na odległość stu mil.

Niemniej wciąż miał szansę zniszczyć tę rakietę w silosie. Nie bał się innych myśliwców Norheimu; miał dużą przewagę czasową i najszybszy samolot. Obawiał się jednak, że jeśli oni są tacy podejrzliwi, to mogą wystrzelić rakietę wcześniej, przed siódmą. Starał się więc wycisnąć każdy dodatkowy węzeł z pracujących pełną mocą silników.

Z pełną szybkością zbliżał się do rampy, gdy zobaczył ślad idącej w górę i znikającej w stratosferze smugi kondensacyjnej. Podniósł nos samolotu i wyrównał. Zobaczył pocisk. Chociaż nie mógł osiągnąć ogromnego przyspieszenia rakiety, mógł go dogonić przed Atlantydą, gdyż nie musiał osiągać wysokości, z której rakietą dalszą część swojej podróży miała odbyć bez napędu.

Co zrobi, jak ją dogoni, jeszcze nie wiedział, ale coś będzie musiał zrobić.

Dogonił ją, dzięki sztuce pilotażu docenianej tylko przez tych, którzy sami pilotowali naddźwiękowe samoloty. Wyrównał kurs i prędkość, a potem z odległości stu stóp ostrzelał głowicę bojową największymi pociskami jakie miał. Nie mógł nie trafić. To było jak strzelanie do siedzącej kaczki, jak głuszenie ryb dynamitem we wiadrze. Niemniej nic się nie stało. Nie była nastawiona na uderzenie, lecz na czas, a zapalnik był wstrząsoodporny.

Wciąż jednak mógł coś zrobić. Nie musiał już zawiadamiać Artomenesa, nawet gdyby mógł to zrobić, mimo zagłuszania przez szybko zbliżający się pościg. Atlantydzcy obserwatorzy musieli ich namierzyć już dawno temu, generał z pewnością wie dokładnie, co się dzieje.

Phryges skierował samolot z maksymalną szybkością w dół, na kurs kolizyjny z rakietą.

Ostry nos myśliwca uderzył w głowicę bojową nie dalej niż stopę od miejsca, gdzie wycelował.

Zanim umarł, Phryges upewnił się, że wykonał zadanie. Rakietą Norheimu nie uderzy w Atlantyde, lecz upadnie przynajmniej dziesięć mil przed celem, gdzie woda jest bardzo głęboka.

Bardzo, bardzo głęboka. Atlantyda ocaleje.

Byłoby jednak lepiej, gdyby Phryges umarł razem z Kinnexą na lotnisku w Norgradzie.

Ocaliłoby to cały kontynent. A tak, straszliwy ładunek jądrowy zamiast zniszczyć miasto, eksplodował sześćset sążni pod wodą, prawie dziesięć mil od portu Atlantydy, bardzo blisko starego uskoku tektonicznego.

Tak jak przewidywał Phryges, Artomenes miał wystarczająco dużo czasu na działanie i znacznie lepiej był zorientowany w nadchodzącym ataku. Nie jeden, a siedem rakiet zostało wystrzelonych z Norheimu w kierunku Atlantydy i przynajmniej pięć z Uigharu. Na próżno. Gdy bomby i trzęsienie ziemi niszczyły atlantydzkie rampy startowe, rakiety odwetowe, które starty z powierzchni ziemi Norgrad, Uigharstoy i tysiące mil kwadratowych środowiska, były już od dawna w drodze.

A gdy wszystko się w końcu uspokoiło, w miejscu, gdzie przedtem znajdował się nieduży kontynent, spokojnie falowało morze.

↑ Chodzi o miarę szybkości: 1 węzeł = 1 mila morska/godzinę.

Rozdział 3

UPADEK RZYMU

W Eddorze

Podobnie, jak szefowie telluryjskich korporacji spotykają się w swoich klubach, by omówić sprawy biznesowe, tak samo Jego Ultymatywna Wysokość, Supremator Eddoru, spotkał się ze swoim zastępcą Gharlanem na pogawędkę po pracy.

– To co zrobiłeś na Tellusie, to była dobra robota – zaczął Supremator. – Na pozostałych trzech planetach oczywiście również, ale z całej grupy Tellus odstawał najbardziej od naszych wymagań. Gdy te narody atlantyckie tak dokładnie wyniszczyły się wzajemnie, sądziłem, że ta rzecz nazywana “demokracją” zostanie zapomniana na zawsze, okazało się jednak, że jest bardzo trudna do wyplenienia. Ale teraz, mam nadzieję, że sytuację w Rzymie masz całkowicie pod kontrolą?

– Definitywnie. Mitrydates z Pontu był moim agentem. Tak samo Sulla i Mariusz. Z ich pomocą wybiłem praktycznie wszystkie mózgi Rzymu i zredukowałem tę, tak zwaną, “demokrację” do wyjącego, bezmyślnego tłumu. Mój Neron dokończy sprawę. Rzym jeszcze przetrwa siłą rozpędu przez kilka pokoleń, będzie się nawet rozszerzał, ale tego, co zrobi Neron, nie da się cofnąć.

– To dobrze. Zadanie jest rzeczywiście trudne.

– Właściwie, to nie jest trudne... tylko strasznie monotonne – powiedział z goryczą Gharlane. – Praca z krótko żyjącą rasą jest okropna. Każde z tych stworzeń żyje tylko chwilę, zmieniają się tak szybko, że nie

nie można ich nawet na chwilę spuścić z oka. Chciałem sobie zrobić mały urlop i pojechać do naszego starego wszechświata, ale wygląda na to, że nie będę mógł tego zrobić, zanim sytuacja się nie ustabilizuje.

– To już nie potrwa zbyt długo. Weź pod uwagę, że wraz z rozwojem rasy, średnia długość życia się wydłuża.

– Możliwe, niemniej nikt nie ma nawet w połowie tylu kłopotów, co ja. Zadania innych posuwają się zgodnie z planem, a na moich czterech planetach jest gorsze piekło niż w obu pozostałych galaktykach razem. To nie jest moja wina. Jeśli nie liczyć ciebie, jestem najefektywniejszym operatorem jakiego mamy, nie rozumiem więc dlaczego to ja mam być kozłem ofiarnym.

– Właśnie dlatego, że jesteś naszym najefektywniejszym operatorem – gdyby powiedzenie, że Eddorianin się uśmiecha miało sens, można by powiedzieć, że Supremator się uśmiechnął. – Znasz równie dobrze, jak ja, wyniki analiz Integratora.

– Tak, ale zastanawiam się coraz bardziej, czy powinienem w to wierzyć bez zastrzeżeń.

Zarodniki wymarłej formy życia, odpowiednie środowisko, zasady prawdopodobieństwa — mydlenie oczu! Zaczynam podejrzewać, że prawdopodobieństwo zostało specjalnie dla mnie naciągnięte do granic tolerancji. Ale jak tylko znajdę tego, kto naciągał, to będziemy mieli puste miejsce w Wewnętrznym Kręgu.

– Nie przeginaj, Gharlane! – ton Suprematora stwardniał. – Kogo podejrzewasz?

Może oskarżasz?

– Na razie nikogo. Nigdy tego nie analizowałem pod tym kątem. Niczego nie podejrzewałem ani nikogo nie oskarżałem. Ale jak coś odkryję, to nie odpuszczę.

– Wbrew mojej woli? Wbrew moim rozkazom? – oburzył się Supremator.

– Powiedzmy, że raczej z twoim poparciem – odparł bez zmieszania zastępca. – Jeśli ktoś kopie dołki pode mną, a ty o tym nie wiesz, to w jakiej możesz być sytuacji? Przypuśćmy, że mam rację i na tych czterech moich planetach coś źle poszło, bo mąci ktoś z Wewnętrznego Kręgu. Kto będzie wtedy następny po mnie? Skąd wiesz, że tobie nie robią czegoś podobnego, tylko bardziej ostrożnie? Moim zdaniem, powinniśmy to poważnie przemyśleć.

– Hm... Chyba masz rację... Jest parę takich niepasujących rzeczy. Jeśli je wziąć osobno, wydają się nieistotne, ale razem... i w takim kontekście...

W ten sposób potwierdziło się przewidywanie Starszych Aryzji, że Eddorianie na tym etapie nie domyślą się ich istnienia i Eddor straci szansę, by na czas rozpocząć przygotowania do efektywnej walki przeciw Galaktycznemu Patrolowi aryzyjskiej Cywilizacji, który wkrótce miał być powołany do istnienia.

Gdyby któryś z tych dwóch był mniej podejrzliwy, mniej zazdrosny, mniej arogancki i żądny władzy — innymi słowy, nie był Eddorianinem — ta Historia Cywilizacji nigdy nie zostałaby napisana. Albo byłaby inna i kto inny by ją pisał.

Obaj byli, jednak, Eddorianami.

W Aryzji

W krótkim okresie między upadkiem Atlantydy, a dojściem Rzymu do szczytu swojej potęgi, Eukonidor z Aryzji nie postarzał się wcale. Wciąż był młodzieńcem. Przez wiele stuleci był i jeszcze przez wiele stuleci będzie Strażnikiem. Choć jego umysł był potężny na tyle, by rozumieć wizualizację rozwoju Cywilizacji opracowaną przez Starszych — w

rzeczywistości zrobił już znaczący postęp we własnej wizualizacji Wieloświata — nie był wystarczająco dojrzały, by zachować spokój w obliczu wydarzeń, do których powinno dojść zgodnie ze wszystkimi wizualizacjami.

– Twoje reakcje są całkowicie naturalne, Eukonidorze. – Drounli, kreator zajmujący się głównie planetą Tellus, włączył się delikatnie w myśli młodego Strażnika. – To, jak wiesz, nie sprawia nam przyjemności, ale jest konieczne. Bez tego nie da się zapewnić triumfu Cywilizacji.

– I nie da się zrobić niczego, by ulżyć...? – Eukonidor urwał.

Drounli wyczekiwał chwilę. – Masz jakiś pomysł?

– Nie – przyznał młodszy Aryzjanin – ale pomyślałem... że wy Starsi, bardziej doświadczeni... silniejsi... moglibyście...

– Nic nie możemy zrobić. Rzym musi upaść. Musimy na to pozwolić.

– To będzie więc Neron? I nic nie możemy zrobić?

– Neron. Niewiele możemy zrobić. Nasze formy cielesne, Petroniusz, Acte i pozostali, robią, co będą mogli, ale ich możliwości będą dokładnie takie same, jak innych ludzi w tamtych czasach. Muszą się powstrzymać, gdyż użycie fizycznych czy umysłowych mocy zostałyby natychmiast wykryte. Z drugiej strony, Neron, czyli Gharlane z Eddoru, będzie działał bardziej otwarcie.

– Wspaniale. Praktycznie żadnych ograniczeń, z wyjątkiem czysto fizycznych. No, ale jeśli nic się nie da zrobić... Jeśli Neron musi zasiać to ziarno upadku...

I tym ponurym akcentem dyskusję zakończono.

W Rzymie

– Liwiusz! Po co komu takie życie? – gladiator Patroclus mówił do towarzysza z celi.

– Żywią nas dobrze, dbają, ćwiczą jak konie. I jak konie stoimy niżej od niewolników.

Niewolnicy mają chociaż jakąś swobodę poruszania, a większość z nas żadnej. Walczymy z każdym i wszędzie, gdzie nam każą nasi przekłęci właściciele. Ci co przeżyją walczą ponownie.

Każdego jednak czeka pewny koniec. Miałem kiedyś żonę i dzieci. Ty też. Jest jakakolwiek szansa na to, że któryś z nas, kiedykolwiek ich znów zobaczy, albo chociaż dowie się, czy żyją?

Nie ma. Czy za tę cenę warto żyć? Ja uważam, że nie.

Liwiusz z Bitynii, spoglądający przez kratę celi na gładki piasek areny i udekorowany kwiatami i purpurowymi tkaninami tron Nerona, odwrócił się i zmierzył drugiego gladiatora od stóp do głowy. Mocno umięśnione nogi, wąskie biodra, trójkątny tors i potężne ramiona. Lwia głowa otoczona potarganą grzywą rudych włosów. I oczy, piwne ze złotymi plamkami, teraz ponure i zimne, spoglądające dziko i z niechęcią.

– Mniej więcej czegoś takiego oczekiwałem – powiedział spokojnie Liwiusz – dobrze to zorganizowałeś, Patroclus. Niby nic się nie działo, ale dla kogoś znającego gladiatorów, tak dobrze jak ja, było od kilku tygodni jasne, że coś się szykuje. Rozumiem, że ktoś narażał swoje życie za mnie i że nie powinienem pytać, kim on może być.

– Ktoś narażał, a ty nie powinieneś pytać.

– Niech tak będzie. Należy więc podziękować bogom i mojemu nieznanemu sponsorowi za to, że jestem całkowicie z tobą. Nie, żeby miał nadzieję. Bo mimo że twoi ziomkowie hodują takich mężczyzn — a z twojej budowy, włosów i oczu widać, że pochodzisz od Spartakusa — to wiemy, że nawet on nie dał rady. A teraz jest dużo gorzej, gorzej niż wtedy. Nikt z tych, co spiskowali przeciw Neronowi nie miał szans powodzenia,

nawet ta fałszywa suka, jego matka. Wszyscy umarli, dobrze wiesz w jaki sposób. Neron to bestia, najgorsza z najgorszych.

Poza tym, jego szpiegdy są najlepsi, jacy kiedykolwiek byli na świecie. Myślę tak samo jak ty, ale umrę zadowolony, jeśli uda mi się zabrać ze sobą paru pretorianów. A twój plan mi się nie podoba. Bezskuteczny szturm na podium. Czy ty w ogóle zakładasz jakiś sukces?

– Oczywiście – Trak wyszczerzył zęby w wilczym uśmiechu. Jego szpiegdy są, jak powiedziałaś, bardzo dobrzy, ale tym razem my jesteśmy lepsi. Równie twardzi i równie brutalni.

Wielu jego szpiegów wśród nas umarło. Z pozostałych, większość, o ile nie wszyscy, jest nam znana. Oni też umrą. Na przykład Glatius. Czasami, jeśli bogowie sprzyjają, człowiek może zabić innego, lepszego od siebie, ale Glatius zrobił to sześć razy z rzędu, bez jednego draśnięcia.

Niemniej przy następnej okazji, mimo protekcji Nerona, umrze. Wyrok zapadł, a gladiatorzy mają takie triki, o jakich Neron nie słyszał.

– Święta prawda. Jedno pytanie, a może też zacznę mieć nadzieję. To nie jest pierwszy spisek gladiatorów przeciw Ahenobarbowi¹. Dotychczas, zanim spiskowcy zdołali do czegoś dojść, byli wystawiani przeciwko sobie, a kciuk był zawsze w dół, żadnej litości. Czy to...? – Liwiusz urwał.

– Tym razem nie. I to daje mi nadzieję. Tym razem gladiatorzy nie są sami. Mamy potężnych przyjaciół na dworze. Jeden z nich od dawna ostrzy nóż, by wbić go między żebra Nerona. To że on wciąż ma ten nóż i że my wciąż żyjemy jest dostatecznym dowodem na to, że Ahenobarbus, matkobójca i podpalacz, niczego nie podejrzewa.

(W tym momencie Neron siedzący na swoim tronie wybuchnął śmiechem, jego wielkie ciało zatrzęśło się radośnie, co Petroniusz i Tygellinus przypisali śmiertelnym jękom chrześcijańskiej kobiety na arenie.)

– Jest może coś, o czym powinienem wiedzieć, by stać się bardziej przydatny? – zapytał Liwiusz.

– Kilka rzeczy. Więzienia są tak przepełnione chrześcijanami, że ci umierają, śmierdzą i wywołują choroby. Żeby poprawić sytuację, kilkuset z nich ma zostać jutro ukrzyżowanych.

– No to co? Wszyscy wiedzą, że zatruwali studnie, mordowali dzieci i uprawiali czary.

Czarownicy i wiedźmy.

– To prawda – Patroclus wzruszył potężnymi ramionami – ale potem, jutro w nocy, jak już będzie całkiem ciemno, pozostałych kilkuset, których nie ukrzyżowano... Widziałeś kiedy *sarmentitii* i *semaxii* 2?

– Tylko raz. Paskudne przedstawienie. Naprawdę. Równie wstrząsające, jak śmierć człowieka umierającego na twoim mieczu. Mężczyźni i kobiety owinięci w nasączone olejem szmaty, posmarowani smołą i przykuci do pala, to rzeczywiście wspaniałe pochodnie. Chcesz powiedzieć, że...?

– Tak. W prywatnych ogrodach cezara. A gdy będzie najwidniej, Neron ma zrobić paradę. Gdy jego rydwan minie dziesiątą pochodnię, nasz sojusznik uderzy nożem. Pretorianie rzucą się na pomoc, ale będzie krótki moment zamieszania, który wykorzystamy, zabijając strażę.

W tym czasie inni z naszej grupy opanują pałac i zabiją wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci, sprzyjających Neronowi.

– Bardzo ładne. Teoretycznie. – Bityńczyk był szczerze sceptyczny. – A jak się tam dostaniemy? Niektórzy gladiatorzy, tacy mistrzowie jak Patroclus z Tracji, mogą czasami, w wolnym czasie, jeśli poproszą, brać udział w takich widowiskach, ale większość z nas będzie zamknięta, pod strażą.

– To już zostało załatwione. Nasi sojusznicy blisko tronu oraz pewni szlachetni obywatele Rzymu, którzy wygrali ogromne sumy dzięki naszym

zwycięstwom, wymogli na naszych właścicielach, by zaraz po masowym ukrzyżowaniu wydali w gaju Klaudiusza, naprzeciwko ogrodów cezara, wielki bankiet dla wszystkich gladiatorów.

– O! – Liwiusz odetchnął głęboko, a oczy mu zabłyśły. – Na Baala i Bachusa! Na jędrny biust Izydy! Pierwszy raz od lat, zaczynam czuć, że żyję! Nasi panowie umrą pierwsi, a potem... zaraz, a broń?

– Dostaniemy. Gapie przyniosą zbroje i tarcze, pod ubraniami. Nasi właściciele, tak, oczywiście najpierw, a potem pretorianie. Ale, Liwiusz, pamiętaj, Tygellinus, ich dowódca, jest mój, tylko mój. Mam zamiar osobiście wyciąć mu serce.

– Zgoda. Słyszałem, że miał twoją żonę przez jakiś czas. Wydajesz się być całkiem pewien tego, że dożyjesz jutrzejszego wieczora. Na Baala i Isztar, chciałbym tak się czuć. Gdy mam po co żyć, czuję jak wywracają mi się flaki i słyszę plusk wiosł Charona. Chcę czy nie, może się zdarzyć, że jakiś nieopierzony sieciarz omota mnie swoją siecią i nie będzie znaków łaski tego popołudnia. Natura tłumu, poczynając od cezara, jest taka, że nawet ty możesz dostać *pollice verso* 3, gdy upadniesz.

– To prawda, ale jeśli chcesz żyć, to lepiej postaraj się przezwyciężyć te uczucia. Jeśli chodzi o mnie, to jestem wystarczająco bezpieczny. Ślubowałem Jowiszowi, a ten kto mnie chronił do tej pory, nie opuści mnie i teraz. Każdy człowiek, czy rzecz, który stanie mi twarzą w twarz w tych igrzyskach, umrze.

– Mam nadzieję, bo... Słuchaj! Rogi... ktoś tu idzie!

Drzwi otworzyły się i wszedł *lanista* 4, właściciel gladiatorów, obładowany bronią i zbroją. Drzwi zamknęły się i szcęknęła zewnętrzna zasuwka. Przybysz był wyraźnie podniecony, ale stanął i przez kilka sekund spoglądał w milczeniu na Patroclusa.

– No, żelazne serce – wykrzyknął w końcu – nie jesteś ciekaw, co dostałeś dzisiaj do roboty?

– Nieszczęśliwie – odpowiedział obojętnie Patroclus – tylko o tyle, żeby wiedzieć, jak mam się ubrać. A co? Coś specjalnego?

– Bardzo specjalnego. Sensacja roku. Sam Fermius. Bez ograniczeń. Wolny wybór broni i zbroi.

– Fermius! – wykrzyknął Liwiusz – Gal Fermius? Niech Atena osłoni cię swoją tarczą!

– Tego samego życz też mnie – przytaknął bezdusznie *lanista* – bo zanim się dowiedziałem, kto będzie przeciwnikiem, postawiłem jak głupi sto sestercji na tego tu Patroclusa, przy stawce tylko jeden do dwóch. Ale słuchaj, rudy, jeśli wygrasz z Fermiusem, dam ci jedną trzecią wygranej.

– Dzięki. Dostaniesz swoje. Fermius jest dobry i sprytny. Dużo o nim słyszałem, chociaż nigdy nie widziałem w działaniu. Gorzej, że on mnie widział. Jest ciężki i szybki, trochę lżejszy ode mnie i nieco szybszy. Wie, że ja zawsze walczę po tracku i byłoby głupotą próbować czegoś innego. On walczy po tracku lub samnicku⁵ w zależności od przeciwnika. Przeciw mnie pewnie zdecyduje się na samnicki. Może wiesz?

– Nie. Nic nie mówili. Może zdecydować w ostatnim momencie.

– Bez ograniczeń, przeciw mnie. Będzie walczył po samnicku. Musi. Walki bez ograniczeń są wyczerpujące, ale to daje mi szansę zastosowania nowego triku. Wezmę ten miecz, bez pochwy, dwa sztylety i mój *gladius* 6. Przynieś mi też buzdygan; w trackim uzbrojeniu jest najlżejszy prawdziwy buzdygan.

– Buzdygan! Chcesz walczyć po tracku buzdyganem przeciw samnicie?

– Dokładnie. Buzdyganem. Będę nim walczył z Fermiusem, a może wolisz sam to zrobić?

– Gdy przyniesiono buzdygan, Patroclus ujął go w obie ręce, zrobił szeroki zamach i walnął nim o ścianę. Głowica pozostała cała. Nieuszkodzona. Czekali.

– Zawyły trąby. Ryk ogromnego tłumu przycichł i zapanowała niemal cisza.

– Wielki czempion Fermius *versus* wielki czempion Patroclus – usłyszeli chrapliwy anons. – Pojedyncza walka. Każda broń wcześniej wybrana może być użyta w dowolny sposób.

Nie ma odpoczynków, nie ma przerw. Wchodzą!

– Dwie postacie w zbrojach wyszły na środek areny. Zbroja Patroclusa, poczynając od wysokiego hełmu, włącznie z tarczą, była z matowo połyskującej stali, bez żadnych ozdób, cała porysowana i pokaleczona. Było jasne, że jest to zbroja przeznaczona do walki i że była używana. Natomiast Gal wystąpił w samnickiej półzbroi udekorowanej zgodnie z upodobaniami jego ludu. Na hełmie Fermiusa pyszniły się trzy jaskrawo ufarbowane pióra, a jego tarcza i kirys, emaliowane w kolorach połowy spektrum, wyglądały tak, jakby ich nigdy nie używano.

Oddzieleni od siebie na pięć jardów, gladiatorzy zatrzymali się i obrócili w kierunku podium, na którym spoczywał Neron. Szmer rozmów ucichł, buzdygan wywołał niemało komentarzy i spekulacji. Patroclus wyciągnął swoją ciężką broń w górę; Gal zakręcił swoim długim, ostrym mieczem. Po czym śpiewnie wyrecytowali chórem:

Ave, Caesar Imperator!

Morituri te salutant!

Flaga sygnalizująca start opadła i na ten znak, zanim jeszcze dotknęła gruntu, obaj mężczyźni ruszyli. Fermius zwijał się i skakał, ale chociaż szybki, okazał się być niewystarczająco szybkim. Buzdygan, mimo że

przed chwilą wydawał się taki ciężki, w rękach Traka stał się cudownie ruchliwy; zakręcił w powietrzu, celując wprost w środek ciała Gala. Nie dosięgnął celu. Patroclus miał nadzieję, że oprócz niego nikt więcej się nie zorientował, że wcale nie zamierzał dosięgnąć przeciwnika. Fermius, by uniknąć uderzenia, musiał jednak zmienić krok i wypadł z doskonałego rytmu swojego ataku. A wtedy Patroclus uderzył ponownie. A potem jeszcze raz.

Ale jak już powiedziano, Fermius był i silny, i szybki. Pierwsze uderzenie wyprowadzone bekhandem na jego gołą prawą nogę, trafiło w tarczę. Leworęczne żgnięcie, obciążone tarczą, jak to bywa z lewą ręką, tak samo. Kolejny atak, z podstępnego forhendu, jak poprzednio. W trzecim ataku wściekle zawirował miecz. Fermius, nie mając w tym momencie możliwości użycia czegoś innego, sparował częściowo mieczem. Cięcie poszło górą, ścinając pióra, czerwone, zielone i białe. Walczący rozdzielili się i krótko zmierzylili wzrokiem.

Z punktu widzenia gladiatorów dotychczasowa walka była jedynie próbną potyczką. To, że Gal stracił swoje pióra i że jego zbroja wykazywała duże braki w emalii, nie znaczyło nic więcej ponad to, że atak, zaplanowany przez Traka jako zaskakujący, nie powiódł się. Obaj wiedzieli, że walczą z najstraszliwszym przeciwnikiem tego świata, ale jeśli ta świadomość wywierała na nich jakiś wpływ, to na zewnątrz nic nie dało się poznać.

Tłum oszalał. Nigdy wcześniej nie widziano tutaj starcia bardziej mrozącego krew w żyłach niż to. Śmierć, nagła i gwałtowna, wisiała w powietrzu. Arena była nią przesycona. Serca w ekstazie podchodziły do gardeł. Każdy obecny, mężczyzna czy kobieta, poczuł ten szczególny dreszcz, powiew śmierci groźny dla kogoś innego i każdym włóknom swojego ciała żądał więcej.

Więcej! Każdy widz wiedział, że jeden z tych dwóch mężczyzn umrze tego popołudnia. Nikt nie chciał i nie pozwoliłby żyć im obu. Miała być śmierć i będzie śmierć.

Kobiety z wypiekami, poczerwieniałe z emocji, piszczwały i krzyczały. Mężczyźni tupali i wymachiwali rękami, wrzeszczeli i przeklinali. Wielu z nich, zarówno kobiety jak i mężczyźni, robiło zakłady.

– Pięćset sestercji na Fermiusa! – krzyczał ktoś, wymachując tabliczką i rylcem.

– Stoi! – rozległo się w odpowiedzi. – Gał jest załatwiony. Patroclus go dostanie!

– Tysiąc przeciw – stawiał inny – Patroclus stracił swoją szansę i nie dostanie następnej. Tysiąc na Fermiusa!

– Dwa tysiące!

– Pięć tysięcy!

– Dziesięć!

Walczący rzucili się na siebie, zawirowali, uderzyli mieczami. Tarcze zderzyły się z hałasem, miecze zabrzęczały. Do przodu, do tyłu, obrót, odskok, doskok, minuta za minutą trwał niekończący się pokaz umiejętności, szybkości, siły i wytrzymałości. I w miarę jak walka przedłużała się, bardziej niż to przewidywali najwięksi optymiści, napięcie rosło.

Tłum zawył z aprobatą, gdy krew spłynęła purpurą po nogach Gala. Tłuszcza szalała, gdy krew tryskała ze spojeń zbroi Traka.

Żaden człowiek nie wytrzyma takiego tańca przez dłuższy czas. Obaj zmęczeni się szybko i ruszali się wolniej. Wykorzystując przewagę ciężaru swojego i swojej zbroi, Patroclus zmusił Gala do zajęcia wygodnej dla siebie pozycji, zmobilizował resztę sił, zrobił krótki wypad w przód i ciął silnie w dół.

Pokrwawiona rękojeść miecza obróciła mu się w rękach, klinga uderzyła płazem i złamała się z brzękiem. Fermius, chociaż zaskoczony brutalną siłą nieudanego ataku, zareagował błyskawicznie, rzucił miecz i chwycił *gladius*, by wykorzystać cudowną okazję.

Złamanie się miecza nie było jednak przypadkowe. Patroclus wcale nie próbował odzyskać równowagi, tylko przykucnął, robiąc unik i wciąż w przysiadzie chwycił buzdygan, o którym wszyscy oprócz niego zapomnieli i uderzył. Uderzył, wkładając w to całą siłę dłoni, nadgarstków, rąk, ramion i doskonałego ciała.

Żelazna głowica ciężkiej broni uderzyła w środek kirysu Gala, który chrupnął i wgniótł się, jakby był z tektury. Wydawało się, że Fermius unosi się, składa wpół na buzdyganie i leci w powietrzu. Mimo że upadając na ziemię, Gal był już prawdopodobnie martwy — takie uderzenie zabiłoby słonia — Patroklus skoczył na niego. Dla tłuszczy nie robiło to różnicy i gdyby nawet wiedziano, że Fermius nie żyje, tłum i tak by skandował o jego życie. Podnosząc więc głowę przeciwnika i przykładając mu do szyi sztylet, Patroklus pytał cezara o jego imperatorską wolę.

Tłum, oszalały z emocji, wpadł w jeszcze większy szal. Najdrobniejsza myśl o miłosierdziu nie mogła i nie pojawiła się w tym chorym z żądy krwi zgromadzeniu. Żadne współczucie dla człowieka, który stoczył taką wspaniałą walkę. W mniej gorącej chwili może by i chcieli, żeby przeżył i bawił ich ponownie, ale teraz, przez prawie pół godziny, uwielbiali ten gorący, zapierający dech powiew śmierci. Teraz chcieli i mieli ostateczny dreszcz.

– Śmierć! – Mury zatrzęsły się od ryku żądającego tłumu. – Śmierć! ŚMIERĆ!

Prawy kciuk Nerona obrócił się w dół. Wszystkie westalki powtórzyły jego gest. *Pollice verso*. Śmierć. Ogłuszające wycie tłumu stało się jeszcze

głośniejsze.

Patroclus opuścił sztylet, wykonując zbędny cios. – *Peractum est!* 7 – Ryknął ogłuszająco tłum.

* * *

W ten sposób rudy Trak wciąż żył, a także, ku własnemu zdziwieniu, żył Liwiusz.

– Miło cię widzieć, Spizowe Serce. Na białe uda Ceres, naprawdę miło – usłyszał Patroclus, gdy spotkali się następnego dnia. Nigdy nie widział Bityńczyka w tak dobrym nastroju. – Pallas Atena ochroniła cię, tak jak o to prosiłem. Ale na czerwony dziób Tota i święty Zaimph8 Tanit, przeżyłem chwilę horroru, gdy zrobiłeś ten szybki wypad i nie trafiłeś.

Potem, po prawdziwym ataku, oszalałem jak wszyscy. No i teraz, przeklęty los, będziemy chyba musieli wszyscy na to uważać, chociaż niekoniecznie, walki bez ograniczeń, chwała Ninurcie Porażaczowi9 i jego szkarłatnej włóczni, nie zdarzają się tak często.

– Ty też sobie nieźle poradziłeś, jak słyszę – Patroclus przerwał elokwencje przyjaciela. – Pierwszych dwóch nie widziałem, ale zobaczyłem jak pokonujesz Kalendiosa. On stoi wysoko w rankingu, jest jednym z najlepszych tutaj. Bałem się, że cię dostanie, ale jak widzę, tylko żgnął cię parę razy. Dobra robota.

– Modlitwa, chłopcze. Modlitwa robi swoje. Dzięki modlitwie do Szamasza10 zgarnąłem niezłą sumę. Flaki mi się znów pozwijały jak należy, więc wiedziałem, że wróżby są pomyślne. Aha, zauważyłeś tę rudą grecką modelkę wdzięczącą się do ciebie, gdy szedłeś walczyć z Fermiusem?

– Nie wygłupiaj się. Miałem wtedy co innego do roboty.

– Tak pomyślałem. Ona pewnie też, bo po chwili przyszła z lanistą i robiła słodkie oczy do mnie. Wygląda na to, że po tobie jestem najlepszy. Co za dziwka! W każdym bądź razie poczułem się lepiej i zanim poszła, nabrałem pewności, że byle jaki *retiarius* 11, co tylko macha trójzębem, nie omota mnie siecią. No i tak było. Jeszcze trochę takich walk i sam zostanę czempionem. Widziałeś, kopią dziury pod krzyże? Otrąbili już początek uroczystości. Szykuje się niezły pokaz.

Zjedli obficie i z nieposkromionym apetytem stos żywności zapewnionej przez Nerona.

Potem powrócili do swojej celi, by ujrzeć krzyże, stojące tak gęsto, jak tylko było to możliwe, wypełniające cały obszar areny, a na każdym wisiał chrześcijanin.

I prawdę mówiąc, ci dwaj mężczyźni bawili się niezłe przez całe te koszarne popołudnie. Byli to bowiem ludzie po najtwardszej szkole życia, jaką widział ten świat.

Rygorystycznie przygotowani do obcowania na rozkaz z bezlitosną śmiercią; gotowi na nią, w razie potrzeby. Nie powinniśmy ich osądzać z punktu widzenia norm pochodzących z łagodniejszych, miększych czasów.

Popołudnie minęło, nadszedł wieczór. Wszyscy gladiatorzy Rzymu zebrali się w gaju Klaudiusza, wokół stołów pękających pod ciężarem jedzenia i picia. Nie brakowało również kobiet, kobiet do wzięcia i pragnących, by je wziąć. Rozpoczęła się dzika zabawa. Ale chociaż wydawało się, że wszyscy jedzą i piją bez ograniczeń, to jednak mnóstwo wina zostało zmarnowane. A gdy niebo pociemniało, większość gladiatorów zaczęła się pozbywać swoich towarzyszek pod takim czy innych pretekstem i przybliżać do drogi oddzielającej ucztujących od tłumu gapiów w długich płaszczach.

Gdy było już całkiem ciemno, od strony ogrodów cezara rozbłysły w niebo ognie. Wzdłuż drogi wybuchł krótki tumult z udziałem gladiatorów i gapiów w płaszczach, po czym lepiej lub gorzej uzbrojeni mężczyźni pobiegli z powrotem na teren uczty. Miecze, sztylety, gladiusy uderzały, żgały i cięły. Stoły i ławy pokryły się czerwienią, ziemia i trawa spłynęła krwią.

Spiskowcy rzucili się teraz ku jasno oświetlonym ogrodom cezara. Patroclus został z tyłu.

Miał problem ze znalezieniem zbroi wystarczająco dużej dla niego. Opóźniło go też to, że musiał ściąć trzech obcych lanistów, zanim mógł dostać się do własnego, tego, którego naprawdę chciał zabić. Gdy Petroniusz go dogonił i chwycił za ramię, grupa była już daleko przed nim.

Poblady i drżący *Arbiter elegantiae* stracił gdzieś swój wygląd beztroskiego Rzymianina.

– Patroclus! W imię Bachusa, Patroclus, dlaczego oni już tam idą? Nie było sygnału.

Nie mogłem się zbliżyć do Nerona!

– Co? – wykrzyknął Trak. – Na Wulkana i jego demony! Był! Sam słyszałem. Co się stało?

– Wszystko – Petroniusz oblizwał wargi. – Stałem tuż za nim. Nie było nikogo w pobliżu, kto mógłby przeszkodzić. To było, powinno być, łatwe. Ale gdy wyjąłem nóż, nie mogłem się poruszyć. Te jego oczy, Patroclus, przysięgam na białe piersi Wenus! Jego diabelskie oczy. Nie mogłem ruszyć palcem. Mówię ci! A potem, chociaż nie chciałem, odwróciłem się i uciekłem.

– A jak mnie znalazłeś? Tak szybko?

– Nie... nie wiem – wzburzony Arbiter zawahał się. – Biegłem, biegłem i znalazłem się tutaj. Co my teraz... co ty teraz zrobisz?

– Patroclus myślał intensywnie. Wierzył bez zastrzeżeń, że Jowisz go chroni osobiście.

Wierzył w pozostałych bogów i boginie Rzymu. Na wpół wierzył w niezliczone bóstwa Grecji, Egiptu, a nawet Babilonu. Tamten świat był prawdziwy i bliski. Diabelskie oczy były tylko jednym z niewyjaśnionych elementów codziennego życia. Niemniej, bez względu na łatwowierność, a może po części z jej powodu, wierzył też mocno w siebie, w swoją siłę. Szybko więc podjął decyzję.

– Jowiszu, strzeż mnie przed diabelskim okiem Ahenobarba! – zawołał głośno i odwrócił się.

– Gdzie idziesz? – zapytał Petroniusz, trzęsąc się.

– Zrobić to, co ty przysięgałeś zrobić, zabić nadętą ropuchę. I zrobić Tygellinowi to, co mu dawno temu obiecałem.

Biegając szybko, wkrótce dogonił swoich towarzyszy i wpadł bez oporu w tumult. Był wielkim czempionem, Patroklusem, wykonującym swój fach, trudny fach, znany mu tak dobrze.

Żaden pretorianin ani żołnierz nie mógł stanąć mu bez ryzyka. Nie miał swojej trackiej zbroi, ale to co miał wystarczało. Jeden po drugim zagradzali mu drogę i jeden po drugim padali.

Neron, siedzący beztrosko z urodziwym chłopcem po prawej i piękną kokotą po lewej, spoglądał z ciekawością przez szmaragd na palące się pochodnie, poświęcając jedynie drobną część swojego eddorskiego umysłu spotkaniu Patroclusa i Tygellinusa.

Pozwolić Trakowi zabić dowódcę pretorianów czy nie, zastanawiał się. W zasadzie nie miało to znaczenia. Tak naprawdę nic na tej wrogiej planecie, denerwującej, drobnej cząstce kosmicznego pyłu na eddorskiej mapie wszechświata, nie miało znaczenia. Miałyby jedynie małą rozrywkę, obserwując jak gladiator zaspokaja swoją zemstę, tnąc Rzymianina na

kawałki. Z drugiej strony musi jednak zachować profesjonalizm. Patrząc pod tym kątem, nie może pozwolić, by Trak zabił Tygellinusa, gdyż temu przeznaczone jest zrobić jeszcze kilka rzeczy. Powinien zostać całkowicie zdeprawowany i w końcu poderznąć sobie gardło brzytwą. Chociaż Patroclus się tego nie dowie, bo z technicznego punktu widzenia nie powinien, jego zemsta byłaby niczym w porównaniu z tym, co nieszczęsny Rzymianin sam sobie robi.

Tak więc dobrze wycelowane uderzenie strąciło hełm z głowy Patroclusa, a buzdygan roztrzaskał mu mózg na miazgę.

* * *

W ten sposób zakończyła się ostatnia próba ocalenia cywilizacji rzymskiej. Fiasko było tak całkowite, że nawet tak skrupulatni historycy jak Tacyt czy Swetoniusz wspomnieli jedynie o drobnej awanturze na przyjęciu w ogrodach Nerona.

* * *

Planeta Tellus okrążyła swoje słońce jakieś dwa tysiące razy. Sześćdziesiąt kilka pokoleń ludzi urodziło się i umarło, lecz to wciąż nie wystarczało. Aryzyjski program genetyczny *potrzebował więcej czasu. Tak więc Starsi, po odpowiedniej dyskusji, zgodzili się, że ta cywilizacja również musi upaść. Gharlane z Eddoru odwołany do pracy, podczas jakże krótkich wakacji, zastał sprawy w bardzo złym stanie i ruszył żywo, by je naprawić. Zabił jednego z członków Wewnętrznego Kręgu, ale najprawdopodobniej musiał w to być zamieszany jeszcze jeden.*

↑ Lucius Domitius Ahenobarbus — cesarz Neron.

↑ Określenie pochodzące z “Quo vadis” Henryka Sienkiewicza: *Takich zwą sarmentitii i semaxii... Przybiorą ich w bolesne tuniki, napojone żywicą, przywiążą do słupów i podpalą...*

Tom III/Rozdział 16.

↑ *Pollice verso* (łac.) — kciuk odwrócony (w dół).

↑ *Lanista* (łac.) — właściciel szkoły gladiatorów.

↑ Tracy, Samnici — wojownicze plemiona z czasów rzymskich.

↑ *Gladius* (łac.) — miecz. Tu krótki miecz używany przez gladiatorów.

↑ *Peractum est* (łac.) — dokonało się. Okrzyk wydawany przez tłum w chwili śmierci gladiatora. Jeszcze jedno wyrażenie z “Quo vadis”.

↑ Zaimph — święty welon fenickiej bogini płodności Tanit, przedmiot pochodzący z powieści “Salambo” Gustawa Flauberta, której akcja dzieje się w Kartaginie.

↑ Ninurta, Ninib — sumeryjski bóg burzy, wojny i rolnictwa.

↑ Szamasz — sumeryjski bóg słońca, prawa, sprawiedliwości i wyroczni.

↑ *Retiarius* (łac.) — gladiator walczący siecią, sieciarz.

CZĘŚĆ DRUGA
WOJNA ŚWIATOWA

Rozdział 4

1918

Wyjąc z wściekłości, kapitan Ralph Kinnison napał na drążek. Z poszarpanymi lotkami dwupłatowiec reagował piekielnie wolno. Mógł po prawdzie odstąpić, oddając honory zwycięskim Szkopom, ale nie palił się jeszcze i nie był ranny. Skulił się i szarpnął w bok, gdy kolejna seria pocisków zagrzecotała po kadłubie i martwym silniku. Ogień? Jeszcze nie.

Dobrze! Może uda mu się jednak posadzić grata.

Powoli — bardzo opornie — Spad zaczął wyrównywać w kierunku skraju pola pszenicy i przyjaźnie wyglądającego rowu. Jeśli Szwaby nie załatwią go przy następnym przelocie...

Usłyszał stukot z dołu — o Boże browning — ale oczekiwane uderzenie nie nadeszło.

Wiedział, że gdy rozwalili mu silnik, przelatował właśnie nad frontem. Nie miał pojęcia czy teren, na którym ląduje należy do nieprzyjaciela. Niemniej teraz, po raz pierwszy od dawna, wydało mu się, że słyszy karabiny maszynowe strzelające do kogoś innego.

Podwozie zaświszczało na zbożu. Wszystkimi siłami starał się utrzymać ogon Spada w dole. Prawie mu się udało. Gdy zarył nosem, miał już wytraconą niemal całą prędkość.

Wyskoczył, zwinął się i przeturlał — latami brał udział w wyścigach motocyklowych. Poczł uderzenie gorąca. Pocisk zapalający znalazł w końcu zbiornik paliwa jego samolotu. Kule zagrzecotały po ziemi, jedna świsnęła mu koło ucha. Schylony, by stanowić jak najmniejszy cel, pogalopował dziko w kierunku rowu.

Browningi wciąż hałasowały, wypełniając niebo ołowiem. Skacząc w zbawienną wodę z mułem, Kinnison usłyszał straszny łomot. Jeden z tych Fryców, co go chcieli zamordować, próbował kilka sekund za długo; poleciał kilka metrów za blisko.

Stukot karabinów ucichł nagle.

– Dostaliśmy jednego. Dostaliśmy jednego! – rozległ się wrzask radości.

– Nie wychylać się! Głowy nisko, puste łby – ryknął głos nawykły do wydawania rozkazów, ewidentnie sierżanta. – Chcecie, żeby je wam odstrzelili? Zdjąć na dół karabiny.

Musimy się stąd wynosić do wszystkich diabłów. Hey, ty, lotnik! Żyjesz? Jesteś ranny?

Kinnison wypluł muł, żeby móc odpowiedzieć: – Jestem okej! – krzyknął i spróbował wyrzeć za niski brzeg. Cofnął się jednak, słysząc świst pocisków nadlatujących z północy.

Wychylenie się było zdecydowanie niebezpieczne. – Ale nie ruszę się stąd teraz. Wygląda na to, że jest bardzo gorąco.

– Tak jak powiedziałeś, brachu. Tam jest bardziej gorąco niż w piekle. Wałą z za tego grzbietu. Ale za zakrętem jest mały odpływ z tego mułu, prawie czysty. Zobaczysz tam skalną grzędę biegnącą prosto przez równinę. Przejdź za nią, wejdź na wzgórze i czekaj na nas przy uschniętym drzewie. Musimy się stąd wynosić. Ta kiełbasa w górze musiała dostrzec nasze zgromadzenie, więc zaraz zetrą cały ten obszar z mapy. Pospiesz się. A wy, obiboki, wytrząsać ołów z majtek!

Kinnison zrobił, jak mu kazano. Znalazł grzędę i wydostał się z mułu. Oskrobał z munduru gęste, lepkie błoto i poczołgał się przez równinę. Przypadkowe kule świstały w powietrzu, wysoko nad nim, ale jak powiedział sierżant, ten kawałek terenu był “czysty”. Gdy dotarł na

wzgórze, do wyschłego, gołego pnia, usłyszał idących ludzi. Zaanonsował się ostrożnie.

– Okej, koleś – usłyszał głęboki bas sierżanta. – To my. Potrząśnij nogami.

– Och, bez trudu – roześmiał się Kinnison po raz pierwszy tego dnia. – Już się cały trzęsę. Jak ogon tancerki hula-hula. Co to za jednostka i gdzie jesteśmy?

BRROOM! Ziemia zatrzęsała się, a powietrze zadrżało. Niżej, na północ od nich, prawie dokładnie w miejscu, gdzie przedtem były karabiny maszynowe, wykwitła malowniczo majestatyczna chmura złożona z dymu, oparów, zmielonej ziemi, kawałków skał i odłamków tego, co przedtem było drzewami. Nie była jedyna.

Bum, bum, łup! Bum, łup! Pociski wszelkich kalibrów, burzące i z gazem, spadały jak grad. Krajobraz zniknął. Mały oddział Amerykanów, w kompletnej ciszy, opanowało jedno pragnienie: znaleźć się stamtąd jak najdalej. Dopiero kiedy zatrzymali się dla nabrania oddechu, sierżant odpowiedział na pytanie, tak jakby zostało zadane przed chwilą.

– Sekcja B przydzielona do 76 pułku artylerii polowej. A co do tego, gdzie jesteśmy, to mogę tylko powiedzieć, że gdzieś między Berlinem i Paryżem. Dostaliśmy się wczoraj w piekielny ogień i od tego czasu biegamy tutaj bez kontaktu. Na szczycie tego wzgórza wystrzelono sygnał zbiórki, więc szliśmy i zobaczyliśmy, jak Szkopy polują na pana.

– Dzięki. Pewnie najlepiej będzie zostać z wami, dopóki się coś nie wyjaśni i będę mógł wrócić do mojej jednostki.

– Szanse mamy gówniane. Dookoła pełno Szkopów. Więcej niż pcheł na psie.

Gdy doszli do szczytu, okrzyknięto ich i pozwolono przejść. Na szczycie zobaczyli siwego mężczyznę — w dość podeszłym wieku jak na tę sytuację

— spokojnie siedzącego na kamieniu i palącego papierosa. Jego dobrze skrojony mundur, doskonale pasujący na niezbyt szczupłą sylwetkę, był ubłocony i wystrzępiony. Jedna nogawka bryczesów była w połowie rozerwana ukazując zakrwawiony bandaż. Chociaż bez wątpliwości był to oficer, żadne dystynkcje nie były widoczne. Gdy Kinnison i strzelcy przybyli, porucznik, wyglądający jak spod igły, zwracał się do mężczyzny na kamieniu.

– Po pierwsze musimy ustalić sprawę stopnia – powiedział sucho – ja jestem porucznik Randolph z...

– Stopnia? Tak – siedzący wyrzucił niedopałek papierosa i uśmiechnął się – jak byłem porucznikiem, to też było to ważne dla mnie. Pana wtedy jeszcze na świecie nie było.

Slayton, generał-major.

– Och... przepraszam, sir...

– W porządku. Spocznij. Ilu ma pan ludzi i jakich?

– Siedmiu, sir. Doprowadziliśmy kabel z tyłów...

– Kabel! Niechtoszlak! To gdzie ten kabel? Dawaj go!

– Oficer zniknął, a generał odwrócił się do Kinnisona i sierżanta.

– Ma pan amunicję, sierżancie?

– Tak, sir. Około trzydziestu pasów.

– Dzięki Bogu! Wykorzystamy ją. A pan; co do pana, kapitanie, to nie wiem...

Przyniesiono telefon polowy. Generał pochwycił słuchawkę i zakręcił korbą.

– Dajcie mi “miętę”... “Mięta?” Tu Slayton! Dajcie mi Weatherbiego... Tu Slayton...

tak, ale... Nie, ale chcę... Niechtoszlak! Weatherby, zamknij się i posłuchaj. Ten kabel mogą przeciąć w każdej chwili. Jesteśmy na wzgórzu

497... tak... dwustu, może trzystu ludzi.

Zbieranina, wygląda na to, że z połowy jednostek we Francji... Za szybko i za daleko... Obie flanki odsłonięte. Przecięli...! Halo, halo, halo! – rzucił słuchawkę i odwrócił się do Kinnisona.

– Pan chce wracać, kapitanie, a ja potrzebuję gońca... Wróć! Spróbuj się pan przedostać?

– Tak jest, sir.

– Pierwszym telefonem połączy się pan z “miętą”, z generałem Weatherby. Powie mu pan, że Slayton powiedział, że nas odcięli, ale Niemcy nie są w zbyt dużej sile i nie mają dobrej pozycji, więc na miłość boską niech pośle tu jakieś samoloty i trochę czołgów, by nie pozwolić Niemcom się umocnić. Jedną chwilę, sierżancie, jak się pan nazywa? – Przyjrzał się dokładnie podoficerowi.

– Wells, sir.

– Co by pana zrobił z karabinami maszynowymi?

– Najpierw bym zabezpieczył ten wąwóz. Następnie tamto zbocze, na wypadek, gdyby próbowali wejść z drugiej strony. A jeśli znajdę więcej karabinów, to...

– Starczy. Podporuczniku Wells. Od teraz! Sztab to potwierdzi później. Dowodzi pan wszystkimi karabinami, jakie mamy. Proszę o raport, gdy wyda pan rozkazy. A teraz, Kinnison!

Niech pan posłucha. Prawdopodobnie utrzymamy się do wieczora. Wróg jeszcze nie wie, że tu jesteśmy, ale zaraz będziemy musieli coś zrobić i nas zlokalizują, a jeśli tu nie ma również zbyt wielu ich oddziałów, zrównają to wzgórze na płask. Niech pan powie więc Weatherbiemu, żeby tu rzucił kolumnę, zanim się ściemni i niech ruszy do przodu Ósmą i Sześćdziesiątą, by skonsolidować front. Zapamiętał pan?

– Tak jest, sir.

– Ma pan kompas?

– Tak jest, sir.

– Niech pan znajdzie sobie jakiś hełm i biegnie. Dokładnie na zachód, po stronie północnej, jakieś półtora kilometra stąd, będzie droga. I kryć się, bo może być ciężko. To będzie najgorszy odcinek. Jest zamieszanie, ale droga powinna być nasza, przynajmniej była, według ostatnich danych. Dalej drogą, na południowy zachód, około dwóch kilometrów. Tam będzie posterunek. Pozna ich pan po motocyklach i takich tam. Niech pan dzwoni stamtąd. Powodzenia!

Kule zaczęły świstać. Generał rzucił się na ziemię i poczołgał w kierunku zarośli, wykrzykując po drodze rozkazy. Kinnison również poczołgał się, prosto na zachód, wykorzystując wszelkie osłony, dopóki nie trafił na starszego sierżanta kryjącego się za wielkim drzewem.

– Koleś, masz papierosa? – zapytał tamten.

– Jasne. Bierz wszystkie. Mam jeszcze jedną paczkę. Starczy mi. Co tu się dzieje, do cholery? Od kiedy generałowie zapuszczają się tak daleko na front, by zostać postrzelonym w nogę. W dodatku ten zachowuje się tak, jakby planował rozbić całą niemiecką armię. Jakiś wariat czy co?

– Niezupełnie, jak pewnie zauważyłeś. Nigdy nie słyszałeś o “Niechtoszlak” Slaytonie?

No to usłyszysz, koleś, usłyszysz. Jeśli Pershing nie da mu po tym trzeciej gwiazdki, to znaczy, że oszalał. Slaytona tu w ogóle nie powinno być. Powinien siedzieć w Kwaterze Głównej i dowodzić całym AEF1. Przyjechał tutaj na inspekcję i nie mógł wrócić. Ale trzeba przyznać, zdolności organizacyjne ma na dużą skalę. Przyjechałem tu z nim i tyłu nas zostało. Czekam, aż się trochę uspokoi, ale robi się coraz gorzej. Przenieśmy się lepiej w tamten dołek.

Kule zaświszczały gęściej, strącając gałęzie z połamanych i praktycznie ogołconych drzew. Ześlizgnęli się obaj w śmierdzące błoto, do wskazanego dołka. Karabiny maszynowe Wellsa włączyły się do akcji.

– Cholera! Nienawidzę tego – narzekał sierżant – już byłem prawie suchy.

– Możesz mnie trochę oświecić? – poprosił Kinnison. – Lepiej zorientowany, będę miał większą szansę się przedostać.

– To są resztki dwóch batalionów, do tego mnóstwo przypadkowej zbieraniny. Te dwa bataliony wykonały swoje zadanie, ale okazało się, że oddziały po prawej i lewej stronie nie dały rady, pozostawiając flanki odkryte. Kiedy przyszedł rozkaz migaczem, żeby wyrównać front, wycofując się trochę, było już za późno. Teren był pod obserwacją.

Kinnison skinął głową. Wiedział jaki ogień zaporowy wywołałaby próba przemarszu przy dziennym świetle przez odkryty teren.

– Pojedynczy człowiek ma szansę przejść, o ile będzie ostrożny i będzie miał oczy otwarte – kontynuował sierżant. – Nie masz lornetki?

– Nie.

– Łatwo znajdziesz. Widzisz te niepodkute buty wystające spod niektórych koców?

– Aha! Rozumiem. – Kinnison wiedział, że oficerowie nie noszą podkutych butów, a za to przeważnie mają lornetki. – Skąd ich się tu tyłu wzięło?

– Prawie wszyscy oficerowie stąd. Coś pewnie kombinowali za plecami starego Slaytona. W każdym bądź razie szwabski lotnik zobaczył ich i zanurkował. Nasze karabiny maszynowe dostały go, ale zdążył zrzucić bombę. Ale jatka. Chryste, masakra. Powinieneś znaleźć tam sześć, siedem dobrych szkieł. Wziąłbym sobie jedno, ale generał zobaczy. Widzi nawet

przez pokrywę menażki. No, chłopaki uciszeli Szkopów, więc poszukam staruszka i powiem mu, co znalazłem. Przeklęte błoto!

Kinnison wypełził zygzakiem i poczołgał się w kierunku zwłok przykrytych kocami.

Podniósł jeden i westchnął, po czym zwymiotował. Rzygał, jakby od wielu dni tylko jadł i jadł.

Niemniej musiał mieć lornetkę.

I dostał ją.

Wciąż krztusząc się, pobladły i drżący, zaczął się przekradać na zachód, wykorzystując wszelkie możliwe osłony.

Po jakimś czasie, gdzieś na północ od jego trasy zaczął strzelać karabin maszynowy. Był blisko, ale bardzo głośne, odbijające się echem strzały, uniemożliwiały mu dokładną lokalizację pozycji. Czołgał się cal po calu, oglądając każdą stopę widocznego terenu przez potężną lornetkę.

Po dźwięku poznał, że to Niemcy. Więcej, ponieważ to czego nie wiedział o karabinach maszynowych, dałoby się zapisać na grzbiecie jego dłoni, rozpoznał Maxima, Model 1907, bardzo groźną broń. Domyślał się, że robi mnóstwo szkód jego kolegom na wzgórzu i że oni mogą niewiele na to poradzić. Jest tak dobrze ukryty, że nawet on, będąc tak blisko, nie może go zobaczyć. Cholera, musi być jakiś...

Minuty mijały, a on wciąż, w bezruchu, przeszukiwał trawers przez lornetkę, aż w końcu znalazł. Drobną pióropuszczykę, obłoczek pary, wydostający się spod powierzchni strumienia. Para!

Para z chłodnicy Maxima 1907. A tam jest rura.

Ostrożnie przesunął się w miejsce, z którego mógł prześledzić rurę do samego końca — starannie ukrytego stanowiska bojowego. Jest. Usadowili się w takim miejscu, że nie miał

możliwości przejść niezauważony. Nie było też możliwości obejścia. A poza tym... poza tym tam pewnie będzie też patrol, o ile nie poszedł w kierunku wzgórza. Całkiem blisko mógł jednak znaleźć granaty...

Ostrożnie podpełzł do jednego z tych ponurych obiektów, które dotychczas omijał, a kiedy odczołgał się z powrotem, ciągnął za sobą trzy granaty w płócienną torbie. Pełznąc jak robak dotarł do jakiegoś głazu. Tam wstał, wyciągnął zawleczeni i rzucił jednego po drugim.

Bum! Bum! Łup! Maskowanie zniknęło, również krzaki w promieniu kilku jardów.

Kinnison przykucnął za skałą, po czym schylił się jeszcze niżej, gdy odłamek czegoś całkiem mocno uderzył w jego stalowy hełm. Inny odłamek łupnął tuż przed nim — noga w szarej nogawicy i ciężkim wojskowym bucie.

Zrobiło mu się niedobrze, ale nie miał czasu ani czym wymiotować.

Cholera. Gówniany rzut. Nigdy nie był dobry w baseball, ale przypuszczał, że w tak duże stanowisko powinien trafić, tymczasem żaden z granatów nie wpadł do środka. Załogę pewnie zabiła fala uderzeniowa, ale karabin pozostał nieuszkodzony. Musi więc teraz pójść tam i zniszczyć go osobiście.

Poszedł — niespecjalnie śmiało — z czterdziestką piątką w dłoni. Niemcy wyglądali na martwych. Jeden rozciągnął się na przedpiersiu, wprost na drodze. Popchnął ciało i popatrzył jak się zsuwa po stoku. Spadając w dół, żołnierz oprzytomniał i zaczął jęczeć. Na ten dźwięk, na zrytym wybuchami, szarym polu poruszyły się dotychczas niezauważone szare sylwetki i zaczęły czołgać w kierunku ранnego kolegi. Okryte żelaznym hełmem włosy Kinnisona stanęły dęba. Po raz pierwszy w życiu był zadowolony ze swojej nieudolności w rzucaniu. Miał gorącą nadzieję, że maxim wciąż nadaje się do użytku.

Krótki przegląd wykazał, że tak. Karabin miał założony praktycznie cały pas amunicji, a obok leżało więcej. Przysunął ładownik — nie miał nikogo do pomocy — chwycił uchwyty, odsunął bezpiecznik i nacisnął spust. Maxim ryknął — jaki okropny, piekielny hałas robi ten karabin. Obrócił w jedną, w drugą, dopóki nie zauważył, gdzie padają pociski. Potem zaczął siać strumieniem metalu to tu, to tam. Po pierwszym pasie Niemcy byli całkowicie zdeorganizowani, po drugim nie widać było żywej duszy.

Wyjął zamek z karabinu i rzucił jak najdalej, potem podziurawił chłodnicę. Ten karabin był już do niczego. Nie zwiększył też swojego ryzyka. Jeśli Niemcy nie pojawią się za chwilę, nikt nigdy się nie dowie, co tu się stało.

Wyczołgał się i wrócił na swoją trasę. Szedł na zachód tak szybko, jak na to pozwalały warunki bezpieczeństwa. Więcej alarmujących sytuacji nie napotkał. Przeszedł niebezpieczny, odkryty odcinek, przemknął jak cień przez okropnie zniszczony las i wyszedł na drogę. Poszedł wzdłuż niej do pierwszego zakrętu i zatrzymał się oszołomiony. Słyszał o takich rzeczach, ale sam tego nigdy nie widział osobiście, a wszystkie opisy okazały się całkowicie nieadekwatne.

Szedł teraz prosto w coś, co będzie mu się śniło jako koszmar senny do końca życia. Właściwie to tam było niewiele widać. Droga kończyła się raptownie. To co było drogą, było praktycznie nieodróżnialne od pól, farm czy lasu; wszystko było dokładnie wymieszane ze sobą. Cały obszar był przemieszany. Gorzej, to było jakby ziemia i wszystko, co się na niej znajdowało, zostało przepuszczone przez gargantuiczny młyn i rozsypane dookoła. Szczapy drzewa, porozdzierane kawałki metalu, fragmenty pokrwawionych ciał. Kinnison jęknął, a potem uciekł; uciekł z powrotem i poszedł dookoła zniszczonego terenu. W czasie ucieczki wyobrażał sobie,

co się stało, wyobrażał sobie tym dokładniej, im bardziej się starał zapomnieć.

Poprzedniej nocy ta droga była jedną z najbardziej zatłoczonych dróg na świecie. Motocykle, ciężarówki, rowery. Sanitarki. Kuchnie. Samochody sztabowe i inne pojazdy. Działa; od siedemdziesiątek piątek do wielkich kolubryn, których ogromny ciężar wciskał gąsienice głęboko w twardy grunt. Konie. Muły. I ludzie — zwłaszcza ludzie — tacy jak on. Zwarte kolumny mężczyzn, maszerujących tak szybko, jak mogli. Ciężarówek nie starczyło dla wszystkich. Droga była zatłoczona, zakorkowana. Jak State czy Madison w południe, tylko bardziej. Zatłoczona całym tym personelem, urządzeniami, przypadkowym sprzętem, całą bronią tej wojny.

I na cały ten tłum, tę kipiącą drogę spadł deszcz stalowych puszek z materiałem wybuchowym. Być może z gazem, chociaż chyba nie. Niemieckie dowództwo wydało rozkaz zmielenia tego szczególnego kawałka ziemi, w tej szczególnej chwili. Setki, a może tysiące niemieckich dział, w mikrometrycznie zsynchronizowanej symfonii ognia zmieliło wszystko na proszek. I tyle. Dosłownie. Precyzyjnie. Nie ma drogi, nie ma farm, nie ma pól, nie ma budynków, nie ma drzew ani krzaków. Kawałki mięsa mogą pochodzić z koni, mułów czy ludzi.

Niewiele kawałków metalu pozostało wystarczająco dużych, by można było określić ich pierwotny kształt.

Kinnison, zataczając się, okrążył to obsceniczne miejsce i spróbował powrócić na drogę.

Była zniszczona wybuchami, ale dało się przejść. Miał nadzieję, że ilość lei zmniejszy się, gdy odejdzie dalej, ale tak się nie stało. Wróg wyłączył z użytku całą drogę. A ten posterunek powinien być za następnym zakrętem.

I był, ale nie był to już wojskowy posterunek. Być może ogień był kierowany, może oznaczony racą, a może zawdzięczano to tylko

nadzwyczaj dobrej robocie kartografów. Ciężki pocisk trafił tam, gdzie mógł wyrządzić najwięcej szkody. Budynki zniknęły. Piwnica, w której był posterunek, była teraz jedynie otwartym kraterem. Części motocykli, samochodów sztabowych zaścielały ziemię. Nagie pnie drzew, pozbawione liści i gałęzi, oprócz najgrubszych, niektóre obdarte nawet z kory, sterczały suche. Na jednym z nich Kinnison zobaczył obraz jak z horroru, wiszące kończyny i kawałek nagiego torsu mężczyzny, całkowicie odarty z odzienia.

Pociski spadły — wciąż spadały — przypadkowo. Większość przelatywała wysoko.

Ostrzeliwano daleki cel na zachodzie. Nic na tyle blisko, by się martwić. Dwie sanitarki pojawiły się w dali i nadjeżdżały, lawirując między lejami. Ta z przodu zwolniła... zatrzymała się.

– Widziałeś kogoś... Uwaga. Padnij!

Kinnison, który słyszał już ten nie do pomylenia, niezapomniany okrzyk, zanurkował głową w najbliższy dół. Grzmotnęło, jakby się cały świat zawalił. Pociemniało mu w oczach.

Gdy doszedł do siebie, leżał na noszach, a dwóch mężczyzn pochylało się nad nim.

– Czym dostałem? – wykrztusił. – Jestem...? – urwał. Bał się zapytać. Bał się nawet ruszyć, by się nie okazało, że nie ma rąk albo nóg.

– Kołem, a może osią tamtej sanitarki. To wszystko – zapewnił go jeden z mężczyzn.

– Nic poważnego. W praktyce jest pan jak przedtem. Ramię i ręka trochę potłuczone i coś, jakiś odłamek, rąbnął pana po bebechach. Ale wszystko połataliśmy, więc nie ma się co denerwować...

– Chcielibyśmy wiedzieć – wtrącił jego kolega – czy tam dalej jest jeszcze ktoś żywy?

– Nikogo – Kinnison potrząsnął głową.

– Okej, po prostu chciałem się upewnić. Tutaj też jest mnóstwo roboty i nie zaszkodzi, jak pana obejrzy lekarz.

– Zabierzcie mnie do telefonu, najszybciej jak możliwe – zażądał Kinnison głosem, który wydawał mu się mocny i rozkazujący, a który takim nie był – mam ważną wiadomość dla generała Weatherby z “mięty”.

– Najlepiej niech pan powie to nam. – Sanitarka lawirowała teraz wzdłuż drogi. – W szpitalu jest telefon, ale może pan stracić przytomność, albo coś, zanim tam dotrzemy.

Kinnison przekazał im wiadomość, ale starał się być przytomnym. Walczył z tym całą długą drogę. I udało mu się. Osobiście przekazał ją generałowi Weatherbiemu. Lekarze wiedząc, że jest kapitanem lotnictwa i zdając sobie sprawę z tego, że wiadomość musi być dostarczona bezpośrednio, pomogli mu skorzystać z telefonu. Osobiście uzyskał od generała solenne zapewnienie, że odsiecz zostanie wysłana, a ta niezmiernie ważna linia zostanie naprawiona w nocy.

Potem ktoś dziabnął go igłą i zapadł w półprzytomny letarg, w którym trwał przez kilka tygodni. Chwilami miał przebłyski świadomości, ale nigdy nie był pewien, co się dzieje naprawdę, a co jest wytworem fantazji.

Pojawiali się coraz to inni lekarze i robiono mu coraz to inne operacje. Umieszczano go w namiotach szpitalnych, do których przywożono cichych mężczyzn i z których usuwano jeszcze cichszych. Potem był większy szpital, zbudowany z drzewa. Była maszyna, która warczała i mężczyźni w bieli oglądający filmy i papiery. Były fragmenty rozmów.

– Rany brzucha są poważne. – Kinnisonowi wydawało się, nigdy nie miał co do tego pewności, że słyszy głos jednego z nich. – Takie kontuzje oraz wielokrotne i skomplikowane złamania jak te, pogarszają sprawę. Rokowania są niepomyślne, to oczywiste, ale wkrótce powinniśmy

wiedzieć, co się da zrobić. Interesujący przypadek... fascynujący. A co pan by z tym zrobił, doktorze?

– Zostawiłbym! – oświadczył z ferworem młodszy, silniejszy głos. – Wielokrotna perforacja, infekcja, wylew, odma... ho,ho! Obserwuję, panie doktorze i uczę się.

Kolejne interludium. I jeszcze jedno. I jeszcze. Aż w końcu nastąpiły polecenia, których nie słyszał w ogóle.

– Adrenalina! Masaż! Masaż do cholery!

Kinnison znów odzyskał przytomność, a raczej częściowo odzyskał, czując ból w każdym włóknie swojego ciała. Ktoś wbijał strzały z zadziornymi w każdy cal jego skóry. Ktoś inny bił go, zadawał mu ból, uderzając i skręcając najbardziej poranione miejsca. Zawył wysokim głosem.

Wył i przeklinał gorzko. PRZESTAŃCIE! — dawał się wyodrębnić sens jego niecenzuralnych protestów. Nie zrobił tyle hałasu, ile chciał, ale wystarczyło.

– Dzięki Bogu – usłyszał miękki wysoki głos. Zdziwiony, przestał przeklinać i spróbował spojrzeć. Niezbyt dobrze widział, ale był prawie pewien, że widzi kobietę w średnim wieku. Stała tam i płakała. – On w końcu ożył.

Po jakimś czasie zaczął normalnie zasypiać, naturalnie i głęboko.

Robił się coraz bardziej głodny, a oni nie dawali mu dosyć jedzenia. Stawał się więc osowiały, zły i ponury.

Wkrótce potem został rekonwalescentem. Dla kapitana Ralpa K. Kinnisona wojna się skończyła.

↑American Expeditionary Force — Amerykański Korpus Ekspedycyjny we Francji, w czasie I wojny światowej.

Rozdział 5

1941

Pulchna brunetka, Eunice Kinnison, siedziała w bujanym fotelu, czytając niedzielne gazety i słuchając radia. Jej mąż, Ralph, leżał rozciągnięty na kanapie, paląc papierosa i czytając ostatni numer “Niezwykłych opowieści”, traktując muzykę jako niesłyszalne tło dźwiękowe.

Umysłowo przebywał daleko od Tellusa, pokonując parseki próżni swoim super-pancernikiem.

Nagle muzyka urwała się bez ostrzeżenia i nadano komunikat, który z fizyczną gwałtownością ściągnął Ralpha Kinnisona z powrotem na Ziemię.

– Pearl Harbor! – krzyknął podrywając się. – Jak... jak można było do tego dopuścić?

– Frank! – westchnęła kobieta. Martwiła się nie tyle o męża, ile o Franka, swojego syna. – Zostanie powołany... – głos jej zamarł.

– O to się nie martw – Kinnison jej nie pocieszał. Był o tym głęboko przekonany. – Inżynier konstruktor u Lockwooda. Będzie chciał, to jasne, ale każdy, kto liznął trochę inżynierii lotniczej, przesiedzi tę wojnę na tyłach.

– Mówią, że to nie potrwa długo. Jak myślisz?

– A kto to może wiedzieć? Tak tylko gadają. Myślę, że co najmniej pięć lat. A moja opinia jest pewnie tyle samo warta, co inne.

Chodził dookoła pokoju. Ponury wyraz nie opuszczał jego twarzy.

– Wiedziałaś – powiedziała po chwili kobieta – i ty też. Ale nawet po tym ostatnim... nic nie powiedziałaś, więc pomyślałam, że może...

– Tak, wiem. Ale wciąż była jakaś szansa, że nas w to nie wciągną. Powiedz słowo, a zostanę w domu.

– A dlaczego? Pozwoliłam ci iść, gdy było prawdziwe niebezpieczeństwo...

– Co chcesz przez to powiedzieć? – przerwał jej.

– Że, dzięki Bogu, jesteś już za stary. Przepisy.

– No to co? Będą potrzebować specjalistów. I to bardzo, więc zrobią wyjątek.

– Na pewno zrobią, ale to będzie praca przy biurku. Nic ci nie grozi. Dzieci dorosły i poszły na swoje. Możemy nawet wyjechać razem.

– A pieniądze.

– Kto teraz myśli o pieniądzach. Poza tym, dla człowieka bez zajęcia...

– Masz rację. Dzięki, Eunie. Jesteś wielka. Wyślę telegram.

Telegram został wysłany. Kinnisonowie czekali. Czekali. Aż w połowie stycznia nadeszła odpowiedź, starannie sformułowana i wydrukowana na powielaczu.

Ministerstwo Wojny jest świadome wagi pańskiego doświadczenia wojennego i docenia chęć wstąpienia do służby wojskowej w celu obrony ojczyzny... Kwestionariusz Oficera Weterana... proszę wypełnić dokładnie... Formularz 191A... Formularz 170 w dwóch egzemplarzach... Formularz 315... Nie jest możliwe, żeby przewidzieć zakres, w jakim Ministerstwo Wojny mogłoby wykorzystać w optymalny sposób usługi, które pan i tysiące innych tak wspaniałomyślnie zaoferowaliście... Formularz... Formularz... nie znaczy, że pańska oferta została ostatecznie odrzucona... Formularz... Zawiadamiamy, że w obecnej chwili Ministerstwo Wojny nie jest w stanie wykorzystać...

– Czy to nie może doprowadzić człowieka do szału? – zapytał Kinnison.

– Co oni mają w głowach, trociny? Myślą, że jak mam pięćdziesiąt jeden

lat, to stoję jedną nogą w grobie?

Założę się o cztery dolary, że jestem w lepszym stanie niż ten przeklęty generał-major i cały jego sztab.

– Nie wątpię, kochanie – Eunice uśmiechnęła się. Wyraźnie jej ulżyło. – Zobacz, tutaj jest ogłoszenie. Powtarzają je od tygodnia.

– Inżynier chemik... fabryka amunicji... w granicach siedemdziesięciu pięciu mil od Townville... Pięć lat doświadczenia... chemia organiczna... technologia... materiały wybuchowe...

– Potrzebują ciebie – oświadczyła Eunice z powagą.

– No cóż, mam doktorat z chemii organicznej, więcej niż pięć lat doświadczenia zarówno w chemii organicznej jak i technologii, a jeśli nie znam się na materiałach wybuchowych, to znaczy, że paskudnie oszukiwałem w czasie studiów. Napiszę do nich.

Napisał. Wypełnił formularz. Zadzwoił telefon.

– Mówi Kinnison... tak... Dr. Sumner, kierownik działu chemii...? Tak, rok starszy, więc myślałem... Och, to nie jest problem. Nie głodujemy. Jeśli nie możecie zapłacić sto pięćdziesiąt, wystarczy mi sto albo siedemdziesiąt pięć, albo pięćdziesiąt... Też może być.

Jestem dość znany w mojej dziedzinie, więc tytuł młodszego inżyniera mi nie przeszkadza...

Dobrze, może być o pierwszej... Stoner & Black, Inc., Fabryka Amunicji w Entwistle, Missikota... Co? Dobrze, chyba będę mógł... Do widzenia.

Odwrócił się do żony.

– I co powiesz? Chcą, żebym natychmiast przyjechał i podjął pracę. Kurcze blade!

Dobrze, że powiedziałem tej wszy Hendricksowi, gdzie może sobie wsadzić moje stanowisko!

– Na pewno zdawał sobie sprawę z tego, że nie zgodzisz się na zwykłą umowę o pracę, zamiast dotychczasowych udziałów w zysku. Może uwierzył w to, co zawsze mówiłeś po wybiciu komuś zębów, że jesteś niespotykane spokojnym człowiekiem, prawdziwym milquetoastem¹. Myślisz, że po wojnie poproszą cię, żebyś wrócił? – Wyglądało na to, że Eunice bardziej się przejmowała bezrobociem Kinnisona niż on sam.

– Nie wiem. Są takie plotki. Ale wrócę, jak piekło zamarznie – zacisnął kwadratową szczękę. – Słyszałem już o firmach na tyle głupich, żeby się pozbyć mózgów technicznych, bo akurat nie musieli się martwić o sprzedaż, ale nie zdawałem sobie sprawy, że pracuję w jednej z nich. Może nie jestem prawdziwą “nieśmiałą duszą”, ale chyba przyznasz, że nigdy nie wybiłem zębów komuś, kto wcześniej nie próbował wybić moich.

* * *

Fabryka Amunicji w Entwhistle zajmowała dwadzieścia kilka mil kwadratowych mniej więcej płaskiego terenu. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent tej powierzchni było “za ogrodzeniem”. Większość budynków w zastrzeżonej strefie, chociaż w rzeczywistości ogromnych, sprawiała wrażenie mniejszych, ze względu na rozległe obszary pustej przestrzeni między nimi. Takie były wymogi bezpieczeństwa, gdy w grę wchodziły tony materiałów wybuchowych. Wszystko było wykonane z betonu, stali, szkła, tranzytu i płytek ceramicznych.

“Przed ogrodzeniem” było inaczej. To była strefa administracyjna. Składała się z okropnych drewnianych baraków, stosunkowo ciasno postawionych, wypakowanych kierownikami, urzędnikami i zawodowym personelem odpowiednim dla organizacji zatrudniającej ponad dwadzieścia tysięcy mężczyzn i kobiet.

W pewnej odległości za ogrodzeniem, ale wciąż bezpiecznie oddalony od “pierwszej linii” — Linii Załadowniczej Numer Jeden — stał długi, niski budynek, całkiem nieadekwatnie nazwany Laboratorium Chemicznym. Nieadekwatnie w tym sensie, że Główny Chemik, bardzo zdolny — i bardziej niż trochę trudny we współpracy — specjalista od materiałów wybuchowych, zawłaszczył w swojej sekcji chemicznej większość zadań badawczych, inżynierskich, a także całą fizykę, miary i wagi, czy meteorologię.

Jedno z pomieszczeń Laboratorium Chemicznego — w części najodleglejszej od Administracji — było oddzielone od reszty budynku szesnastocalowym murem z betonu i stali, sięgającym od dachu do fundamentów, bez drzwi, okien i innych otworów. Tutaj znajdowało się laboratorium inżynierii chemicznej, gdzie bawiono się silnymi i słabymi materiałami wybuchowymi. Wybuch w tej części nie zagrażał właściwemu laboratorium chemicznemu ani jego pracownikom.

Główne drogi w Entwhistle były wybrukowane, ale takie rzeczy jak chodniki w lutym 1942 roku istniały tylko w planach. Ziemia zawierała sporo gliny, więc w tym czasie warstwa błota miała około sześciu cali głębokości. Przy braku drzwi wewnętrznych i chodników na zewnątrz naturalne było, że technolodzy nieczęsto bywali w wykafelkowanym na biało Laboratorium. Naturalne też było, że ta większa grupa nazywała tych odseparowanych zesłańcami, a niektórzy dowcipni chemicy mówili o odizolowanej części: “Syberia”.

Nazwa przyłgnęła. Co więcej, inżynierowie zaakceptowali ją i sami używali. Byli Sybirakami i byli z tego dumni. Pozostali Sybirakami nawet wtedy, gdy błoto Entwhistle od dawna zamieniło się w kurz. W ciągu najbliższego roku Sybiracy mieli zostać znani i popularni w każdej fabryce

amunicji w kraju, wśród wielu ludzi nie mających pojęcia skąd się wzięła ta nazwa.

Kinnison został Sybirakiem z tym samym entuzjazmem, co najmłodszy z nich. Określenie “najmłodszy” należy tu rozumieć dosłownie, gdyż żaden z nich nie był świeżo po studiach. Każdy musiał mieć przynajmniej pięć lat odpowiedniego doświadczenia. “Cappy” Sumner tworzył zespół, przyjmując z rozmachem i wyrzucając bezlitośnie — dla niektórych, bez sensu. Wiedział jednak, co robi. Znał się na materiałach wybuchowych i na ludziach. Nie był lubiany, ale szanowano go. A to co robił, robił dobrze.

Będąc jednym z dwóch “starych” — ten drugi nie wytrzymał zbyt długo — Kinnison, jako młodszy inżynier, został początkowo przyjęty z rezerwą. Starał się nie zwracać na to uwagi i spokojnie robił swoje. Był w najwyższym stopniu ostrożny, ale w żadnym wypadku nie wystraszony tym, że pracuje z tego rodzaju materiałami. Przygotowywał i testował detonatory, mieszanki zapalające i do pocisków smugowych. Brał udział w wysadzaniu odrzutów. Był zawsze gotów wyjść “na linię” z każdym z nich.

Jego eksperymentalne próbki tetryli zawsze “pykały” jak należy, a wylewki TNT2 — wstępne próby dla czterdziestomilimetrowych pocisków z “trzeciej linii” — nigdy nie zawierały skaz ani pęcherzyków powietrza. Dla tych młodych, lecz zdolnych umysłów stało się jasne, że wśród nich tylko on jeden stoi na znajomym gruncie. Zaczęli z nim omawiać swoje problemy, a on, dzięki wieloletniemu doświadczeniu technologicznemu i wciąganiu wszystkich do udziału w dyskusji, pomagał im albo naprowadzał na rozwiązanie. Jego pozycja wzrastała.

Czarnowłosa, czarnooki “Tug” Tugwell, dwustufuntowy były futbolista, pracujący przy pociskach smugowych na “siódmej linii” nazwał go “wujkiem Ralphem”. Po kilku tygodniach, mniej więcej wtedy, gdy “Injun”³ Abernathy został lekko ranny — niewielka eksplozja detonatora

na “ósmiej linii” wydmuchnęła go przez drzwi — Kinnison został mianowany pełnym inżynierem chemikiem, co przeszło niezauważone, gdyż wpłynęło jedynie na jego tytuł i wynagrodzenie.

Trzy tygodnie później został starszym inżynierem chemikiem w dziale wylewek.

Wówczas odbyła się uroczystość poprowadzona przez “Blondie” Wanacka, specjalistę od syntezy tetrylu na “dwójce”. Kinnison rozejrzył się ukradkiem w poszukiwaniu oznak zawiści lub niechęci, ale nic nie zauważył. Poszedł więc zadowolony pracować na “szóstej linii”, gdzie w kompetentnej asyście “Tuga” i dwóch nowych pracowników mieli rozpocząć wylewanie dwudziestofuntowych bomb odłamkowych. Jednym z nowych był “Doc” albo “Bart” Barton, który, jak głosiła plotka, miał zostać zastępcą Cappiego. Jego dewizą było, podobnie jak Rikki-Tikki-Tawiego⁴, biegać i znajdować, więc robił to ze złośliwą satysfakcją, po czym porzucał. Był dobrym nabytkiem. Drugim nowym był “Charley” Charlevoix, przedwcześnie posiwiasty specjalista od farb i lakierów, który również przeszedł przez Syberię.

Po kilku miesiącach Sumner wezwał Kinnisona do biura. Ten przyszedł zastanawiając się, za co stary twardogłowy go objedzie tym razem, gdyż wezwanie na dywanik mogło oznaczać jedynie burę.

– Kinnison, podoba mi się to, co pan robi – zaczął ochryple szef chemików, a Kinnisonowi opadła szczęka. – Wszyscy, co zrobili doktorat u Montrose’a muszą znać się na materiałach wybuchowych, a raport FBI na pański temat donosi, że ma pan mózg, zdolności i jaja. Nic jednak nie wyjaśnia, w jaki sposób daje pan sobie radę z tymi przeklętymi Sybirakami.

Chciałbym, żeby został pan moim zastępcą i pokierował Syberią. To znaczy formalnie, bo w praktyce już pan to robi od kilku miesięcy.

– No nie wiem... A co z Bartonem? Jest zbyt dobry, żeby go potraktować w ten sposób.

– Ma pan rację. – Kinnison poczuł się zaskoczony. Nigdy by nie pomyślał, że choleryczny i apodyktyczny szef kiedykolwiek przyzna się do błędu. Takiego Cappiego jeszcze nie znał. – Rozmawiałem z nim wczoraj. On jest cholernie dobry, ale nie jest pewne czy zdoła sprawić, by Tugwell, Wanacek i Charlevoix pracowali przez siedemdziesiąt dwie godziny, sypiając przy stołach roboczych, zadowalając się kawą i kanapkami, dopóki nie zrobicie tej bomby odłamkowej.

Sumner nie wspomniał o fakcie, że Kinnison również miał tak pracować. To było oczywiste.

– No cóż, nie wiem – Kinnison pokręcił głową. – Musiałbym najpierw porozmawiać z Burtonem.

– W porządku. Tego się spodziewałem.

Kinnison poszukał Bartona i zaprowadził go za barak do testów.

– Bart, Cappy powiedział mi, że wywali cię na pysk i zrobi mnie zastępcą, i że ty się na to zgadzasz. Powiedz słowo, a pójdę i wygarnę staremu myszołowowi, gdzie może sobie wsadzić to stanowisko i kto mu może w tym pomóc.

– Reakcja: idealna. Wydajność: sto procent. – Barton wyciągnął rękę. – W innym przypadku sam bym to zrobił i jeszcze coś ponadto. Zgadzam się, wujku Ralphie, uspokój się.

Oni pójdą za tobą do piekła, z zamkniętymi oczami. A ze mną, jako szefem, nie wiadomo.

Dlaczego więc nie skorzystać z okazji i nie wziąć ciebie? Pewne rzeczy w tej umowie mi się, oczywiście, nie podobają, ale dzięki temu będę prawie że jedynym człowiekiem u Stonera i Blacka, który może się zwolnić w każdej chwili, gdy znajdzie lepszą pracę. Na razie więc zostanę, dobrze? –

Barton nie musiał dodawać, że tak długo jak zostanie, będzie naprawdę pracował.

– W takim razie uważam, że wszystko jest okej – powiedział Kinnison i poszedł do Sumnera.

– W porządku, szefie, jeśli pan to załatwi z Sybirakami, to spróbuję.

– Nie powinno być problemu.

I nie było. Na widok reakcji Sybiraków wzruszenie ścisnęło Kinnisonowi gardło.

– Ralph Pierwszy, Car Syberii! – krzyczeli. – Niech żyje car! Koutou5, słudzy i wasale, przed carem Ralphem Pierwszym!

Wróciwszy do domu, do trzypokojowej “maisonette”⁶ przydzielonej z rządowego projektu mieszkaniowego, w której mieszkali z Eunice, wciąż był oszołomiony. Nigdy tego dnia nie zapomni.

– Co za zespół! Co za zespół! Posłuchaj, pracują z własnej woli. nie da się ich powstrzymać od pracy. Gdzie tu więc będą moje zasługi?

– Nie mam zielonego pojęcia. – Eunice zmarszczyła czoło i nos, ale kąciki jej ust uniosły się do góry. – Jesteś pewien, że nie masz w tym żadnego udziału? Chodźmy jeść, kolacja gotowa.

Minęło kilka miesięcy. Praca posuwała się do przodu. Praca wciągająca i mocno urozmaicona, choć szczegóły nie mają tu znaczenia. Paul Jones, wielki, poważny technolog od gumy chicle⁷ zorganizował “czwartą linię” do wylewania kostek burzących, a Frederick Hinton, wykwalifikowany Sybirak, zajął się minami przeciwpiechotnymi.

Kinnison ponownie awansował, został Głównym Chemikiem. Nigdy nie zaprzyjaźnił się z Sumnerem i cokolwiek to było, nie próbował się dowiedzieć, dlaczego Cappy się zwolnił czy został zwolniony. Jego awans nie przyniósł dużych zmian. Barton, wrócił na stanowisko zastępcy i

kierował całą sekcją chemiczną, z wyjątkiem jednego działu — Syberii. Robił to wspaniale.

Sekretarka kierownika sekcji pracowała dla Bartona, a nie dla Kinnisona. Kinnison był Carem Syberii.

Miny przeciwpiechotne stwarzały pewien problem. Zbyt wielu ludzi zostało zabitych w wyniku przedwczesnego wybuchu i nikt nie wiedział dlaczego. Sprawę przekazano Syberii.

Hinton zajął się tym, nie znalazł przyczyny i poprosił o pomoc. Sybiracy zebrali się dookoła.

Kinnison uzbroił i sprawdził miny. Potem Paul, Tug i Blondie. Gdy Kinnison miał zrobić próbę wybuchu w strefie ogniowej, został odwołany na zebranie w Administracji. Zastąpił go Hinton.

Jeszcze nie zdążył dojść do bramy, gdy dogonił go samochód ochrony.

– Przepraszam, sir, ale był wypadek na stanowisku piątym. Musi pan tam wrócić.

– Wypadek! Fred Hinton! Czy on...?

– Obawiam się, że tak, sir.

Nie ma nic gorszego od zbierania fragmentów ciała kogoś, kto jeszcze niedawno był twoim najlepszym przyjacielem. Błady i przygnębiony Kinnison wrócił do stanowiska ogniowego akurat w momencie, gdy kierownik Wydziału Bezpieczeństwa powiedział: – Po prostu nieostrożność, karygodna nieostrożność. Sam kiedyś ostrzegałem tego Hinton.

– Jaka nieostrożność, do cholery! – wybuchnął Kinnison. – Mnie też kiedyś pan ostrzegał, choć ja więcej zapomniałem na temat bezpieczeństwa pracy z materiałami wybuchowymi, niż pan kiedykolwiek będzie wiedział. Fred Hinton nie był nieostrożny. Gdyby mnie nie odwołano, ja bym tam był.

– No więc, co w takim razie?

– Nie wiem. Jeszcze nie wiem. Ale dowiem się, majorze Moulton. A jak tylko się dowiem, to natychmiast panu powiem.

Poszedł do Syberii, gdzie znalazł Tuga i Paula, wciąż z przerażeniem na twarzach, oglądających coś, co wyglądało na mały kawałek drutu.

– To to, wujku Ralphie – powiedział Tug, załamany. – Nie wiem jak, ale to jest to.

– Co to jest? – zapytał Kinnison.

– Iglica. Jest łamliwa. Gdy się wyciągnie zawleczkę, sprężyna musi ją łamać w tym przewężeniu.

– Cholera, Tug, to jest bez sensu. To naprężenie... czekaj, tu muszą być jakieś poprzeczne elementy. Ale to musiałyby być kruche jak szkło.

– Wiem. To nie wygląda sensownie. My tam jednak byliśmy. Posłuchaj, osobiście złożyłem każdą z tych przeklętych min. Nic innego nie mogło odpalić jej właśnie wtedy.

– Dobrze Tug. Sprawdźmy to. Zawołaj Barta, niech każe chłopakom przygotować stanowisko do prób wielkoskalowych i ściągnij z linii więcej tych iglic.

Sprawdzili sto. Pod normalnym naciskiem sprężyny pękły trzy. Sprawdzili następne sto.

Pięć złamanych. Popatrzyli po sobie.

– To to – oświadczył Kinnison – ale to mi brzydko pachnie. Niech kontrola jakości rozpakuje nową partię i przetestujmy tysiąc.

Na tysiąc iglic pękły trzydzieści dwie.

– Bart, podyktuj Verze jednostronicowy raport i pošlij go do “Budynku Jeden” najszybciej, jak możesz. A ja pójdę powiedzieć parę słów Moultonowi.

Major Moulton miał jak zwykle “konferencję”, ale Kinnison nie był w nastroju do czekania.

– Niech pani mu powie – zwrócił się do osobistej sekretarki majora, która zagradyła mu drogę – że albo porozmawia ze mną natychmiast, albo zwrócę się do jego przełożonych.

Daję mu sześćdziesiąt sekund na podjęcie decyzji.

Moulton wolał zobaczyć się z nim.

– Jestem bardzo zajęty, doktorze Kinnison, ale...

– Nie interesuje mnie, co pan robi. Powiedziałem, że jak tylko się dowiem, jaki jest problem z minami M2, to natychmiast panu powiem. Więc jestem. Łamliwa iglica. Trzy i dwie dziesiąte procenta jest uszkodzone. Więc...

– To jest wbrew regulaminowi, panie doktorze. Ta sprawa musi pójść kanałami...

– Nieprawda. Kanałami służbowymi musi pójść raport formalny, a to, jak już powiedziałem, jest raport nadzwyczajny do pana jako kierownika Bezpieczeństwa. Ponieważ defekt nie jest określony przez specyfikację, ani Produkcja, ani Zaopatrzenie nie mogą tego wychwycić. Jedynie testy. A każdy, kto będzie te testy wykonywał zostanie z dużym prawdopodobieństwem zabity. W tej sytuacji, jak każdy pracownik Stonera i Blacka, mam nie tylko prawo, ale i obowiązek postępowania według instrukcji na wypadek wykrycia niebezpiecznej sytuacji i zameldowania o tym bezpośrednio do Bezpieczeństwa. A ponieważ moje wąsy są nieco dłuższe niż zwykłego pracownika, melduję o tym od razu do kierownika Wydziału Bezpieczeństwa. I powiem panu jedno, że jeśli nie zrobi pan czegoś, żeby natychmiast zatrzymać produkcję i nie położy łapy na każdej minie M2, którą pan znajdzie, zadzwonię do Okręgu i uczynię pana odpowiedzialnym za każdy przedwczesny wybuch od tej chwili.

Ponieważ każdy bezpieczniak, gdziekolwiek, wolałby raczej zatrzymać produkcję niż ją autoryzować, a ten akurat uwielbiał okazywać swoją władzę, Kinnison zdziwił się, że Moulton nie podjął działania natychmiast. Fakt, że tego nie zrobił powinien zwrócić uwagę naiwnego Kinnisona na to, jak wyglądają sprawy “na zewnątrz ogrodzenia”, a jednak nie zwrócił, – Te miny są bardzo potrzebne. Idzie bardzo intensywna produkcja. Jeśli ją zatrzymamy... Na jak długo? Widzi pan już jakieś rozwiązanie?

– Tak. Proszę zadzwonić do Okręgu i niech zmienią specyfikację. Powinny być wygrzewane i przejść zmodyfikowany test Charpy’ego⁸. W międzyczasie, możemy mieć pełną produkcję, pod warunkiem, że nakażą stuprocentową kontrolę tych iglic.

– Doskonale! Tak zrobimy. Świetna robota, panie doktorze. Panno Morgan, proszę mnie połączyć z okręgiem, natychmiast.

– To też powinno ostrzec Kinnisona, ale nie ostrzegło, więc powrócił do laboratorium.

A tymczasem *tempus fugit* ⁹.

Przyszedł rozkaz by przygotować produkcję pocisków M67 (105 milimetrowych wzmocnionych pocisków przeciwpancernych) na “dziewiątce” i Sybiracy ochoczo rzucili się do pracy. Materiał wybuchowy był mieszanką trotylu i substancji o długiej nazwie, przy czym wszystko to było ściśle tajne.

– Nie rozumiem, do diabła, po co to całe cicho-sza, przecież to Niemcy wynaleźli ten materiał jako pierwsi? – chciał wiedzieć Blondie, który wraz z pięcioma czy sześcioma innymi tłoczył się wokół biurka Cara. W przeciwieństwie do Cappy’ego Sumnera, osobiste biuro Głównego Chemika było w takim samym stopniu Syberią, jak sama Syberia.

– Tak, a Włosi używali go w Etiopii. Dlatego ich bomby były takie efektywne. Ale jeśli powiedzieli “cicho-sza”, to będzie cicho-sza i jeśli

mówisz przez sen, to powiedz Betty, żeby nie słuchała.

Sybiracy pracowali. M67 został wdrożony do produkcji. Sukces był tak wielki, że zamówienia przychodziły szybciej, niż mogli je zrealizować. Produkcję przyśpieszano. Zaczęły się pojawiać małe pęcherzyki powietrza. Nic poważnego, jeśli przechodziły kontrolę jakości.

Niemniej Kinnison zaprotestował w formalnym raporcie, który został oficjalnie potwierdzony.

Dowódca Entwhistle, generał Jakiśtam, którego żaden z Sybiraków nigdy nie widział, został przeniesiony do ważniejszych zadań, jego stanowisko zajął pułkownik Snodgrass czy Jakośtam, a fabryka amunicji dostała nowego kierownika Działu Kontroli Jakości.

Wyprodukowany w Entwhistle M67 wybuchł przedwcześnie w lufie, zabijając dwudziestu ludzi. Kinnison ponownie zaprotestował, tym razem werbalnie, na zebraniu kierownictwa. Został zapewniony, również werbalnie, że jest prowadzone wnikliwe śledztwo.

Potem poinformowano go, werbalnie i bez świadków, że śledztwo zostało zakończone i że ładunek nie był uszkodzony. Pojawił się nowy dowódca, podpułkownik Franklin.

Sybiracy, zbyt zajęci, by poświęcać gazetom więcej czasu niż przejrzenie tytułów, nie zwrócili specjalnej uwagi na wiadomość o katastrofie ślizgacza, w której zginęło kilku notabli.

Słyszeli o prowadzonym śledztwie, ale nawet Car początkowo nie wiedział, że Waszyngton, przynajmniej tym razem, zadziałał szybko w celu poprawy sytuacji. Kontrola Jakości, która dotychczas była podporządkowana Produkcji została w sumie od niej odseparowana. A szeroko rozchodzące się plotki głosiły, że Stillman, dotychczasowy szef Działu Kontroli Jakości nie jest wystarczająco dobry na to stanowisko.

W takich okolicznościach, niczego nie podejrzewający Kinnison został wezwany do najbardziej osobistego gabinetu Thomasa Kellera, Głównego Kierownika Produkcji.

– Kinnison, w jaki sposób, do diabła, udaje się panu radzić z tymi Sybirakami? Nigdy w życiu nie widziałem niczego takiego jak oni.

– I pewnie pan nie zobaczy. Jedynie wojna mogła spowodować, że udało się zebrać ich razem. Ja sobie z nimi nie radzę, z nimi nie można sobie poradzić. Daję im coś do zrobienia i niech robią. A ja wspieram ich w tym. To wszystko.

– Hm – chrząknął Keller – diabelska sztuczka. Ja, gdy chcę, żeby coś zostało zrobione porządnie, muszę zrobić to sam. Ale jakkolwiek pan to robi, to działa. Ale nie o tym chciałem z panem porozmawiać. Co by pan powiedział na stanowisko Kierownika Działu Kontroli Jakości? Obecna Sekcja Chemiczna byłaby do niego włączona.

– Co takiego? – zapytał skonfundowany Kinnison.

– Z wynagrodzeniem według poufnej tabeli. – Keller napisał liczbę na kawałku papieru i pokazał, po czym spalił w popielniczce.

Kinnison gwizdnął. – Podoba mi się, nie tylko z tego powodu. Ale nie wiedziałem, że pan... Czy pan już uzgodnił to z generałem i panem Blackiem?

– Naturalnie – padła gładka odpowiedź. – W samej rzeczy, to ja zasugerowałem im to, a oni się zgodzili. Ciekawi pana dlaczego?

– Oczywiście.

– Z dwóch powodów. Po pierwsze, ponieważ utworzył pan zespół ekspertów technicznych, których zazdroszą panu w całym kraju. Po drugie, pan i pańscy Sybiracy wykonaliście każde zadanie, jakie kiedykolwiek wam zleciłem i wykonaliście to szybko. Jako kierownik

działu, nie będzie pan już więcej mi podlegał, ale przypuszczam, że będzie pan współpracował ze mną równie wydajnie jak dotychczas?

– Nie widzę powodu, aby tego nie robić – odpowiedział z całym przekonaniem Kinnison, ale później, gdy zrozumiał, co Keller miał na myśli, gorzko żałował tej obietnicy.

Przeniósł się do gabinetu Stillmana, po czym doszedł do wniosku, że wie, dlaczego jego poprzednik nie dał sobie rady. Dział zatrudniał zbyt wielu pracowników, zwłaszcza zastępców kierownika. Przekazywania uprawnień, tak jak to było powszechne w innych działach, tutaj nie było wcale. Stillman nie miał zwyczaju wizytować linii. Inspektorzy, którzy najlepiej wiedzieli, co tam się dzieje, również nigdy do niego nie przychodzili. Meldowali zastępcom, którzy sporządzali raporty dla Stillmana, po czym ten wydawał swoje jowiszowe wyroki.

Kinnison zreorganizował, tym razem świadomie, swoich kluczowych inspektorów na wzór Sybiraków. Zwolnił zastępców, posyłając ich do bardziej produktywnej pracy; w biurze, z pracowników Stillmana, zatrzymał jedynie kilku referentów i osobistą sekretarkę, Celeste de St. Aubin, dynamiczną, a czasem też wybuchową, brunetkę. Przekazał inspektorom pełną władzę na liniach, a kilku, którzy nie mogli znieść odpowiedzialności, zastąpił innymi. Z początku inspektorzy nie mogli w to uwierzyć, ale po aferze z czterdziestomilimetroowymi pociskami, w której Kinnison przepchnął decyzję swojego podwładnego przez Kellera, zarząd i wyjaśnił ją dowódcy zanim została anulowana, wszyscy stali się jego ludźmi.

Niektórzy z kierowników sekcji byli mu jednak niechętni. Pettler, z sekcji technicznej, która była obecnie częścią Kontroli Jakości i Wilson, z sekcji pomiarowej, byli ludźmi, którzy mówili dużo i błyskotliwie, ale działali hamująco, o ile w ogóle działali. Po kilku tygodniach Kinnison

zmądrzał, niemniej nie dawał po sobie tego poznać. Pewnego dnia, w chwili spokoju, jego sekretarka wywiesiła tabliczkę “Narada” i weszła do gabinetu Kinnisona.

– W centralnej kartotece nie ma odnośnika do tego śledztwa – urwała, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć, po czym odwróciła się, by wyjść.

– Jak już tu jesteś, Celeste, to usiądź. Spodziewałem się tego. Zatuszowane, o ile w ogóle coś zaczęli. Celeste, jesteś inteligentną dziewczyną i wiesz, co jest grane. Wiesz, że możesz mi wszystko powiedzieć?

– Tak, ale to jest... dobrze, były plotki, że chcą się pana pozbyć, tak samo jak wszystkich sensownych ludzi dotychczas.

– Też tego oczekiwałem. – Słowa były spokojne, ale szczęki mężczyzny zacisnęły się.

– Domyślam się, w jaki sposób.

– W jaki?

– To przyśpieszenie na “dziewiątce”. Wiedzą, że nie zaakceptują tej nowej procedury, którą mają uruchomić wieczorem... a ten nowy dowódca prawdopodobnie to zrobi.

Chwilę ciszy przerwała sekretarka.

– Generał Sanford, nasz pierwszy dowódca, był żołnierzem, dobrym żołnierzem – oświadczyła. – Tak samo pułkownik Snodgrass. Podpułkownik Franklin nie był, ale też był na tyle człowiekiem, żeby nie robić...

– Świństw – dokończył sucho. – Dokładnie. Mów dalej.

– Ale teraz rządzi Stoner, nowojorska połowa, dokładnie dziewięćdziesiąt pięć procent, firmy Stoner & Black, Inc. Dlatego przysłali nam tutaj tego półgłówka, nie odróżniającego spłonki od iglicy, prosto zza biurka na Wall Street.

– I co? – Trzeba było słyszeć Ralpa Kinnisona wypowiadającego te dwa słowa, by zrozumieć, ile znaczenia mogą zawierać.

– I co? – wykrzyknęła dziewczyna, załamując ręce. – Od czasu jak pan tu jest, oczekuję jakiegoś wybuchu, zmiżdżenia czegoś, a zamiast tego ciągle pan powtarza, że wojownik nie może uderzyć skutecznie, dopóki nie stanie mocno obiema nogami na ziemi. Kiedy więc... kiedy więc ma pan zamiar stanąć mocno obiema nogami na ziemi?

– Obawiam się, że nigdy – odparł ponuro. A gdy popatrzyła na niego, dodał: – Muszę więc zacząć uderzać z jedną nogą w powietrzu.

To ją zaskoczyło. – Może pan mi to wyjaśnić?

– Tak. Chciałem mieć dowód. Materiał, który mógłbym zawieść do Okręgu. Coś, co bym mógł wyjawic, przybijając na drzwiach od stodoły. Niestety nie udało mi się nic takiego zdobyć. Nawet kawałka. Tobie też. Jaka jest, twoim zdaniem, szansa uzyskania prawdziwego dowodu?

– Niewielka – przyznała Celeste. – Ale mógłby pan przynajmniej wykończyć Pettlera, Wilsona i ten motłoch. Jak ja nienawidzę tych obślizgłych gadów. Chciałabym, żeby pan wykończył tego szkodliwego głupca, Toma Kellera.

– Wcale nie takiego głupca, chociaż czasami tak się wydaje, gdy postępuje jak debilna marionetka ze spuchniętą głową nie mieszczącą się jej w kapeluszu. Ale możesz przestać domagać się uderzania. Fajerwerki rozpoczną się jutro o drugiej po południu, gdy Drake odrzuci nocną partię wyprodukowanych pocisków.

– Naprawdę? Ale ani Pettler, ani Wilson nie są w to zaangażowani.

– Nie są. To małe płotki, walka z nimi nie zrobiłaby wystarczającego hałasu. Chodzi o Kellera.

– O Kellera! – Celeste kwiknęła. – Ale pan...

– Wiem, mogą mnie wyrzucić. No to co? Wciągając go w to, zrobię tyle hałasu, że te wielkie ryby będą musiały zlikwidować chociaż trochę tego bałaganu. Ciebie też pewnie wyrzucą, wiesz, jesteś zbyt blisko mnie.

– O nie – potrzęsnęła żywo głową. – Odejdę w tej samej chwili, w której pana zwolnią. Puff, i już! Poza tym, mogę dostać lepszą pracę w Townville.

Chciałbym, żeby projekt przetrwał. Martwię się o chłopaków. Przygotowuję ich na to od dawna.

– Oni też się zwolnią. Pańscy Sybiracy i inspektorzy z pewnością się zwolnią, Wszyscy.

– Nie pozwolą im. A to co Stoner i Black zrobi im, nawet po wojnie, jeśli odejdą bez zwolnienia, nie powinno się robić nawet psu. Nie odejdą, przynajmniej, jeśli nie będą ich tłamsić zbyt mocno. Keller cały się ślini, żeby przejąć Syberię, ale nigdy mu się to nie uda ani żadnemu z jego sługusów... Najlepiej będzie, jeśli podyktuję od razu memorandum do Blacka, dopóki jestem spokojny i skoncentrowany. Powiem mu, co musi zrobić, żeby chłopaki nie rozniesli Entwhistle.

– Myśli pan, że on zwróci na to uwagę?

– Myślę, że zwróci – mruknął Kinnison. – Nie oszukuj się co do Blacka, on jest inteligentny i zanim cokolwiek się zdarzy, to zrozumie, że nie powinien się pakować w kłopoty.

– Dobrze... ale dlaczego pan to robi? – zdziwiła się Celeste. – Ja bym ich jeszcze zachęcała. Kilku z nich by miało patriotyczne...

– Patriotyczne...? Do diabła, gdyby tylko o to chodziło, już dawno wywołałbym rewolucję. Chodzi mi o nich, o przyszłość tych chłopaków. Oni również nie powinni pakować się w kłopoty. Weź, proszę, notatnik i notuj. To będzie brudnopis. Później wyładzę, tak żeby miało kły i pazury w każdej linijce.

Wieczorem, po kolacji, poinformował Eunice o rozwoju sytuacji.

– Nie masz nic przeciwko temu – podsumował – że zwolnię się z tej wysokopłatnej posady?

– Oczywiście. A co innego mógłbyś zrobić. Och, chętnie bym im połamala karki?

Rozmowa przeciągnęła się długo, ale jej szczegóły nie wnoszą nic do tej opowieści.

Krótko po drugiej następnego popołudnia Celeste odebrała telefon, a potem podsłuchiwała bezwstydnie.

– Kinnison, słucham.

– Tu Tug, Wujku Ralphie. Testy wypadły tak, jak przewidywaliśmy. Takie same jak w partii D, więc Drake powiesił na każdej palecie czerwoną zawieszkę. Piddy przyszedł natychmiast i zrobił piekło, więc włączyłem się do dyskusji. Wypadł tak szybko, że o mało mu się poły fartucha nie zapaliły. Drake nie chciał do ciebie dzwonić, więc dzwonię sam. Jeśli Piddy, po wyjściu stąd, trochę się nie uspokoił, to pewnie poleciał prosto do Kellera.

– W porządku, Tug. Powiedz Drakowi, że pociski, które odrzucił, mają pozostać odrzucone i przynieś mi zaraz jego raport. Możesz przyjść?

– Jasne – krzyknął Tugwell i odwiesił słuchawkę.

– Chce pan, doktorze, żeby przyszedł tutaj? – zapytała z niepokojem Celeste, nie troszcząc się o to, co szef powie na podsłuchiwanie.

– Oczywiście. Jeśli powstrzymam Tuga od rozwalenia sobie głowy, reszta chłopaków ustawi się w szeregu.

Kilka minut później pojawił się Tugwell, ciągnąc za sobą Drake'a, inspektora z "dziewiątej linii". Chwilę później otworzyły się drzwi i do gabinetu Kinnisona wszedł Keller w towarzystwie nadzorcy, którego Sybiracy określali, trochę bez szacunku, jako Piddy.

– Niech cię szlak trafi, Kinnison, chodź tutaj, musimy porozmawiać! – ryknął Keller, powodując, że na całym korytarzu zaczęły się otwierać i zamykać drzwi.

– Zamknij się, ty parszywy wszarzu – krzyknął Tugwell miotając iskry ze swoich czarnych oczu i rzucając się do przodu. – Jak cię kopnę, ty pieprzony...

– Morda w kubel, Tug. Ja to załatwię. – Kinnison mówił niezbyt głośno, ale czuło się w nim szczególną charyzmę i ogromny autorytet. – Werbalnie lub fizycznie, wedle życzenia.

Odwrócił się do Kellera, który odskoczył w tył do holu uciekając przed młodym Sybirakiem.

– A co do ciebie, Keller, gdybyś miał chociaż taki rozum, jaki bozia dała każdej irlandzkiej gęsi z nieprawego łoża, to byśmy mogli porozmawiać na osobności. Ale jak już zacząłeś publicznie, to już dokończmy to publicznie. Nigdy nie zrozumiem, w jaki sposób doszedłeś do tego, że będę potakiwaczem, ale przypuszczam, że to jeszcze jedna oznaka twojej głupoty.

– Te pociski są idealne! – wrzasnął Keller. – Każ Drake'owi przepuścić je, natychmiast. A jak nie, to na Boga...

– Zamknij się! – przerwał mu Kinnison. – Teraz ja mówię, a ty słuchasz. Specyfikacja mówi, cudzysłów, partia ma być wolna od kwestionowanych pęcherzyków, koniec cudzysłowu. Inspektorzy linii, którzy znają się na tym, mówią, że te pęcherzyki są kwestionowane. To samo mówią chemicy. A więc tak długo jak ja tym się zajmuję, one są kwestionowane. Te pociski zostały odrzucone i tak pozostanie.

– To ty tak myślisz – wściekł się Keller – ale jutro rano już tu będzie nowy kierownik Kontroli Jakości, który je przepuści.

– W tym możesz mieć częściowo rację. Jak już skończysz lizać buty Blackowi, powiedz mu, że jestem w swoim gabinecie.

Kinnison wrócił do gabinetu, a Keller, przeklinając, wyszedł razem z Piddym, trzaskając drzwiami.

– Ja się stąd zwalniam, Wujku Ralphie, zgodnie z prawem czy nie! – burzył się Tugwell. – Oni rozpieprzą tę kupę gówna, a wtedy...

– Obiecaj mi, że nie zwolnisz się sam, dopóki oni tego nie zrobią? – poprosił spokojnie Kinnison.

– Co? – zarówno Tugwell, jak i Celeste spoglądali w zdumieniu. Celeste, będąc wprowadzona, zrozumiała pierwsza.

– Rozumiem, żeby nie pakować się w kłopoty – wykrzyknęła.

– Dokładnie. Te pociski nie zostaną przepuszczone ani nic w tym stylu. Pozornie przegramy. Mnie wyrzucą, ale wy wygracie tę bitwę. A zostając tutaj i pilnując, wygracie jeszcze więcej.

– A może, gdybyśmy zrobili piekło, to by nas też wyrzucili? – zasugerował Drake.

– Wątpię. Ale jeśli się nie mylę, to jeśli rozegracie to porządnie, możecie napisać swoje wymówienia już w tej chwili. – Kinnison uśmiechnął się do siebie, myśląc o czymś, czego młodzi ludzie nie mogli zobaczyć.

– Mówisz, co Stoner i Black mogą zrobić z nami – powiedział z naciskiem Tugwell – a ja się boję o to, co oni zrobią z tobą.

– Nic nie zrobią. Bo nic nie mogą – zapewnił ich Kinnison. – Wy jesteście młodzi, nie ustawieni, a ja jestem dobrze znany w naszej branży, więc jeśli będą próbowali mi wystawić wilczy bilet, zostaną wyśmiani i zdają sobie z tego sprawę. Więc wy, dzieciaki, wracajcie na “dziewiątkę” i zawieście czerwone zawieszki na wszystkim, co ma przekrój niezgodny z normą.

Pożegnajcie zespół ode mnie, będę o was mówił dobrze. W ciągu godziny Kinnison został wezwany do biura prezesa. W przeciwieństwie do Blacka, był całkowicie rozluźniony.

– Podjęto decyzję, żeby... hm... poprosić pana o rezygnację – oznajmił w końcu Prezes.

– Niech pan się nie wysila – poradził Kinnison. – Ja się podjąłem wykonywać tutaj pracę i jedyny sposób, żeby mnie od tego powstrzymać, to mnie zwolnić.

– Tego niestety... hm... całkowicie nie przewidzieliśmy. Mamy pewien problem z tym, co podać jako przyczynę pańskiego odejścia.

– Trudno mi uwierzyć. Przecież możecie napisać, co tylko wam się podoba – Kinnison wzruszył ramionami – z jednym wyjątkiem. Każdy zarzut niekompetencji będziecie musieli udowodnić w sądzie.

– A niekompatybilność?

– Może być.

– Panno Briggs, proszę napisać: “trudności w dopasowaniu się do wyższego personelu firmy”. Może pan poczekać, doktorze Kinnison, to zajmie tylko chwilę.

– Dobrze. Miałbym parę rzeczy do powiedzenia. Po pierwsze, wiem równie dobrze jak pan, że znalazł się pan między Scyllą i Charybdą. Cokolwiek pan zrobi będzie niedobrze.

– Skąd panu przyszło coś takiego do głowy? – zaprzeczył Black, ale oczy mu latały niespokojnie. – To śmieszne!

– Jeśli wypchnie pan te niespełniające normy pociski przeciwpancerne, będzie pan miał więcej przedwczesnych wybuchów. Niewiele, bo te pociski są prawie dobre. Może jeden na dziesięć tysięcy. Powiedzmy, że jeden na pięćdziesiąt tysięcy. Ale wie pan bardzo dobrze, że nie może pan sobie pozwolić na żaden. To co moi Sybiracy i inspektorzy wiedzą o panu,

Kellerze, Piddym i “linii dziewiątej”, wystarczyłoby, ale te pańskie bezmózgie szakale, by ukręcić łeb sprawie, wypuściły dzisiaj kota z worka. Wszyscy w “Budynku Jeden” słyszeli. Pierwszy przedwczesny wybuch wysadzi również Entwhistle. Spowoduje coś, czego nie uda się odwrócić wszystkim politykom z Waszyngtonu, razem czy osobno. Z drugiej strony, jeśli wybrakuje pan tę partię i wróci do starej procedury, pański wspólnik Stoner, z Nowego Jorku i Waszyngtonu, zamorduje pana. Jestem jednak pewien, że nie wyśle pan żadnej wybrakowanej partii. Sądząc po zachowaniu moich dziewcząt i chłopców i po liczbie ludzi, którzy słuchali pańskich tępych potakiwaczy, ktoś pana zakapuje. Więc się pan nie odważy. Po prawdzie, to już powiedziałem moim ludziom, że pan tego nie zrobi; że jest pan wystarczająco inteligentny, żeby nie pakować się w kłopoty.

– Pan im powiedział! – krzyknął Black w złości i desperacji.

– Tak. A czemu nie? – Chociaż słowa były niewinne, to ton Kinnisona wyrażał wiele.

– Nie chcę być trywialny, ale pan właśnie zaczyna rozumieć, że dobry zespół powinien się opierać na uczciwości i lojalności.

– Wynoś się! Weź swoje zwolnienie i wynoś się!

I doktor Ralph K. Kinnison z podniesioną głową opuścił biuro prezesa Blacka i Fabrykę Amunicji w Entwhistle.

↑Milquetoast — określenie nieśmiałego, bojaźliwego człowieka pochodzące od nazwiska Caspara Milquetoasta, bohatera komiksu H. T. Webstera: *The Timid Soul* (Nieśmiała dusza) z 1935 r.

↑TNT — trójnitrotoluen, trotyl.

↑ *Injun* — pogardliwe określenie Indianina.

↑Rikki-Tikki-Tawi — mangusta (*herpestes griseus*), bohater opowiadania R. Kiplinga, alegoria szybkiego działania.

↑Koutou — element etykiety w dawnych Chinach, polegający na okazaniu szacunku osobie stojącej wyżej w hierarchii społecznej poprzez uklęknienie przed nią i trzykrotne oddanie pokłonu.

↑Maisonette — niewielki dom lub część domu wydzielona jako samodzielne mieszkanie.

↑Guma chicle — sok otrzymywany z pędów sączyńca (*achras sapota*) używany do produkcji gumy do żucia.

↑Młot Charpy'ego — urządzenie, za pomocą którego dokonuje się pomiaru uderzalności, odporności materiału na obciążenie dynamiczne.

↑ *Tempus fugit* (łac.) — czas ucieka.

Rozdział 6

19—?

– Theodore K. Kinnison! – rzeński, czysty głos dobiegł z głośnika na pozór wyłączonego i zwyczajnie wyglądającego odbiornika telewizyjnego. Muskularny młodzieniec wciągnął nerwowo powietrze, podbiegł do urządzenia i nacisnął niepozornie wyglądający guzik.

– Theodore K. Kinnison zgłasza się! – Ekran pozostawał ciemny, ale Kinnison wiedział, że jest skanowany.

– Operacja “Bullfinch”! – usłyszał z głośnika.

Kinnison przełknął. – Operacja “Bullfinch”. Przyjąłem. – zdołał wykrztusić.

– Przyjęte!

Ponownie nacisnął guzik i odwrócił się twarzą do wysokiej, szczupłej blondynki, stojącej w łukowatym przejściu i patrzącej na niego z napięciem. Rękami trzymała się za gardło, a jej oczy były szeroko otwarte i wyrażały głęboki protest.

– Och, kochanie, nadlatują. Znad bieguna – zazgrzytał zębami. – Zostały dwie godziny, mniej więcej.

Och, Ted! – Rzuciła mu się w ramiona. Pocałowali się, a potem rozdzielili.

Mężczyzna pochwycił dwie wielkie walizy, już spakowane — wszystko inne, żywność i woda, było w samochodzie od tygodni — i poszedł. Kobieta poszła za nim, nie trudząc się nawet zamykaniem drzwi od mieszkania, zabierając *en passant* długonogiego chłopca w wieku czterech lat i pulchną dziewczynkę z kręconymi włosami w wieku dwóch lat lub coś

koło tego. Pobiegli przez trawnik, ku wielkiemu, nisko zawieszonemu samochodowi.

– Wzięłaś swoje tabletki kofeinowe? – zapytał, gdy biegli.

– Ehe.

– Będziesz ich potrzebowała. Jedź jak najszybciej i trzymaj się z przodu. Dasz radę.

Masz mnóstwo paliwa i oleju, a ten grat pojedzie jak burza. Tysiąc sto mil od czegokolwiek i gęstość zaludnienia zero jeden na milę kwadratową. Będziesz tam bezpieczniejsza niż gdziekolwiek indziej.

– Nie martwię się o nas, tylko o ciebie – westchnęła. – Żony speców dostają ostrzeżenie przed atakiem jądrowym kilka minut wcześniej od innych. Wyprzedzę więc powszechną panikę i będę z przodu. To o ciebie, Ted, o ciebie się martwię.

– Nie martw się, maleńka. Mój motor też jest szybki, a tam gdzie jadę nie będzie dużego ruchu.

– Och, ale wybuch. Wiesz dobrze, że nie to miałam na myśli.

Dotarli do samochodu. Podczas gdy on upychał walizy w dokładnie dopasowanym miejscu, ona posadziła dzieci na przednim siedzeniu, wślizgnęła się zgrabnie za kierownicę i zapaliła silnik.

– Wiem o tym, kochanie. Obiecuję, że wrócę. – Pocałował ją i dziewczynkę, a potem potrząsnął ręką syna. – Dzieciaki, jedziecie z mamą odwiedzić dziadka Kinnisona, tak jak to było ustalone. Bawcie się dobrze. Ja przyjadę później. A teraz, pani kierowco, ruszaj i gaz do dechy!

Ciężki pojazd cofnął się i zakołysał; kamienie prysnęły spod kół, gdy pedał gazu uderzył o podłogę.

Kinnison pogalopował podjazdem i otworzył drzwi małego garażu, ukazując długi, niski motocykl. Dwa nieznaczące ruchy ręką i dwa z trzech białych reflektorów zmieniły kolor. Jeden zaświecił czerwienią, a drugi

błękitem. Wrzucił metalowe perforowane pudło do bagażnika i pstryknął przełącznikiem. W charakterystyczny sposób zawyła syrena. Wyjechał z podjazdu, kładąc się na zakręcie pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Pałac opony ruszył w kierunku Diversey.

Czerwone światło. To co! Wszyscy stali. Jego syrenę słychać było na mile. Wpadł między samochody, po czym z hałasem skręcił w lewo, trąc podnózkami o beton.

Z tyłu dobiegł go dźwięk syreny. Miejski ton. Dwa czerwone światła. Policjant. Już są, to dobrze! Przymknął nieco gaz. Tamten motocykl dogonił go i jechał równolegle.

– Czy to to? – zapytał mundurowy, przekrzykując hałas obu motocykli.

– Tak! – odkrzyknął Kinnison. – Oczyszcście Diversey do obwodnicy i wyloty na południe do Gary i na północ do Waukegan. Przekaż wyżej!

Czarno-biały motocykl zwolnił i zjechał do krawężnika. Policjant sięgnął po mikrofon.

Kinnison przyśpieszył. Na Cicero Avenue, mimo zielonych światel, ruch był tak duży, że musiał zwolnić. Na Pułaskiego dwaj policjanci machnęli mu, żeby jechał na czerwonym. Za Sacramento ruchu kołowego nie było.

Siedemdziesiąt... siedemdziesiąt pięć... przez most osiemdziesiątką, obydwoma kołami w powietrzu przez jakieś czterdzieści stóp. Osiemdziesiąt pięć... dziewięćdziesiąt... to wszystko, na nierównej nawierzchni więcej tym gratem nie wyciągnie. Poza tym Diversey już nie należało tylko do niego. Niebiesko-czerwone światła motocykli widać było w każdej bocznej ulicy.

Zwolnił do konserwatywnych pięćdziesięciu i włączył się do zwartej formacji pozostałych motocyklistów.

W mieście ogłoszono “Alarm H” — sygnał do planowej i zorganizowanej ewakuacji całego Chicago, ale Kinnison tego nie słyszał.

Przez Park i na skraju w lewo, tak aby chłopaki jadący na południe mieli wolną drogę.

Nawet motocykliści potrzebują trochę miejsca, by skręcić przy prędkości pięćdziesiąt mil na godzinę.

Pod wiaduktem, cisnąc hamulce i paląc opony na ostrym, wąskim zakręcie w lewo, a potem na północ szerokim gładkim wylotem. Ta autostrada została zaprojektowana dla szybkiej jazdy. A te maszyny były szybkie.

Wjeżdżając na płaski odcinek motocykliści kładli się na baku, chowali twarze za osłoną i otwierali przepustnice do oporu. Spieszyli się. Przed nimi była długa droga. Jeśli nie zdążą w porę powstrzymać tych rakiet lecących znad bieguna, do południa rozpęta się piekło.

Po co to wszystko? Ta organizacja, ten pośpiech, to oszczędzanie każdej sekundy, ten pokaz obłądnych wyścigów obejmujących całe miasto? Czemu ci wszyscy motocykliści nie przebywali na stałe na swoich posterunkach, przygotowani na każdy wypadek? Dlatego że Ameryka była demokracją i nie mogła uderzyć pierwsza, lecz musiała czekać — czekać w gotowości — aż zostanie zaatakowana. Dlatego że każdy dobry spec był potrzebny do realizacji planu obrony, w którym Operacja “Bullfinch” była tylko jednym elementem z wielu. Dlatego że wszyscy oni byli również potrzebni do tego, by wykonywać swoją codzienną pracę, bez której gospodarka Ameryki by stanęła.

Odgąszenie drogi skręcało w lewo. Nieco zwalniając, Kinnison skręcił i wjechał w otwartą, mocno strzeżoną bramę. Jego pojazd i światła były wystarczającą przepustką. Dokładna kontrola miała nadejść później. W pobliżu wysokiej metalowej struktury wcisnął hamulce i zatrzymał się obok żołnierza, który przejął motocykl i odprowadził go na bok, gdy tylko Kinnison z niego zeskoczył.

Kinnison rzucił się w kierunku na pozór litej ściany, odwrócił się tyłem do czterech wartowników z odbezpieczonymi czterdziestkami piątkami i przyłożył swoje prawe oko do zagłębienia. W przeciwieństwie do odcisków palców, siatkówka oka nie może być podrobiona, skopiowana czy zmieniona. Każdy oszust zostałby tutaj zabity natychmiast, bez aresztu i przesłuchiwania. Każdy członek załogi tej rakiety został sprawdzony i przetestowany — bardzo dokładnie sprawdzony i przetestowany — gdyż nawet jeden szpieg na stanowisku specy mógłby wyrządzić niepowetowane szkody.

Właz otworzył się. Kinnison wspiął się po drabinie do dużej, ale zatłoczonej sterówki.

– Cześć Teddy! – witano go okrzykami.

– Cześć Walt! Cześć Red! Cześć Baldy! – i tak dalej. Ci ludzie byli starymi przyjaciółmi.

– Gdzie oni są? – zapytał. – Nasi się wynoszą? Dajcie mi rzucić okiem na “kulę”!

– Na to wygląda. Jak chcesz, to wciśnij się tutaj!

Tam gdzie się wcisnął nie było kuli, tylko półkula, lekko spłaszczona i wycentrowana na Biegun Północny. Mnóstwo czerwonych punktów poruszało się powoli — sto mil na tej mapie nie było dużą odległością — w kierunku północnej Kanady. Gęściej upakowane, mniej liczne żółtozielone punkty, już po Amerykańskiej stronie bieguna, poruszały się na południe.

Tak jak oczekiwano, Amerykanie mieli więcej pocisków niż wróg, a inne przekonanie, że Ameryka ma lepszą obronę i lepiej wyszkolonych, wysoko kwalifikowanych obrońców, wkrótce zostanie sprawdzone.

Łańcuch niebieskich punktów świecił przez cały kontynent, od Nome, przez Skagway, Wallaston, Churchill i Kaniapiskau do Belle Isle — amerykańska pierwsza linia obrony.

Zawodowe garnizony. Z tymi niebieskimi prawie pokrywały się bursztynowe — ich rakiety bojowe nabierały wysokości. Druga linia od Portland, Seattle i Vancouver do Halifaxu zaświeciła na zielono, wraz z kilkoma punktami bursztynowymi. Częściowo zawodowi, częściowo Gwardia Narodowa.

Chicago było na trzeciej linii, w całości obsadzonej Gwardią Narodową, rozciągającej się od San Francisco do Nowego Jorku. Zielone — zaalarmowane i działające. Tak samo czwarta, piąta i szósta linia. Operacja “Bullfinch” należała, według planu, do drugiej.

Rozległ się dzwonek, mężczyźni rozbiegli się do swoich stanowisk i pozapinali pasy.

Wszystkie fotele były zajęte. Rakieta bojowa numer 10685, napędzana energią rozpadu nietrwałych izotopów, wystartowała z hukiem, którego nie udało się wyciszyć nawet jej grube poszycie. Spece, powgniatani trzykrotnym przeciążeniem w dopasowane do kształtu ciała fotele, zacisnęli zęby. Wyżej! Szybciej! Rakieta zadrżała i zatrzęsała się przy przekraczaniu bariery dźwięku, ale nie przestała przyspieszać.

Wyżej! Szybciej! Wyżej! Wysokość pięćdziesiąt mil. Sto... pięćset... tysiąc... tysiąc pięćset... dwa tysiące! Pół promienia — wysokość wyznaczona dla kontyngentu chicagowskiego.

Przyspieszenie spadło do zera. spece odetchnęli z ulgą, pozakładali dziwnie oprzyrządowane hełmy i uruchomili swoje panele.

Kinnison wpatrywał się w swój ekran angażując w to cały wysiłek nerwu wzrokowego.

Tu wszystko wyglądało inaczej niż w “kuli”, gdzie punkty były elektronicznie generowane, automatycznie kontrolowane, wyraźne. ostre i stabilne. To był radar. Radar, oczywiście, znacznie różniący się od tego z 1948 roku i mocno ulepszony, ale wciąż żałośnie niewystarczający do

obserwacji obiektów odległych od siebie na setki mil i poruszających się z prędkościami tysięcy mil na godzinę.

To nie był lot ćwiczebny, gdzie celami były nieszkodliwe beczki albo równie nieszkodliwe zdalnie sterowane rakiety. Tym razem wszystko było naprawdę. Dzisiejsze cele były śmiertcionośnymi obiektami. Strzelanie ćwiczebne, w którym ryzykowano jedynie miejscem w rankingu, było wystarczająco podniecające, to natomiast było zbyt podniecające, dużo za bardzo podniecające dla błyskotliwych umysłów, szybkich, opanowanych oczu i pewnych rąk, które wkrótce będą tak potrzebne.

Cel? Na to wygląda. Tak. Trzy albo cztery.

– Cel numer jeden, strefa dziesiąta – w uchu Kinnisona rozległ się spokojny głos, a białe plamki na ekranie zmieniły kolor na żółto-zielony. Te same słowa, te same światełka usłyszało i zobaczyło jedenastu innych speców sektora A, w którym, dzięki wysokiej pozycji w rankingu załóg rakiet bojowych, Kinnison był dowódcą sektora. Wiedział, że głos należy do operatora kontroli prowadzenia ognia sektora A, którego zadaniem było określenie, na podstawie kursów, prędkości i innych danych otrzymywanych od naziemnych i latających obserwatorów, w jakiej kolejności należy niszczyć cele w tym sektorze, wyimaginowanym, lecz ściśle zdefiniowanym stożku przestrzeni. Sektor A, z taktycznego punktu widzenia, był najgorętszym obszarem nieba. Określenie “strefa dziesiąta” oznaczało, że obiekt jest na granicy zasięgu i mają mnóstwo czasu.

–Lawrence, dwie! Doyle, jedna! Drummond, bądź gotów na trzy! – rozkazał, nie czekając.

Słyszając swoje nazwisko, każdy spec wykonał serię uderzeń w klawiaturę. Ze słuchawek popłynął szybki strumień danych ze wszystkich punktów obserwacyjnych opisujących co do sekundy ruch celu. Kinnison wklepał w swój kalkulator kilka liczb, by uwzględnić automatycznie ruch

własnego statku, rzucił okiem na wynik, po czym wcisnął pedał raz, dwa razy, trzy, w zależności od tego, ile pocisków miało być wystrzelone.

Lawrence'owi, lepszemu strzelcowi niż Doyle, rozkazał wystrzelić dwie torpedy, ale żadna z nich, przy tak długim dystansie, nie miała szansy trafić w cel. Niemniej druga z nich powinna znaleźć się tak blisko, że dzięki danym przesłanym z niej na oba ekrany, a także do Kinnisona, cel będzie dla Doyle niczym siedząca kaczka.

Drummond, drugi zastępca Kinnisona, miał wystrzelić swoje dopiero wtedy, gdy Doyle chybi. Drummond i Harper, pierwszy zastępca, nie mogli strzelać jednocześnie. Jeden z nich musiał być zawsze przygotowany, by zastąpić dowódcę, gdyby ten wypadł z walki. Chwilowo Kinnison mógł wyznaczyć Harpera albo Drummonda do zadań strzeleckich, których jemu nie było wolno wykonać. Mógł to zrobić jedynie na wyraźny rozkaz kontroli. Dowódca sektora był przeznaczony do nagłych wypadków.

- Cel numer dwa, strefa dziewiąta – usłyszał z kontroli.
- Carney, dwie. French, jedna. Day, gotowy z trzema! – rozkazał Kinnison.
- Cholera, chybiłem! – usłyszał od Doyle – O rzesz ty, znowu.
- W porządku, chłopaki. Dlatego zaczynamy tak wcześnie. Sam się cały trzęsę. Damy radę...
- Światelko reprezentujące cel numer jeden zamigotało i zgasło. Drummond się włączył i znów był “na linii”.
- Cel trzy, strefa ósma. Cztery, ósma – podała kontrola.
- Cel trzy: Higgins i Green; Harper w gotowości. Cztery: Case, Santos i Lawrence.

Po minucie lub dwóch walka speców sektora A zaczęła słabnąć. Strzelcy “w gotowości” nie byli już potrzebni i nie wyznaczano ich.

- Cel czterdzieści jeden, sześć – powiedziała kontrola.

– Lawrence, dwie. Doyle, dwie – rozkazał Kinnison. To była rutyna, ale w chwilę później...

– Ted! – rzucił Lawrence – chybiłem, obydwoma beczkami. Czterdzieści jeden robi uniki. Żywy pilot albo zdalne sterowanie. Idzie jak burza. Uważaj, Doyle, UWAŻAJ NA NIEGO!

– Kinnison, przejmij go! – warknęła nerwowo kontrola, nie czekając na wynik strzału Doylea. – Jest już w strefie trzeciej. Kurs kolizyjny!

– Harper! Dowodzisz!

Kinnison dostał dane, rozwiązał równania, odpalił pięć pocisków z przyśpieszeniem pięćdziesiąt gie. Jeden... dwa, trzy-cztery-pięć. Ostatnie trzy tak blisko siebie, jak tylko można bez detonacji zapalników zbliżeniowych.

Komunikacja, matematyka i mózgi elektronowe maszyn liczących zrobiły wszystko, co możliwe, reszta zależała od ludzkich umiejętności, perfekcyjnej koordynacji i szybkości reagowania umysłu, nerwów i mięśni.

Kinnison przerzucał wzrok z ekranu, na panel, wydruki komputera, na mierniki i wskaźniki, i z powrotem na ekran. Lewą ręką obracał pokrętła zmieniające intensywność dwóch wzajemnie prostopadłych składników ciągu torped. Wsłuchiwał się uważnie w raporty obserwatorów podających pozycje, dane dotyczące zarówno położenia jego pocisków jak i celu.

Palcami prawej ręki tłukł nieustannie w klawisze komputera; cały czas korygując kurs swoich torped.

– O włos – zdecydował – punkt w lewo.

Cel zszedł z przewidywanego kursu.

Dwa w dół, trzy w lewo, o włos w dół. Jest! Obiekt prawie minął strefę drugą i zbliżał się do strefy pierwszej.

Przez chwilę wydawało się, że jego pierwsza torpeda trafi. Prawie, gdyby nie to, że w ostatnim momencie, cel uruchomił boczny ciąg i zrobił

unik. Na ekranie rozbłysły dwie liczby: parametry błędu, dokładna odległość i kierunek, zmierzone i przesłane przez instrumenty na pokładzie torpedy.

Wykorzystując te błyskawiczne i dokładne dane oraz to, że nieprzyjaciel miał tak mało czasu na działanie, drugi pocisk Kinnisona przeszedł naprawdę blisko. Trzeci otarł się tak blisko, że zadziałał zapalnik zbliżeniowy, odpalając głowicę wypakowaną cyklonitem. To że trzeci pocisk eksplodował, poznał po zaniku napływu podawanych przez niego parametrów błędu; urządzenie zostało zniszczone. Ten wybuch mógł wystarczyć. Kinnison spojrzał na ostatnie dane.

Torpeda była rzeczywiście blisko. Ułamki sekundy. Czwarty i piąty pocisk nie były już potrzebne. Czymkolwiek był ten cel, nie stanowił już zagrożenia.

– Kinnison, melduję się – nadał do kontroli i przejął od Harpera dowodzenie sektorem.

Bitwa trwała. Kinnison posyłał Harpera i Drummonda do ataku raz za razem. Jemu przypadły jeszcze trzy cele. Pierwsza fala nieprzyjaciela, to co z niej pozostało, przeszła. Po niej przyszła następna. Jej resztki również zostały posłane ku odległej powierzchni Ziemi.

Trzecia fala była naprawdę ciężka. Nie dlatego, żeby była gorsza od dwóch poprzednich, ale dlatego, że CR10685 przestała otrzymywać dane niezbędne jej speccom do wykonywania zadań. Wszyscy wiedzieli dlaczego. Niektóre z nieprzyjacielskich pocisków przedarły się i zniszczyły obserwatorów, zarówno naziemnych jak i latających. Oczy amerykańskiej obrony poniosły duże straty.

Niemniej Kinnison i jego koledzy nie kłopotali się tym zbyt. Taka sytuacja została przewidziana. Obecnie byli już weteranami, przeszli próby i wiedzieli co robić. Przeszli bez szwanku przez ogień, jakiego dotychczas

świat nie widział. Mając obliczenia, albo i nie mając, posługując się tylko własnym radarem CR10685 i torpedami, których mieli jeszcze mnóstwo, mogli sobie poradzić z każdym nadlatującym pociskiem.

Trzecia fala przeszła. Cele stały się rzadsze. Akcja zwolniła... Zatrzymała się.

Spece, nawet dowódcy sektora, niewiele wiedzieli o bitwie jako całości. Nie wiedzieli nawet, gdzie są ich rakiety, czy lecą na północ, wschód, zachód czy południe. Wiedzieli tyle, ile wynikało z nacisku na siedzenia. Nie wiedzieli czym są cele, które niszczyli, gdyż na ich ekranach wszystkie wyglądały jednakowo — małe jasne żółtozielone plamki.

– Pete, możesz nam powiedzieć, co się dzieje, gdy będzie chwila luzu? – Kinnison poprosił kontrolę.

– No to chyba teraz – nadeszła odpowiedź. – Sześć z tych celów, robiących takie sprytne uniki, niosło głowice atomowe wycelowane w linie obrony. Zaliczyliśmy pięć. Dobra robota. Niewiele przeszło. Mówią, że nie na tyle dużo, żeby narobić poważnych szkód w kraju tak wielkim jak USA. Z drugiej strony oni stracili niewiele naszych. Wygląda na to, że nie mają nic, co by można było porównać z wami, specami.

– Wydaje się, że to szaleństwo ogarnęło cały świat. Zaatakowano nasze oba wybrzeża, wschodnie i zachodnie, ale mówią, że się trzymamy. Rozpoczęto Operacje “Daisy” i “Fairfield”.

Europa zamieniła się w piekło, wszyscy strzelają do wszystkich. Z bliska. Są raporty z Ameryki Południowej. Kraje bombardują się wzajemnie... Azja tak samo... nic dokładnego. Jak będę wiedział coś więcej, to wam przekażę. Co do nas, to nie jest źle, biorąc pod uwagę... Straty są mniejsze niż zakładano, tylko siedem procent. Pierwsza linia, jak już pewnie wiecie, została zeszklona. Odcinek Churchill-Belcher, został praktycznie starty z powierzchni Ziemi, przez co straciliśmy prawie

wszystkich obserwatorów... Obecnie jesteśmy nad południowym krańcem Zatoki Hudsona i lecimy w dół i na południe, by zająć pozycję w pionowym szyku bojowym floty... Kolejnej fali nie widać, ale podobno nastąpi atak raketowy na niskim pułapie... Uwaga, mamy alarm. Chłopaki, do roboty... Sektor A pusty...

Sektor A był czysty. CR10685 nurkowała w dół, na południe. Tylko niektórzy z obserwatorów na pokładzie zdążyli zobaczyć nadlatujący pocisk atomowy. Operator z kontroli wykrzyczał rozkazy. Spece zrobili, co mogli. Niestety.

Siła wybuchu jądrowego jest tak wielka, tak nie do pojęcia szybka, że Theodore K.

Kinnison umarł, nie zdając sobie z sprawy z tego, co się dzieje z nim i jego statkiem.

* * *

Gharlane z Eddoru popatrzył na swoje dzieło — zrujnowaną Ziemię — i spodobało mu się.

Wiedząc, że musi minąć wiele setek telluryjskich lat, zanim planeta będzie znów wymagała jego osobistego nadzoru, udał się gdzie indziej: na Rigel Cztery, na Palain Siedem i do układu słonecznego Velancji, gdzie okazało się, że popierani przez niego możnowładcy nie postępują zgodnie z planem. Zabawił tam niezbyt długo, po czym zajął się drobiazgowym i bezowocnym poszukiwaniem dowodów wrogiego mu działania w Wewnętrznym Kręgu.

* * *

W tym samym czasie, na odległej Aryzji podjęto szybką decyzję, żeby znacznie ograniczyć całkowitą dotychczas swobodę działania Eddorian.

– Mamy więc rozpocząć z nimi otwartą wojnę? – zapytał z powątpiewaniem Eukonidor. – Ponowne oczyszczenie planety Tellus z radioaktywnych zanieczyszczeń i zbyt szkodliwych form życia nie będzie oczywiście problemem. Silny, demokratyczny rząd z chronionych przez nas obszarów Ameryki Północnej może łatwo podporządkować sobie cały świat. Bez trudności uda się też przyłączyć Marsa i Wenus. Niemniej Gharlane, pod postacią niejakiego Rogera, już zdążył posiać zarzewie wojen jowiszowych wśród członków Łoży Północno-polarnej na Jowiszu...

– Twoja wizualizacja, młodzieńcze, jest poprawna. Kontynuuj.

– Te wojny międzyplanetarne są oczywiście nieuniknione i posłużą do umocnienia i zjednoczenia rządów Planet Wewnętrznych... pod warunkiem, że Gharlane nie będzie się wtrącał... Och, rozumiem. Gharlane z początku nie będzie nic wiedział, utrzymywany w zasięgu naszego oddziaływania. Gdy on lub inny Eddorianin uświadomi to sobie, na przykład w wyniku stresu spowodowanego incydem z Nevianami i nasze oddziaływanie przestanie być skuteczne, będzie już za późno. Naszych bodźców nie da się już cofnąć, a on będzie mógł jedynie wykonywać działania korzystne dla Cywilizacji. Nevia została wybrana jako Operator Pierwszego Rzędu ze względu na położenie w niewielkim regionie galaktyki prawie całkowicie pozbawionym stabilnych izotopów żelaza i ze względu na swój wodny charakter. Tamtejsze wodne formy życia są dokładnie tymi, którymi Eddorianie najmniej się interesują. Otrzymają technologię częściowej neutralizacji inercji i będą w stanie osiągać prędkości kilka razy większe od prędkości światła. Sądzę, że to wyjaśnia całą sytuację?

– Bardzo dobrze, Eukonidorze – zaaprobowali Starsi. – Zwięźle i dokładne podsumowanie.

* * *

Minęły setki telluryjskich lat. Pokłosie wojny. Odbudowa. Postęp. Jeden świat. Dwa światy, trzy światy — zjednoczone, współistniejące, przyjazne i harmonijnie się rozwijające. Potem wojny jowiszowe i trwała, niewzruszona unia. Żaden z Eddorian nie zorientował się, jak szybkiego i wspaniałego postępu dokonano. Wprost przeciwnie, Gharlane, lecąc swoim ogromnym kosmolotem w kierunku Słońca, był przekonany, że ludność Tellusa będzie nieco tylko przewyższała dzikusów poziomem swojego rozwoju. Należałoby również podkreślić, że w przeszłości, w czasie tych stuleci, zdarzało się niejednokrotnie, że mężczyzna o nazwisku Kinnison poślubił dziewczynę z rudymi włosami i złotymi błyskami w oczach.

CZĘŚĆ TRZECIA
TRÓJPLANETARNI

Rozdział 7

KOSMICZNI PIRACI

Dla pasażerów i załogi pozornie nieruchomy, liniowiec międzyplanetarny “Hyperion” pokonywał niewzruszenie przestrzeń kosmiczną z przyspieszeniem jeden gie. W rogu mostka, na oddzielnym barierką stanowisku kapitana brzęknął, a potem rozdzwonił się dzwonek. Czytając krótką wiadomość, przesłaną mu ze stanowiska operatora, kapitan Bradley skrzywił się z niezadowoleniem i skinął ręką.

– Raporty statków zwiadowczych negatywne – przeczytał głośno drugi oficer, który akurat miał wachtę. – Ciągłe nic – oficer zmarszczył brwi w zamyśleniu. – Szukają już poza granicami zasięgu ewentualnych wraków. Dwa niewyjaśnione zaginięcia w ciągu miesiąca.

Najpierw “Dione”, a potem “Rhea” i żadnych śladów, żadnej szalupy. To nie wygląda dobrze, sir. Jeden, to mógłby być wypadek, dwa można by uznać za koincydencję... – zawiesił głos.

– Przy trzecim stanie się regułą – dokończył kapitan. – Cokolwiek to było, musiało ich zaskoczyć. Żaden nie miał czasu, by wysłać wiadomość. Rejestratory położenia po prostu zamarły. Z drugiej strony, ich wyposażenie nawigacyjne było dużo gorsze od naszego. A według obserwatoriów przestrzeń wokół jest pusta. Chociaż w tej materii, to bym nie wierzył ani tym z Tellusa, ani z Luny. Wydał pan nowe rozkazy?

– Tak jest, sir. Detektory na maksa. Tarcze aktywowane na wszystkich trzech osiach, miotacze obsadzone ludźmi, wszystkie zespoły na stanowiskach. Każdy wykryty obiekt zostanie natychmiast sprawdzony.

Statki będą ostrzegane, żeby nie zbliżały się poniżej strefy bezpieczeństwa. Wszystko, co wejdzie do czwartej strefy, zostanie zniszczone.

– W porządku. Proszę trzymać dotychczasowy kurs!

– Nie ma takiego statku, który mógłby ich załatwić bez śladu – powiedział drugi oficer. – Myśli pan, że coś jest w tych głupawych pogłoskach?

– Phi! Jasne, że nie! – prychnął kapitan. – Piraci w statkach szybszych niż światło, fale podprzestrzenne, bezinercyjne silniki, antygravitacja. Śmieszne! Tyle razy udowodniano, że to niemożliwe. Nie, panie Drugi, jeśli piraci działają w przestrzeni — a na to wygląda — nie mają szans przeciw dużej baterii, pełnej kilowatogodzin, potężnym trójwymiarowym tarczom i sprzężonym miotaczom, obsadzonym dobrymi strzelcami. Możemy stawić czoła wszystkim. A piratów, Neptunian, anioły i diabły, na statkach czy na miotłach — jeśli zaatakują “Hyperiona”, zetrzemy z przestrzeni!

Oficer wachtowy odszedł od stanowiska kapitana, powracając do swoich obowiązków.

Sześć wielkich ekranów obsadzonych obserwatorami pokazywało pustkę. Ich dalekosiężne, ultraczułe detektory nie wykrywały żadnych przeszkód. Miliony kilometrów przestrzeni były puste. Wskaźniki na stanowisku pilota były ciemne, a dzwonki alarmowe milczały. Błyszczący punkt świetlny na siatce mikrometrycznej ekranu nawigacyjnego stał dokładnie na przecięciu współrzędnych kierunkowych celownika, wskazując, że olbrzymi statek leży precyzyjnie na kursie, dokładnie tak jak wyliczyły to automaty. Wokół panował spokój i całkowity porządek.

– Wszystko w normie – zameldował zwięźle kapitanowi Bradleyowi.

Niestety to stwierdzenie było dalekie od rzeczywistości.

Niebezpieczeństwo, zupełnie niespodziewane i dużo gorsze, bo wewnętrzne, pojawiło się w najbardziej witalnej części statku. W

zamkniętym i chronionym przedziale, głęboko we wnętrzu liniowca, znajdował się ogromny regenerator powietrza. Nad głównym przewodem — aortą, którą płynął strumień czystego powietrza zaopatrujący cały statek — pochylała się jakaś postać. Ten człowiek, wyglądający groteskowo w ciężko opancerzonym skafandrze kosmicznym, pochylał się i wiercił w stalowej rurze otwór. Po chwili przewiercił się na wylot i z otworu wystrzelił cienki strumień uciekającego powietrza. Człowiek zatkał otwór, wkładając w niego ciasno dopasowaną gumową rurkę zakończoną gumowym balonem ze szklaną butelką w środku, po czym stanął bez ruchu, wpatrując się z napięciem w chronometr trzymany lewą ręką przed szybą stalowo-krzemowego hełmu. Uśmiechnął się z zadowoleniem i zamarł, czekając na dokładnie obliczony moment akcji — chwilę, gdy zgniecie butelkę i wpuści jej zawartość do systemu wymiany powietrza “Hyperiona”.

* * *

W salonie, na głównym pokładzie, jak co wieczór, odbywały się tańce. Orkiestra okrętowa ucichła i rozległy się słabe oklaski. Clio Marsden, najjaśniejsza gwiazda tego rejsu wyszła na pokład spacerowy, prowadząc swojego partnera na położony nieco wyżej taras obserwacyjny.

– Och, stąd nie widać Ziemi – wykrzyknęła. – Jak to się nastawia, panie Costigan?

– W ten sposób – Conway Costigan, barczysty pierwszy oficer liniowca, chwilę manipulował przy urządzeniu. – Ten ekran pokazuje w tył albo, inaczej, w dół, na Tellus, a tamten do przodu.

Dla oddalającego się statku Ziemia była jasno świecącym w dole półksiężycem. W górze, na tle całkowitej, niewyobrażalnej czerni, opryskanej gęsto bezwymiarnymi, jasno błyszczącymi punkcikami

gwiazd, z niewypowiedzianą wspaniałością świeciły rudawy Mars i srebrzysty Jowisz.

– Och, czy to nie jest wspaniałe! – wykrzyknęła z zachwytem dziewczyna. – Dla pana to oczywiście nic nowego, ale dla mnie, szczeniaczka... Mogłabym tak patrzeć i patrzeć. Dlatego po każdym tańcu wychodzę tutaj. Wie pan, ja...

Głos załamał jej się nagle z dziwnym westchnieniem. Tracąc przytomność, odruchowo złapała go za ramię. Spojrzał na nią, gdy padała bezsilnie na jego ręce i od razu zrozumiał, co oznacza wyraz jej oczu — rozszerzonych, osłupiałych, błyszczących i pełnych mrozącego krew w żyłach strachu. Zrobił wydech, opróżniając prawie całkowicie swoje płuca i powstrzymując się od oddychania, chwycił wiszący u pasa komunikator.

– Mostek! – wychrypiał, wciskając przycisk alarmu i pozbywając się reszty powietrza z prawie pustych już płuc. – Uwaga, gaz V dwa1.

Na wszystkich pokładach ogromnego kosmolotu głośniki powtórzyły ostrzeżenie Costigana, a on sam, powstrzymując płuca od wciągnięcia trującego powietrza, chwycił nieprzytomną dziewczynę i skoczył w kierunku najbliższej łodzi ratunkowej. Instrumenty muzyków z hałasem rąbnęły o podłogę, a tańczące pary bezradnie upadły na parkiet. Costigan rozsunął właz szalupy i rzucił się przez niewielką kabinę w kierunku zaworów powietrza.

Otworzył je całkowicie i przystawił usta do wylotu, pozwalając umęczonym płucom wciągnąć upragniony haust z wydostającego się z rykiem ze zbiorników zimnego strumienia.

Zaspokoiwszy częściowo brak powietrza ponownie wstrzymał oddech, otworzył awaryjny schowek i włożył jeden z trzymany tam skafandrów kosmicznych, otwierając szeroko zawory by wypchnąć z niego resztki trującego gazu.

Następnie podbiegł do swojej towarzyszki. Zamknął wylot powietrza i otworzył zawór czystego tlenu. Uciskając klatkę piersiową, zmusił jej płuca do wciągania tlenu, dopóki nie zaczęła sama spazmatycznie oddychać, kaszląc i krztusząc się, po czym zamknął tlen i ponownie puścił powietrze.

– Wstań! – krzyknął nagle, widząc, że odzyskuje przytomność. – Złap się tego i trzymaj twarz w strumieniu powietrza, dopóki nie znajdę dla ciebie skafandra. Zrozumiałaś?

Kiwnęła słabo głową, zapewniając, że da radę utrzymać się przy zaworze. Po minucie była już ubrana w ochronny skafander. Potem, gdy już usiadła na pokładzie, odzyskując siły, Costigan włączył dalekowszkie łodzi ratunkowej i skierował jego niewidzialny promień na mostek, gdzie zobaczył ubrane w skafandry postacie uwijające się przy panelach kontrolnych.

– Krecia robota – nadał do kapitana na prywatnym kanale, pomijając drogę służbową, tak jak to było przyjęte na statkach Unii Trójplanetarnej – sabotaż, gdzieś w regeneracji powietrza. Pewnie tak samo dostali tamte dwa. Piraci! Prawdopodobnie bomba zegarowa, bo nie wyobrażam sobie, jak ktoś mógłby się przedostać przez zabezpieczenia. Jedyne Franklin mógłby wyłączyć ekrany w tych pomieszczeniach. Rozejrzę się tam, a potem przyjdę na mostek.

– Co to było? – zapytała wstrząśnięta dziewczyna. – Przypominam sobie, jak mówiłeś “gaz V dwa”. Czy to nie jest zakazane? Och, Conway, uratowałeś mi życie. Nigdy ci tego nie zapomnę. Nigdy. Dziękuję. A inni? Co z resztą?

– Tak, to był V dwa. Masz rację, jest zakazany – odpowiedział ponuro Costigan, wpatrując się w mrugający ekran, skierowany teraz głęboko do wnętrza statku. – Jego użycie jest karane śmiercią. Gangsterzy i piraci używają go, gdy skazani za coś innego, nie mają już nic do stracenia. A co

do uratowania życia, to jeszcze nie koniec. Zanim to wszystko się skończy, możesz jeszcze żałować, że nie zostawiłem cię tam. Tamci pasażerowie są już zbyt długo bez tlenu. Parę sekund dłużej i ciebie też bym nie mógł ocucić. Mamy na pokładzie skuteczne antidotum, jesteśmy przygotowani, bo wszyscy piraci używają V dwa. Za pół godziny, gdy powietrze się oczyści, będziemy mogli dosyć łatwo ożywić wszystkich, o ile tylko uda nam się przetrwać do tego momentu. O, w pobliżu regeneratora powietrza jest ktoś, kto to zrobił. Ale nie Franklin, chociaż to skafander głównego mechanika. Ktoś z pasażerów go udaje. Zastrzelił Franklina i wziął jego skafander oraz narzędzia. Dziura w rurze, pssss i załatwione. Może miał zrobić tylko to, ale teraz i tak już nic więcej w życiu nie robi.

– Nie chodź tam! – zaprotestowała dziewczyna. – Jego opancerzony skafander jest znacznie lepszy niż ten awaryjny, który masz na sobie. Poza tym, on ma lewistona.

– Nie bądź idiotką! – oburzył się. – Nie można pozwolić, żeby żywy pirat biegał po statku. Zaraz będziemy mieli mnóstwo roboty z napastnikami z zewnątrz. Nie martw się. Nie mam zamiaru dać mu szansy. Wezmę standisha i zrobię z niego plamę na ścianie. Zostań tutaj, dopóki nie wrócę po ciebie – rozkazał, wyskakując na pokład spacerowy i zatraskując za sobą ciężkie drzwi szalupy.

Przeszedł przez salon, nie zwracając uwagi na porozrzucane tu i tam bezwładne ciała.

Podszedł do pustej ściany i manipulował przez chwilę prawie niewidocznym, wpasowanym w nią, panelem kontrolnym. Rozsunął ciężkie drzwi i podniósł standisha — ciężką i groźną broń, przypominającą nieco przerośnięty karabin, wyposażony w krótką lunetę złożoną z opalizujących soczewek i parabolicznych luster. Zgarbiony pod ciężarem broni pospieszył korytarzem do niewygodnej, stromej schodni, skąd przedostał się do

regeneratora powietrza. Uśmiechnął się drapieżnie na widok zielonkawej poświaty przesłaniającej drzwi i ściany — ekran był aktywny, a pirat siedział w środku, trując powietrze “Hyperiona” straszliwym gazem V2.

Ustawił swoją niecodzienną broń na trzech masywnych rozkładanych nogach, przykucnął za nią i nacisnął spust. Ciemnoczerwony promień o ogromnej mocy wystrzelił w ekran ochronny, wzniecając swoim uderzeniem snop iskier wielkości błyskawic. Pod ogniem standisha tarcza poddała się po kilku sekundach, a zielonkawa poświata zgasła. Metalowe drzwi pod nią zaczęły zmieniać kolor, poczerwieniały, potem żółkły i stały się oślepiająco białe, by w końcu dosłownie eksplodować stopione, odparowane, wypalone. Przez powstały otwór Costigan zobaczył pirata w opancerzonym skafandrze głównego mechanika. Pancierz był odporny na strzały z broni palnej i mógł nawet przez krótki czas wytrzymać straszliwy promień broni Costigana. Pirat był również uzbrojony — zabójczy strumień żaru z jego lewistona uderzył z hałasem w pole siłowe tarczy standisha rozrzucając kłęby iskier. Ale niszczący promień piekielnej broni Costigana nie był jej jedynym atutem. Costigan nacisnął spust, rozległ się podwójny huk wystrzału, ogłuszający w tej niewielkiej przestrzeni i ciało pirata dosłownie rozpląnęło się w powietrzu, gdy półkilogramowy granat przebił się przez jego pancierz i eksplodował. Costigan zabezpieczył broń i bez śladu emocji obejrzał pomieszczenie regeneratora. Upewnił się, że nie doszło do żadnych poważnych uszkodzeń urządzenia, płuc wielkiego statku kosmicznego.

Rozmontował standisha, zaniósł go z powrotem do salonu, umieścił w sejfie i zamknął. Potem poszedł do szalupy, gdzie Clio rozpląkała się z ulgą widząc go w całości.

– Och, Conway, tak się bałam, że coś ci się stanie – powtarzała, gdy prowadził ją w górę na mostek. – Ale ty chyba nie myślisz... – urwała.

– Oczywiście, że nie – odpowiedział lakonicznie. – Dobrze się czujesz? Wszystko w porządku?

– W porządku, tak sędę. Tylko wystraszyłam się na śmierć i omal że nie oszalałam.

Pewnie się do niczego nie przydam, ale jeśli mogłabym coś zrobić, to możesz na mnie liczyć.

– Jasne, w tej sytuacji na pewno się przydasz, bo jeśli nie liczyć tych, co zostali ostrzeżeni, tak jak ja i mogli wstrzymać oddech do czasu założenia skafandra, wszyscy są załatwieni.

– A jak ty się zorientowałaś? Nie było żadnego zapachu ani niczego.

– Zobaczyłem twoje oczy. Wchłonęłaś gaz o sekundę wcześniej. Byłem już w takiej sytuacji. Jak raz zobaczysz człowieka wdychającego to paskudztwo, to nigdy nie zapomnisz.

Mechanicy na dole zostali oczywiście załatwieni najwcześniej. Musiało ich zmieść. Potem my w salonie. Twoja reakcja ostrzegła mnie, a ja szczęśliwie miałem wystarczająco dużo powietrza w płucach, by nadać ostrzeżenie. W ten sposób kilku facetów na górze miało czas, żeby uciec.

Zobaczymy ich na mostku.

– To dlatego mnie ocuciłeś, z wdzięczności za uprzejme ostrzeżenie o ataku gazowym?

– roześmiała się, próbując zamaskować strach.

– Jasne, że tylko dlatego – odparł pogodnie. – To tutaj. Zaraz się dowiemy, co dalej.

Na mostku przebywało przynajmniej tuzin opancerzonych postaci, teraz już spokojnie siedzących przy swoich stanowiskach, skoncentrowanych i przygotowanych. Szczęściem, na dole w salonie trafiło na Costigana, mimo młodego wieku, weterana kosmosu i w dodatku mającego doświadczenie z tym okropnym zakazanym przez prawo gazem. Szczęściem również, że

miał on dość przytomności umysłu i wytrzymałości fizycznej, by powstrzymać się od wciągnięcia paralizującego powietrza do płuc i nadać ostrzeżenie. Kapitan Bradley, wachtowi, kilku oficerów, weteranów kosmicznych, przebywających w kajutach lub mesach, zareagowali błyskawicznie na wychrypiane przez głośniki ostrzeżenie. Słyszając słowa “V dwa”, na wdechu czy wydechu, wstrzymali oddech i dosłownie wskoczyli w swoje opancerzone skafandry, przepłukując je dużymi ilościami czystego powietrza i powstrzymując się od oddychania, aż do ostatniej chwili, tak długo, jak tylko płuca były w stanie to wytrzymać.

Costigan pokazał dziewczynie wolny fotel, a sam ostrożnie przebrał się w opancerzony skafander.

– Coś widać, sir? – zapytał kapitana salutując. – Powinni już coś zacząć.

– Zaczęli, ale nie możemy ich namierzyć. Próbowaliśmy ogłosić alarm dla sektora, ale zagłuszają nas. Niech pan spojrzy!

Idąc za wzrokiem kapitana, Costigan popatrzył na główny panel kontrolny statku. Na ekranie, zamiast ruchomego, żywego, trójwymiarowego obrazu, było widać jedynie oślepiające błyski białego światła. Z głośnika, zamiast zrozumiałych dźwięków, wydobywał się nieprzyjemny, zgrzytliwy hałas.

– Zupełnie nieprawdopodobne – wykrzyknął gwałtownie Bradley – ale w czwartej strefie, w promieniu stu tysięcy kilometrów, nie ma nawet grama metalu, a przecież, żeby nas zagłuszać w ten sposób, muszą być o wiele bliżej. Zdaniem Drugiego, niekoniecznie. A pan co sądzi, Costigan?

Pewny siebie i konserwatywny dowódca ze starej szkoły był rozwścieczony. Powstrzymywał się, rwąc do zwarcia z niewidzialnym i niewykrywalnym wrogiem. Stojąc twarzą w twarz z niewyjaśnialnym, z niezwykłą u niego tolerancją oczekiwał opinii młodszego mężczyzny.

– To nie tylko prawdopodobne, ale ewidentnie wskazuje, że oni mają coś, czego my nie mamy – powiedział z goryczą Costigan – bo dlaczego mieliby nie mieć? Nigdy nie dostajemy niczego, co nie byłoby latami testowane, a piraci zawsze mają nowe wynalazki, jak tylko się pojawią. Nasza przewaga w tym, że udało nam się częściowo wysłać wiadomość i statki zwiadowcze będą mogły złapać trop. Piraci o tym dobrze wiedzą, więc nie będą zwlekać – skonkludował ponuro.

Miał rację. Zanim powiedział coś więcej, zewnętrzna tarcza rozbłysła białym światłem pod uderzeniem okropnej siły i jednocześnie na ekranie pojawił się żywy obraz pirackiego statku, wielkiej, czarnej torpedy ze stali, emitującej jaskrawe niszczycielskie promienie.

“Hyperion” błyskawicznie odpowiedział ogniem swojego potężnego uzbrojenia, rozżarzając płomieniami tarcze napastnika. Ciężkie działa, których odrzut trząsł i szarpał całym gigantycznym statkiem, wyrzucały tony niszczących pocisków. Kapitan pirackiego statku znał jednak dokładnie możliwości liniowca i wiedział, że jego uzbrojenie jest niezdolne przełamać siłę, którą dowodzi. Jego ekrany były nie do przebicia, pociski eksplodowały bezskutecznie w przestrzeni, daleko od celu. Nagle z czarnego kadłuba pirata wytrysnął jaskrawy strumień ognia.

Przebił pustą przestrzeń, potężne tarcze i twardy metal zewnętrznego oraz wewnętrznego poszycia statku. Broń “Hyperiona” zamilkła, a przyspieszenie spadło do jednej czwartej normalnej wartości.

– Dokładnie w baterie – jęknął Bradley. – Teraz lecimy na zasilaniu awaryjnym.

Nasze miotacze są załatwione i nie wydaje się, żebyśmy mogli strzelać z dział!

Nawet, jeśli działa mogłyby strzelać, to następny strzał uciszył je na zawsze, dziurawiąc mostek i ścierając z egzystencji pilota, strzelców,

stanowiska obserwacyjne i ludzi je obsługujących. Powietrze uciekło w próżnię, a wraz ze spadkiem ciśnienia na mostku skafandry ocalałej trójki nabrały sztywności skóry na bębnie.

Costigan popchnął lekko kapitana w kierunku ściany, potem chwycił dziewczynę i skoczył za nią.

– Wynośmy się stąd, szybko! – krzyknął. Wmontowane w hełm miniaturowe radio automatycznie przejęło funkcję przekazu mowy w chwili, gdy membrany dźwiękowe przestały działać. – Nie widzą nas. Nasze tarcze wciąż są aktywne i osłaniają nas przed ich urządzeniami szpiegującymi. Działają na podstawie planów. Teraz pewnie rąbną w pana stanowisko.

W chwili, gdy znaleźli się przy drzwiach stanowiących teraz zewnętrzną klapę śluzy, kolejny strzał piratów uderzył w miejsce, gdzie byli przed chwilą.

Pospieżyli przez śluzę, potem na dół, przez kilka pokładów pasażerskich, do łodzi ratunkowej z wejściem szerokim na całą długość holu trzeciej klasy — idealnego miejsca do obrony lub ucieczki w przestrzeń tym miniaturowym kosmolotem. Gdy już się tam znaleźli, poczuli jak ich ciężar rośnie. Bezsilny liniowiec zwiększał przyspieszenie, aż do osiągnięcia normalnej wartości.

– Jak pan myśli, Costigan – zapytał kapitan – wiązka holownicza?

– Z pewnością coś w tym rodzaju. Gdzieś nas pospiesznie holują. Pójdę i przyniosę parę standishy i jeszcze jeden ciężki skafander. Musimy się okopać.

Wkrótce małe pomieszczenie zamieniło się w prawdziwą fortecę przygarniając dwie z tych wspaniałych machin zniszczenia. Potem pierwszy oficer wyszedł na trochę dłużej i wrócił z kompletnym opancerzonym

skafandrem próżniowym Unii Trójplanetarnej, takim samym jak jego i kapitana, tylko znacznie mniejszym.

– Dla większego bezpieczeństwa lepiej będzie jak się przebierzesz, Clio. Ten awaryjny skafander nie jest odpowiedni w czasie bitwy. Strzelałaś już kiedyś ze standisha? Chyba nie?

– Nie, ale myślę, że szybko się nauczę – odparła odważnie.

– Tu i tak nie da się ustawić więcej niż dwa na raz, ale powinnaś wiedzieć, jak to zrobić, gdyby jeden z nas odpadł. A zanim zmienisz skafander, zainstaluj sobie trochę tych urządzeń, mikrofonów i czujników służb specjalnych. Przyklej sobie taśmą ten mały dysk na piersi, niżej, żeby nie było widać. Najlepiej tu, pod obojczykiem. Zdejmij zegarek i załóż ten. Nigdy go nie zdejmuj, nawet na sekundę. Włóż te perły i także noś cały czas. Tę kapsułkę ukryj gdzieś na skórze, w miejscu, gdzie nie da się jej zobaczyć bez bardzo szczegółowych poszukiwań. W razie niebezpieczeństwa połknij ją, to bardzo łatwe. Działa zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz. Jest najważniejsza ze wszystkiego. Nawet jak stracisz wszystkie inne urządzenia, to z tą kapsułką możesz dalej działać. Bez niej cały system rozpada się na kawałki. Z tym wyposażeniem, jeśli zostaniemy rozdzieleni, możesz się z nami komunikować, rozmawiać. Obaj to nosimy, chociaż w trochę innej formie. Nie musisz mówić głośno, wystarczy subwokalizować. To jest poręczne, małe wyposażenie, prawie niemożliwe do znalezienia i potrafiące wiele rzeczy.

– Dzięki, Conway, zapamiętam – odpowiedziała Clio, kierując się do małego przedziału, by wykonać jego instrukcje. – A patrole i statki zwiadowcze nie przyjdą nam z pomocą? Operator wysłał ostrzeżenie.

– Obawiam się, że w pobliżu nie ma nikogo, przynajmniej wystarczająco blisko.

W czasie tej rozmowy kapitan Bradley stał w milczeniu i tylko gdy Costigan powiedział: “obaj to nosimy”, jego oczy zaokrągliły się lekko ze zdumienia. Dopiero, kiedy Clio zniknęła za drzwiami, na jego twarzy pojawił się wyraz zrozumienia.

– Rozumiem – powiedział z szacunkiem, daleko większym szacunkiem niż dotychczas, gdy zwracał się do swojego pierwszego oficera. – To znaczy, że my obaj będziemy nosić to wkrótce. Powiedział pan: “wyposażenie służb specjalnych”, ale nie pamiętam, żeby pan mówił o jakie dokładnie służby chodzi?

– Teraz, jak pan to wspomniał, to wydaje mi się, że rzeczywiście nie mówiłem – uśmiechnął się Costigan.

– To wyjaśnia niektóre rzeczy dotyczące pana, zwłaszcza to szybkie rozpoznanie V dwa i tę niezwykłą sprawność i szybką reakcję. Ale czy nie...

– Nie – przerwał mu Costigan – Ta sytuacja, całościowo, jest zbyt poważna, by pozwolić na jakieś ryzyko. Jeśli uda nam się z tego wyjść, zabiorę jej to wszystko i nigdy się nie dowie, że to nie jest standardowe wyposażenie. A jeśli chodzi o pana, to wiem, że potrafi pan trzymać język za zębami. Dlatego wieszam ten złom na panu. Miałem tego więcej, lecz spaliłem wszystko standishem, z wyjątkiem tego, co wziąłem dla naszej trójki. Bez względu na to, co pan myśli, jesteśmy w prawdziwych tarapatach, a nasze szanse wydostania się są niedalekie od zera...

Urwał, bo wróciła dziewczyna, wyglądająca teraz jak niewysoki funkcjonariusz Unii Trójplanetarnej, po czym wszyscy troje przygotowali się na długie i nudne oczekiwanie. Godzina po godzinie lecieli przez przestrzeń, aż w końcu poczuli gwałtowne kołysanie i nagły wzrost przyspieszenia. Po krótkiej naradzie kapitan Bradley włączył dalekowizor i ustawivszy go na minimalną moc, zaczął ostrożnie rozglądać się w

kierunku przeciwnym do tego, gdzie spodziewał się zobaczyć statek piratów. Wpatrywali się wszyscy troje w ekran, widząc jedynie bezgraniczną pustkę, poznaczoną nieskończenie dalekimi i zimnymi błyskotkami gwiazd. Gdy tak wpatrywali się w przestrzeń, rozległy obszar nieba zaczął się zaciemniać i pojawiła się ogromna kula leciutko oświetlona dziwną niebieską poświatą, sfera tak wielka i tak bliska, że sprawiało to wrażenie upadku w dół, na planetę. Chwilę później zatrzymali się i przez moment panowała nieważkość. Przed nimi gładko rozsunięła się szeroka brama, "Hyperion" został wciągnięty do góry, przez śluzę i zawisł spokojnie w powietrzu ponad niewielkim, ale jasno oświetlonym i przyzwoicie wyglądającym miasteczkiem metalowych budynków. W chwilę później został łagodnie opuszczony, by spocząć w doku między ramionami standardowej kołyski.

– No cóż, gdziekolwiek to jest, jesteśmy na miejscu – podsumował ponuro kapitan Bradley.

– A teraz zaczną się fajerwerki – zgodził się Costigan, spoglądając pytająco na dziewczynę.

– Mną się nie przejmuj – odpowiedziała na niezadane pytanie – nie wierzę w celowość poddania się.

– Racja – i obaj mężczyźni pochylili się za osłoną pół siłowych swoich budzących grozę miotaczy, a dziewczyna przykucnęła za nimi.

Nie musieli długo czekać. Grupa humanoidów — ludzi, a według wszelkich oznak Amerykanów — pojawiła się, bez broni, w małym holu. Jak tylko weszli w głąb pomieszczenia, Bradley i Costigan, bez wahania, otworzyli w ich kierunku ogień z miotaczy. Przez właz runęła podwójna wiązka skoncentrowanego zniszczenia. Bez żadnego efektu. Kilka metrów od celu napotkała nieprzenikliwą zaporę. Obaj strzelcy natychmiast nacisnęli spusty i broń zaczęła z rykiem wyrzucać strumień wybuchających

pocisków. Również bez skutku. Pociski uderzały w tarczę i znikaly, nie eksplodując i nie pozostawiając żadnego śladu swojego istnienia.

Costigan poderwał się, ale zanim zdążył wykonać zamierzony atak, przed nim pojawił się obszerny tunel. Coś przeleciało przez całą szerokość liniowca, bez wysiłku wycinając gładki cylinder pustki. Powietrze runęło wypełniając próżnię, a cała trójka została obezwładniona przez niewidzialne siły i wessana do tunelu. Zostali poniesieni w kierunku budynków, a potem ponad nimi i w końcu skierowani w dół, ku drzwiom jakiejś wielkiej, wysokiej budowli. Drzwi otworzyły się i zamknęły za nimi, a oni zostali postawieni na podłodze w pomieszczeniu wyglądającym ewidentnie na biuro jakiegoś bardzo zapracowanego kierownika. Stali twarzami do biurka wyposażonego, w dodatku do zwykłych przyborów biznesmena, również w niesamowity zestaw przełączników i paneli kontrolnych.

Za biurkiem siedział nieruchomo szary mężczyzna. Był nie tylko ubrany całkowicie na szaro, ale również miał szare oczy i bujne szare włosy. Nawet jego opalona skóra wydawała się nabierać szarego odcienia. Jego obezwładniająca osobowość promieniowała aurą szarości. Nie łagodną szarością gołębia, lecz bezwzględną, zniewalającą szarością okrętu wojennego; twardą, sztywną i kruchą szarością przełomu stali wysokowęglowej.

– Kapitanie Bradley, pierwszy oficerze Costigan, panno Marsden – powiedział spokojnie, ale z naciskiem – nie przewidywałem, że pożyjecie tak długo. Ale to drobiazg, którym zajmiemy się za chwilę. Zdejmijcie swoje skafandry.

Żaden z oficerów nie poruszył się, obaj patrzyli na niego niewzruszenie.

– Nie przywykłem do powtarzania moich poleceń – kontynuował mężczyzna nie podnosząc głosu, ale słycać było w nim śmiertelną groźbę.

– Możecie wybrać czy zdjąć skafandry, czy umrzeć w nich, tu i teraz.

Costigan odwrócił się do Clio i powoli zdjął z niej skafander. Potem, po krótkiej wymianie spojrzeń i subwokalizowanych słów, obaj oficerowie rzucili jednocześnie skafandry i otworzyli ogień; Bradley ze swojego lewistona, a Costigan z dużego automatycznego pistoletu eksplodującymi pociskami o dużej sile. Szary mężczyzna, otoczony nieprzenikliwym polem siłowym, tylko się uśmiechnął z politowaniem i irytacją na tę strzelaninę. Costigan rzucił się gwałtownie, aby zostać odrzucony z powrotem przez niewidzialną ścianę. Złośliwe pole zepchnęło go na miejsce, wytrącając broń i po chwili cała trójka stała tam, gdzie przedtem.

– Pozwoliłem na to, by zademonstrować nieefektywność takiego zachowania – powiedział szary mężczyzna twardszym tonem – ale nie pozwolę na dalsze głupoty. Teraz się przedstawię. Jestem znany jako Roger. Prawdopodobnie nigdy o mnie nie słyszeliście. Bardzo niewielu Tellurian o mnie słyszało i bardzo niewielu usłyszy. To, czy wy dwaj zostanieie przy życiu, zależy jedynie od was. Będąc czymś w rodzaju badacza ludzi, boję się, że obaj wkrótce umrzecie. Jesteście zdolni i wykształceni, jak to sami udowodniliście i moglibyście okazać się dla mnie bardzo przydatni. Prawdopodobnie jednak do tego nie dojdzie i w takim przypadku zostanieie zlikwidowani. Wszystko zresztą w swoim czasie. Postaram się was jednak w pewien sposób wykorzystać. Natomiast co do pani, panno Marsden, nie mogę się jeszcze zdecydować. Są dwie możliwości, obie atrakcyjne, ale wykluczające się nawzajem. Pani ojciec pewnie chętnie zapłaci duży okup za panią, chociaż z drugiej strony, zastanawiam się czy nie wykorzystać pani do badań nad popędem seksualnym.

– Tak? – Clio wyprężyła się wspaniale przy tej okazji. Zapomniała o strachu, jasne młode oczy zabłysły odwagą, a ciało wyprężyło, emanując oporem. – Myślisz, że zrobisz ze mną wszystko, co będziesz chciał. Nigdy!

– To jest właśnie dziwne i wysoce niezrozumiałe, dlaczego w przypadku młodych kobiet ten jeden bodziec powoduje taką całkowicie nieproporcjonalną reakcję? – Roger wpatrywał się intensywnie w Clio. Dziewczyna zadrżała i spuściła oczy. – Tym bardziej że sam seks, pierwotna, podstawowa i najszerzej rozpowszechniona konsekwencja życia w tym kontinuum, jest pełen nielogiczności i paradoksów. Te badania są bardzo frustrujące, niemniej uważam, że należy je kontynuować.

Roger nacisnął przycisk i w pomieszczeniu pojawiła się postawna kobieta w nieokreślonym wieku i nieznaney narodowości. – Pokaż panie Marsden jej pokój – polecił.

Kobiety wyszły, a w wejściu pojawił się mężczyzna.

– Statek rozładowany – zameldował. – Dwóch mężczyzn i pięć kobiet z listy zabrano do szpitala.

– Bardzo dobrze, pozostałych pozbadźcie się w zwykły sposób.

Podwładny wyszedł, a Roger kontynuował beznamiętnie: – Pozostali pasażerowie mogliby być razem wari z milion, ale nie będę na nich tracił czasu.

– Kim ty jesteś? – wybuchnął Costigan, bezsilny, ale zbyt rozwścieczony, by zachować ostrożność. – Słyszałem o szalonych naukowcach próbujących zniszczyć Ziemię i o równie szalonych geniuszach uważających się za Napoleonów zdolnych do podbicia nawet całego Układu Słonecznego. Którymkolwiek z nich jesteś, wiedz, że ci się nie uda.

– Żadnym, chociaż jestem naukowcem i kieruję wieloma naukowcami. Nie jestem szalony i z pewnością zauważyliście tutaj kilka niezwykłych rzeczy.

– Tak, zwłaszcza sztuczną grawitację i te ekrany ochronne. Zwykłe pole siłowe jest opalizujące z jednej strony i nie powstrzymuje materii. Wasze

ekrany są przezroczyste w obu kierunkach i bardziej niż odporne na materię. Jak to jest możliwe?

– Nawet, gdybym wam to wytłumaczył i tak nie zrozumiecie, a to jedynie dwa z naszych mniejszych wynalazków. Nie mam zamiaru niszczyć waszej planety; nie pragnę też zostać władcą bezproduktywnych i bezmózgich ludzkich mas. Niemniej mam swoje cele. Do ich realizacji potrzebuję dużych ilości złota, uranu, toru i radu. Wszystko to uzyskam na planetach Układu Słonecznego, zanim go opuszczę. Zabiorę to, nie zważając na dziecinne wysiłki flot waszej Unii Trójplanetarnej.

– Ta konstrukcja, zaprojektowana i zbudowana pod moim kierownictwem, jest niewykrywalna i niewidzialna. Fale rozchodzące się w próżni zakrzywiają się wokół niej bez strat i zniekształceń. Przed meteorami chronią ją zaprojektowane przeze mnie pola ochronne.

Mówię o tym, żeby uświadomić wam, w jakiej jesteście sytuacji. Bo jak już wspominałem, moglibyście mi się przydać.

– A co pan może zaoferować człowiekowi, który dołączy do pańskiego zespołu? – zapytał zjadliwie Costigan.

– Wiele rzeczy – głos Rogera nie zdradzał żadnych emocji, żadnej reakcji wskazującej, że zauważył pozbawiony szacunku ton Costigana. – Kieruję wieloma ludźmi, związanymi ze mną na różne sposoby. Potrzeby, pragnienia, tęsknoty i żądze są różne u różnych ludzi, a ja mogę je zaspokoić, praktycznie, w każdym przypadku. Wielu mężczyzn znajduje zadowolenie w towarzystwie młodych i pięknych kobiet, ale są też inne, całkiem skuteczne, motywacje.

Chciwość, żądza sławy, władzy i tak dalej, włącznie z rzeczami zwykle uważanymi za “szlachetne”. A to czego obiecuję, to dostarczam. I żądam jedynie lojalności, w pewnym zakresie i przez krótki czas. Dostaję więc to, o co poproszę. Podsumowując, możecie mi się przydać, ale to nie znaczy,

że jesteście niezbędni. Pozwolę wam wybrać między służbą u mnie... i alternatywą.

– A co jest dokładnie tą alternatywą?

– Tego nie będę wyjaśniał. Wystarczy, jeśli powiem, że ma to związek z drobnym tematem badawczym, w którym nie ma zadowalających wyników. Dla was to nie będzie szczególnie przyjemne i zakończy się śmiercią.

– Ja mówię NIE, ty... – ryknął Bradley. Miał zamiar wyrzucić z siebie wszystko, co o tym myśli, ale został brutalnie powstrzymany.

– Zaczekaj chwilę – krzyknął Costigan. – A co z panną Marsden?

– Jej ta rozmowa nie dotyczy – odpowiedział chłodno Roger. – Ja się nie targuję.

Jestem przekonany, że będzie tu jakiś czas. Myśli, że będzie mogła popełnić samobójstwo, jeśli nie pozwolę jej wykupić, ale przekona się, że nie dostanie takiej możliwości bez mojej zgody.

– W taki razie przyłączam się do kapitana. Zgadzam się w pełni z tym, co chciał powiedzieć o tobie – warknął Costigan.

– Wasz wybór. Wcale mnie to nie dziwi. – Szary mężczyzna nacisnął przycisk i w drzwiach pojawiło się dwóch zbirów. – Wsadźcie ich do osobnych cel na drugim poziomie – poleciał – i przeszukajcie. Pomimo zdjęcia skafandrów, wciąż mogą mieć broń. Zabezpieczcie dobrze wejścia, a system alarmowy podłączcie tutaj.

Więźniów dokładnie przeszukano, ale żadnej broni nie znaleziono. Na komunikatory nie zwrócono uwagi. Ich użycie zostałyby natychmiast wykryte. Tak przynajmniej uważał Roger, więc jego ludzie w ogóle nie szukali mikrofonów, czujników i szpiegowskich urządzeń “służb specjalnych” Costigana. Urządzenia te, mikroskopijnych rozmiarów i zużywające minimalne ilości energii, pracowały w zakresie podprzestrzeni, wykazując się skutecznością na wielkich odległościach i nie generowały na

poziomie zwykłej czasoprzestrzeni żadnych drgań. A cóż mogłoby być bardziej niewinnego niż zwyczajne wyposażenie oficera na służbie. Ciężkie gogle, zegarek na rękę i dodatkowo kieszonkowy chronometr, lampa błyskowa, zapalniczka automatyczna, pas na pieniądze?

Wszystkie elementy tego wyposażenia sprawdzono z odpowiednią dokładnością.

Urządzenia te zostały jednak zaprojektowane przez najbystrzejsze umysły w Unii Trójplanetarnej w taki sposób, żeby przeszły przez każdą zwyczajną kontrolę, nawet najdokładniejszą, więc kiedy Costigan i Bradley zostali w końcu zamknięci w celach, wciąż mieli swój tajny sprzęt.

[†]Smith nawiązuje do V-gazów — gazów bojowych, działających na układ krwionośny i nerwowy, uważanych za najbardziej śmiertelne środki paralityczno-drgawkowe zsyntezowane dotychczas przez człowieka.

Rozdział 8

PLANETOIDA ROGERA

W holu, Clio rozejrzała się dziko, szukając jakiegokolwiek możliwości ucieczki. Zanim jednak zdążyła coś przedsięwziąć, jej ciało zostało ściśnięta jak w imadle, tak że nie mogła się ruszyć.

– Ucieczka, czy cokolwiek oprócz tego, czego życzy sobie Roger, nie ma sensu – poinformowała ją ponuro strażniczka, wyłączając trzymane w ręku urządzenie i przywracając unieruchomionej dziewczynie zdolność poruszania się.

– Jego najdrobniejsze życzenie jest prawem – kontynuowała, prowadząc ją długim korytarzem. – Im wcześniej zrozumiesz, że musisz robić dokładnie to, czego on chce, tym dłużej uda ci pożyć.

– A jeśli ja wcale nie chcę dłużej pożyć – oświadczyła z przekonaniem Clio. – Przecież zawsze mogę umrzeć!

– Tak ci się tylko wydaje – odpowiedziała obojętnie strażniczka. – Jeśli nie będziesz współpracować, zatęsknisz za śmiercią i będziesz się o nią modliła, ale nie umrzesz tak długo, dopóki on tego nie zechce. Popatrz na mnie: nie mogę umrzeć. Tu jest twoja kwatera. Zostaniesz tu, dopóki Roger nie wyda dalszych dyspozycji dotyczących ciebie.

Żywy automat otworzył drzwi i czekał bez ruchu, dopóki Clio, spoglądając w przerażeniu, nie precisnęła się obok do zbytownie urządzonego apartamentu. Drzwi zamknęły się bezgłośnie i zrobiło się cicho jak w grobowcu. Nie była to taka zwyczajna cisza, ale nieopisanie doskonała, absolutna cisza, kompletny brak jakiegokolwiek dźwięku. Clio stanęła w tej ciszy bez ruchu. Spięta, sztywna i zdesperowana stała w tym

wspaniałym pokoju, walcząc z niemal obezwładniającym pragnieniem płaczu. Nagle, w pustym powietrzu, rozległ się beznamiętny głos Rogera.

– Jest pani przemęczona, panno Marsden. W tych warunkach będzie pani do niczego.

Proszę odpocząć, a żeby ten odpoczynek był efektywny, może pani uruchomić pole siłowe izolujące to pomieszczenie. Gdy pociągnie pani za ten sznur, odcięte zostanie wszystko, nawet mój głos... – Urwał w momencie, gdy dziko szarpnęła za sznur.

Rzuciła się na tapczan w ataku rozpaczliwego, zduszonego, ale buntowniczego płaczu. I wtedy znów usłyszała głos, ale nie uszami. Pojawiał się gdzieś w głębi niej, wewnątrz, wibrując w każdej kości, każdym mięśniu, tak że raczej go czuła niż słyszała.

– Clio? – poprosił – nic na razie nie mów...

Conway! Odetchnęła z ulgą, a każde włókno jej ciała zadrżało z nadzieją na dźwięk głębokiego, dobrze znanego głosu Conwaya Costigana.

– Zachowaj spokój – polecił – nie reaguj tak radośnie. Mogli tam zostawić jakąś pluskwę. Nie mogą mnie słyszeć, ale mogą usłyszeć ciebie. Gdy Roger mówił do ciebie powinnaś poczuć szorstkość tego naszyjnika, który ci dałem? Teraz, gdy otacza cię pole siłowe, perełki nie reagują. Jeśli czujesz coś podobnego pod bransoletką, odetchnij głęboko dwa razy.

Jeśli nie, możemy rozmawiać bez ograniczeń, tak głośno, jak chcesz.

– Niczego nie czuję, Conway – odpowiedziała radośnie. Zapomniała o łażach, znów była dawną, pogodną dziewczyną. – Więc to pole siłowe jest prawdziwe? Niezbyt w nie wierzyłam.

– I lepiej nie wierz zbyt mocno, bo w każdej chwili mogą je wyłączyć z zewnątrz.

Pamiętaj, co ci powiedziałem: ten naszyjnik ostrzeże cię przed każdym urządzeniem szpiegowskim w przestrzeni, a bransoletka wykryje wszystkie

urządzenia podprzestrzenne. Na nasze komunikatory nie reaguje, bo to łączy bezpośrednio. Mam również połączenie z Bradleyem. Bądź dobrej myśli, mamy większą szansę niż mi się wydawało.

– Co? Nie mówisz tego poważnie?

– Oczywiście. Zaczynam wierzyć, że posiadamy coś, o czym on nawet nie wie, że istnieje — fale podprzestrzenne. Oczywiście, nie dziwi mnie, że nie znaleźli u nas niczego, ale nigdy wcześniej nie zdarzyło mi się, żeby używać tego bez przeszkód. Wciąż jeszcze nie mam całkowitej pewności, ale nie znalazłem nic, co by wskazywało, że mogą w ogóle wykryć stosowane przez nas pasmo. Zaraz uruchomię mój szpiegowski dalekowizor... Widzę cię.

Czujesz?

– Tak bransoletka reaguje, jak mówiłeś.

– Dobrze. Żadnych śladów interferencji w okolicy. Żadnych śladów fal podprzestrzennych, niczego związanego z podprzestrzemią. Nigdzie w pobliżu. Mają tu jednak takie mnóstwo rzeczy, o których nigdy nie słyszałem, że nawet by mi nie przyszło do głowy, że nie znają również fal podprzestrzennych. No, ale skoro nie znają, to mamy broń. Dobrze, Bradley i ja mamy teraz mnóstwo do zrobienia... Poczekaj chwilę, coś mi przyszło do głowy. Zaraz wrócę.

Nastąpiła krótka przerwa, a po chwili bezdźwięczny, niemniej wyraźny głos pojawił się ponownie.

– Dobre polowanie. Ta kobieta, która wprowadziła cię w ten ponury nastrój jest nieżywa. W środku jest pełna najpiękniejszej maszyny i obwodów, jakie zdarzyło mi się widzieć.

– Och, Conway – głos dziewczyny załamał się w ogarniającej ją fali wdzięczności i ulgi. – To tak bezgranicznie przerażające, gdy uświadomiłam sobie, co musiało spotkać ją i innych, takich jak ona.

– To jakieś kolosalne oszustwo. Jest w tym dobry, racja, ale brakuje mu sporo do wszechmocy. Niemniej nie bądźmy zbyt pewni siebie. Mnóstwo rzeczy się tutaj przytrafiło wielu ludziom i mnóstwo się może też nam przydarzyć, jeśli się nie postaramy. Jeśli będziesz coś potrzebować, zaciśnij usta i krzycz. Na razie!

Cichy głos umilkł, bransoletka na przegubie Clio znów stała się zwykłym zegarkiem, a Costigan, w pojedynczej celi dużo niżej od jej pokoju na wieży, skierował swoje dziwne gogle ku innym miejscom. Jego ręce z pozoru beczynn timer spoczywające w kieszeni, manipulowały małymi pokrętkami, a jego wyszkolony wzrok studiował szczegóły wyposażenia ogromnej kuli.

Po jakimś czasie zdjął gogle i subwokalizując, odezwał się do Bradleya, zamkniętego po drugiej stronie holu, w innej bezokiennej celi.

– Kapitanie, chyba wiem już wystarczająco dużo. Odkryłem, gdzie trzymają nasze skafandry i broń, zlokalizowałem też główne przejścia, sterownie i generatory. Wokół nas nie ma pól siłowych, ale wszystkie drzwi są nimi zabezpieczone, a przy naszych stoją strażnicy. To są roboty, nie ludzie, co trochę utrudnia sprawę, gdyż na pewno są połączeni z pulpitem Rogera i przy każdym wydarzeniu odbiegającym od normy podniosą alarm. Musimy poczekać, aż sobie gdzieś pójdzie. Widzi pan ten czarny panel, trochę poniżej wyłącznika, na prawo od drzwi? Pod nim idą przewody. Jak powiem, oderwiesz go pan. Jeden z przewodów będzie czerwony. To jest zasilanie generatora tarczy zabezpieczającej drzwi. Należy go przerwać. Spotkamy się w holu.

Żałuję, że mamy tylko jeden podprzestrzenny dalekowizor, ale jak będziemy razem, to powinniśmy dać sobie radę. Przede wszystkim powinniśmy... – zaczął omawiać szczegóły tego, co uważał za możliwe do zrobienia.

– Uwaga, wychodzi zza biurka – Costigan przerwał rozmowę po prawie godzinie. – Jak tylko się zorientuję, gdzie idzie, zaczynamy... Idzie do Clio, to świnia. To wszystko zmienia, Bradley! – Costigan zaklął.

– Zdaję sobie sprawę – nie wytrzymał kapitan – że coś was łączyło w czasie rejsu.

Jestem z wami, ale nie wiem, co tutaj możemy poradzić?

– Nie daruję – oświadczył ponuro Costigan – jak jej coś zrobi, dostanę go. Nawet, gdybym musiał wysadzić cały ten glob razem z nami.

– Nie rób tego, Conway – poczuli słaby i drżący, ale zdeterminowany głos Dziewczyny. – Jeśli jest szansa, żebyście uciekli i mogli z nim walczyć, nie zwracajcie na mnie uwagi. Zresztą, może on tylko chce porozmawiać o okupie.

– O okupie to z tobą rozmawiał nie będzie, on chce coś całkiem innego – Costigan zazgrzytał zębami. Nagle głos mu się zmienił. – A może tak będzie lepiej. Nie znaleźli naszego specjalnego wyposażenia, a teraz mamy zamiar narobić im mnóstwo szkody. Moim zdaniem, Roger, to nie jest typ bezpośredni, raczej lubi zabawę w kotka i myszkę. Jak zaczniemy, nie będzie miał raczej czasu na zajmowanie się tobą. Możesz go zwodzić i zabawiać przez około piętnaście minut?

– Na pewno. Zrobię wszystko, by pomóc nam, lub wam, w ucieczce z tego okropnego... – ucichła, gdy Roger wyłączył pole siłowe jej apartamentu i poszedł w kierunku tapczanu na którym skuliła się bezsilna i trzęsąca ze strachu.

– Przygotuj się, Bradley – polecił Costigan – on zostawił pole siłowe u Clio wyłączone, żeby móc odbierać wszystkie sygnały przekazywane z pulpitu. Jest przekonany, że nikt mu w tym pokoju nie będzie przeszkadzał. Tymczasem ja docisnąłem ten wyłącznik wiązką i włączyłem pole na pełną moc. Cokolwiek zrobimy, nie dostanie ostrzeżenia. Tyle że ja muszę

utrzymywać tę wiązkę dokładnie na wyłączniku, więc cała brudna robota spada na ciebie.

Przerwij ten czerwony drut i zabij strażników. Umiesz załatwić robota?

– Tak, potłuc soczewki oczne i pourywać małżowiny uszne. Wtedy zatrzymują się i wysyłają sygnał o uszkodzeniu... Załatwiłem obydwu. Co teraz?

– Moje drzwi, wyłącznik tarczy jest po prawej.

Drzwi Costigana otworzyły się i trójplanetarny kapitan wpadł do środka.

– Teraz po naszą broń – krzyknął.

– Jeszcze nie! – powiedział Costigan. Stał sztywno, z oczami w goglach, wpatrującymi się nieruchomo w plamę na suficie. – Nie mogę ruszyć się nawet na milimetr, dopóki nie zamkniesz pola siłowego Clio. Jeśli zdejmę wiązkę choć na sekundę, jesteśmy załatwieni. Pięć pięter w górę, potem prosto korytarzem, czwarte drzwi na prawo. Gdy będziesz przy wyłączniku, poczujesz moją wiązkę na bransoletce. Włącz go!

– Dobrze – kapitan skoczył z szybkością, której mogliby mu pozazdrościć mężczyźni dwa razy młodszy od niego.

Wkrótce był z powrotem, a Costigan sprawdzał pole siłowe “apartamentu dla nowożeńców”, by się upewnić, że żaden sygnał ostrzegawczy nie dosięgnie Rogera. Po chwili obaj oficerowie pospieżyli do miejsca, gdzie złożono ich skafandry.

– Niedobrze, że oni nie noszą mundurów – wydyszał Bradley, zdyszany biegiem po schodach. – Byłoby łatwiej ich oszukać.

– Wątpię, przy tylu robotach. One prawdopodobnie kontaktują się ze sobą w sposób niedostrzegalny dla nas. Spotkanie z kimkolwiek oznacza walkę. Zaczekaj. – Zaglądając przez ściany za pomocą swojego szpiegowskiego dalekowizora, Costigan zobaczył dwóch mężczyzn zbliżających się i blokujących korytarz, w który musieli skręcić. – Widzę

dwóch. Człowiek i robot, robot z twojej strony. Zaczekamy za rogiem i jak przejdą, załatwimy ich – powiedział, zdejmując gogle i przygotowując się do walki.

– Niczego nie podejrzewający piraci zostali zaatakowani, gdy tylko wyszli z za rogu.

Costigan, po wewnętrznej, wyprowadził szybki prawy prosty na tułów pirata. Mężczyzna zwinął się w pól, gdy twarda pięść zagłębiła się po nadgarstek w jego miękkim brzuchu. W tym momencie Costigan zobaczył, że za dwoma pierwszymi idzie trzeci pirat, uzbrojony w miotacz.

Reagując automatycznie, chwycił nieprzytomnego przeciwnika i zasłonił się nim. Przykucnął, by zmniejszyć maksymalnie cel rażenia, po czym wyprostował się jak sprężyna i rzucił martwe ciało prosto w ogień miotacza. Broń upadła na podłogę, a obaj piraci zwalili się razem bezładnie na stos. Costigan rzucił się na nich, szukając gardła przeciwnika. Tamten wywinął się i zaatakował, próbując wydlubać Costiganowi oczy, kopiąc go jednocześnie mocno w podbrzusze. To nie był robot, przeznaczony do wykonywania jakichś precyzyjnych mechanicznych czynności, lecz silny, zwinny mężczyzna, dobrze wytrenowany w sztukach walki i znający wszystkie triki swojej morderczej profesji.

Costigan również nie był nowicjuszem w tej dziedzinie. Niewiele było obezwładniających chwytów nieznanymi doborowym agentom Służb Trójplanetarnych. Costigan, będąc dowódcą sektora, znał je wszystkie. Tajni agenci nie stosowali walki wręcz dla przyjemności, sportu czy korzyści materialnych, ale gdy już zostali do niej zmuszeni, mieli tylko jeden ponury cel — zabić, zabić w najkrótszym możliwym czasie. Pirat wyprowadził morderczy *coup de sabot*. Costigan uchylił się minimalnie, na tyle tylko, by kopnięcie poszło bokiem. Chwycił jego stopę jak w szczęki pułapki na niedźwiedzia i wykręcił. Ostry wrzask ucichł natychmiast, gdy

tylko ciężki but uderzył w odpowiednio wybrane miejsce. Pirat był załatwiony, ostatecznie i na zawsze.

Starcie trwało nie dłużej niż dziesięć sekund i zakończyło się w chwili, gdy Bradley skończył oślepić i ogłuszać robota. Costigan podniósł miotacz, z powrotem założył swoje szpiegowskie gogle i pobiegli dalej.

– Dobra robota – powiedział Bradley. – To wymagało prawdziwych umiejętności.

Dlatego wziąłeś na siebie żywego?

– Praktyka pomaga, a ja mam trochę doświadczenia. Jestem też dużo młodszy i chyba trochę szybszy – wyjaśnił zwięźle Costigan, skanując uważnie korytarze, gdy biegli do przodu.

Po drodze napotkali jeszcze kilku strażników, zarówno żywych jak i mechanicznych, ale nie dali im zbyt dużo okazji do działania. Costigan zauważał ich pierwszy. Ogniem miotacza zabranego martwemu piratowi obracali ich w nicość i pędzili do zlokalizowanego wcześniej pomieszczenia. Ich trzy skafandry zostały zamknięte w pokoju, którego drzwi Costigan roztopił miotaczem, nie tracąc czasu na szukanie przewodów.

– No, tak to lubię – Costigan odetchnął z ulgą założywszy swój własny skafander. – Skafander Clio musimy zabrać ze sobą na dół. Zostawimy go przy wejściu do siłowni i zabierzemy, jak będziemy wracać. Nie mam nic przeciwko temu, żeby rozwalić to i owo, ale tych generatorów to mi naprawdę szkoda, u nas takich nie ma.

Nie bojąc się już ewentualnych strażników, ruszyli do siłowni — serca ogromnej kosmicznej fortecy. Spotykani strażnicy czy oficerowie sygnalizowali szaleńczo do swojego szefa, gdyż tylko on władał tymi przerażającymi siłami, ale ten, wbrew swoim zwyczajom, nie odzywał się. Ogień przeciwnika był bezsilny w obliczu pancerza skafandrów

kosmicznych, a piraci przebywający w bezpiecznym wnętrzu swojej planetoidy w zwykłych ubraniach znikali całkowicie w niszczącym ogniu lewistonów. Już będąc w wejściu do siłowni, poczuli obaj pierwsze i ostatnie wezwanie Clio, która nie wytrzymała i zawołała wbrew swojej woli o pomoc.

– Conway, pospiesz się. Jego oczy! On jest bliski szału.

W przerażonym głosie słyhać było trwogę dziewczyny. Oczami wyobraźni widzieli tę pogodną, beztroską, młodą ziemską kobietę na swojej pierwszej wycieczce w kosmos, zamkniętą wewnątrz pola siłowego z zarozumiałą, pozbawioną sumienia ludzką maszyną; superinteligentnym, lecz lubieżnym i niemoralnym mechanizmem z krwi i ciała, nieuznającym żadnych autorytetów i kierującym się jedynie niczym nieograniczonymi własnymi zainteresowaniami naukowymi oraz prawie równie silnymi impulsami żądz i szaleństwa.

Musiła walczyć wszelkimi dostępnymi środkami. Łkała, prosiła, złościła się i awanturowała, udawała, że się poddaje i grała na czas, ale jej walka nie wywarła najmniejszego efektu na bezlitosny i okrutny umysł istoty przedstawiającej się jako Roger. Obecnie, gdy irytująca zabawa w kotka i myszkę dobiegała końca i okropna szaro-brązowa twarz była coraz bliżej, wysłała tę ostatnią desperacką wiadomość do Costigana i zaatakowała go z furią tygryscy.

Costigan zmiął w zębach gorzkie przekleństwo.

– Kochanie, przytrzymaj go jeszcze chwilę – krzyknął rozwalając drzwi siłowni.

Dwa lewistony ustawione na pełną moc zamiotły w wielkim pomieszczeniu strumieniami śmierci i zniszczenia. Niektórzy strażnicy, szybsi niż koledzy, wycelowali bezsilne miotacze, miotacze eksplodujące pod działaniem uwalnianych błyskawicznie milionów kilowatogodzin

zakumulowanej energii. Skomplikowany i precyzyjnie dostrojony mechanizm rozleciał się, armatura zapaliła się, przewody wysokiego napięcia odparowały z hukiem wyładowań elektrycznych, masy metalu zostały okopcone i przypalone pod działaniem rozładowujących się ogromnych ilości energii, a miedź popłynęła strumieniem. Cała maszyna zamieniła się w na pół stopioną masę metalu. Czując nieważkość, obaj niszczyciele zorientowali się, że pierwszy etap swojego planu mają za sobą.

Costigan rzucił się do drzwi, biegnąc na pomoc Clio. Bradley, znacznie wolniejszy, niósł pusty skafander i uważał na ewentualny pościg. Żeglując w powietrzu Costigan skontaktował się z dziewczyną.

– Clio, idziemy! Trzymasz się? – zapytał ze strachem.

– W porządku, Conway – jej głos był ledwo rozpoznawalny, jak gdyby przerywany torsjami – mało już brakowało... ale on wtedy zauważył, że pole siłowe jest włączone i... zapomniał o mnie. Wyłączył pole... wygląda, jakby oszalał... rzuca się jak dzikus... próbuję go powstrzymać... od... zejścia na dół.

– Dzielna dziewczyna. Zajmij go jeszcze minutę. Dostał wszystkie ostrzeżenia na raz i chce się dostać do swojego panelu. A co z tobą? Zrobił... ci krzywdę?

– Och, nie. Nic takiego. Tylko patrzył... ale to było okropne. I mdli mnie, paskudnie mdli. Spadam... Kręci mi się w głowie, prawie nic nie widzę... Głowa rozpada mi się na kawałki... Chyba zaraz umrę, Conway! Och... och!

– Ee, to nic takiego? – Costigan odczuł głęboką ulgę, widząc, że zdążyli na czas i nawet nie pomyślał o wyrażeniu współczucia w związku z naprawdę paskudnym stanem jej ciała i umysłu. – Zapomniałem, że jesteś szczurem lądowym. To tylko drobna przypadłość spowodowana

nieważkością. Przejdzie samo... Trzymaj się, już idę! Zostaw go. Oddał się od niego tak daleko, jak zdołasz!

Costigan wy dostał się na zewnątrz budynku. Pokój, w którym przebywali Clio i Roger znajdował się około dwustu stóp od niego i jakieś sto stóp powyżej. Rzucił się prosto w kierunku dużego okna, korygując kierunek lotu odrzutem swojego ciężkiego służbowego pistoletu, nie dbając o to, że jego pociski wywołują w miejscu uderzenia niewielkie niszczycielskie wybuchy.

Rozminął się nieco z oknem, co niczego nie zmieniło, gdyż otworzył sobie drogę, częściowo w ścianie, a częściowo w oknie, strzałem z lewistona. Wlatując do środka, wymierzył miotacz i pistolet w Rogera, który dotarł już prawie do drzwi. Kątem oka zobaczył Clio trzymającą się konwulsyjnie lampy na ścianie. Drzwi i pobliska ściana zniknęły w straszliwym uderzeniu, ale pirat był nietknięty. Ani niszczący promień, ani eksplodujący pocisk nie zrobiły mu nic złego, zdążył włączyć tarczę ochronną zasilaną z generatora, który nosił przy sobie.

* * *

Gdy Clio mówiła, że Roger jakby oszalał i rzuca się jak dzikus, nie miała pojęcia, z czego wynika takie zachowanie. Nie wiedziała, że Gharlane, Eddorianin sterujący formą cielesną, która była Rogerem, po raz pierwszy w swoim niezwykle długim życiu napotkał nieograniczoną siłę wyższą.

Roger był głęboko przekonany, że kontroluje użycie fal podprzestrzennych zarówno w środku, jak i na zewnątrz swojej planetoidy. Był również całkowicie przekonany, że może kontrolować bezpośrednio i w sposób absolutny fizyczną aktywność dowolnej liczby tych półinteligentnych "istot ludzkich".

Nie wiedział, że czterech Aryzjan w zespoleniu — Drounli, Brolenteen, Nedanillor i Kriedigan — czekało na tę chwilę od tygodni i gdy nadeszła zaczęło działać.

Natychmiast po odkryciu jakie ogromne i nieodwracalne szkody zostały dokonane, postanowił zlikwidować niezwłocznie obu mężczyzn. Bezskutecznie. Podjął więc próbę likwidacji tej przypuszczalnie ludzkiej kobiety. Również bez efektu. Miotane przez niego najsilniejsze mentalne pociski, zanikały nieszkodliwie trzy milimetry od jej skóry. Patrzyła, zupełnie nieświadoma miotanych przez niego strumieni energii. Nie mógł nawet wycelować w nią broni. Nadał wezwanie o pomoc z Eddoru. Nic z tego, podprzestrzeń była niedostępna, chociaż nie mógł sobie wyobrazić sposobu w jaki można by tego dokonać ani zlokalizować siły, która to zrobiła.

Jego eddoriańskie ciało, nawet gdyby mógł je tutaj odtworzyć, nie poradziłoby sobie z warunkami środowiska. Ta istota, Roger, będzie musiała poradzić sobie sama, nie wspomagana siłą mentalną Gharlana. Fizycznie było to zresztą bardzo sprawne ciało. Było również uzbrojone i chronione kilkoma wynalazkami Gharlana. Pierwszy zastępca Suprematora Eddoru pod żadnym względem nie był tchórzem.

Jednak Roger, chociaż nie całkiem szczur lądowy, nie miał żadnego doświadczenia w przebywaniu w stanie nieważkości. Natomiast Costigan, mając sześć ścian, od których mógł się odepchnąć, był nawet bardziej skuteczny w walce bez grawitacji niż w obecności siły ciężenia.

Trzymając miotacz wycelowany w pirata, chwycił pierwszą rzecz, która mogła posłużyć za maczugę — długi, metalowy stojak — i skierował się do szefa piratów. Wykorzystując bezwładność swojej masy i całą siłę prawej ręki zamachnął się celując w głowę pirata. Siła uderzenia powinna zmieść głowę z ramion, ale nic się nie stało. Tarcza Rogera była całkowicie

szczelna i nieprzenikliwa, jedynym efektem uderzenia było to, że pirat zaczął wirować, jak podrzucona do góry batuta tamburmajora. Gdy wirujące ciało uderzyło w przeciwległą ścianę, do pokoju wleciał Bradley, ciągnąc za sobą skafander Clio. Kapitan, bez słowa, oderwał dziewczynę od kinkietu, ubrał w pancerz i kazał jej trzymać się okna. Potem wycelował lewistona w głowę Rogera, pomagając Costiganowi wypchnąć go na zewnątrz. Obaj wiedzieli, że nie mogą pozwolić Rogerowi na wyłączenie tarczy, gdyż wtedy mógłby wyjąć jakąś ręczną broń, być może lepszą niż ich lewistony.

Costigan zapał się o ścianę, spojrział wzdłuż ciała Rogera na odległą, imponującą kopułę sztucznej planety i popchnął go łagodnie w tamtym kierunku. Następnie obaj chwycili Clio za ręce, odbili się jednocześnie nogami i poszybowali w kierunku swojej jedynej nadziei — szalupy ratunkowej zdolnej do opuszczenia wnętrza ogromnej kuli. Zrezygnowali z łodzi "Hyperiona", gdyż jedyna droga ucieczki prowadziła wtedy przez niemożliwą do sforsowania wielką bramę śluzy głównej. Lecieli w powietrzu, a Costigan hołował swoją wiązką ciało Rogera.

– A co, jeśli oni naprawią grawitację – zapytała z niepokojem Clio, która zaczęła dochodzić do siebie – i będą nas ostrzeliwać i napromieniowywać?

– Być może już naprawili. Na pewno mają części i zapasowe generatory, ale jeśli je włączą upadek zabije również Rogera, a on by tego nie chciał. Muszą go najpierw przechwycić helikopterem lub czymś podobnym i wiedzą, że możemy ich dostać natychmiast, jak tylko wystartują. Ręczną bronią nic nam nie zrobią, a zanim przyniosą coś cięższego, będziemy już blisko zewnętrznej ściany i będą się bali ją uszkodzić.

– Chętnie bym zabrał z nami Rogera – powiedział z ożywieniem do Bradleya – ale, oczywiście, masz rację, to by było zupełnie, jakby królik

porwał żbika. Ale teraz mój lewiston w zupełności wystarczy i byłoby grzechem oraz wstydem, gdyby jeszcze zdołał nam przeszkodzić.

– Przy wielkiej ścianie, obaj mężczyźni natarli mocno na dźwignię, wąż służby awaryjnej powoli się rozsunął i znaleźli się w miniaturowym statku kosmicznym. Costigan, który wcześniej, badając go ze swojej celi, zaznajomił się z systemem sterowania, zajął miejsce pilota i po chwili, przez bramę z drugiej strony, wystrzelili w przestrzeń kosmiczną, kierując się z maksymalnym przyspieszeniem osiąganym przez mały pojazd ku odległemu Tellusowi.

Costigan odłączył komunikatory pozostałej dwójki i koncentrując się na jakimś bardzo odległym miejscu, nawiązał połączenie.

– Samms! – wywołał ostrym tonem – tu Costigan. Wydostaliśmy się... dobrze... tak... na pewno... oczywiście... ty im powiedz, Sammy, ja nie jestem sam.

To co mówił Costigan, Clio i kapitan mogli usłyszeć przez membrany dźwiękowe.

Bradley popatrzył na swojego byłego pierwszego oficera ze zdumieniem. Powszechnie znane, na pół mityczne nazwisko jego rozmówcy musiała rozpoznać nawet Clio. Kim był ten zdumiewający młody człowiek, rozmawiający tak familiarnie z Virgilem Sammsem, wszechmocnym szefem Służb Kosmicznych Unii Trójplanetarnej?

– Ogłosiłeś powszechny alarm – raczej oznajmił, niż zapytał Bradley.

– Już dawno. Cały czas byłem w kontakcie – odpowiedział Costigan. – Teraz, gdy już wiedzą czego szukać i wiedzą, że detektory działające w zwykłej przestrzeni są bezużyteczne, szybko go znajdą. Wszystkie statki zwiadowcze z siedmiu sektorów skierowano tutaj, tak samo jak wszystkie zdolne do służby okręty bojowe. Mają wystarczającą ilość detektorów

podprzestrzennych, by zlokalizować tę kulę i przekazać jej współrzędne do wszystkich jednostek.

– A co z pozostałymi więźniami? – zapytała dziewczyna. – Zostaną zabici?

– Trudno powiedzieć – Costigan wzruszył ramionami. – Zależy jak się potoczą wydarzenia. My też nie jesteśmy jeszcze bezpieczni.

– Też tak sędzę – przyznał Bradley – będą nas ścigać.

– Tak i na pewno są szybsi. Wszystko zależy od tego, jak daleko są najbliższe nasze statki. Niemniej nic więcej nie możemy zrobić.

Zapadła cisza. Costigan włączył komunikator Clio i przesiadł się naprzeciw miejsca, gdzie leżała, blada i wyczerpana, po okropnych przejściach ostatnich kilku godzin. Dziewczyna poczerwieniała na twarzy, ale nie odwróciła wzroku.

– Clio, ja... my... ty... to znaczy... – wyrzucił gwałtownie i urwał. Bystry oficer i tajny agent, którego jasnego, zdolnego umysłu nie mogło zakłócić żadne fizyczne niebezpieczeństwo, który wielokrotnie udawał, że nie traci głowy w żadnej krytycznej sytuacji, teraz jąkał się w zakłopotaniu jak uczeń. – Po tym wszystkim, straciłem już nadzieję, ale...

– Chcesz powiedzieć, że wszyscy straciliśmy nadzieję – przerwała mu. – Ja zrobiłam, co mogłam, ale nie będę cię zatrzymywać. Jeśli nie chcesz, to nie. Ale jestem przekonana, że mnie kochasz, Conway!

– Czy ja cię kocham – jęknął mężczyzna. Zmarszczył czoło, rysy mu stwardniały, a całe ciało zeszywniało. – Clio, kocham, to za mało powiedziane. Nie musisz mnie zatrzymywać. Jestem twój na całe życie. Nigdy nie było kobiety, która by więcej znaczyła dla mnie. I nigdy nie będzie. Ty jesteś jedyną kobietą, na zawsze. Tylko że z tego nic nie będzie. Nie widzisz tego?

– Oczywiście, że będzie. Nie widzę nic niemożliwego. – Clio wyłączyła tarczę i mogli chwycić się za ręce. Gdy mówiła dalej, jej niski głos drżał uczuciem. – Kochasz mnie i ja cię kocham. Reszta nie ma znaczenia.

– Chciałbym, żeby tak było – powiedział gorzko Costigan – ale martwi mnie to, że ty nie wiesz na co możesz sobie pozwolić, kim i czym jesteś oraz czym ja jestem. Ty jesteś Clio Marsden, dziesiętnastoletnia córka Curtisa Marsdena. Wydaje ci się, że bywałaś wszędzie i robiłaś wszystko. A to nieprawda. Nic nie widziałaś i niczego nie robiłaś. O niczym nie masz pojęcia. A kim ja jestem? Bezdomnym kosmonautą, który w ciągu trzech lat nie spędził na planecie nawet trzech tygodni. Zatwardziały samotnik, awanturnik, poszukiwacz przygód z natury i wykształcenia. Ag... – ugryzł się w język i ciągnął szybko dalej: – Dlaczego? Wcale mnie nie znasz i dużej części mnie nigdy nie będziesz chciała znać, a ja nie mogę pozwolić ci poznać! Lepiej daj sobie spokój dziewczyno, dopóki możesz. Tak będzie lepiej dla ciebie i chyba również dla mnie.

– Conway – powiedziała miękko, a oczy jej rozbłysły – nie mogę. Ty też nie możesz, już za późno. Na statku to była zabawa, ale potem naprawdę się poznaliśmy. Już nie panujemy nad tym. Ja wiem i ty też o tym wiesz, i żadne z nas nie chce tego zmienić, nawet gdyby to było możliwe. Może nie mam zbyt dużego doświadczenia, przyznaję, ale wiem, co masz na myśli, mówiąc, że powinieneś się trzymać ode mnie z daleka. I za to cię podziwiam jeszcze bardziej.

Conway, najdroższy, wszyscy podziwiamy Służby. To dzięki wam Trzy Planety są miejscami nadającymi się do życia. Wiem też, że każdy z asystentów Virgila Sammsa jest wybierany spośród miliardów...

– Skąd ci to przyszło do głowy – zapytał ostro.

– Sam to powiedziałeś, nie bezpośrednio. Kto na trzech światach mógłby zwracać się do niego: “Sammy?” Jesteś twardy, oczywiście, bo musisz taki

być. A ja nigdy nie lubiłam miękkich mężczyzn. I walczysz w dobrej sprawie. Jesteś mężczyzną w pełnym znaczeniu, Conway, prawdziwym mężczyzną, a ja cię kocham. I jeśli nas schwytają, to przynajmniej umrzemy razem – dokończyła żarliwie.

– Masz rację, kochanie, oczywiście – zgodził się – nie wierzę, że naprawdę mógłbym pozwolić ci odejść, nawet, jeśli uważam, że powinnaś to zrobić. – Ich ręce zacisnęły się jeszcze mocniej niż przedtem. – Jeśli w końcu się stąd wydostaniemy, to obiecuję cię pocałować, ale teraz lepiej, żebyśmy nie zdejmowali hełmów. I tak jest już duże ryzyko, gdy masz opuszczoną tarczę. Włącz ją, oni mogą być już bardzo blisko.

Uwolnili swoje ręce i aktywowali pancerze. Costigan poszedł do Bradleya, który został na stanowisku pilota.

– I co słyhać, kapitanie? – zapytał.

– Nic dobrego. Wciąż mamy daleko. Powiedziałbym, że przynajmniej godzina minie, zanim wejdziemy w zasięg.

– Spróbuję zlokalizować pościg. Pewnie mi się nie uda, ten mały szpiegowski dalekowizor jest dobry na niewielkie odległości. Obawiam się, że zauważymy ich dopiero, gdy uchwycą nas wiązką holowniczą albo ostrzelają. Najprawdopodobniej jednak będzie to wiązka holownicza, pewnie nie będą chcieli niszczyć swojej łodzi ratunkowej. Roger pewnie też chciałby dostać nas żywcem. Myślę, że jego “nieszczęśliwie przyjemne zejście” może być nawet jeszcze mniej przyjemne, po tym jak go wykołowaliśmy.

– Conway, możesz coś dla mnie zrobić – Clio pobladła z przerażenia na myśl, że mogłaby ponownie spotkać tego niewypowiedzianie szarego osobnika – daj mi pistolet lub coś takiego. Nie pozwolę mu nigdy więcej na mnie patrzeć ani mówić, co mi robi, zanim umrę.

– On tego nie zrobi – zapewnił ją Costigan, spoglądając ponuro. Tak jak powiedziała był twardym mężczyzną. – A ty wcale nie chcesz broni, bo mogłabyś w zdenerwowaniu użyć jej za wcześnie. Zadbam o ciebie w ostatecznym momencie, bo tym razem, jeśli nas schwyta, nie uda nam się już uciec.

Przez kilka minut panowała cisza. Costigan przeszukiwał przestrzeń we wszystkich kierunkach za pomocą swojego tajnego dalekowizora. Nagle roześmiał się, budząc zdumienie pozostałej dwójki.

– Nie martwcie się, jeszcze nie zwariowałem – powiedział – ale to jest naprawdę zabawne. Nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, że te pirackie statki są niewidoczne dzięki polom siłowym, które mogą oczywiście zobaczyć w dalekowizorze podprzestrzennym.

Natomiast my jesteśmy dla nich niewidzialni. Powinni nas byli przechwycić, zanim ich zauważyłem, zamiast tego polecili dalej i teraz sondują przestrzeń dookoła, licząc, że zrobimy coś, co pozwoli nas zlokalizować. Lecą prosto na Flotę. Myślą, że są bezpieczni, nie zdając sobie sprawy z czekającej niespodzianki.

Niespodzianek było jednak więcej. Zanim jeszcze statek piratów wszedł w zasięg widzialności Floty Trzech Planet, stracił swoją niewidzialność i pojawił się wyraźnie na ekranach trójki uciekinierów. Przez kilka sekund wydawał się nie zmieniać, a potem zaświecił się czerwono, czerwonością wydającą się ciemnieć w miarę jak była coraz bardziej intensywna.

Nagle jego sylwetka rozmyła się i pióropusze powietrza wytrysnęły na zewnątrz, metalowy kadłub zmiękł, roztopił się i popłynął długim, czerwonym strumieniem w kierunku na pozór pustej przestrzeni. Costigan skierował w to miejsce dalekowizor i stwierdził, że przestrzeń wcale nie jest tam pusta. Zobaczył coś ogromnego, bezkształtnego i

nierozpoznawalnego nawet na podprzestrzennym obrazie. Coś, w co lepki strumień roztopionego metalu wsiąkał i znikał bez śladu.

Nagle urządzenie zawyło, wstrząsając Costiganem. Silna interferencja fal podprzestrzennych zagłuszyła dalekowizor. Z nadzieją, że uda mu się, choć częściowo, ostrzec Sammsa, próbował wysłać wiadomość z opisem wydarzeń. Kontynuował swój suchy raport, opisując najdrobniejsze szczegóły, podczas gdy ich mały statek był nieubłaganie przyciągany w stronę czerwonego nieprzejrzystego woalu. Kontynuował do chwili, w której szalupa, wciąż nietknięta, przeszła przez zasłonę i poczuł, że jest całkowicie unieruchomiony. Był przytomny, oddychał normalnie, serce mu biło, ale żaden mięsień nie podlegał jego woli.

Rozdział 9

FLOTA KONTRA PLANETOIDA

Jeden z najnowszych i najlepszych okrętów patrolowych Unii Trójplanetarnej, ciężki krążownik “Chicago” z Północnoamerykańskiej Eskadry Floty Telluryjskiej, monotonnie przemieszczał się przez międzyplanetarną pustkę. Od pięciu tygodni patrolował przydzielony mu obszar kosmosu. W przyszłym tygodniu miał zameldować się w mieście, którego nazwę nosił na burcie, aby zmęczona kosmosem załoga, zmęczona długą “wycieczką” w cudownie surowych głębinach bezgranicznej pustki, mogła wykorzystać swój dwutygodniowy planetarny urlop wypoczynkowy.

Okręt wykonywał rutynowe prace — katalogowanie meteorytów, wraków i innych przeszkód nawigacyjnych, ciągła obserwacja statków rozkładowych i tym podobne — ale przede wszystkim był to okręt wojenny, potężna maszyna zniszczenia polująca na nielegalne pojazdy różnych sił czy planet będących nie tylko w opozycji do Unii Trójplanetarnej, ale również ewidentnie próbujących ją zniszczyć; starających się wepchnąć Trzy Planety z powrotem w przerażającą epokę rozlewu krwi i zniszczenia, z której się tak niedawno wydobyły. Każdy statek w zasięgu detektorów był reprezentowany przez dwa jasne, wolno poruszające się punkty świetlne. Pierwszy na dużym ekranie mikrometrycznym, a drugi w “tanku”, ogromnym, trójwymiarowym, precyzyjnie odtworzonym modelu całego układu słonecznego.

Na tablicy kontrolnej zapaliło się intensywnie jasne czerwone światło i z furią rozdzwonił się dzwonek, sygnalizując alarm dla sektora. Jednocześnie głośniki nadały wiadomość wysłaną przez statek w niebezpieczeństwie.

– Alarm dla sektora! N.A.T. “Hyperion” zagazowany V dwa. Pobliska przestrzeń pusta, ale... – reszta wiadomości utonęła w szumach i trzaskach nic nie znaczącego hałasu, regularne sygnały dzwonka przeszły w okropny jazgot, a oba punkty świetlne oznaczające położenie liniowca rozplynęły się w przypadkowych błyskach jakiejś potężnej interferencji. Obserwatorzy, nawigatorzy i oficerowie wachtowi siedzieli osłupiali. Nawet kapitan w swoim ekranowanym, zamkniętym i zabezpieczonym przed wszelkimi atakami stanowisku dowodzenia, oniemiał.

Żaden statek ani nic innego nie mogło być na tyle blisko, żeby oślepić ich interferencją o tak dużej mocy. A jednak to się stało.

– Maksymalne przyspieszenie, kurs prosto na ostatnią pozycję “Hyperiona” – wydał rozkaz kapitan, a następnie, unikając szerokopasmowej blokady interferencyjnej, wysłał spójną wiązką zwięzły raport do Kwatery Głównej. Prawie natychmiast rozdzwoniły się alarmy na wszystkich statkach w całym sektorze, rozkazując im, bez względu na trasę i tonaż, skoncentrować się na punkcie przestrzeni, w którym był ostatnio widziany pechowy liniowiec.

Godzina po godzinie wielka kula leciała z maksymalnym przyspieszeniem, kapitan i wszyscy oficerowie oczekiwali w napięciu. Tymczasem głęboko, poniżej generatora, w pomieszczeniach sekcji kwatermistrzowskiej nikt nie zwracał uwagi na takie drobne wydarzenia, jak zniknięcie “Hyperiona”. Inwentaryzacja się nie zgadzała, więc dwaj szeregowcy oddziałów kwatermistrzowskich próbowali zlokalizować rozbieżności.

Lewistony Mark XII, żadnych zapotrzebowań, mamy osiemnaście ty... – monotony głos urwał się w pół słowa, a żołnierz sięgający po kolejną kartę zeszytniał, koncentrując się całkowicie na czymś niewidocznym dla kolegi.

– Cleve, szybciej, dawaj dalej! – zażądał ten drugi, ale został uciszony gwałtownym gestem kolegi.

– Co! – powiedział zeszywniały. – Zdekonspirować się! Dlaczego, to jest... och, dobrze... aha. to jest... aha... rozumiem... Tak, zrozumiałem. Na razie!

Formularze inwentaryzacyjne wypadły mu z rąk. Jego kolega patrzył w zdumieniu, jak idzie w kierunku biurka oficera dyżurnego. Oficer również wyglądał na zaskoczonego, gdy dotychczasowy Leser i obibok, Cleve, zasalutował służbiście, pokazał mu coś płaskiego, co trzymał w lewej dłoni i powiedział: – Panie poruczniku, właśnie dostałem kilka najzabawniejszych rozkazów w moim życiu. Przyszły... skądś... skądś z góry. Mam się przyłączyć do tych facetów na mostku. Pewnie powiadomią Pana bezpośrednio. Proszę mnie kryć tak długo, jak będzie Pan mógł, dobrze? – po czym wyszedł.

Nie ścigany pomaszerował prosto na mostek i po krótkim: – pilny raport dla kapitana – został wpuszczony bez dalszych pytań. Ale kiedy doszedł do nienaruszalnego sanktuarium kapitana okrętu, został, w sposób zdecydowany, zatrzymany przez samego oficera wachtowego.

– ... i macie natychmiast zameldować się w areszcie – zakończył swój krótki, acz konkretny rozkaz oficer wachtowy.

– Oczywiście ma pan rację zatrzymując mnie – odpowiedział intruz, nie ruszając się z miejsca – chciałem wejść do kapitana nie dekonspirując się całkowicie, lecz chyba mi się nie uda. No cóż, dostałem rozkaz od Virgila Sammsa, by zameldować się natychmiast u kapitana.

Wie pan, co to jest? Proszę dotknąć! – pokazał trzymany w dłoni płaski dysk w obudowie z podniesioną pokrywką, pod którą widać było mały, złoty meteor. Oficer spojrział i jego szorstkie zachowanie zmieniło się znacząco.

– Słyszałem o tym, ale nigdy tego nie widziałem – powiedział, lekko dotykając błyszczącego symbolu. Pod wpływem wstrząsu wywołanego przenikającym kości przekazem niewymawialnego sygnału, hasła Służb Trójplanetarnych, zadrżał cały i szarpnął się do tyłu. – Autentyczne czy nie, upoważnia pana do wejścia. Ale kapitan rozpozna i jeśli to oszustwo, za pięć minut będzie pan oddychał próżnią.

Z miotaczem w ręku oficer wachtowy wprowadził Cleva w miejsce najświętsze ze świętych na okręcie, gdzie kapitan, szpakowaty czterogwiazdkowiec, dotknął lekko złotego symbolu. a następnie wpił swój przenikliwy wzrok w nieulękłe oczy młodszego mężczyzny.

Kapitan nie dostał swego stopnia przez przypadek ani po znajomości, zrozumiał natychmiast całą sytuację.

– No! To musi być nagły przypadek – warknął prawie niedosłyszalnie, spoglądając na ciurę z kwatermistrzostwa – żeby zmusić Sammsa do takiej dekonspiracji. – Odwrócił się i kazał odejść zdziwionemu oficerowi wachtowemu.

– No dobrze, o co więc chodzi?

– Sprawa jest tak poważna, że każdy z nas dostał rozkaz zdekonspirować się przed swoim dowódcą i tymi, którzy uniemożliwiają dostanie się do niego. Rozkaz, jakiego nigdy wcześniej nie było. Wróg został zlokalizowany. Zbudowali bazę, a ich statki są lepsze od naszych najlepszych. Baza i statki są niewykrywalne przy użyciu detektorów działających w normalnej czasoprzestrzeni. Niemniej nasze Służby od lat eksperymentowały z nowego typu urządzeniami i chociaż są one jeszcze całkiem niedopracowane, po zaginięciu “Dione” wszyscy agenci zostali w nie wyposażeni. Jeden z naszych ludzi był na “Hyperionie”, udało mu się pozostać przy życiu i przesłać wiadomość. Mam rozkaz podłączyć mój

zestaw do uniwersalnego systemu w pańskim stanowisku dowodzenia i przeszukać okolicę.

– No to na co pan czeka! – kapitan machnął ręką pozwalając agentowi przystąpić do działania.

– Uwaga dowódcy – dłuższą ciszę przerwał głośnik komunikatora ustawionego na stałe na pasmo zarezerwowane dla Admiralicji – wszystkie statki Floty w sektorach L do R włącznie skoordynują sygnały lokacyjne. Niektórzy z was otrzymali lub wkrótce otrzymają komunikat z tajnego źródła. Ci dowódcy natychmiast uruchomią czerwone ekrany K4. Statki tak oznakowane będą pełnić funkcję tymczasowych okrętów flagowych. Statki nieoznakowane zgrupują się jak najszybciej przy najbliższym flagowcu, tworząc eskadry w szyku stożka według kolejności przybycia. Prędkość eskadr należy dostosować w taki sposób, żeby cała flota dotarła do celu dopiero po sformowaniu szyku. Ciężkie i lekkie krążowniki we wszystkich sektorach wewnątrz orbity Marsa... – Rozkazy pojawiały się jeden po drugim, kierując mobilizacją całej ogromnej floty Unii Trójplanetarnej, przygotowując ją do działania w razie nieprawdopodobnego przypadku niepowodzenia zmasowanego ataku sił siedmiu sektorów na piracką bazę.

Blisko tuzin statków w tych siedmiu sektorach otoczyło się czerwono świecącymi kulistymi ekranami. Jednocześnie z tym reprezentujące je świetlne punkty na sprzężonych lokalizatorach floty również zostały zaznaczone na czerwono. Pozostałe statki ustawiły kurs z maksymalną prędkością na te purpurowe znaczniki. W tym czasie urządzenia specjalne agentów Służb sondowały przestrzeń, przeczesując sąsiedztwo wyliczonej pozycji pirackiej fortecy.

Piracki obiekt był jednak zbyt odległy dla dalekowizorów znajdujących się w posiadaniu agentów i przeznaczonych do działania na niewielkich dystansach. Niewidzialna planetoida pozostawała wciąż w ukryciu. Agent

znajdujący się na stanowisku dowodzenia “Chicago” studiował swój ekran przez minutę czy dwie, po czym wyłączył zasilanie i pogrążył się w głębokiej zadumie, skąd został brutalnie wyrwany.

– Nie pan zamiaru nawet próbować ich znaleźć? – zapytał kapitan.

– Nie – krótko odpowiedział Cleve. – Nie warto, potrzebna by była dwa razy większa moc. Muszę pomyśleć... może... hm, powiedzmy... Kapitanie, mógłby pan wezwać szefa elektryków i kilku radiowców?

A gdy tamci przyszli, były pisarz z kwatermistrzostwa, z ich pomocą, zabrał się do roboty i w ciągu kilku następnych godzin, w czasie, gdy inni agenci przeszukiwali pozornie pustą przestrzeń nieefektywnym urządzeniem, zbudował wielki i skomplikowany projektor podprzestrzenny. Gdy rzecz została ukończona, zgrubne, ale wystarczająco dokładnie wyznaczone podziały zostały ustawione, lampy rozjarzyły się czerwienią i został wyemitowany potężny spójny strumień fal podprzestrzennych.

– Mamy ich, sir – zameldował Cleve po kilku minutach manipulacji, gdy rozległa struktura świata w miniaturze pojawiła się na ekranie. – Tu widać flotę; współrzędne H 11.62, RA 124-31-16 i Dx 173.2.

Asystenci wyszli, a kapitan zasalutował z powagą i powiedział: – Nigdy nie miałem wątpliwości, że Służby mają specjalistów, ale nigdy bym nie przypuszczał, że ktokolwiek mógłby, w sytuacji awaryjnej, dokonać czegoś takiego — nie będąc przy tym Lymanem Clevelandem.

– Och, to nie jest... – zaczął agent, lecz urwał, mrużąc coś niewyraźnie, po czym skierował promień urządzenia w kierunku Ziemi. W chwilę później na ekranie pojawiła inteligentna, chociaż przepracowana, twarz Virgila Sammsa.

– Witaj Lyman – dobiegło wyraźnie z głośnika, a kapitan westchnął. Jego podprzestrzenny obserwator i pisarz w sekcji kwatermistrza okazał się samym Lymanem Clevelandem, prawdopodobnie największym żyjącym

specjalistą od transmisji falowej. – Wiedziałem, że jeśli to tylko możliwe, to coś ci się uda zrobić. Czy to się nadaje do zainstalowania na pozostałych okrętach? Założę się, że nie.

– Raczej nie – Cleveland zmarszczył brwi w zamyśleniu – to jest skomplikowana prowizorka z drutu i patyków. Trzymam to w kupie tylko siłą woli, może się rozpaść w każdej chwili.

– A możesz z tego robić zdjęcia?

– Chyba tak. Poczekaj chwilę. Tak, mogę. A po co?

– Tam się dzieje coś, o czym nie wiemy ani my, ani piraci. Admiralicja jest przekonana, że to znów Jowiszanie. My nie jesteśmy pewni. Jeśli tak, to musieli wynaleźć mnóstwo rzeczy, których nasi agenci nie zauważyli – zreferował krótko raport Costigana, konkludując: – i wtedy zagłuszyli go, wyobrazasz sobie, na paśmie podprzestrzennym. Od tego momentu nie słyszymy go. Dlatego chciałbym, żebyś trzymał się całkiem z dala od bitwy. Tak daleko, jak tylko możliwe, żeby mieć wciąż wyraźny obraz wszystkiego, co się dzieje. Dopilnuję, by na “Chicago” dotarły odpowiednie rozkazy.

– Ale posłuchaj...

– To jest rozkaz – uciął Samms. – Jest sprawą najwyższej wagi, żebyśmy znali wszystkie szczegóły tego, co się wydarzy. A to można osiągnąć jedynie za pomocą zdjęć wykonanych przy użyciu maszyny, którą właśnie zrobiłeś. Jeśli flota zwycięży, nic straconego.

W razie przegranej, a ja, w przeciwieństwie do Admirala, wcale nie jestem pewien zwycięstwa, będziemy mieli przynajmniej zdjęcia do badań, co jest niezmiernie ważne. “Chicago” i tak nie ma wystarczającej siły, by przeważać szalę na naszą korzyść, w dodatku, prawdopodobnie straciliśmy dzisiaj Conwaya Costigana i nie chcę stracić również ciebie.

Cleveland nic nie odpowiedział, zastanawiając się, ale kapitan, weteran czwartej wojny jowiszowej, nie był przekonany.

– Panie Samms – powiedział – zetrzemy ich z przestrzeni.

– Tak pan tylko myśli, kapitanie. Sugerowałem, żeby główny atak wstrzymać, do czasu przeprowadzenia dokładnego rozpoznania, ale Admiralicja nie chciała słuchać. Uznali celowość wycofania okrętu obserwacyjnego, ale to wszystko, na co się zgadzają.

– To i tak za dużo! – warknął dowódca “Chicago”, gdy przerwano łączność. – Panie Cleveland, nie znoszę uciekać, gdy szykuje się bitwa i nie zrobię tego bez bezpośredniego rozkazu Admirala.

– Oczywiście, że nie. I dlatego pan...

Przerwał mu komunikat z Kwatery Głównej. Kapitan podszedł do komunikatora, by zostać zidentyfikowany, po czym odebrał rozkaz wykonania tego wszystkiego, co zażądał szef Służb Unii Trójplanetarnej.

“Chicago” odwrócił więc ciąg silników o sto osiemdziesiąt stopni, wyłączył czerwony ekran i został raptownie z tyłu za eskadrą, podczas gdy pozostałe okręty podążyły z pełną szybkością za nowym liderem. Cofali się coraz dalej, ku granicy zasięgu dopiero co zbudowanego urządzenia. A siły siedmiu sektorów, poruszające się w formacji stożka statki kosmiczne z oznakowanymi na czerwono okrętami flagowymi, skupiały się w tym czasie wokół “Nieustraszonego”, brytyjskiego super-pancernika, okrętu flagowego całej Floty, najpotężniejszego i najcięższego statku, jaki kiedykolwiek wyniósł swoją ogromną masę w przestrzeń kosmiczną.

Systematycznie i precyzyjnie tworzone wielki stożek, szyk bojowy opracowany podczas wojen jowiszowych, w których siły Trzech Planet walczyły w przestrzeni o prawo do istnienia dla swojej cywilizacji, i który nigdy później, po zniszczeniu ostatniej floty bestialskiej bandy Jowiszan, nie był zastosowany.

Wlot tego ogromnego wydrążonego stożka tworzył pierścień okrętów zwiadowczych, najmniejszych i najbardziej ruchliwych. Za nimi, w nieco mniejszym pierścieniu, szły lekkie krążowniki, potem pierścienie ciężkich krążowników i lekkich okrętów liniowych i na końcu ciężkie okręty liniowe. Na szczycie stożka, chroniony przez wszystkie statki formacji, na pozycji najlepszej do kierowania bitwą, siedł okręt flagowy. W takiej formacji każdy okręt mógł użyć całej swojej broni, bez obawy o zagrożenie innym okrętom floty, a z drugiej strony, gdy wszystkie gigantyczne miotacze strzelały równoległe do osi stożka, tworzył się cylindryczny strumień energii o takiej mocy, że nic nie było w stanie mu się oprzeć.

Sztuczna metalowa planeta była już tak blisko, że w dalekowizorach agentów widać było nie tylko ją, ale również cygarowate okręty opuszczające ogromne śluzy. Każdy z nich obierał natychmiast kurs ku nadciągającej flocie i leciał z maksymalną prędkością nie troszcząc się o ustawienie w jakikolwiek szyk. Szary Roger był przekonany, że jego statki wciąż są niewidoczne, a flota podąża kursem wynikającym z matematycznych obliczeń, i że jego potężne kosmoloty zniszczą nawet największą flotę, niezauważone. Mylił się. Pierwszym jego statkom pozwolono wejść w przestrzeń stożkowej pułapki, bez jakichkolwiek działań ofensywnych.

Dowodzący flotą wiceadmirał nacisnął przycisk i w tym momencie wszystkie generatory statków Unii ruszyły pełną mocą. Natychmiast wydrążone wnętrze ogromnego stożka rozbłysło piekielnym ogniem, który z prędkością światła rozciągnął się w nieskończoną kolumnę całkowitego zniszczenia. I chociaż były to fale zwykłej przestrzeni, to niosły taką ogromną energię, że ekrany obronne pirackich statków nie mogły powstrzymać nawet części tej okropnej siły. Niewidzialność prysła, a ekrany rozbłysły krótkim blaskiem. Jednak nawet potężne generatory,

potężniejsze od czegokolwiek na pojedynczym kosmolocie Unii, nie były w stanie oprzeć się nieprawdopodobnej gwałtowności zmasowanego ataku setek potężnych statków składających się na Flotę. Ekranów więc zapłonęły i opadły, wielkie kadłuby rozjarzyły się czerwono, potem białą, a w chwilę potem zamieniły w chmurę świecących, roztopionych i odparowanych metalowych szczątków.

Dwie trzecie sił Rogera zostało schwyte w ten niszczycielski strumień ognia, schwyte i obrócone w nicość. Pozostali jednak nie wycofali się na planetoidę. Miotali się na krawędzi stożka z gwałtownymi przyśpieszeniami, atakowali flanki, powodując ogólne zaangażowanie. Jednak teraz, gdy wystarczająca moc miotaczy mogła być skierowana przeciw każdemu z nich, nie były w stanie utrzymać niewidzialności i mogły być atakowane przez wszystkie statki Floty. Rozbłyski i wybuchy rozjaśniły przestrzeń na tysiące mil, a z każdej jednostki obu flot wystrzeliwano materialne, eksplodujące i promieniste środki zniszczenia znane wojskowym tego czasu. Niszczące promienie, strzały i sztylety o przerażającej sile uderzały i były neutralizowane przez równie potężne tarcze. Pociski eksplodujące, również jądrowe okazały się nieefektywne z powodu dużych odległości i szalonych uników, a emitowane przez obie strony fale zagłuszające uniemożliwiały zdalne naprowadzanie wystrzelonych rakiet, które miotały się tu i tam, aby w końcu nieszkodliwie eksplodować lub zostać zniszczone przez przypadkowe trafienia z broni promienistej.

Pojedynczo statki pirackie były znacznie potężniejsze od okrętów Floty i tę przewagę wkrótce dało się odczuć. Moc mniejszych okrętów zaczęła słabnąć, w miarę jak w wyniku bitwy wyczerpywały się ich akumulatory i jeden po drugim zaczęły obracać się w nicość pod skoncentrowanym ogniem pirackich miotaczy. Siły Trzech Planet zyskały jednak jedną wielką

przewagę. W szaleńczym wysiłku agenci Służb przerobili moduły sterujące torped atomowych, tak aby można było je naprowadzać falami podprzestrzennymi i chociaż było ich niewiele, to stały się bardzo efektywne.

Zimnooki obserwator z twarzą w ekranie, rękami i nogami na manipulatorach wystrzelił pierwszą torpedę. Silniki raketowe rzygnęły ogniem, idealnie kontrolowany pocisk skręcił, zrobił pętlę z łatwością wymijając żar niszczycielskich promieni i ignorując okropne zniekształcenia wszystkich nadawanych w przestrzeni sygnałów, przeniknął przez ekran obronny.

W strasznym wybuchu zniknęło całe śródkręcie pirackiego statku, lecz ku zdumieniu obserwatorów, ten zamiast zamilknąć, prowadził nadal ogień z obu pozostałych końców. Jeszcze dwie bomby zostały wystrzelone, niszcząc ocalałe fragmenty i dopiero wtedy miotacze ucichły.

W całej wielkiej flocie nikt nie podejrzewał, że w tych potężnych statkach, przerażających narzędziach zniszczenia, nie ma nawet jednej żywej istoty; że są one w całości obsadzone automatami; robotami kontrolowanymi zdalnie z planetoidy przez zawziętych i zaprawionych w walce kosmicznej pirackich weteranów.

Pewne przesłanki wskazujące na to pojawiły się później. Gdy pirackie okręty jeden po drugim ulegały zniszczeniu, Roger zrozumiał, że jego siły przegrywają i polecił wszystkim pozostałym statkom przedrzeć się do szczytu stożka i w atakach samobójczych zniszczyć największe jednostki Floty. W ten sposób został zniszczony "Nieustraszony" oraz dwadzieścia najlepszych okrętów Unii Trójplanetarnej. Dowództwo przejął najstarszy rangą oficer, flota została przegrupowana, tworząc nowy stożek, ziejący paszczą do przodu, wprost na nieosłoniętą obecnie piracką fortecę. Gigantyczny słup niszczycielskiej energii został wystrzelony ponownie, a

potężne pola siłowe tarcz planetoidy rozżarzyły się w szaleńczej obronie. W tym momencie do bitwy włączył się nowy uczestnik, nieznany dotychczas żadnej ze stron.

Przestrzeń zmętniała w czerwonawy, nieprzejrzysty woal, z którego, wijąc się i błyskając strumieniami energii, wyrosły ogromne macki jarzące się złowieszczą, chociaż prawie niedostrzegalną, czerwienią. Nowy uczestnik bitwy, statek o nieznannej konstrukcji i sile pochodzący z Nevii, planety innego układu słonecznego, zatrzymał się w tych okolicach. Jego dowódca od miesięcy poszukiwał pewnej niezwykle cennej dla niego substancji i znalazł ją tutaj.

Nie obawiał się broni miejscowej floty i nie miał skrupułów, by poświęcić życie tysięcy tubylców. Chciał dostać to, czego poszukiwał.

Rozdział 10

ZA CZERWONYM WOALEM

Nevia, rodzima planeta statku plądrującego Układ Słoneczny, dla zmysłów Ziemiaków wydałaby się naprawdę dziwna. Zobaczyliby wodny świat oświetlany jaskrawo-fioletowym światłem gorącego błękitnego słońca, stojącego wysoko na tle nieba o kolorze głębokiej czerwieni. Na ognistym niebie nie byłoby nawet jednej chmurki, a przez bezpyłową atmosferę byłby widoczny horyzont — horyzont znajdujący się trzy razy dalej niż ten do którego przywykliśmy — z wyrazistością niemożliwą w naszym ziemskim zapyłonym powietrzu. Po zachodzie potężnego słońca niebo zapełniłoby się szybko chmurami i spadłby gwałtowny deszcz padający równomiernie do północy. Potem chmury rozeszłyby się tak nagle jak się pojawiły, kaskada wody zanikłaby i przez przezroczystą gazową otulinę wielkiego świata objawiłaby się pełnia wspaniałości firmamentu. Ale nie tego, który znamy, lecz dziwnego i wspaniałego firmamentu, zawierającego niewiele konstelacji znajomych dla ziemskich oczu, gdyż błękitne słońce oraz Nevia, jego jedyna planeta, leży lata świetlne od starego Sol i jego licznej rodziny.

Prosto z próżni rybiokształtny kosmolot — statek, który tak zuchwale miał zaatakować zarówno zmasowaną flotę Trójplanetarną, jak i planetoide Rogera — zanurzył się w rozrzedzone warstwy górnej atmosfery. Purpurowe strumienie z hałasem rozdarły cienkie powietrze wyhamowując ogromną prędkość. Zanim statek wyhamował na tyle, żeby lądowanie stało się możliwe, pokonał jedną trzecią obwodu wielkiej planety. Zbliżając się do linii terminatora, runął pionowo w dół i stało się jasne, że Nevia nie była ani całkowicie pokryta wodą, ani pozbawiona inteligentnego życia. To ku

czemu kierował się tępy nos statku było ewidentnie na pół podwodnym miastem. Miastem składającym się z sześciokątnych wież o płaskich dachach w dokładnie takim samym kształcie, rozmiarach, kolorach i konstrukcji. Gdyby zbudowanych z tego samego białego metalu budynków nie oddzielały wąskie wypełnione wodą kanały, miasto wyglądałoby jak plaster miodu. Budynki połączone były wieloma mostami i jeszcze większą ilością rur, a wodne "ulice" wypełnione pływakami, pojazdami powierzchniowymi i podwodnymi.

Pilot, znajdujący się bezpośrednio za stożkowatym dziobem statku, wpatrywał się w grube okna umożliwiające niezakłócony widok we wszystkich kierunkach. Jego cztery wielkie, kurczliwe oczy, każde niezależnie, obserwowały wszystko uważnie i przesyłały sygnały do dziwnego, lecz pojemnego mózgu. Jedno śledziło przyrządy, podczas gdy inne obserwowały szczególnie ogromną, pękatą krzywiznę brzucha statku, wodę na której miał zamiar wylądować i pływające doki do których miał zostać przycumowany. Cztery ręce, o ile można je określić rękami, manipulowały dźwigniami i pokrętłami z ogromnym wyczuciem. Ogromna masa statku osiadła z niewielkim pluskiem na wodzie i ślizgając się do zatrzymania, stanęła dokładnie w wyznaczonym miejscu.

Cztery belki cumownicze wskoczyły w odpowiednie gniazda, kapitan-pilot zablokował przyrządy na neutralnych pozycjach, odpiął pasy bezpieczeństwa i zeskoczył lekko ze swego podwyższonego stanowiska na podłogę. Na swych czterech krótkich, łuskowatych nogach pospieszył do włazu i płynnie zsunął się do wody, od razu nurkując w dół, głęboko pod powierzchnię. Nevianie byli bowiem prawdziwymi płazami, zimnokrwistymi i oddychającymi z taką samą sprawnością przy pomocy skrzelii jak i płuc. Ich pokryte łuskami ciało czuło się znakomicie zarówno w wodzie jak i w powietrzu. Ich szerokie, płaskie stopy nadawały się do

biegu po twardej nawierzchni, jak i również do napędzania w wodzie opływowego ciała tak sprawnie, że tylko ryby mogłyby im dorównać.

Neviański dowódca popłynął, sterując precyzyjnie krótkim, zaopatrzonym w lotki ogonem. Przez otwór w ścianie wpłynął do podwodnego holu, lądując na szerokiej pochylni.

Pospieszył w górę do windy, którą wjechał na szczyt sześciokąta, wprost do biura Ministra Gospodarki całej Nevii.

– Witaj, kapitanie Nerado! – minister pomachał mackowatą ręką, pokazując gościowi wyściełaną kanapę. Nerado usiadł z ulgą i spojrzał na dygnitarza za niskim, płaskim “biurkiem”.

– Gratuluję sukcesu końcowego lotu próbnego. Dostaliśmy wszystkie wasze raporty, nawet te nadane przy prędkości dziesięć razy większej od prędkości światła. Czy teraz, gdy ostatnie trudności zostały przezwyciężone, jesteście już gotowi do startu?

– Tak, jesteśmy gotowi – odpowiedział poważnie kapitan-naukowiec. – Pod względem mechanicznym statek jest niemal doskonały, dopracowany w stopniu, w jakim tylko nasze najlepsze mózgi mogły zrobić. Jest zaopatrzony na dwa lata. Wszystkie gwiazdy w zasięgu mogące zawierać żelazo zostały uwzględnione. Wszystko jest gotowe oprócz żelaza. Oczywiście Rada odmówiła nam skorzystania z rezerw narodowych. Ile zdołaliście kupić dla nas na wolnym rynku?

– Około dziesięciu funtów...

– Dziesięć funtów! W jaki sposób? Środki, które wam pozostawiliśmy, nie wystarczyłyby na dwa, nawet po urzędowej cenie.

– Masz przyjaciół. Wielu z nas wierzy w ciebie i sięgnęło do własnych zapasów. Skoro ty i twoi przyjaciele, naukowcy biorący udział w ekspedycji, poświęcili całe swoje osobiste majątki, dlaczego niektórzy z nas nie mieliby też się dołożyć, jako prywatni obywatele?

– Cudownie. Dziękuję. Dziesięć funtów! – duże trójkątne oczy kapitana zapłonęły fioletowym blaskiem. – Co najmniej rok lotu. Ale, co... jeśli się okaże, że się mylimy?

– Wtedy zużyjesz dziesięć funtów nieodnawialnego zasobu – minister nawet nie drgnął – taki jest pogląd Rady i opinii publicznej. Ale nie chodzi o zmarnowanie skarbu, przeciwko czemu tamci protestują, lecz o fakt, że te dziesięć funtów żelaza będzie na zawsze stracone.

– I to byłaby naprawdę wysoka cena – przyznał Neviański Kolumb – gdyby okazało się, że nie mam racji.

– Najprawdopodobniej nie masz – stwierdził niespodziewanie gospodarz. – To jest praktycznie pewne, prawie dowiedzione matematycznie, że żadne słońce, w promieniu setek tysięcy lat świetlnych, nie posiada planet. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, Nevia jest jedyną planetą w całym Wszechświecie, a my jesteśmy najprawdopodobniej jedynym inteligentnym życiem. Jest jedna szansa na niezliczone miliony, że gdzieś w zasięgu lotu twojego nowego doskonałego kosmolotu znajdzie się zawierająca żelazo planeta, na której będziesz mógł wylądować. Z drugiej strony szansa, że znajdziesz jakieś niewielkie, zimne ciało niebieskie zawierające żelazo, niewielkie na tyle, że będziesz je mógł przechwycić, jest znacznie większa. I chociaż brak nam danych, by obliczyć prawdopodobieństwo takiego wydarzenia, niektórzy z nas postawili na to część swojego majątku. Nie liczymy, że to się zwróci, ale jeśli jakimś cudem powiedzie ci się... Głębokie morza zostaną spłycone, cywilizacja rozszerzy się na całą planetę, a nauka rozwinie skokowo, Nevia zaludni się, tak jak powinna. To wszystko, przyjacielu, jest warte ryzyka.

Minister wezwał grupę strażników, którzy mieli eskortować pojemnik z bezcennym metalem na kosmolot. Zanim ciężkie drzwi zamknęły się, przyjaciele życzyli sobie powodzenia.

– ...będę utrzymywał kontakt w paśmie podprzestrzennym – powiedział na koniec kapitan. – I właściwie to nie mam pretensji do Rady, że odmówili mi drugiego statku. Dziesięć funtów, będzie okropną stratą dla świata. Ale jeśli znajdziemy żelazo, dopilnuj, żeby wyleciał, nie tracąc czasu.

– O to się nie martw, jeśli znajdziesz żelazo, Rada zbierze się natychmiast i przestrzeń wypełni się statkami. Do widzenia.

Ostatnie włazy zostały pozamykane, po czym wielki statek Nerada poderwał się w powietrze. Coraz wyżej, ponad najrzadsze ślady atmosfery i przez kosmos z cały czas wzrastającą prędkością, aż wielkie słońce Nevii zostało daleko za nimi i zamieniło się we wspaniałą błękitno-białą gwiazdę. Wtedy projektory silników wyłączono, by zaoszczędzić cenne żelazo, którego rozpad zaopatrywał ich w energię. Tydzień po tygodniu kapitan Nerado i jego awanturnicza załoga naukowców podróżowali beczynn timer w nieograniczonej pustce.

Nie ma takiej potrzeby, by opisywać szczegółowo długą podróż Nerada. Wystarczy powiedzieć, że dotarł do karłowatej gwiazdy typu G posiadającej planety. Nie jedną, ale sześć... siedem... osiem... tak, przynajmniej dziewięć planet. A wokół większości tych światów krążył jeden lub więcej mniejszych globów. Uruchamiając z pełną mocą silniki hamujące, Nerado zadrżał z radości. Wszyscy na pokładzie kosmolotu wpatrywali się w ekrany lub teleskopy, nie mogąc uwierzyć, że rzeczywiście istnieją inne planety poza Newią.

Po wyłączeniu napędu gwiazdowego, statek Nevian ruszył powoli w kierunku Słońca.

Uruchomione detektory elektromagnetyczne wykazały na kursie przeszkody z przewodzącej substancji, której struktura wskazywała wyraźnie, że jest to praktycznie czyste żelazo. Żelazo w wielkiej ilości unoszące się swobodnie w przestrzeni. Nie czekając na bliższe zbadanie

natury, wyglądu i budowy cennego obiektu, Nerado uruchomił konwertory i skierował na niego potężne pole siłowe, którego zadaniem było przekształcić metaliczne żelazo w odmianę alotropową o znacznie mniejszej objętości; ciężką, czerwoną i lepłą ciecz, bardziej nadającą się do przechowywania w zbiornikach statku.

Zanim jeszcze cenna ciecz została załadowana, detektory podniosły następny alarm. W jednym kierunku, na granicy zasięgu, wykryto ogromną masę zawierającą żelazo, w drugim większą liczbę mniejszych, a w trzecim, relatywnie niewielki, pojedynczy obiekt. Przestrzeń wydawała się być pełna żelaza. Nie czekając, Nerado skierował ku odległej Nevii pełną moc wiązki komunikacyjnej i wysłał radosną wiadomość: “Znaleźliśmy żelazo. Łatwo dostępne i w niewyobrażalnej ilości. Nie miligramy, lecz niezmierzone miliony milionów ton. Wyślijcie natychmiast więcej statków.”

– Kapitanie! – Nerado został wezwany do jednego ze stanowisk obserwacyjnych. – Sprawdzaliśmy ten mały obiekt w pobliżu. To jest sztuczna konstrukcja, mała szalupa kosmiczna, a w niej trzy stworzenia. Pewnie jakieś potworki, ale muszą być inteligentne, gdyż inaczej nie potrafiłyby sterować tym pojazdem.

– Co takiego? Niemożliwe! – wykrzyknął szef ekspedycji. – W takim razie tamten też był... No trudno, potrzebujemy żelaza. Ściągnijcie ten pojazd w całości, zbadamy te istoty i ich urządzenia. – Nerado skierował na szalupę dalekowizor i zobaczył w niej opancerzone postacie Clio Marsden i dwóch oficerów Unii Trójplanetarnej.

– Rzeczywiście wyglądają na inteligentne – skomentował, wykrywając, a następnie zagłuszając podprzestrzenny komunikator Costigana – ale chyba nie tak bardzo, jak przypuszczałem – ciągnął, oglądając szczegółowo dziwne stworzenia i ich wąty stateczek. – Mają ogromne zasoby żelaza, ale używają go tylko jako materiał budowlany. Prawie nie wykorzystują lub

wykorzystują nieefektywnie energię jądrową. Wydaje się, że posiadają podstawową wiedzę o podprzestrzeni, ale nie wykorzystują jej w inteligentny sposób. Nie potrafią zneutralizować nawet naszego zwykłego zagłuszania. Są na pewno bardziej inteligentni niż niższe ganoidy¹, a może nawet niektóre z wyższych ryb, ale w żadnym wypadku nie można ich porównywać z nami. To dobrze, bo bałem się, że w pośpiechu mogłem pozbawić życia członków rasy wysokorozwiniętej.

Bezsilna szalupa, ze zneutralizowanymi wszystkimi funkcjami, została przyciągnięta w pobliże ogromnej latającej ryby. Tam ogniste noże pól siłowych pocięły ją ostrożnie na fragmenty, które złożono w magazynie do dalszych badań, a trzy sztywne, opancerzone postacie, pozbawiono zewnętrznej broni i dostarczono przez służę na mostek. Neviańscy uczeni przeanalizowali dokładnie skład powietrza wewnątrz skafandrów Ziemi, po czym ostrożnie ich rozebrali.

Costigan — cały czas w pełni przytomny i zdolny do niewielkich ruchów, gdyż dziwny paraliż zaczął ustępować — przygotował się na nie wiadomo co, ale niepotrzebnie; ich groteskowi porywacze nie zamierzali się nad nimi znęcać. Powietrze, jakkolwiek nieco gęstsze niż ziemskie i o dziwnym zapachu, nadawało się bez wątpliwości do oddychania, a chociaż statek nie poruszał się w przestrzeni, prawie normalna grawitacja pozwalała odczuwać dużą część własnego ciężaru.

Po uwolnieniu ich od pistoletów i innych przedmiotów, które Nevianie mogli uważać za broń, dziwny paraliż ustąpił całkowicie. Ziemskie ubrania ogromnie zaintrygowały porywaczy, ale zaciekły opór przeciw ich zdjęciu spowodował, że zrezygnowali i zaczęli oglądać szczegółowo swoje znalezisko.

Reprezentanci cywilizacji z dwóch odległych układów słonecznych stanęli twarzą w twarz. Nevianie oglądali ludzi z ciekawością pomieszaną

ze wstrętem, troje Ziemiaków patrzyło na nieruchome, nieczytelne “twarze” — o ile można powiedzieć, że te stożkowate głowy posiadały coś takiego — z przerażeniem i odrazą, a także z innymi uczuciami, w zależności od charakteru i wykształcenia. Dla ludzkich oczu Nevianin jest strasznym potworem. Nawet obecnie niewielu Ziemiaków, czy w ogóle Solarian, może spojrzeć prosto w oczy Nevianina, nie doświadczając uczucia odruchu wymiotnego w żołądku czy dreszczy. Rogaty, pomarszczony i odporny na wysychanie Marsjanin, którego znamy i raczej lubimy, jest paskudną istotą. Bezbarwny, bezwłosy, praktycznie pozbawiony skóry Wenusjanin o tępowym spojrzeniu wygląda jeszcze gorzej. Tyle że oni są w końcu dalekimi kuzynami ziemskiej ludzkości i akceptujemy ich, gdy musimy pojechać na Marsa czy na Wenus. Ale Nevianie...

Poziome, płaskie, rybiokształtne ciało nie jest tutaj najgorsze — nawet z tymi czterema krótkimi, mocnymi, pokrytymi łuską i płaskostopowymi nogami, zakończone tym niesamowitym, wyposażonym w cztery lotki, ogonem. Szyja, nawet znośna, chociaż długa i giętka, okryta gęsto łuską i powyginaana w jakieś niesamowite pętle, zawijasy, które właściciel uznał za najbardziej wygodne lub ozdobne w danej chwili. Nawet do zapachu Nevian — tego odrażającego smrodu psującej się ryby — można z czasem przywyknąć, zwłaszcza, gdy jest w wystarczającym stopniu zamaskowany kreozotem, znaną na Ziemi substancją uważaną przez Nevian za najlepsze perfumy. Ale głowa! Ich głowa, będąc rzeczą całkowicie obcą w solaryjskiej historii i kulturze, jest tym, co czyni Nevian tak odpychającymi dla ziemskich oczu. Jak większość Tellurian już wie, jest to przede wszystkim masywny stożek, pokryty łuskami, kończący szyję na kształt grotu włóczni. Cztery wielkie, trójkątne oczy w kolorze morskiej zieleni, są rozmieszczone równomiernie w połowie stożka. Kurczliwe tęczęwki, jak u kota, pozwalają Nevianom widzieć równie dobrze w jaskrawym świetle jak

i w ciemności. Bezpośrednio pod każdym okiem wyrasta długie, pozbawione stawów i kości, mackowate ramię kończące się ośmioma delikatnymi i wrażliwymi, ale bardzo silnymi “palcami”. Poniżej każdego ramienia są usta, zrogowaciały, mocno uzębiony narząd o przerażających możliwościach. I w końcu, na wystającej krawędzi stożkowej głowy wiszą delikatne frędzle, organy służące Nevianom jako skrzela, nozdrza czy płuca, w zależności od potrzeb. Oczy i pozostałe organy są dla Nevian bardzo wyraziste, dla nas natomiast wydają się całkowicie pozbawione ekspresji i nieruchome. Zmysły ziemian nie są w stanie wykryć jakichkolwiek zmian na neviańskiej “twarzy”. Przed takimi to koszmarnymi stworzeniami przyszło stanąć ze ściśniętym sercem trójce więźniów.

Niemniej, jeśli my ludzie uważamy Nevian zawsze za groteskowych i odpychających, to to wrażenie jest wzajemne. Dlatego, że te “potwory” są bardzo inteligentną i wrażliwą rasą i nasza — dla nas doskonała i wdzięczna ludzka forma — dla nich wydaje się być kwintesencją zniekształcenia i ohydy.

– O Boże, Conway! – wykrzyknęła Clio, przytulając się do Costigana, a ten otoczył ją ramieniem. – Jakie okropne potwory! I nie potrafią mówić. Żaden się nie odezwał. Muszą być głusi i tępi?

W tej samej chwili Nerado zwrócił się do swoich towarzyszy.

– Co za ohyda. Jakieś zdeformowane stworzenia. Nawet jeśli posiadają jakąś inteligencję, to muszą to być niższe formy życia. Nie potrafią mówić, nie zareagowały na żadne nasze słowa. Myślicie, że porozumiewają się wzrokiem? Że te niesamowite deformacje ich dziwnie umiejscowionych organów mogą służyć do porozumiewania się?

Żadna ze stron nie zauważyła, że druga coś mówi, gdyż głos Nevian jest tak wysoki, że najniższa słyszalna dla nich nuta znajduje się daleko

powyżej granicy naszego słuchu. Z kolei najwyższa nuta ziemskiego pikolo jest głęboko poniżej ich słyszalności.

– Nie mamy teraz czasu – Nerado odwrócił się od więźniów – musimy odłożyć dalsze badania tych okazów, dopóki nie załadujemy statku do pełna żelazem.

– To co z nimi zrobić, sir? – zapytał jeden z oficerów. – Zamknąć je w jakimś magazynie.

– Och, nie. Mogłyby tam umrzeć. Powinniśmy je trzymać w dobrych warunkach, żeby nasi koledzy z Akademii Nauk mogli je zbadać. Wyobrażacie sobie ten rozgłos, gdy przywieziemy grupę takich dziwnych stworzeń, żywy dowód na istnienie planet w innych układach słonecznych; planet na których istnieje inteligentne życie biologiczne. Wsadźcie je do trzech połączonych kabin, powiedzmy w czwartej sekcji. Na pewno potrzebują światła i ruchu.

Pozamykajcie, oczywiście, wszystkie wyjścia, ale przejścia między kabinami zostawcie otwarte.

Mogą być razem albo osobno, jak chcą. Ta mniejsza, samica, trzyma się tego większego samca, więc być może tworzą parę. Ale skoro nie wiemy, jakie są ich zwyczaje, najlepiej dajmy im tyle wolności, na ile pozwalają względy bezpieczeństwa.

Nerado odwrócił się do swoich instrumentów, a trójka jego odrażających podwładnych podeszła do ludzi. Jeden z nich pomachał parą ramion przekazując oczywisty sygnał, że więźniowie mają iść za nim. Więźniowie więc posłusznie poszli, a dwaj pozostali strażnicy z tyłu.

– Teraz mamy ostatnią szansę – mruknął Costigan po przejściu przez niskie drzwi i wejściu w wąski korytarz. – Clio, zajmij się tym z przodu. Przytrzymaj go przez chwilę, jak potrafisz. Bradley, ty i ja weźmiemy tych dwóch z tyłu. Teraz!

Costigan zatrzymał się i obrócił. Chwycił za linowate ramię, pociągnął niezwykłą głowę w dół i z całą siłą swojej potężnej prawej nogi wyprowadził uderzenie ciężkiego, wojskowego buta w miejsce, gdzie łuskowata szyja łączyła się z głową. Nevianin upadł, a Costigan skoczył na prowadzącego, znajdującego się przed dziewczyną. Skoczył i upadł na podłogę ponownie sparaliżowany. Prowadzący był na to przygotowany i zareagował błyskawicznie, jego cztery oczy widziały we wszystkich kierunkach. Nie był szybki na tyle, by powstrzymać berserkerski atak Costigana, który działał błyskawicznie i niespodziewanie, ale wystarczająco by opanować sytuację. Natychmiast pojawił się jeszcze jeden Nevianin i podczas gdy uderzony strażnik dochodził do siebie, trzymając się wszystkimi czterema ramionami za konwulsyjnie wyginającą się szyję, trójka bezsilnych Ziemiaków została uniesiona w powietrze i zanesiona do kwater wyznaczonych przez Nerada. Położono ich na miękkich poduszkach pośrodku kabiny i zamknięto ciężkie metalowe drzwi. Dopiero wtedy odzyskali władzę w rękach i nogach.

– No cóż, przegraliśmy kolejną rundę – podsumował z uśmiechem Costigan. – Ciekawe, jak oni się biją, jeżeli nie mogą kopnąć, uderzyć czy ugryźć. Byłem pewien, że po czymś takim te jaszczurki skopią mnie, a oni nic.

– Nie chcą nas pokaleczyć. Chcą nas zabrać do domu, gdziekolwiek to jest, jako ciekawostki, dzikie zwierzęta lub coś podobnego – stwierdziła dziewczyna przeklinając. – Są paskudni, to fakt, wolę jednak ich niż Rogera i jego roboty.

– Myślę, że ma pani rację, panno Marsden – mruknął Bradley – całkowicie. Czuję się jak niedźwiedź w klatce. Uważam, że powinna pani odbierać to gorzej niż przedtem. Na co może liczyć zwierzę w menażerii?

– W menażerii? Na wiele rzeczy. Ja czuję się coraz lepiej – oświadczyła Clio, poświadczając spokojem swoje słowa. – Wy dwaj wydostaliście nas z dużo gorszego miejsca u Rogera. Jestem pewna, że tak lub inaczej wydostaniecie nas stąd. Mogą brać nas za głupie zwierzęta, ale jak wy obaj oraz Patrol Trójplanetarny i Służby weźmiecie się za nich, to zmienia zdanie.

– Trochę to może potrwać, Clio – uśmiechnął się Costigan – niemniej, chociaż nie przemyślałem tego tak dokładnie jak ty, to zgadzam się z tobą. Wiercie, że chociaż te czworonożne ryby prawdopodobnie dysponują znacznie cięższym sprzętem niż Roger, to niedługo też znajdą się w trudnej sytuacji, której nie będą mogli zlekceważyć.

– Coś wiesz, czy tylko chcesz nam dodać otuchy? – zapytał Bradley.

– Coś wiem, chociaż niewiele. Wydział Inżynierii od dawna opracowuje nowy typ statku. Statku podróżującego szybciej niż światło, który mógłby polecieć w każde miejsce w Galaktyce i wrócić w ciągu miesiąca. Nowy napęd podprzestrzenny, nowy reaktor jądrowy, nowe wyposażenie, wszystko nowe. Jest tylko jeden problem, kiepsko działa. Konstrukcja zawiera więcej pluskiew, niż się znajdzie w wenusjańskiej kuchni. Pięć razy wyleciał w powietrze, zabijając dwudziestu dziewięciu ludzi. Ale, kiedy go w końcu dopracują, to będzie *coś!*

– Kiedy czy jeśli? – zapytał pesymistycznie Bradley.

– Powiedziałem: kiedy – uciął Costigan. – Kiedy Służby czegoś potrzebują, to to dostają, a kiedy już dostaną, to mają... – urwał nagle i zmienił ton. – Przepraszam. Nie miałem na myśli nic wielkiego, ale wierzę, że jeśli uda nam się przetrwać jakiś czas, to dostaniemy pomoc. Tutaj nie jest tak źle. Dostaliśmy klatki kategorii luks. Wszystkie wygodny, jak w domu, nawet ekrany obserwacyjne. Zobaczmy, co się dzieje?

Po kilku eksperymentach z nieznanym mu urządzeniem Costigan nauczył się posługiwać neviańskim dalekowizorem i na ekranie zobaczyli stożek bitewny skierowany ku planetoidzie Rogera. Zobaczyli piracką flotę ruszającą do walki ze zmasowanymi siłami trójplanetarnymi. Z zapartym tchem śledzili każdy manewr tej epickiej bitwy, aż do jej samobójczego końca. Równie intensywnie jak oni bitwę obserwowali Nevianie na mostku.

– Rzeczywiście krwawa batalia – stwierdził Nerado przed swoim ekranem – chociaż dziwne, że nie używają broni podprzestrzennej. Niemniej z drugiej strony, czego by można oczekiwać od tak prymitywnej rasy. Wojna wydaje się być czymś uniwersalnym wśród ras prymitywnych. Przecież nie tak dawno nasze miasta, chociaż jest ich tak niewiele, również walczyły ze sobą i z prymitywnymi rybami z większych głębokości.

Ucichł i przez jakiś czas obserwował szaleńczą walkę dwóch flot kosmicznych. Gdy walka skończyła się, flota trójplanetarna przegrupowała się i ruszyła na planetoidę.

– Zniszczenie, tylko zniszczenie – westchnął manipulując przełącznikami. – Jeśli oni chcą się wzajemnie zniszczyć, nie widzę powodu, żebyśmy mieli się dalej powstrzymywać.

Potrzebujemy żelaza, a ta rasa wygląda na bezużyteczną. Chociaż rozległe czerwone pole siłowe konwertujące materię nie mogło objąć całej floty, połowa obwodu gigantycznego stożka wkrótce zniknęła, a składające się na nią okręty zamieniły w leniwie płynącą strugę alotropowego żelaza. Flota przerwała atak na planetoidę i znów się przegrupowała, kierując stożek na to bezkształtne coś, co było ledwo widoczne dla podprzestrzennych obserwatorów Sammsa. Zmasowany, gigantyczny strumień ognia uderzył z furją i nie był jedyny.

Od nieoczekiwanej ucieczki ludzkich więźniów Gharlane zdawał sobie sprawę z tego, że dzieje się coś poza jego doświadczeniem, chociaż nie

poza jego wiedzę teoretyczną.

Podprzestrzeń była zamknięta, jego broń podprzestrzenna nie działała ani przeciw trójce uciekinierów, ani przeciw okrętom Patrolu Trójplanetarnego. Niemniej obecnie mógł działać pomimo zagłuszenia stosowanego przez przybyszy. Mała próba wykazała, że jeśli chce, może ich zaatakować bronią podprzestrzenną. O co w tym wszystkim chodziło?

Doszedł do wniosku, że trójka uciekinierów nie była ludźmi w większym stopniu niż on sam. Kto lub co w takim razie nimi sterowało? Zdecydowanie nie była to robota Eddorian. Żaden z Eddorian nie opracował i najprawdopodobniej nie mógł opracować tych szczególnych technologii bez jego wiedzy. W takim razie, musiała to zrobić jakaś rasa równie stara i zdolna jak Eddorianie, lecz o całkowicie odmiennej naturze. Tymczasem według gigantycznego Eddorskiego Centrum Informacyjnego, żadna taka rasa nie istniała.

Z drugiej strony należałoby oczekiwać, że obcy przybysze, posiadający urządzenia znane prawdopodobnie jedynie nauce Eddoru, mogą również posiadać siłę mentalną, wystarczającą do wprowadzenia odpowiednich blokad. Czyżby więc byli to przybysze z innego kontinuum czasoprzestrzennego? Najprawdopodobniej, nie. Eddorianie nie znaleźli nawet śladu takiego życia w jakimkolwiek dostępnym wszechświecie. Byłoby więc całkowicie fantastycznym postulować niezapowiedziane pojawienie się dwóch takich ras jednocześnie. Konkluzja wydawała się nieunikniona: te wciąż nieznanne istoty były protektorami — a raczej aktywatorami — obu oficerów trójplanetarnych i kobiety. Ten pogląd był wspierany faktem, że w czasie, gdy obcy atakowali flotę i zabijali tysiące ludzi, ta trójka została przez nich uratowana. W następnej kolejności zaatakują więc planetoidę. W porządku, w takim razie on się przyłączy w

tej walce do floty Trzech Planet. Przyłączy się z bronią nie groźniejszą niż broń floty, odkładając prawdziwy atak na później.

Roger wydał rozkazy i czekał, zastanawiając się intensywnie nad jednym punktem, który wydawał mu się niejasny. Dlaczego, gdy obcy sami niszczyli statki Trójplanetarnych, on wciąż nie mógł użyć przeciw flocie swojej najpotężniejszej broni?

I tak, po raz pierwszy w historii, siły prawa i porządku połączyły się z piratami i bandytami przeciw wspólnemu wrogowi. Pociski, promienie, płaszczyzny i strzały pól siłowych o ogromnej energii wsparły niszczycielski słup ognia skazanej na klęskę floty trójplanetarnej.

Roger strzelał z każdej posiadanej materialnej broni. Ale ani bomby, wybuchowe pociski, czy śmiertelnie niebezpieczne atomowe torpedy nie przynosiły efektu. Po prostu znikwały w czerwonym woalu nicości. A flota się roztopiała. Jeden po drugim okręty rozbłyskiwały czerwienią, kurczyły się, uciekało z nich powietrze, a żelazo, będące składnikiem wielu elementów, wyciekało w postaci purpurowego, lepkiego strumienia, płynącego przez nieprzenikalny obłok ku któremu skierowany był cały ogień floty i piratów.

Po konwersji ostatniego statku atakującego stożka floty i załadowaniu wytopionego metalu, Nevianie, tak jak przewidywał Roger, zwrócili się ku planetoidzie. Lecz ta konstrukcja nie była słabowitym okrętem. Została zaprojektowana i zbudowana pod osobistym nadzorem Gharlana z Eddoru. Była zasilana, wyposażona i uzbrojona na każdy wypadek, który potężny mózg Gharlana był w stanie przewidzieć. Cały kadłub był chroniony tarczą, której jakość tak zaskoczyła Costigana. Tarczą daleko bardziej efektywną, niż jakkolwiek telluryjski naukowiec czy inżynier mógł sobie wyobrazić.

Żarłoczny, działający w podprzestrzeni, promień konwertujący Nevian, uderzył w tarczę i odbił się, pokonany i osłabiony. Uderzył ponownie i

znów się odbił. Potem uderzył i przywarł liżąc językami ognia nieprzenikalną powierzchnię. Nerado podwoił, a następnie zwiększył moc czterokrotnie. Pole siłowe napierało coraz mocniej. Ogromny glob planetoidy przekształcił się w świecąca kulę surowej, czerwonej energii, ale tarcza piratów wciąż pozostawała nietknięta.

Szary Roger siedział bez ruchu przy swoim wielkim biurku, którego blat był obecnie podniesiony, odsłaniając panel z mnóstwem rozmaitych przyrządów i urządzeń kontrolnych.

Takie obciążenie wytrzymywał bez problemu, ale jeśli miał rację, to obciążenie wkrótce się zmieni. I co wtedy? Istotne było to, że Gharlane nie mógł zostać zabity ani nawet zraniony przez żadną broń fizyczną, chemiczną czy jądrową. Ma więc zostać w planetoidzie do końca i w ten sposób być wyrzucony do Eddoru, bez żadnego materialnego dowodu? Tego nie chciał. Zbyt wiele rzeczy nie zostało zrobionych. Żaden raport sporządzony na podstawie obecnie posiadanych danych nie będzie ani pełny, ani definitywny, a raporty przedstawiane zimno-cynicznemu i brutalnie-analitycznemu Wewnętrznemu Kręgowi przez Gharlana z Eddoru były zawsze pełne i definitywne.

Faktem było, że istniał przynajmniej jeden nieeddorski umysł porównywalny z nim, a jeśli istniał jeden, to musiała istnieć cała rasa. Myśl była irytująca, ale odrzucić ją, byłoby kwintesencją głupoty. Ponieważ rozwój siły umysłu był funkcją czasu, ta rasa musi być przynajmniej tak stara jak oni. W takim razie Eddorskie Centrum Informacji, które przez aspirację do kompletności odmawiało istnienia takiej rasy, było wadliwe. Nie było kompletne.

Dlaczego nie było kompletne? Jedynym możliwym powodem, dla którego dwie takie rasy pozostawały nieświadome wzajemnego istnienia, mogło być tylko zamierzone działanie jednej z nich. Z tego wynikało, że

kiedyś w przeszłości musiało dojść do kontaktu, przynajmniej na chwilę, po czym cała wiedza Eddorian dotycząca tego spotkania została wymazana, a następne spotkania zabronione.

Wniosek wyciągnięty przez Gharlana był rzeczywiście kłopotliwy, ale będąc Eddorianinem, zaakceptował go natychmiast. Nie musiał się zastanawiać dlaczego zrobiono coś takiego. On to wiedział. Wiedział, że jego umysł zawiera całą wiedzę wszystkich jego przodków, poczynając od pierwszego Eddorianina. Wiedział, że jakkolwiek by nie była ta wiedza wytłumiona, jest duże prawdopodobieństwo, że jeśli taki kontakt miał miejsce w przeszłości, to posiada jakąś informację na ten temat.

Myślał. Dawno... dawno... jeszcze dawniej... wciąż jeszcze dawniej...

I gdy tak myślał, coś zaczęło w nim wzbierać, nić mentalnej sondy, eksplorującej dotychczas niesondowane głębie jego umysłu, wyciągała ledwo wyczuwalne języczki wspomnień.

– Tak... A więc nie chcesz, żebym pamiętał? – Roger zapytał głośno, nie zmieniając wyrazu swojej nieprzeniknionej, szarej twarzy. – Ciekawe... naprawdę wierzysz, że możesz powstrzymać mnie od przypomnienia sobie? Teraz jednak muszę się zająć czymś innym, ale bądź pewien, że bardzo szybko do tego powrócę.

* * *

– Analiza jego tarczy, sir – neviański analityk podał przełożonemu metalowy arkusz pokryty rzędami symboli.

– O! Policykliczny... całkowite pokrycie... ekranu tego typu nie spodziewałbym się po tak nisko rozwiniętej formie życia – skomentował Nerado, po czym zaczął manipulować pokrętłami i kontrolkami.

Gdy to zrobił, blask atakującego pola siłowego zaczął się zmieniać. Od czerwieni przeszedł przez wszystkie kolory widma do nieznośnego fioletu i

zniknął. W tym momencie ściana tarczy zaczęła się poddawać. Nie opadła gwałtownie, tylko zmiękła miejscami, zwiśla w dziwnej kompozycji dolin i grzbietów, broniąc uparcie każdego straconego cala.

Roger spróbował krótko z polem bezinercyjnym. Nic z tego. Jak przypuszczał, byli na to przygotowani. Wezwał kilku ze swoich najzdolniejszych niewolników-naukowców i wydał im polecenia. Przez kilka minut gromada robotów wysilała się intensywnie, po czym część tarczy wydeła się i przekształciła w rurę sięgającą w głąb atakującego pola. Z rury wytrysnął gwałtowny strumień energii; strumień, za którym stała cała moc, jaką planetoida była w stanie wyprodukować; strumień, który wybił dziurę w czerwonym nieprzenikliwym polu Nevian i uderzył z niesamowitą siłą w wewnętrzną tarczę rybiokształtnego statku. W tym samym momencie, coś błysnęło, jakby słabsza erupcja nastąpiła po drugiej stronie straconej planetoidy, prawie niedostrzegalny błysk, jakby coś wystrzeliło w przestrzeń.

Szyja Nerada wiła się konwulsyjnie, podczas gdy jego nadwerężone maszyny wyły i warczały pod straszliwym obciążeniem. Wysiłki Rogera były jednak zbyt intensywne, by mogły być dłużej podtrzymywane. Generatory padały jeden po drugim, ekrany obronne opadły, a czerwone pole konwertujące żarłocznie zaatakowało nieodporny metal poszycia. W chwilę później nastąpił okropny błysk, planetoida eksplodowała, gdy ciśnienie powietrza rozerwało jej osłabiony kadłub i leniwa rzeka alotropowego żelaza popłynęła większym i szybszym strumieniem.

– Dobrze, że mamy nieograniczone źródło żelaza – powiedział z wielką ulgą Nerado zawiązując sobie szyję niemal na supeł. – Mając tylko siedem funtów z naszego oryginalnego zapasu, mogliśmy mieć problem z odparciem tego ostatniego uderzenia.

– Problem? – Zdziwił się jego zastępca. – Jesteśmy teraz wolni jak dzikie karasie. Co mam zrobić z resztą tego żelaza? Do zbiorników zmieścimy najwyżej połowę. I co z tym ostatnim statkiem?

– Wyrzuć za burtę zapasy z dolnych ładowni i zrób miejsce na resztę. A tamten niech leci, gdzie chce. Będziemy przeładowani, a sprawą największej wagi jest teraz jak najszybciej powrócić na Newię.

Gdyby Gharlane to usłyszał, mogłoby mu to wiele wyjaśnić. Cała Aryzja wiedziała, że statek zwiadowczy musi koniecznie ocaleć. Nevianie interesowali się wyłącznie żelazem, natomiast Eddorianie, jako perfekcyjniści, nigdy by nie zadowolili się czymś mniejszym niż kompletne zniszczenie wszystkich statków floty Trzech Planet.

Kosmolot Nevian ruszył, nieco ospale z powodu ogromnego przeładowania. Troje Ziemiaków w swoich kwaterach, w czwartej sekcji, obserwujących z napięciem klęskę i wchłonięcie planetoidy, popatrzyło po sobie z przygnębieniem. Clio przerwała ciszę.

– Och, Conway, to było niesamowite! To... to była po prostu pieprzona totalna masakra – westchnęła, ale spoglądając w zaskoczeniu na twarz Costigana zaczęła odzyskiwać swoje zazwyczaj pogodne usposobienie, gdyż ten, mimo zamyślenia, oczy miał przytomne i patrzył uważnie, bystro, bez śladów strachu i zagubienia widocznych na jego przystojnej młodej twarzy.

– Sytuacja nie jest najlepsza – przyznał szczerze. – Wolałbym nie być takim tępym baranem. Gdyby Lyman Cleveland albo Fred Rodebush byli tutaj, pewnie by sobie poradzili, a ja się znam na tych rzeczach, o tyle tylko, żeby ich używać. Nie wiem nawet, co myśleć o tym śmiesznym błysku, po drugiej stronie planetoidy, o ile to był błysk.

– Czemu martwisz się o jeden mały błysk, gdy tyle rzeczy się wydarzyło? – zapytała z ciekawością Clio.

– Myślisz, że Roger coś wystrzelił? Nie sędę. Ja nic nie widziałem – powiedział Bradley.

– Naprawdę nie wiem. Nigdy nie widziałem niczego, co zostało wystrzelone tak szybko, by nie dało się śledzić falami podprzestrzennymi. Z drugiej strony, Roger miał mnóstwo sprzętu, którego nigdy wcześniej nie widziałem. Hm, na nasze obecne położenie to i tak nie będzie miało wpływu. Nie trafiliśmy tak najgorzej. Wciąż oddychamy powietrzem, a jeśli oni teraz nie zagłuszają mojej fali, wciąż mogę nawiązać kontakt.

Włożył obie ręce do kieszeni i zaczął mówić.

– Samms? Tu Costigan. Włącz zapis, szybko. Prawdopodobnie nie mam zbyt wiele czasu – po czym przez dziesięć minut mówił, zwięźle i szybko, jak tylko mógł, referując jasno i dokładnie wszystko czego się dowiedział. Nagle urwał, wijąc się z bólu. Gwałtownie rozdarł koszulę i rzucił mały przedmiot w przeciwną stronę kabiny.

– Uff! – wykrzyknął – może i są głusi, ale z pewnością potrafią wykryć fale podprzestrzenne i wytworzyć interferencję. Nie, nie jestem ranny – zapewnił zaniepokojoną dziewczynę u swego boku – ale dobrze zrobiłem, że wyłączyłem wasze obwody. Rąbnęło by cię tak, że straciłabyś sześć albo siedem zębów.

– Jak myślisz, gdzie oni nas zabierają? – zapytała ponuro.

– Nie wiem – odparł spokojnie, patrząc w jej ufne oczy – o ile cię znam, nie zemdlejesz, więc nie będę cię okłamywał. Gadanie o Jowiszach czy Neptunianach byłoby bez sensu. Oni nie pochodzą z Układu Słonecznego. Wszystko wskazuje na to, że czeka nas długa podróż.

† Ganoidy — rodzaj ryb o skórze nagiej lub częściowo pokrytej tzw. łuskami ganoidalnymi.

Rozdział 11

NEVIAŃSKI KONFLIKT

Kosmolot Nevian pędził swoją drogą. Obaj ziemscy nawigatorzy wkrótce się zorientowali, że lecą z prędkością dużo większą od prędkości światła i że statek musi bardzo mocno przyspieszać, niemniej siła ciężenia, którą odczuwali, była stała i nieco mniejsza niż na Ziemi.

Bradley, stary wyjadacz kosmiczny, poszedł spać od razu jak tylko zakończył serię obserwacji i chrapał głośno na stosie poduszek w pierwszej z trzech połączonych kabin. W środkowej kabynie, przeznaczonej dla dziewczyny, Costigan stał bardzo blisko Clio, starając się jej nie dotykać. Cały był spięty, a na twarzy widać było znużenie.

– Nie masz racji, Conway, wcale nie masz – mówiła bardzo poważnie Clio – wiem, co czujesz, ale to fałszywa rycerskość.

– Nie o to chodzi – zaprzeczył z uporem – to z powodu naszej sytuacji. Znalazłaś się w kosmosie, sama i w niebezpieczeństwie. To mnie powstrzymuje. Znam ciebie i znam siebie wystarczająco, by wiedzieć, że to co zaczniemy teraz, będzie trwało do końca życia. Jeśli chodzi o mnie, to nie ma różnicy, czy zrobimy to teraz, czy poczekamy do powrotu na Tellusa, ale mówię ci, że dla twojego dobra lepiej gdybyś mi całkowicie odpuściła. Dam radę trzymać się od ciebie z daleka, ale tylko jeśli mi tak każesz.

– Rozumiem, kochany, wszystko rozumiem, ale...

– Co ale! – przerwał jej. – Nic nie rozumiesz. Nie dociera do ciebie, w co się pakujesz wychodząc za mnie za mąż? Zakładając, co w ogóle nie jest pewne, że uda nam się wrócić. Ale nawet jeśli nam się kiedyś uda, może

nawet wkrótce, kto to może wiedzieć, to są tacy, którzy chcieliby dostać pięćdziesiąt gramów radu za moją głowę.

– Pięćdziesiąt gramów? Podobno za Sammsa dają tylko sześćdziesiąt. Wiedziałam.

Wiedziałam, Conway, że nie jesteś byle kim! – wykrzyknęła Clio, nie zniechęcając się. – Coś mi jednak mówi, że każdy pirat mocno pożałuje, że łąszczył się na tę nagrodę. Nie bądź głupi kochanie. Dobranoc.

Odchyliła głowę do tyłu, zbliżyła do niego swoje słodkie, czerwone, uśmiechnięte wargi, a jego ramiona same owinęły się wokół niej. Objęła go za szyję, po czym przywarli nieruchomo do siebie w ekstazie pierwszego miłosnego uścisku.

– Och, dziewczyno, jak ja cię kocham – powiedział chrapliwie Costigan, a jego chłodne zazwyczaj oczy zapłonęły ciepłym blaskiem. – Teraz dopiero czuję, że żyję. W każdym bądź razie, dopóki...

– Przestań! – przerwała mu ostro – Będziesz żył tak długo, dopóki nie umrzesz ze starości. Po prostu musisz. A jak nie, Conway, to pożałujesz.

– No właśnie. Teraz nie mam żadnego interesu w umieraniu. Wszyscy piraci między Tellusem i Andromedą nie dadzą mi rady. Mam po co żyć. Dobranoc, najdroższa. Zostawmy to na razie, bo musisz się przespać.

Rozstanie się kochanków nie było takie proste i łatwe, jak by to wynikało ze słów Costigana, ale w końcu poszukał swojej kabiny i wyciągnął się na stosie poduszek, a jego surowa twarz złagodniała. Zamiast niskiego metalowego sufitu zobaczył piękny owal młodej opalonej twarzy w koronie złocistych włosów. Jego wzrok utonął w głębi oddanych, uczciwych, ciemnoniebieskich oczu. Patrząc coraz głębiej i głębiej w te błękitne otchłanie, zasnął. Na jego twarzy, zbyt nieprzeniknionej i poważnej jak na mężczyznę w jego wieku — życie szefa sektora Służb

Trójplanetarnych nie było łatwe i z reguły niezbyt długie — pojawiła się po zaśnięciu świeżo uzyskana łagodność, odbicie nieograniczonego szczęścia.

Dzięki treningowi spał, chrapiąc, przez osiem godzin, po czym obudził się od razu w pełni przytomny i gotów do działania.

– Clio – szepnął – obudziłaś się?

– Czy obudziłam? – jej głos słyszany przez ultrafon wyrażał ulgę w każdej sylabie. – Na Boga, myślałam, że masz zamiar spać, dopóki nie przylecimy na miejsce! Chodźcie tu obaj.

Nie rozumiem, jak możecie spać w ten sposób, jakbyście byli w domu we własnych łóżkach.

– Musisz się nauczyć spać wszędzie, jeśli chcesz utrzymać... – Costigan urwał, gdy otworzył drzwi i zobaczył jej podkrążone oczy. Było jasne, że ma za sobą bezsenne i wyczerpujące osiem godzin. – Dobry Boże, Clio, dlaczego mnie nie zawołałaś.

– Och, nic mi nie jest, jestem tylko trochę podenerwowana. Chyba nie muszę pytać, jak ty się czujesz?

– Nie musisz. Jestem głodny – odparł radośnie. – Mam zamiar sprawdzić, co się da zrobić w tej materii. Jestem też ciekaw czy wciąż zagłuszają nasze połączenie z Sammsem.

Wyjął małe, izolowane pudełko i dotknął lekko palcem przycisku. Szarpnął gwałtownie ręką.

– Bez zmian – wyjaśnił niepotrzebnie. – Chyba nie chcą, żebyśmy kontaktowali się z kimś z zewnątrz. Z drugiej strony, to zagłuszanie jest równie dobre jak mój sygnał. Dzięki niemu będą mogli nas wyśledzić. Zobaczmy w takim razie, co ze śniadaniem.

Podszedł do ekranu i nastawił urządzenie na mostek, gdzie zobaczył Nerada, leżącego jak pies, przy tablicy sterowniczej. W tym momencie pojawiło się niebieskie światelko i Nevianin skierował uwagę na mały

ekran obserwacyjny. Widząc, że kontakt został nawiązany, Costigan uklonił się i wskazał palcem na swoje usta, mając nadzieję, że jest to uniwersalny sygnał głodu.

Nevianin machnął ramieniem i nacisnął kilka przycisków na swojej tablicy. Spora część podłogi w kabinie Clio odsunęła się i z otworu wysunęła się w górę stół z trzema wyściełanymi siedzeniami, nakryty srebrzystą i szklaną zastawą.

Miski i talerze z białego błyszczącego metalu, smukłe kryształowe kielichy, wszystko sześciokątne, bogato zdobione i wykończone typowymi marynistycznymi motywami. Do tego używane przez tę obcą rasę naprawdę dziwne sztucce. Szczypce wyposażone w szesnaście ostrych jak igły zębów; elastyczne łopatki; głębokie i płytkie łyżki wazowe z elastycznymi krawędziami i wiele innych dziwnie powyginanych instrumentów, których zastosowania nie dało się nawet w przybliżeniu określić. Wszystko z doskonale wyprofilowanymi uchwytami, dopasowanymi do długich szczupłych palców Nevian.

Ale jeśli stół i zastawa zaskoczyły Ziemiaków wysokim poziomem kultury, czego nie spodziewaliby się u rasy tak odrażającej, jedzenie było jeszcze większym zaskoczeniem, chociaż w innym sensie. Kryształowe kielichy były napełnione szarozielonym glutem o mdlącym, obezwładniającym zapachu, mniejsze misy były pełne żywych morskich pajaków i podobnych przysmaków, a każdy większy półmisek zawierał długą na stopę, surową rybę w całości, przybraną apetycznie czerwonymi, fioletowymi i zielonymi pasmami wodorostów.

Clio spojrzała tylko, westchnęła, zamknęła oczy i odwróciła się tyłem do stołu. Costigan zsunął trzy ryby na talerz i odstawił na bok, po czym wrócił do ekranu.

– Powinny być niezłe po usmażeniu – powiedział do Bradleya i zaczął energicznie sygnalizować Nerado, że dania są nieakceptowalne i że chce z nim rozmawiać osobiście. W końcu został zrozumiany, stół zniknął z widoku, a dowódca Nevian ostrożnie wszedł do kabiny.

Na żądanie Costigana podszedł do ekranu, pozostawiając przy drzwiach trzech czujnych i dobrze uzbrojonych strażników. Mężczyzna skierował urządzenie na kambuz pirackiej szalupy, sugerując, że powinni tam zamieszkać. Przez jakiś czas wymachiwali ramionami i palcami, i chociaż niezbyt płynnie, zdołali osiągnąć pewien poziom zrozumienia. Nerado w żadnym wypadku nie chciał się zgodzić, żeby Ziemianie poszli do swojej łodzi, wolał nie ryzykować, ale po dokładnym oglądzie kazał w końcu swoim podwładnym przynieść do kabiny elektryczną kuchenkę i zapasy ziemskiej żywności. Wkrótce więc neviańska ryba zaskwierczała na patelni, a apetyczny zapach kawy i pieczonych bułeczek rozszedł się po kabinie. Nevianie, na pojawienie się tych zapachów, zareagowali pospiesznym odwrotem, wolać dalszy przebieg wydarzeń oglądać za pomocą dalekowizora.

Po śniadaniu i zrobieniu dokładnych porządków Costigan zwrócił się do Clio: – Posłuchaj dziewczyno, musisz nauczyć się spać. Jesteś wykończona. Masz oczy, jakbyś była na marsjańskim pikniku i nie zjadłaś nawet połowy śniadania. Musisz spać i jeść, by utrzymać formę. Nie chcemy, żebyś nam tu padła, więc wyłączę światło, a ty położysz się i będziesz spała do południa.

– Och nie martw się, tej nocy będę spała. Jestem całkiem...

– Pójdiesz spać teraz – powiedział obojętnym głosem – nigdy nie sądziłem, że będziesz się denerwować ze mną i Bradleyem u boku. No więc jesteśmy tu obaj i tu zostaniemy.

Będziemy cię strzec, jak dwie stare kury pilnujące jednego kurczęcia. Chodź i połów się, Dobranoc.

Clio roześmiała się, słysząc porównanie, lecz położyła bez protestu. Costigan usiadł na brzegu wielkiej kanapy, trzymając ją za rękę i rozmawiali o niczym. Przerwy w rozmowie były coraz dłuższe, uwagi Clio coraz radsze i wkrótce powieki jej opadły, a głęboki, regularny oddech wskazał, że zapadła w mocny sen. Mężczyzna przyglądał się jej z czułością. Taka młoda, piękna, kochana — był taki zakochany. Nie był religijny, ale teraz zaczął się modlić. Gdyby mógł wydostać ją z tej opresji... nie pasował do jej świata, ale... Boże, daj chociaż szansę... chociaż jedną!

Zmęczony ostatnimi wydarzeniami, strasznym napięciem i niedostatkiem snu, zahipnotyzowany własnymi mieszanymi uczuciami i gładkimi krzywymi policzków Clio, Costigan zamknął oczy i wciąż trzymając jej rękę, opadł na miękkie poduszki obok niej, zapadając w niepamięć.

Tak śpiących i trzymających się za ręce, znalazł Bradley. Popatrzył na nich, a na jego twarzy pojawił się łagodny, ojcowski uśmiech.

– Miłe dziecko, ta Clio – szepnął – a drugiego takiego, jak Costigan też się nie znajdzie. Będą najlepszą parę dzieciaków jakie stary Tellus mógł stworzyć. Ja też powinienem się przespać – ziewnął szeroko, położył się obok Clio po lewej stronie i po chwili już spał.

Kilka godzin później obydwu obudził radosny śmiech. Clio siedziała i patrzyła na nich błyszczącymi oczami. Była wypoczęta, w lekkim nastroju, wściekle głodna i mocno rozbawiona.

Costigan był zdziwiony i podenerwowany tym, co uważał za fiasko zadania, które sam sobie wyznaczył. Bradley był spokojny i rzeczowy.

– Bogu dzięki, za takich ochroniarzy. – Clio roześmiała się ponownie, ale zaraz spoważniała. – Spało mi się cudownie, ale ciekawa jestem czy

wieczorem uda mi się zasnąć, jeżeli nie będziesz trzymał mnie za rękę przez całą noc?

– Och, on na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu – powiedział Bradley.

– Daj spokój – zaprotestował Costigan, ale oczy go zdradziły.

Przygotowali i zjedli następny posiłek, któremu Clio oddała pełną sprawiedliwość. Wypoczęci i odświeżeni zaczęli rozważać możliwości ucieczki, gdy do kabiny wszedł Nerado w asyście trzech uzbrojonych strażników. Neviański uczonego postawił na stole jakieś urządzenie i zaczął przy nim manipulować, spoglądając na Ziemiaków po każdej regulacji. W pewnej chwili urządzenie buchnęło dźwiękiem artykułowanej mowy. Costigana olśniło.

– Udało się! Zostaw! – wykrzyknął, machając rękami z podniecenia. Zobacz, Clio, ich głosy obejmują inne częstotliwości niż nasze. Prawdopodobnie wyższe, więc zrobili przetwornik.

Ta jaszczurka nie jest głupia!

Nie było wątpliwości, że Nerado również słyszy głos Costigana. Jego długa szyja zwinęła się w pętlę, co u Nevian oznaczało zadowolenie. Nie mogli się rozumieć wzajemnie, ale już wiedzieli, że możliwość wydawania i słyszenia inteligentnych dźwięków jest cechą wspólną dla obu ras. Ten fakt całkowicie zmienił relacje między porwanymi i porwaczami. Nevianie przyznali między sobą, że dziwne dwunogi mogą być całkiem inteligentne, a Ziemiaki zyskali nową nadzieję.

– Nie jest tak najgorzej, jeśli oni mogą mówić – podsumował Costigan. – Weźmy to za dobrą monetę i miejmy z tego jakąś korzyść, zwłaszcza, że nie wymyśliliśmy żadnego sposobu, by uciec. Mogą mówić i słyszą, więc z czasem nauczymy się ich języka. Skoro nie możemy sami wrócić, może uda nam się ich jakoś przekonać, żeby nas odwieźli z powrotem.

Nevianie, nie mniej od Ziemiaków, palili się do nawiązania kontaktu. Nerado nie wyłączał swojego urządzenia. Nie ma potrzeby szczegółowego opisywania, w jaki sposób opracowano słownik. Wystarczy, że powiemy, iż wyglądało to podobnie, jak nauka mowy u niemowląt, tyle że w porównaniu do dzieci, mieli w pełni rozwinięte mózgi. Podczas, gdy ludzie uczyli się języka Nevian, kilkoro płazów (a czasami również Clio Marsden) uczyło się trójplanetarnego. Obaj oficerowie doszli do wniosku, że znacznie lepiej będzie nauczyć Nevian logicznie skonstruowanego, wspólnego języka Trzech Planet, niż zgłębiać nielogiczne złożoności angielskiego.

Wkrótce obie grupy mogły się już w pewnym stopniu porozumieć przy użyciu dziwnej mieszanki obu języków. Po ustaleniu kilku podstawowych pojęć, neviańscy uczeni zbudowali przetworniki na tyle małe, że Ziemiaki mogli je nosić na szyi. Pozwolono im również poruszać się swobodnie po wielkim statku, zamykając jedynie ładownię, w której umieszczono rozczłonkowaną piracką szalupę. Nie trzymano ich też w niewiedzy na temat innego rybiokształtnego statku, który było widać na ekranach, jak pędzi przez międzygwiazdną pustkę.

– To nasz siostrzany statek, lecący do Układu Słonecznego po żelazo – wyjaśnił Nerado swoim przymusowym gościom.

– Mam nadzieję, że wykryto wszystkie usterki w naszym superstatku! – mruknął nerwowo Costigan, gdy Nerado się odwrócił – i dostaną nie tylko ładunek żelaza.

Po jakimś czasie błękitno-biała gwiazda wyodrębniła się na odległym firmamencie i przekształciła w wyraźną tarczę. W miarę, jak statek się zbliżał, rosła coraz większa i coraz bardziej błękitna, aż w końcu, w pobliżu macierzystej gwiazdy pojawiła się Nevia.

Mimo, że ciężko obciążony, statek był tak potężny, że mógł się opuścić pionowo w dół, ku lagunie pośrodku neviańskiego miasta. Cały akwen był

opustoszały, gdyż to lądowanie nie było takie całkiem zwyczajne. Woda kipiała i gotowała się pod ogromną siłą powstrzymującą przed swobodnym spadkiem ogromny ładunek alotropowego żelaza, a wielki statek, zamiast usiąść wdzięcznie, jak poprzednim razem, wpadł do wody jak ołowiany ciężarek i osiadł na dnie.

Zakończywszy bezpiecznie delikatne dokowanie statku w specjalnie przygotowanej wielkiej kołysce, Nerado zwrócił się do Ziemian, przyprawionych pod strażą.

– Statek będzie teraz rozładowywał żelazo, a wy zostaniecie zabrani do Akademii Nauk, gdzie zostaniecie poddani dokładnym fizycznym i psychologicznym badaniom. Chodźcie za mną.

– Chwileczkę – zaprotestował Costigan, mrugając do swoich towarzyszy – chcesz, żebyśmy poszli przez wodę i do tego na takiej straszliwej głębokości?

– Oczywiście – odpowiedział zdziwiony Nevianin. – Oddychacie powietrzem, to fakt, ale pływać przecież możecie, a głębokość jest niewielka, około trzydziestu waszych metrów, więc nie powinna sprawić wam kłopotu.

– Mylisz się. I to dwa razy – oświadczył z przekonaniem Ziemianin. – Jeśli pływaniem nazywasz poruszanie się pod wodą, to nie potrafimy tego. Z zanurzonymi głowami utoniemy bez ratunku w ciągu kilku minut, a ciśnienie na tej głębokości zabije nas błyskawicznie.

– No cóż, mógłbym, oczywiście, wziąć prom, ale... – zaczął z powątpiewaniem neviański kapitan, gdy przerwał mu dźwięk sygnału komunikatora.

– Kapitanie Nerado!

– Tu Nerado – powiedział do mikrofonu.

– Trzecie Miasto zostało zaatakowane przez ryby głębinowe, które opracowały nowy typ potężnej ruchomej fortecy wyposażonej w nieznaną broń. Miasto nie jest w stanie powstrzymać ataku i prosi o pomoc. Wasz statek jest nie tylko dobrze uzbrojony, ale zaopatrzony w duży zapas żelaza. Musicie im przyjść z pomocą, najszybciej, jak możecie.

Nerado rzucił kilka rozkazów i ciekłe żelazo popłynęło strumieniem z szeroko otwartych zaworów, tworząc rozległe, czerwone jeziorko na dnie doku. W krótkim czasie pływalność statku osiągnęła równowagę w stosunku do wypartej wody, a gdy tylko stała się dodatnia, zawory zamknięto i uruchomiono silniki.

– Wracajcie do swojej kwatery i zostańcie tam dopóki was nie zawołam – polecił Nevianin, a gdy Ziemianie posłusznie wykonywali polecenie, statek podniósł się z toni i wystrzelił w purpurowe niebo.

– Ale ty beczelnie kłamiesz! – wykrzyknął Bradley, gdy z wyłączonymi przetwornikami znaleźli się w środkowej kabine swojej kwatery. – Pływasz jak wydra, a przypadkiem wiem, że wydostałeś się ze starego DZ83, z głębokości...

– Może trochę przesadziłem – przerwał mu Costigan – ale czym bardziej będą nas uważali za bezsilnych, tym lepiej dla nas. Poza tym, z tych miast może być trudno się wydostać, więc lepiej żebyśmy pozostawali poza nimi możliwie jak najdłużej. Mam kilka pomysłów, ale są wciąż niedopracowane... Och, ale ten ptaszek lata! Już dolecieliśmy. Tylko żeby się nie rozwalił, jak uderzy w wodę z tą szybkością.

Nie zmniejszając prędkości, runęli pod ostrym kątem w dół, ku obleżonemu miastu. Lecąc, statek wystrzelił torpedę w kierunku centralnej laguny. Nie był to jednak pocisk, lecz kapsuła zawierająca całą tonę alotropowego żelaza, bardziej użytecznego dla obrońców niż milion żołnierzy. Trzecie Miasto było rzeczywiście w poważnej opresji. Pas

wrzącej, eksplodującej wody rozciągał się dookoła niego bez żadnej przerwy. Woda tryskała do góry utrudniającymi widoczność pióropuszcami przegrzanej pary lub była wyrzucana masowo we wszystkich kierunkach za sprawą straszliwych sił uwalnianych przez atakujące ryby głębinowe.

Zewnętrzna obrona była już pokonana i na oczach zdumionych Ziemiaków ogromne heksagonalne budynki zaczęły się rozpadać. Górne partie zamieniały się w metalowe strzępy, a dolne przewracały jak pijane na dno wrzącego morza.

Usiedli w trójkę, przytrzymując się tego co było pod ręką, podczas gdy neviański statek wbił się przy pełnej prędkości w wodę. Środki ostrożności okazały się jednak niepotrzebne.

Nerado znał swój statek, jego moc i możliwości. Nastąpił wielki plusk i tyle. Sztuczne ciężenie nie zmieniło się w czasie uderzenia. Statek, który dla pasażerów był cały czas jak nieruchomy, na prostym kilu, teraz już jako łódź podwodna, rzucił się jak ryba i zaatakował tyły najbliższej fortecy.

Bo to rzeczywiście była forteca. Ogromna konstrukcja z zielonego metalu, nieustępliwie orząca ślady olbrzymich gąsienic. A w miarę jak się czołgała, niszczyła wszystko. Costigan, badając ją swoim dalekowizorem, patrzył i podziwiał. Fortece były wypełnione wodą, sztucznie chłodzoną i napowietrzaną, całkowicie odizolowaną od wrzącego morza, w którym się poruszały.

Były obsadzone przez ryby długie na pięć stóp z wielkimi wyłupiastymi oczami. Ryby wyposażone w liczne, długie macki. Ryby czujnie obserwujące panele kontrolne lub miotające się dokoła z różnymi zadaniami. Myślące ryby prowadzące wojnę.

Ich działania nie były bynajmniej nieefektywne. Miotacze promieni gotowały wodę na setki jardów w przód, a torpedy wybuchały na umocnieniach Nevian jak jedno ciągłe uderzenie.

Najpotężniejsza była jednak broń zupełnie Ziemianom nieznana. Z fortecy wysuwał się z szybkością meteoru długi teleskopowy pręt z niewielką, oślepiająco błyszczącą kulką na końcu.

Wszystko, czego ten świecący koniec dotknął, znikало w przepotężnej eksplozji. To co zostawało z pręta, teraz już ciemne, było wciągane z powrotem do fortecy, by za moment pojawić się ponownie, gotowe do działania.

Nerado, dla którego ta dziwna broń wydawała się być równie obca, co dla Ziemiaków, zaatakował ostrożnie, wysyłając daleko do przodu swoje mroczne nieprzenikalne obłoki czerwieni. Podwodny pojazd był jednak całkowicie nieżelazny, a jego dowódcy musieli być dobrze zaznajomieni z niewiańskimi promieniami, liżącymi i przywierającymi do zielonych ścian w bezsilnej furii. Gdyby nie gwałtowne uniki, już w pierwszych sekundach kosmolot by został zniszczony świecącą kulką, przebijającą raz po raz czerwony woal. Chwilę później obrońcy Trzeciego Miasta, szczęśliwie wzmocnieni przez Nerada dużym ładunkiem alotropowego żelaza, podjęli walkę z nowym zapalem.

Z miasta zostały wysunięte ogromne metalowe kratownice, rozciągające się od powierzchni oceanu do samego dna. Kratownice motały takie przerażające moce, że sama woda zostawała odepchnięta i stała nieruchomo, jak pionowa, szklana ściana. Torpedy były bezsilne przeciwko tej ścianie energii. Najgwałtowniejszy miotany przez ryby żar spalał się bezskutecznie. Obrony nie przełamała nawet niewiarygodnie niszczycielska siła wielu skoncentrowanych w jednym punkcie prętów zakończonych ognistymi kulkami. W wyniku tej niewyobrażalnej eksplozji woda została odrzucona na mile, a dno oceanu nie tylko odsłonięte, ale wyrwany został krater, którego rozmiarów Ziemianie nie chcieli nawet zgadywać. Czołgająca się forteca została odrzucona daleko, cały świat zakołysał się od

wybuchu aż po samo jądro, lecz zasilana żelazem ściana wytrzymała. Masywne kratownice zakołysały się i poddały do tyłu, a niebotyczna fala przyplływowa niszczycielską siłą runęła na miasto. Zapora pozostała nietknięta.

Nerado wciąż atakował całym swoim uzbrojeniem dwa potężne czołgi i wciąż robił uniki przed prętami wyposażonymi w kwintesencję zniszczenia. Ryby nie były w stanie widzieć przez podprzestrzenny woal, ale wszyscy strzelcy z obu fortec przeczesywali go swoimi długimi i szybkimi prętami w desperackich próbach zniszczenia nowej i wyglądającej na najpotężniejszą, neviańskiej łodzi podwodnej, której czysta siła powoli, ale nieubłaganie kruszyła nawet ich gigantyczne ściany.

– Dobra, myślę, że teraz jest najlepszy moment na to, byśmy zrobili coś dla siebie – powiedział Costigan, odwracając się od wciągającego obrazu na ekranie do swoich dwojga towarzyszy.

– A co my możemy zrobić? – zapytała Clio.

– Cokolwiek to jest, musimy spróbować – wykrzyknął Bradley.

– Wszystko jest lepsze od pozostania tutaj i pozwolenia im na analizowanie nas. Nie mówiąc już o tym, co to dla nas oznacza – ciągnął Costigan.

– Wiem dużo więcej, niż oni sobie wyobrażają. Nigdy nie złapali mnie na użyciu mojego szpiegowskiego dalekowizora. To jest bardzo wąski promień i prawie nie pobiera energii.

Mogłem więc ogłupić mnóstwo urządzeń. Mogę otworzyć większość zamków i wiem, jak się uruchamia ich promy. Ta bitwa, aczkolwiek fantastyczna, jest śmiertelna i nie jest jednostronna w żadnym znaczeniu, więc każdy z nich poczynając od Nerada, musi być bardzo zajęty. Nie ma straży pilnującej nas i decydującej, gdzie mamy iść. Droga stoi otworem. Jak już się raz wydostaniemy, bitwa umożliwi nam ucieczkę. Na zewnątrz

jest taki szum, że najprawdopodobniej nie będą w stanie wykryć działania silnika promu. W dodatku będą zbyt zajęci, by nas ścigać.

– A jak już się raz wydostaniemy, to co? – zapytał Bradley.

– Powinniśmy, oczywiście, zdecydować wcześniej. Moim zdaniem powinniśmy wracać na Ziemię. Znamy kierunek i mamy wystarczającą ilość energii.

– Conway, zmiłuj się, to jest strasznie daleko! – wykrzyknęła Clio. – A jedzenie, woda, powietrze. Czy w ogóle dolecimy?

– Wiem tyle samo, co ty. Chyba tak, ale oczywiście wszystko może się zdarzyć. Ten statek nie jest za duży. Jest również znacznie wolniejszy od wielkiego kosmolotu i jesteśmy daleko od domu. Inna sprawa to żywność. Według Nevian te szalupy są nieźle zaopatrzone, ale dla nas jest to zbyt wstrętne, by jeść. Niemniej, jest to całkiem pożywne i będziemy musieli to jeść, gdyż naszych zapasów, które moglibyśmy przenieść do promu na długo nie wystarczy.

Nawet wtedy, może być trochę za mało, ale myślę, że nam się uda. Z drugiej strony, co nas czeka, jak zostaniemy tutaj? Prędzej czy później nas znajdą, a nie wiemy za dużo o tej ich superbroni. Jesteśmy mieszkańcami lądu, a tu pewnie lądu jest niewiele albo wcale. Nie wiemy też gdzie tego lądu szukać i nawet jeśli go znajdziemy, to będzie już opanowany przez płazy. Jest wiele możliwości, które mogą być lepsze, ale jest też wiele znacznie gorszych. No więc co?

Próbujemy czy zostajemy tutaj?

– Próbujemy! – Clio i Bradley wykrzyknęli jednocześnie.

– Dobrze. Nie marnujmy więc czasu na gadanie. Chodźmy.

Podszedł do zamkniętych i zabezpieczonych polem siłowym drzwi, wyjął coś przypominającego latarkę i wycelował w neviański zamek. Bez

błysku, bez hałasu masywny właz rozsunął się gładko. Wyszli, a Costigan z powrotem zamknął i zabezpieczył wejście polem siłowym.

– Jak ty to... – zapytała Clio.

– Pilnie się uczyłem przez ostatnie kilka tygodni – wyszczerzył zęby Costigan – i odkryłem parę rzeczy tu i tam, dosłownie i w przenośni. Nie guzdrać się, ludzie. Nasze broje są schowane razem z kawałkami pirackiej szalupy. Będę się czuł znacznie lepiej, jeśli je odzyskamy, a z nimi kilka lewistonów.

Pobiegli korytarzem, rampą pod górę i przez hol, sprawdzając po drodze urządzeniem Costigana czy nie ma Nevian po drodze. Bradley i Clio nie mieli żadnej broni, ale Costigan znalazł sobie jakiś metalowy płaskownik, z którego zrobił nóż.

– Myślę, że uda mi się tym rzucić wystarczająco celnie i szybko, by odciąć głowę Nevianina, zanim ten zdąży nas sparaliżować – wyjaśnił ponuro. Nikt go nie poprosił o zademonstrowanie umiejętności rzucania tym zaimprovizowanym narzędziem.

Jak się domyślił wcześniej, wszyscy Nevianie mieli wyznaczone zadania na mostku albo przy uzbrojeniu, biorąc udział w tej przerażającej bitwie z mieszkańcami głębin. Droga stała otworem. Nikt ich nie zaczepiał ani nie widział, gdy biegli do ładowni z ich wyposażeniem. Pod działaniem przyrzędu Costigana, drzwi się otworzyły jak poprzednie i wszyscy troje zabrali się do pracy. Spakowali żywność, napełnili obszerne kieszenie racjami awaryjnymi, sprawdzili broń i automatykę, włożyli skafandry i przypięli w zewnętrznych uchwytach pełen komplet dodatkowej broni.

– A teraz najdelikatniejsza część tego biznesu – powiedział Costigan. Jego hełm zaczął wolno obracać się to w jedną to w drugą stronę, co oznaczało, że sprawdza drogę swoimi szpiegowskimi goglami. – Jest tylko jedna szalupa, do której mamy szansę dotrzeć, lecz ktoś może nas

zobaczyć. Tam jest mnóstwo czujników. Musimy też minąć korytarz pełen promieni transmisyjnych. Tędy, tu linia jest wyłączona. Biegiem.

Na ten sygnał pobiegli naprzód, uskakując przez kilka minut to w prawo to w lewo, zgodnie z rzucanymi przez prowadzącego komendami. W końcu zatrzymali się.

– Tu są te wiązki transmisyjne. Musimy się przetoczyć pod nimi. Idą poniżej pasa. Tu jest najniższa. Obserwujcie, jak ja to robię, a jak dam znak, przejdziecie po kolei. Trzymajcie się jak najniżej. Uważajcie, by nie zawadzić o wiązkę ręką albo nogą, bo nas zauważą.

Rzucił się płasko na podłogę, przetoczył około metra i wstał. Sprawdził dokładnie otoczenie.

– Teraz Bradley! – polecił, a kapitan powtórzył jego ruchy.

Clio, nienawykła do ciężkiego i niewygodnego skafandra nie dała rady efektywnie się przetoczyć. Gdy Costigan warknął polecenie, spróbowała i rozpląszczyła się dokładnie pod niewidzialny promień. Miotając się, podniosła rękę. Costigan zauważył błysk w swoich supergoglach, gdy zawadziła o promień. Przykucnął, złapał ją za rękę i wyciągnął z niebezpiecznej strefy. Następnie w szaleńczym pośpiechu otworzył najbliższe drzwi i wszyscy troje wskoczyli do małej kabiny.

– Wyłączcie wszystkie pola w skafandrach, żeby nie było interferencji – szepnął Costigan w całkowitej ciemności. – Nie dlatego, że nie chciałbym zabić kilku z nich, ale dlatego, że jeśli rozpoczną regularne poszukiwania, mamy przechłapano. Nawet jeśli zauważyli, że zawadziłaś rękawicą o wiązkę, wcale jeszcze nie znaczy, że będą podejrzewać nas. Nasze kabiny są wciąż zabezpieczone polem i jest szansa, że są zbyt zajęci, by martwić się nami.

Miał rację. Promień dalekowizora zajrzał tu i tam, ale Nevianie nie zobaczyli niczego nadzwyczajnego i przypisali interferencję jakiemuś

przypadkowemu kawałkowi naładowanego metalu. Bez dalszych przygód uciekinierzy dotarli do wjazdu neviańskiego promu, gdzie pierwszą czynnością Costigana było odłączenie od skafandra i zdjęcie stalowego buta. Z uczuciem ulgi wyciągnął stopę z buta i ostrożnie przelał znajdujące się w nim trzydzieści funtów alotropowego żelaza do zbiornika paliwowego pojazdu.

– Podkradłem im – wyjaśnił w odpowiedzi na zdziwione spojrzenia – i może nie zdajecie sobie z tego sprawy, ale co za ulga pozbyć się tego z buta. Nie mogłem ukraść żadnego naczynia, więc but był jedynym miejscem, gdzie mogłem to schować. Te promy są zaopatrywane, co najwyżej, w kilka gramów paliwa, a to, nawet przy oszczędnym locie, wystarczyłoby nam ledwo na połowę drogi do Tellusa. Tymczasem może się zdarzyć, że będziemy musieli walczyć. Z tym zapasem, natomiast, możemy dolecieć do Andromedy, walcząc całą drogę. No więc, lepiej spadajmy stąd.

Obserwując ekran, Costigan czekał do chwili, gdy wielki statek obróci się tak, żeby prom znalazł się po przeciwnej stronie od Trzeciego Miasta i walczących czołgów, po czym wystrzelił z wielką prędkością prosto w ocean i przez mrok czerwonego woalu ruszył w kierunku powierzchni. Troje wędrowców siedziało w napięciu, wpatrując się w ekrany i ledwo śmiejąc oddychać. Clio i Bradley zaciskali zęby i wyteżali umysły w nieświadomym wysiłku, by pomóc Costiganowi robić uniki przed promieniami i prętami śmierci błyskającymi tak zatrważająco blisko ze wszystkich stron. Zygzakująca szalupa wystrzeliła bezpiecznie z wody w powietrze i tam, gdzie przypuszczali, że będzie już bezpiecznie doszło do nieszczęścia. Rozległ się zgrzyt, huk i pojazd wpadł w korkociąg, z którego Costiganowi z trudem udało się go wyprowadzić i skierować z pełną szybkością jak najdalej od pola bitwy. Obserwując termometr rejestrujący

temperaturę na zewnętrznej powierzchni kadłuba przyspieszył do maksymalnej bezpiecznej prędkości w atmosferze, a Bradley poszedł sprawdzić uszkodzenia.

– Kiepsko, ale lepiej niż myślałem – zdał raport kapitan – zewnętrzne i wewnętrzne płyty kadłuba puściły na szwach. Szpary takie, że watę by wywiało... nie mówiąc o powietrzu.

Są tu jakieś narzędzia?

– Jakies są, a czego nie ma, to dorobimy – zadeklarował Costigan. – Odlecimy jak najdalej, potem załatamy prom i zabierzemy się stąd.

– Conway, a co z tymi rybami? – zapytała Clio w czasie lotu. – Na Boga, ci Nevianie są już wystarczająco koszmarni, a sam pomysł inteligentnej i wykształconej ryby może przyprawić o szaleństwo.

– Pamiętasz, Nerado wspominał kilka razy o “na wpół cywilizowanych rybach głębinowych” – przypomniał jej. – Dowiedziałem się, że tu są przynajmniej trzy inteligentne rasy. Znamy już dwie: Nevian, którzy są płazami i ryby głębinowe. Są również inteligentne ryby żyjące na mniejszych głębokościach. Jak zrozumiałem, miasta Nevian były budowane pierwotnie na płyciznach, a może nawet na wyspach. Rozwój techniki dał im dużą przewagę nad rybami i te żyjące w płytkich morzach, w pobliżu wysp, stopniowo zostały podporządkowane, być może jako niewolnicy. Służą nie tylko jako żywność, ale też pracują w kopalniach, hodowlach czy plantacjach i wykonują dla Nevian wszelkie prace. Te tak zwane “mniejsze głębokości” zostały, oczywiście, podbite w pierwszej kolejności, a wszystkie zamieszkujące je rasy ryb są obecnie dosyć uległe. Natomiast te głębokowodne, żyjące w wodach dla Nevian zbyt głębokich, o za dużym dla nich ciśnieniu, okazały się od początku bardziej inteligentne i bardziej uparte.

Tymczasem najcenniejsze złoża metali znajdują się głęboko. Wiesz, ta planeta jest zbyt lekka, jak na jej rozmiar. No więc Nevianie podbili niektóre z tych głębokowodnych ryb i zagonili je do pracy. Okazało się jednak, że ci wysokociśnieniowi faceci nie byli w ciemię bici. Zorientowali się, że wraz z upływem czasu płazy wyprzedzają ich coraz bardziej w rozwoju, więc pozwolili się podbić, by nauczyć się od Nevian posługiwać narzędziami i czego tylko mogli. Opracowali wiele nowych broni, a teraz chcą zetrzeć płazy całkowicie z mapy świata, zanim tamci nie staną się zbyt silni.

– A Nevianie boją się ich i chcą ich pozabijać, tak szybko jak się da – podsumowała Clio.

– To byłoby oczywiście rzeczą logiczną – dodał Bradley. – Costigan, czy nie jesteśmy już wystarczająco daleko?

– Żadna odległość na tej planecie mnie nie zadowoli – odpowiedział Costigan. – Musimy odlecieć jak najdalej. Nawet cała średnica planety oddzielająca nas od tych płazów, to dla mnie wciąż za blisko. Ich detektory są bardzo dobre.

– Mogą nas zobaczyć? – zapytała Clio. – Och, czemu nas trafili, już byśmy byli daleko stąd.

– Też bym tak wolał – zgodził się z nią Costigan. – Ale trafili i nie ma co płakać.

Sklepiemy i zanitujemy te pęknięcia. Mogło być gorzej. A tak wciąż oddychamy powietrzem.

W ciszy lecieli dalej, dopóki nie przelecieli połowy potężnego globu Nevii. A gdy się zatrzymali, obaj mężczyźni z furią rzucili się do pracy, żeby naprawić mały kosmolot.

Rozdział 12

ROBAK, ŁÓDŹ PODWODNA I WOLNOŚĆ

W czasie długiej podróży z układu Słonecznego na Newię Costigan i Bradley pilnie obserwowali Nevian w czasie pracy, więc narzędzia płazów nie były im obce. Skradziony prom, pełniący funkcję szalupy ratunkowej, był oczywiście wyposażony w pełny zestaw narzędzi do naprawy sprzętu, a obaj tak się starali, że uszkodzenia zostały naprawione zanim jeszcze napełniły się do pełna zbiorniki powietrza.

Prom leżał bez ruchu na gładkiej jak lustro powierzchni oceanu. Kapitan Bradley otworzył górny właz i wszyscy troje stanęli w otworze patrząc w milczeniu na niesamowicie odległy horyzont, podczas gdy potężne pompy sprężyły w zbiornikach ostatnie uncje powietrza.

Mila za milą ciągnęła się gładka, pozbawiona fal, nieprzerwana tafla wody, łącząca się w końcu z agresywną czerwienią Neviańskiego nieba. Słońce zachodziło. Ogromna kula purpurowego ognia opadała szybko za horyzont. Gdy tylko zniknęła, natychmiast zrobiło się ciemno, a powietrze ochłodziło się gwałtownie w porównaniu do przyjemnego ciepła przed chwilą. Natychmiast pojawiła się ciemna masa chmur i zaczął padać ulewny zimny deszcz.

– Brrr, zimno! Wracajmy do środka! Zamknij właz! – wrzasnęła Clio i skoczyła w pośpiechu do kabiny poniżej, ustępując z drogi Costiganowi, gdyż oni również zauważyli ślizgające się ku nim przerażające ramie “czegoś”.

Zanim jeszcze dziewczyna krzyknęła, Costigan skoczył do panelu kontrolnego, lecz nie był wystarczająco szybki i koniec okropnej macki

uderzył w zwężający się otwór na chwilę przed zatrzaśnięciem się wjazdu. Dźwignie dopchnęły ciężką klapę na swoje miejsce, odcinając okropny koniec, który spadł na podłogę i leżał tam, wijąc się i skręcając z odrażającą i nienaturalną żywotnością. Długi na dwie stopy fragment był grubszy od ludzkiej nogi. Pokryty był kolczastymi metalicznymi łuskami, a zamiast przyssawek miał szereg paszczy wyposażonych w ostre zęby, kłapiących i zgrzytających wściekle, mimo odcięcia od potwornego organizmu, który się karmił za ich pomocą.

Szalupa zatrzęsała się nagle, gdy monstrualne macki owinięły się wokół niej i zacisnęły nieustępliwie w okropnym, powolnym przyptywie potężnej siły, a przeraźliwe zgrzyty i wibracje rozległy się ogłuszająco w bębenkach Ziemi, gdy metalowe kolce potwora gniotły i tarły zewnętrzny kadłub pojazdu. Costigan stał nieruchomo przy ekranie obserwując uważnie, z rękami na sterach. Dzięki sztucznej grawitacji pojazdu dla pasażerów działo się to w całkowitym bezruchu. Jedyne niesamowite obroty obrazu na ekranach obserwacyjnych pokazywały, że pojazd się trzęsie i rzuca jak szczur w zębach terriera. Przyrządy wskazywały, że są już prawie milę pod powierzchnią oceanu i wciąż zanurzają się głębiej w zdumiewającym tempie. W końcu Clio nie wytrzymała.

– Masz zamiar coś zrobić, Conway? – krzyknęła.

– Nie, dopóki nie będę musiał – odrzekł spokojnie. – Nie wierzę, żeby mógł nam coś zrobić, a jeśli użyję jakiegokolwiek siły, obawiam się, że to wywoła duże zakłócenia i Nerado spadnie na nas jak jastrząb na kurczaka. Chociaż, jeśli będzie chciał nas wciągnąć głębiej, będę musiał coś zrobić. Zbliżamy się do naszej granicy wytrzymałości, a do dna jest jeszcze daleko.

Straszliwy przeciwnik wciągał prom coraz głębiej. Kolczaste zęby wciąż drapały dziko po twardych płytach poszycia zewnętrznego. Costigan niechętnie włączył silniki. Przy pełnym ciągu przestali się zanurzać głębiej,

ale nie mogli również popłynąć ku powierzchni. Pilot uruchomił więc miotacze, ale okazały się nieefektywne. Stworzenie było tak blisko i owinięte wokół pojazdu, że nie można było skierować na nie broni.

– Co to właściwie jest? Co możemy z nim zrobić? – zapytała Clio.

– W pierwszej chwili pomyślałem, że to jest coś podobnego do ośmiornicy albo przerośnięta rozgwiazda, ale chyba nie – odpowiedział Costigan – to musi być coś w rodzaju płazińca. Wiem, że to nie brzmi rozsądnie, rzecz musi mieć ze sto metrów długości, ale tak jest.

Jedyne, co wymyśliłem, to żeby spróbować go ugotować żywcem.

Wyłączył wszystko, a potem zaczął wydzielać ogromne ilości czystego ciepła. Chmura pary buchnęła wściekle dookoła. Prom skoczył do góry, gdy metalowe płetwy gigantycznego robaka napotkały parę w miejsce wody, ale stworzenie nie puściło ani nie przerwało ataku. W końcu, po kilku minutach robak odpadł bezwładnie. Powoli ugotowany, został pokonany przez śmierć.

– No to teraz wdepnęliśmy, spadamy! – krzyknął Costigan, rzucając prom w kierunku powierzchni. – Spójrzcie tam. Wiedziałem, że Nerado może nas wyśledzić, ale nie sądziłem, że oni też.

Na ekranie widać było nie gwiazdneho wędrowca Nevian, jak oczekiwali, lecz szybką łódź podwodną, obsadzoną przez groźne ryby głębinowe. Kierowała się prosto na nich, a w momencie, gdy Costigan skręcił ostro i uniósł mały pojazd w powietrze, świecąca kula jednego ze śmiertelnie niebezpiecznych prętów dezintegrujących trafiła dokładnie w miejsce, w którym by byli, gdyby utrzymali poprzedni kurs.

Mimo jednak potężnych silników promu, mieszkańcy głębin zdołali uchwycić pojazd wiązką holowniczą, zanim zdążył się wznieść wyżej niż milę. Gdy pojazd został nagle przyhamowany Costigan wyłączył

jednocześnie wszystkie ekrany obronne, a następnie zaczął eksperymentować z panelem sterowniczym.

– Musi być jakiś sposób na odcięcie tej wiązki – zastanawiał się głośno – ale nie umiem tego zrobić i obawiam się grzebać w tym na ślepo, żeby przypadkowo nie wyłączyć tego, co już działa, a bez czego od razu nas dostaną.

Zmarszczył brwi, obserwując ekrany obronne świecące jaskrawym fioletem pod wpływem sił skierowanych przeciwko nim przez wojownicze ryby i nagle zeszywniał.

– Tego się spodziewałem. Mogą je miotać! – wykrzyknął, rzucając prom w szaleńczy korkociąg. Powietrze załśniło jaskrawym ogniem, gdy oślepiająco błyszcząca kula energii przemknęła obok nich i zniknęła w górze.

Wściekła bitwa trwała od kilku minut. Skręcając, zygzakując i robiąc uniki mały zwrotny pojazd wymykał się straszliwym pociskom, neutralizując i odbijając ekranami atakujące wiązki energii. Co więcej, ponieważ Costigan nie musiał oszczędzać żelaza, ocean wokół wielkiej łodzi podwodnej zaczął się gwałtownie gotować pod ogniem broni ofensywnych neviańskiego promu.

Uciec im się jednak nie udawało. Nie potrafił odciąć wiązki holowniczej, a pełna moc silników nie wystarczała do uwolnienia pojazdu z uporczywego uchwytu. Powoli, lecz nieubłaganie statek kosmiczny był ściągany w dół, do statku z morskich głębin. Ściągany pomimo maksymalnego wysiłku wszystkich osłon i generatorów. Clio i Bradley siedzieli ze zmartwiałymi sercami, spoglądając na siebie i na Costigana, który z kamienną twarzą patrzył w ekran obserwacyjny, koncentrując atak na jednej z wieżyczek zielonego monstrum przyciągającego ich coraz bliżej.

– Jeśli to jest... Conway, jeśli nasz czas się kończy – zaczęła Clio drżącym głosem.

– Jeszcze nie teraz – rzucił – nie trać ducha. Wciąż oddychamy powietrzem, a bitwa się nie skończyła!

Miał rację, ale chociaż się bardzo starał, to nie dzięki niemu atak został przerwany, a wiązka holownicza zniknęła bez ostrzeżenia. Siła oporu była tak potężna, że gdy prom skoczył w górę, jego troje pasażerów zostało rzuconych na podłogę, gdyż sztuczna grawitacja nie zdołała tego skompensować. Walcząc na czworakach z okropnym przeciążeniem, Costiganowi udało się dostać do sterów. Chwila była ostatnia, gdyż nawet po zredukowaniu prędkości poszycie promu wciąż było rozgrzane do białości od tarcia o atmosferę podczas szaleńczego przyspieszania.

– No i Nerado przyszedł nam na ratunek – skomentował Costigan, spoglądając w ekran. – Mam nadzieję, że te ryby uwolnią Galaktykę od niego.

– Dlaczego – zapytała Clio – nie powinieneś...

– Pomyśl – przerwał jej – im mocniej Nerado oberwie, tym lepiej dla nas. Tak naprawdę nie liczę na to, ale jeśli zajmą go wystarczająco długo, to może uda nam się odskoczyć na tyle daleko, że nie będzie mu się chciało nas gonić.

Prom przedzierał się przez powietrze z maksymalną prędkością możliwą w atmosferze.

Bradley i Clio, stojąc za Costiganem, z fascynacją obserwowali scenę rozgrywającą się na ekranie obserwacyjnym. Neviański kosmolot opadł długim ślizgiem, poprzedzany promieniami swojej potężnej broni energetycznej. Miotacze promu podgrzały już wodę w oceanie do wrzenia, a teraz jego macierzysty statek wydawał się ją dosłownie usuwać. Pod uderzeniem Neviań gęste kłęby mgły i wściekle gotująca się woda wokół

zielonej łodzi podwodnej nagle zniknęły przekształcone w niewidoczną przegrzaną parę. W rzadkim gazie, ogromna masa łodzi opadła jak ołowianka, a jej ekrany obronne zapłonęły prawie niewidzialnym fioletem. Jej broń ofensywna pluła materialnym i energetycznym zniszczeniem w kierunku neviańskiego kosmolotu opadającego ze złowrogiego szkarłatnego nieba.

Cztery mile opadła łódź podwodna, zanim straszliwe ciśnienie głębin nie przeważało i woda nie zaczęła napływać szybciej niż miotacze nadążały ją odparowywać. Niesamowite zmagania nie ustawały we wrzącym leju. Na jego dziko kotłującym się dnie leżała łódź podwodna, starając się wyrwać z trzymających ją wiązek holowniczych kosmolotu, a na górze, prawie niewidoczny w napływających kłębach pary wisiał nieruchomo statek Nevian.

W miarę jak z wysokością spadała gęstość atmosfery, Costigan zwiększał prędkość, starając się, by temperatura zewnętrznego poszycia nie przekroczyła bezpiecznej wartości. Gdy ciśnienie na zewnątrz spadło prawie do zera, kadłub ochłodził się szybko i można było nadać statkowi przyśpieszenie rejsowe. Ze zdumiewającą i stale wzrastającą prędkością miniaturowy kosmolot wystrzelił w przestrzeń, coraz dalej od dziwnej czerwonej planety. Jej obraz na ekranie obserwacyjnym stawał się z każdą chwilą coraz mniejszy. Wielki statek kosmiczny już dawno zanurzył się pod wodę, by zbliżyć się do statku ryb. Przez jakiś czas na powierzchni nie było widać przebiegu bitwy osłoniętej kłębami pary pokrywającej mile kwadratowe powierzchni oceanu. Na chwilę przed tym, zanim obraz stał się zbyt odległy, by można było rozróżnić szczegóły, kilka ciemnych plam pojawiło się ponad chmurami, teraz jasno oświetlonymi promieniami wschodzącego słońca — plam, które mogły być fragmentami jednego z

okrętów wyrzuconymi z głębin oceanu wysoko w powietrze pod działaniem niesamowitej siły użytej przez ten drugi.

Nevia i jej mały księżyc szybko zniknęły w oddali. Costigan skierował dalekowizor w kierunku lotu i odwrócił się do towarzyszy podróży.

– No, to uciekliśmy – powiedział pośepnie. – Mam nadzieję, że tym, który wyleciał w powietrze, był Nerado, ale boję się, że tak nie jest. Pokonał te dwie fortece, które widzieliśmy i pewnie połowę ich floty. Nie ma podstaw, by wierzyć, że tym razem nie dał rady, więc powinniśmy się przygotować na kłopoty. Na pewno będą nas ścigać i obawiam się, że przy ich możliwościach złapią nas.

– A co możemy zrobić? – zapytała Clio.

– Parę rzeczy – uśmiechnął się. – Udało mi się sporo dowiedzieć na temat tych paralizujących promieni i różnych innych spraw. Możemy całkiem łatwo zainstalować niezbędne wyposażenie w naszych skafandrach.

Zdjęli pancerze, a Costigan wytłumaczył im, co trzeba przerobić w trójplanetarnych generatorach pola. Wzięli się w trójkę ostro do pracy. Obaj oficerowie szybko, sprawnie i bez wahań, Clio z mnóstwem wątpliwości i pytań, ale z pełnym entuzjazmem. W końcu, kiedy zrobili wszystko, co mogło poprawić ich sytuację, podjęli rutynowe wachty z włączonymi wszystkimi możliwymi urządzeniami obserwacyjnymi, by wykryć jakiegokolwiek oznaki pościgu, którego się tak obawiali.

Rozdział 13

SZCZYT

Ciężki krążownik “Chicago” wisiał bez ruchu w przestrzeni, tysiące mil od walczących flot kosmolotów, z których jedna tak zaciekle atakowała, a druga tak uparcie broniła planetoidy Rogera. Na stanowisku dowodzenia Lyman Cleveland przykucnął z napięciem przed swoją ultrakamerą, regulując czułymi palcami pokręta mikrometryczne na jej panelu sterującym.

Ciało miał sztywne, a twarz skupioną i wyteżoną. Tylko oczy się ruszały, obserwując instrumenty i gładko przewijając się stalową nić, na której rejestrował przerażające sceny rzezi i zniszczenia.

W skupieniu i ponurej ciszy, otoczony obserwującymi oficerami, których emocjonalne, prawie podświadome przekleństwa narastały intensywnie, specjalista od dalekowizji do ostatecznego końca utrzymywał swoje podprzestrzenne instrumenty skierowane na straszne zmagania. Działające bez przerwy urządzenia zarejestrowały każdy szczegół zniszczenia floty Rogera, przekształcenia armady trójplanetarnej w tajemniczą ciecz i w końcu rozpuszczenie gigantycznej planetoidy. Wtedy Cleveland skierował z furją swój promień na purpurową nieprzejrystą zasłonę, w której zniknął dziwny, lepki strumień. Raz za razem próbował z pełną mocą. Bez rezultatu. Rozległy obszar przestrzeni, w przybliżeniu elipsoidalny, był ukryty przed nim w sposób pozostający całkowicie poza jego doświadczeniem czy zrozumieniem. Nagle, gdy wciąż próbował się przebić przez mrok nieprzenikalnego woalu, ten zniknął błyskawicznie i bez

ostrzeżenia. Nieskończone obszary kosmosu znów były widoczne na ekranie, a promień jego sondy pomknął bez przeszkód w pustkę.

– Wracamy na Tellusa, sir? – kapitan “Chicago” przerwał napiętą ciszę.

– Jeśli to ja miałbym zdecydować, to bym powiedział, że nie – przygnębiony i zniechęcony Cleveland wyprostował się i wyłączył kamerę – chociaż powinniśmy się zameldować najszybciej, jak to możliwe. Tam musiało pozostać mnóstwo odłamków niewidocznych z tej odległości. Dokładne badania mogą nam pomóc zrozumieć, co i jak tam się wydarzyło. Moim zdaniem, należałoby podejść blisko do wszystkiego, co tam pozostało, zanim rozproszy się w przestrzeni, chociaż takiego rozkazu panu wydać nie mogę.

– Może pan – odpowiedział kapitan, zaskakując go. – Moje rozkazy mówią, że to pan dowodzi tym okrętem.

– W takim razie polecimy z pełnym przyspieszeniem sprawdzić te pozostałości – powiedział Cleveland i krążownik, jedyny ocalały z floty trójplanetarnej uważanej za niezwyciężoną, wystrzelił do przodu z maksymalnym ciągiem wszystkich silników.

W miejscu, gdzie rozegrała się bitwa, ekrany obserwacyjne ujawniły ogromną ilość szczątków latających bezładnie we wszystkich kierunkach, a jednocześnie, jako całość, poruszających się po orbicie planetoidy Rogera. Przestrzeń była pełna fragmentów maszyn, elementów konstrukcyjnych, mebli i odłamków wszelkiego rodzaju. Wszędzie widać było ludzkie ciała. Niektóre były w skafandrach i do nich ratownicy skierowali się najpierw.

Zahartowani w kosmosie weterani z “Chicago” nawet nie spojrzeli na innych. Żaden z rozbitków nie ruszał się jednak ani nie odzywał, więc zabezpieczeni liną kosmonauci pośpieszyli zbadać sytuację.

– Wszyscy są martwi – szybko nadszedł raport – i to od dawna. Pancerze są zdarte ze skafandrów, a generatory i inne urządzenia uszkodzone. Jest też

coś dziwnego, wydaje się, że żaden z nich nie został nawet dotknięty, tymczasem w skafandrach brakuje mnóstwa części.

– Mam już wszystko nagrane – oświadczył kapitanowi Cleveland, kończąc badanie szczątków. – To mi pasuje do tego, co jest na wcześniejszych zdjęciach, chociaż jest dla mnie czymś tak nowym, że muszę znaleźć jakieś dowody, zanim sam uwierzę. Gdyby mogli dostarczyć mi kilka tych ciał w skafandrach, parę tablic rozdzielczych i paneli latających w próżni oraz z pół tuzina różnych śmieci, cokolwiek im wpadnie w ręce.

– A potem z pełną prędkością na Tellusa?

– Tak, jak najszybciej z powrotem na Tellusa.

W czasie podróży Cleveland i wyżsi oficerowie “Chicago” zebrali się wokół przechwyconych szczątków. Chociaż każdy z nich widział już wiele kosmicznych wraków, to ten materiał był dla wszystkich czymś zupełnie nowym. Każda część, każde urządzenie było w dziwny i niezrozumiały sposób uszkodzone. Nie było pęknięć, śladów użycia siły, a przecież żadne z nich nie było nietknięte. Dziury po nitach były puste, rdzenie, osłony i bolce zniknęły, ważne elementy każdego urządzenia latały luzem, wszystko było rozebrane i pomieszane.

– Takiego bałaganu sobie nie wyobrażałem – powiedział kapitan, po długim i cichym wpatrywaniu się w obiekty. – Jak pan ma jakąś teorię wyjaśniającą cokolwiek, to chciałbym ją usłyszeć.

– Chciałbym zwrócić uwagę na jedną rzecz – odpowiedział specjalista – nie chodzi o to, co tam jest, ale o to, czego nie ma.

– No cóż, nie ma pancerza. Tak samo osłon, bolców, uchwytów... – głos kapitana zamarł. Przesunął oczami po całej kolekcji. – Dlaczego wszystkie rzeczy wykonane z drewna, bakelitu, miedzi, aluminium, srebra, brązu są nietknięte, a każdy kawałek stali zniknął. To jest bez sensu. O co chodzi?

– Jeszcze nie wiem – powiedział powoli Cleveland – ale obawiam się czegoś więcej i znacznie gorszego. – Otworzył z namaszczeniem skafander i odsłonił twarz. Łagodną i spokojną, lecz całkowicie chorobliwie białą. Wciąż zachowując powagę, zrobił głębokie nacięcie na brązowej szyi, odsłaniając tętnicę, a potem powiedział ponuro: – Pewnie nigdy sobie nie wyobrażaliście czegoś takiego, jak biała krew, niemniej to mi tutaj pasuje. W jakiś sposób, w całej objętości tego obszaru przestrzeni, zniknął każdy atom żelaza, wolny czy związany.

– Ha, ale jak? A przede wszystkim dlaczego?

– Wiecie tyle samo, co ja. Gdyby nie to, że za orbitą Marsa są asteroidy z litego żelaza, powiedziałbym, że ktoś potrzebuje żelaza tak bardzo, że nie zawahał się zniszczyć całej floty, by je dostać. Cóż, ktokolwiek to jest, posiada siłę tak potężną, że całe nasze uzbrojenie jest dla niego bez znaczenia. Po prostu wyekstrahowali, co chcieli i odlecieli. Zniknęli tak szybko, że nie zdołałem zobaczyć nawet śladu po nich. Jedno jest jasne i to mnie przeraża. W tym wszystkim jest inteligencja przez duże "I" i nie jest ona nastawiona przyjaźnie. Muszę wciągnąć do tego Freda Rodebusha i to tak szybko, jak tylko możliwe.

Podszedł do swojego komunikatora podprzestrzennego i wywołał Virgila Sammsa, którego twarz zaraz pojawiła się na ekranie.

– Mamy wszystko, Virgil – zameldował – to jest coś nadzwyczajnego. Większego, obszerniejszego i głębszego niż nam się śniło. Może być też pilne, więc myślę, że najlepiej prześlę ci to przez podprzestrzeń i zaoszczędzę trochę czasu. Fred ma rejestrator magnetyczny, który może mógłby łatwo dopasować do tego ustrojstwa. Dobrze?

– Dobrze. Dobra robota, Lyman. Dzięki – Samms lakonicznie zaakceptował i docenił jego wysiłki. Wkrótce stalowy drut znów się przewijał z rolki na rolkę. Tym razem modulując fale podprzestrzenne, by

przekazać szczegóły nieszczęsnej bitwy kosmicznej do najtajniejszego laboratorium w Unii Trójplanetarnej.

Mimo naturalnej chęci przyłączenia się do kolegów naukowców, Cleveland nie niecierpliwił się podczas długiej i nudnej podróży na Ziemię. Miał wiele rzeczy do sprawdzenia, wiele poprawek do zrobienia przy pierwszej, stosunkowo prymitywnej ultrakamerze. poza tym były długie konferencje z Sammsem, a zwłaszcza z Rodebushem, fizykiem nuklearnym, który przyczynił się znacznie do rozwikłania zagadek stosowanej przez Nevian energii i broni. Dopóki więc wielka zielona Ziemia nie znalazła się pod lecącą kulą "Chicago", czas mu się nie dłużył.

– Będzie pan teraz robił okrążenia? – zapytał Cleveland, obserwując przez kilka minut z podziwem, jak pierwszy pilot delikatnie i precyzyjnie przygotowuje wielki statek do wejścia w atmosferę Ziemi.

– Tak – odpowiedział pilot – był rozkaz, żeby przylecieć w jak najkrótszym czasie, a to oznacza prędkość, której nie da się wytracić bez lotu po spirali. Niemniej i tak oszczędziliśmy mnóstwo czasu. Pan mógłby zaoszczędzić jeszcze więcej, mając prom raketowy, który wyleciałby nam na spotkanie, jakieś piętnaście, dwadzieścia tysięcy kilometrów, w zależności od tego, gdzie chce pan wylądować. Takie promy mogą dopasować swoją prędkość do naszej, a potem i tak dają radę opaść prosto na miejsce.

– Chyba tak zrobię, dzięki – powiedział Cleveland i połączył się ze swoim szefem, by dowiedzieć się, że jego sugestia jest już w trakcie realizacji.

– Przesiądziesz się – powiedział Samms z uśmiechem. – "Srebrna Drzazga" już wystartowała i leci tak, by dopasować swój kurs, prędkość i przyspieszenie do waszego na dwudziestu dwóch tysiącach kilometrów. Będziesz gotowy?

– Oczywiście – odpowiedział były pisarz z kwatermistrzostwa i poszedł do swojej kajuty pakować się.

W międzyczasie długi, smukły kadłub promu raketowego pojawił się w polu widzenia, zbliżając się z “dołu” ku lecącemu w “górze” kosmolotowi. Cleveland pożegnał się z przyjaciółmi, włożył skafander kosmiczny i czekał w śluzie na sterburcie. Powietrze zostało wypompowane i kłapa zewnętrzna otwarta. Spojrzał przez sto stóp otwartego kosmosu na prom wytracający ostro swą ogromną prędkość, by dopasować ją do wolniej lecącego okrętu.

Ukształtowany jak wykałaczka, zastrzony z obu stron, z krótkimi skrzydłami i małym usterzeniem, z porozmieszczanymi wszędzie dyszami silników raketowych, zbudowany z błyszczącego srebrnego stopu szlachetnych i prawie nietopliwych metali — taki był prywatny statek przywódcy Unii Trójplanetarnej. Najszybsza znana rzecz, czy to w atmosferze, stratosferze czy głębokiej próżni kosmosu. Jego pierwsze próbne rejsy przyniosły mu przydomek “Srebrna Drzazga”. Miał również bardziej formalną nazwę, ale ta już dawno została pogrzebana gdzieś w urzędowych kartotekach.

Szybkość rakiety była coraz mniejsza, a płomień z dysz coraz jaśniejszy, aż w końcu smukły kadłub znalazł się na wysokości śluzy. W tym momencie ciąg jego rakiet został dopasowany dokładnie do przyspieszenia “Chicago”.

– Gotów do zastopowania. “Chicago” daj mi trzy sekundowy sygnał – nadał pilot “Drzazgi”.

– Gotów do zastopowania – odpowiedział pilot “Chicago”. – Trzy! Dwa! Jeden! Stop!

Z ostatnim słowem silniki obu statków zostały wyłączone i zapanowała nieważkość. W małej śluzie smukłego statku przykucnął w gotowości

kosmonauta ze zwiniętą liną, ale okazał się niepotrzebny. Po wyłączeniu silników Cleveland rzucił swoją ciężką torbę, po czym odbił się lekko w przestrzeń i poleciał prosto w otwarty właz rakiety. Kłapa zasunęła się za nim i w chwilę później był już na mostku, zdejmując skafander i potrząsając rękę przyjacielowi i współpracownikowi, Frederickowi Rodebushowi.

– No dobrze, Fritz, powiedz, co wiesz – poprosił Cleveland, gdy tylko skończyli powitania. – Jak te wszystkie raporty pasują do siebie? Wiem, że nie mogłeś mi powiedzieć wszystkiego, ale tu nie ma podsłuchu.

– Trudno powiedzieć – odpowiedział Rodebush niewesoło – dopiero zaczynamy rozumieć, że jest mnóstwo rzeczy, o których nie mamy pojęcia. Poczekajmy lepiej, aż będziemy na Szczycie. Mamy tam teraz pełny zestaw aparatury podprzestrzennej. Jest też kilka innych powodów. Będzie również lepiej dla nas obu, jeśli omówimy to wszystko od początku razem z Virgilem. W każdym bądź razie i tak nie zdążymy tu porozmawiać. Mamy rozkaz wrócić natychmiast, a wiesz, co to oznacza na pokładzie “Drzazgi”. Przypnij się mocno i załóż ochraniacze na uszy.

– Rozumiem, jeśli “Drzazga” naprawdę przygazuje, to nie ma żartów – zgodził się Cleveland, przypinając mocnymi pasami do miękkiego głębokiego fotela – niemniej z takim samym niepokojem wracam na Szczyt, z jakim inni pewnie mnie tam oczekują. Jestem gotów.

Rodebush skinął ręką pilotowi i szepczące pomrukiwanie silników zmieniło się natychmiast w ciągły ogłuszający ryk. Mężczyźni zostali wciśnięci głęboko w fotele antyprzyspieszeniowe. “Srebrna Drzazga” obróciła się wokół długiej osi i oderwała od “Chicago” z takim ogromnym przyspieszeniem, że sferyczny okręt wydawał się stać bez ruchu. W międzyczasie osiągnięto wyliczoną pozycję, smukły statek znów się obrócił, a wściekłe przyspieszenie uderzyło z drugiej strony, kierując ich ku

Ziemi z ciągle zmniejszającą się prędkością. Kiedy ciśnienie atmosfery osiągnęło wykrywalną wartość, dziób pojazdu skierował się w dół i "Srebrna Drzazga" wystrzeliła do przodu na swoich niewielkich skrzydłach. Jej dziobowe silniki zaczęły pracować z hałasem, metalowe poszycie rozgrzało się, zrobiło się czerwone, potem żółte, a w końcu oślepiająco białe, ale nie stopiło się ani nie zapaliło.

Obliczenia pilota były bezbłędne i chociaż dopuszczalna granica temperatury została osiągnięta i utrzymywała się na tym poziomie, to nie została przekroczona. Gdy gęstość powietrza wzrosła, prędkość zrobionego przez ludzi meteorytu zmniejszono. Ognista lanca przeleciała nad Seattle, zniżyła się nad Spokane i jak wściekle paląca się strzała poleciała na wschód, by obniżyć lot w długim hałaśliwym nurkowaniu w sercu Gór Skalistych. Gwałtownie stygnąc, hart niebios przeleciał nad zachodnią częścią pasma Bitterroot i stało się oczywiste, że jego celem jest rozległy płaski szczyt skąpanej w fioletowym świetle stożkowatej góry. Góry, której wysokość była oszałamiająca nawet na tle jej wysokich sąsiadów.

Chociaż nie sztuczny, Szczyt został w dużym stopniu przekształcony przez inżynierów, którzy wbudowali w niego kwaterę główną Służb Trójplanetarnych. Szeroki na milę wierzchołek był bezszwową szarą konstrukcją ze stali pancernej. Urwista, gładka powierzchnia obciętego stożka była jednolitym, bardzo grubym arkuszem metalu. Żaden pojazd nie był w stanie wjechać po niedostępnym, gładkim i twardym, stalowym stoku; żadna broń nie była w stanie uszkodzić tego pancerza; żaden pojazd nie był w stanie nawet zbliżyć się do Szczytu niepostrzeżenie.

Właściwie, to w ogóle nie był w stanie się zbliżyć, gdyż Szczyt był nieustannie otoczony obszerną półkulą jarzącego się fioletowego światła, nieprzenikalną dla materii i szkodliwego promieniowania.

Gdy “Srebrna Drzazga” dotarła do przejrzystej, fioletowo jarzącej się ściany zniszczenia i leciała z marną prędkością pięciuset mil na godzinę, na mostku błysnęło światłem w tym samym kolorze co na zewnątrz, a potem jeszcze kilka razy.

– Sprawdzają nas? – zapytał Cleveland. – To coś nowego?

– Tak, to szpiegowski dalekowizor dużej mocy – odpowiedział Rodebush. – Światło jest po prostu ostrzeżeniem i może być nadane lub nie. Przenosi również dźwięk i wizję...

– Jak teraz – z głośnika na panelu pilota rozległ się głos Sammsa, a jego wyraźna podobizna pojawiła się na ekranie telewizyjnym. – Pewnie Fred nie wspominał, ale to jest jego najnowszy wynalazek. Właśnie go testujemy na was. To zresztą w przypadku “Drzazgi” nic nie znaczy. Możecie lądować!

W polu siłowym pojawił się okrągły otwór, który natychmiast zniknął po ich przelocie.

Jednocześnie pod nimi otworzyły się ogromne wrota i na powierzchnię wyjechało stanowisko lądowania. Powoli i z wdziękiem kosmiczny samolot osiadł w amortyzowanych obejmach.

Kołyska wraz z leżącą w niej “Drzazgą” zniknęła z widoku, opadając błyskawicznie wiele poziomów w głąb Szczytu. Obracana i popychana potężnymi dźwigniami została przetransportowana na swoje miejsce w metalowej budowli na górskim wierzchołku. Cleveland i Rodebush wyskoczyli dziarsko z pojazdu, zanim jeszcze jego poszycie zdążyło całkiem ostygnąć.

Drzwi otworzyły się przed nimi i znaleźli się w dużym pokoju oświetlonym dziennym światłem, w biurze Szefa Służb Trójplanetarnych. Kierownicy wydziałów pracowali spokojnie przy swoich biurkach, koncentrując się na problemach i bieżących zadaniach. Agenci, sekretarki,

urzędnicy, mężczyźni i kobiety zajmowali się swoją codzienną pracą; terminale i rejestratory, chociaż bezszmerowe, działały pracowicie; każdy człowiek, każda maszyna stanowiła integralną część Służb, mających od wielu lat coraz większy udział w zarządzaniu trzema planetami.

– Możemy wejść, Norma? – Rodebush zatrzymał się przy biurku osobistej sekretarki Virgila Sammsa. Ta nacisnęła guzik i drzwi za nią otworzyły się szeroko.

– Was dwóch nie muszę zapowiadać – atrakcyjna kobieta uśmiechnęła się. – Możecie wejść.

Samms z niecierpliwością wyszedł im na spotkanie i energicznie zaczął potrząsać ręką Clevelanda.

– Gratuluję kamery, Lyman! – wykrzyknął. – To był kawał dobrej roboty. Poczęstuj się papierosem i siadaj. mamy wiele do omówienia. Na twoich zdjęciach było wszystko, ale gdyby nie raport Costigana, bylibyśmy wciąż w lesie. Dzięki temu, na podstawie waszych informacji, Fred i jego ludzie znaleźli wyjaśnienie większości zagadek. A te pozostałe też wkrótce zostaną wyjaśnione.

– Wiadomo coś więcej o Conwayu? – zapytał Cleveland z niepokojem.

– Nic – twarz Sammsa zachmurzyła się. – Obawiam się... Mam nadzieję, że te stworzenia, kimkolwiek są, zabrały go jedynie zbyt daleko, by mógł się z nami połączyć.

– Z pewnością są poza zasięgiem – zgodził się Rodebush. – Nie możemy nawet wykryć ich podprzestrzennej interferencji.

– Tak, w tym cała nadzieja – dodał Samms. – Staram się nawet nie myśleć o jego stracie. To był, koledzy, prawdziwy obserwator. Był jedynym człowiekiem, jakiego znałem, który łączył w sobie dwie cechy idealnego świadka, dostrzegał wszystko i relacjonował prawdę do ostatniego szczegółu. Weźmy, na przykład, to wszystko, zwłaszcza ich umiejętność

transportu żelaza w postaci alotropowej cieczy i w tej formie wykorzystywania jego energii atomowej — jądrowej? — jako źródła mocy. Coś całkowicie nowego, a przecież potrafił opisać ich konwertery i emitery tak dokładnie, że Fred na tej podstawie stworzył w ciągu trzech dni odpowiednią teorię i zastosował ją w naszym własnym superstatku. Z początku myślałem, że powinniśmy go zbudować bez użycia żelaza, ale Fred szybko pokazał mi mój błąd. To, co ty, oczywiście, zauważyłeś już wcześniej.

– Jasne, bez sensu byłoby zbudować statek bez użycia żelaza, nie usuwając go z hemoglobiny we krwi – zgodził się Cleveland. – Poza tym wiele naszych istotnych urządzeń elektrycznych działa przy zastosowaniu rdzeni ferrytowych. Powinniśmy skonstruować coś przeciwdziałającego tym siłom, a raczej ekrany tak potężne, żeby nic przez nie przenikało.

– Pracujemy nad tym od chwili, gdy dostaliśmy twój raport – powiedział Rodebush – i już coś nam świta. Poza tym, wyjaśniły się pewne problemy związane z naszym super-statkiem.

Mieliśmy dobre pomysły, ale źle je zastosowaliśmy. Teraz jednak sprawy wyglądają całkiem obiecująco. Mamy już opracowaną teorię transformacji żelaza i jak tylko uruchomimy generator wszystko się wyprostuje w krótkim czasie. A wyobrażacie sobie, co oznacza takie nieograniczone źródło energii. Będziemy mogli zrobić, co tylko zechcemy, nawet spróbować rozwiązać teoretyczny, jak na razie, problem neutralizowania inercyjności materii!

– Zaraz, zaraz – zaprotestował Samms – to ci się z pewnością nie uda! Inercja jest... musi być podstawową cechą materii i na pewno nie może być usunięta bez zniszczenia samej materii. Daj sobie z tym spokój, Fred. Nie chcę stracić również ciebie i Lymana.

– O nas się nie martw, szefie – odpowiedział z uśmiechem Rodebush. – Jak mi powiesz, czym jest materia, fundamentalnie, to się z tobą zgodzę... Nie? No cóż, nie dziw się więc niczemu, co się wydarzy. Mamy zamiar zrobić mnóstwo rzeczy, o których dotąd nikt na Trzech Planetach nawet nie pomyślał.

Dyskutowali jakiś czas, gdy przerwał im głos sekretarki: – Przepraszam Mr. Samms, ale pojawiło się kilka spraw, których bez pana nie da się załatwić. Knobos dzwoni z Marsa.

Przechwycił “Endymiona” i w czasie akcji zabił około połowy jego załogi. Milton, po pięciu dniach braku kontaktu, w końcu zgłosił się i przesłał raport z Wenus. Wytropił Wintonsa na bagnach Thalleronu. Zaatakowali go, ale ich pokonał i ma to, po co poszedł. I właśnie dostałam wiadomość od Fletchera z pasa asteroid. Wygląda na to, że wytropił w końcu te przecieki.

Knobos jest na linii i pyta, co ma zrobić z “Endymionem”.

– Powiedz mu, żeby... albo daj mi go. Sam mu powiem – polecił Samms, a gdy na ekranie pojawiła się rogata, nieforemna twarz Marsjanina, rysy mu stwardniały w bezlitosnej decyzji. – I co myślisz, Knobos? Powinniśmy ich ciągać po sądach?

– Po co?

– Też tak myślę. Lepiej, jak kilku gangsterów rozplynie się w przestrzeni niż gdyby Patrol miał tłumić kolejną rebelię. Dopilnuj tego.

– Tak jest.

Ekran pociemniał, a Samms zwrócił się do sekretarki: – Daj Milтона i Fletchera, jak tylko się zgłoszą. – Obrócił się do swoich gości. – Najważniejsze sprawy omówiliśmy wystarczająco. Chciałbym być z wami, ale przez następny tydzień lub dwa będę uwięzany. Do zobaczenia.

– Uwiązany, to łagodnie powiedziane – skomentował Rodebush, gdy obaj naukowcy szli korytarzem ku windzie. – On jest prawdopodobnie najbardziej zapracowanym człowiekiem na trzech planetach.

– Ale również najpotężniejszym – dodał Cleveland. – I tylko niewielu ludzi potrafi używać swojej władzy tak uczciwie. Mam jednak wrażenie, że jemu to odpowiada. Gdybym miał zrobić to co on, dostałbym załamania nerwowego, tymczasem dla niego to codzienna praca.

– Masz na myśli “Endymiona”. A co innego miał zrobić?

– Nic. W tym cały problem. Sąd oznaczałby śmierć połowy ludności Morseki. Chociaż z drugiej strony, to straszna rzecz, wydać rozkaz dokonania, z zimną krwią i wbrew prawu, umyślnego morderstwa.

– Oczywiście, masz rację, ale... – urwał, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów.

Mimo trudnych do wypowiedzenia ludzkich emocji obaj mężczyźni uznawali mocno utrwalone zasady tej organizacji. Wiedzieli, że dla każdego z nich Służby są wszystkim, a on sam niczym.

– No, dosyć tego, mamy mnóstwo swoich własnych problemów – Rodebush zmienił temat, gdy weszli do ogromnego hangaru, prawie w całości wypełnionego wielkim kadłubem “Boise”, nieszczęsnego kosmolotu, który, chociaż nigdy nie latał, był już obciążony długą listą swoich ofiar. W tej chwili stanowił ośrodek szaleńczej aktywności. Ludzie roili się w nim i wokół niego, dokonując pośpiesznych, lecz starannie zaprojektowanych przeróbek.

– Mam nadzieję, Fritz, że twoje pomysły są w porządku – powiedział Cleveland, gdy naukowcy rozstawali się, by pójść do swoich laboratoriów – i zrobimy idealny okręt z tego niepoprawnego zabójcy.

Rozdział 14

START SUPERSTATKU

Po tygodniach nieustannej pracy, której poświęcono wszystkie zasoby umysłowe i materialne znajdujące się w posiadaniu Trzech Planet, “Boise” był gotów do dziewiczego lotu.

Tak bardzo gotów, jak tylko myśl i praca człowieka może to zapewnić. Rodebush i Cleveland zakończyli ostatnią dokładną kontrolę statku i stojąc w głównej śluzie rozmawiali ze swoim szefem.

– Twierdzicie, że to jest całkowicie bezpieczne, a mimo tego nie bierzecie załogi – mówił Samms – więc, w takim razie, to nie jest bezpieczne również dla was obu. Za bardzo jesteście potrzebni, by pozwolić wam na podejmowanie takiego ryzyka.

– Musisz nam pozwolić, bo tylko my znamy się na tej teorii – nalegał Rodebush. – Powtarzam jeszcze raz, to jest bezpieczne. Nie mogę tego udowodnić, nawet teoretycznie, gdyż jest tutaj mnóstwo rzeczy całkowicie nowych, mnóstwo niesprawdzonych urządzeń, mnóstwo ekstrapolacji poza znane i prawdopodobne dane. Teoretycznie, statek jest w porządku, ale teoria ma swoje ograniczenia, a przy tych prędkościach mogą zaistnieć czynniki teoretycznie wykluczone. A załoga na taki krótki lot jest niepotrzebna. Z drobnymi przypadkami możemy sobie poradzić sami, a jeśli nasza podstawowa teoria okaże się błędna, to wszyscy załoganci, między Ziemią a Jowiszem, nic nie poradzą. Dlatego lecimy we dwóch. Sami.

– No dobrze, ale bądźcie ostrożni. Wolałbym, żebyście wystartowali powoli i wrócili w dobrym stanie.

– Ja też, ale nie potrafimy zneutralizować grawitacji częściowo czy znieść część inercji.

Wszystko albo nic natychmiast po włączeniu neutralizatora. Oczywiście moglibyśmy wystartować na projektorach, zamiast na neutralizatorach, ale to niczego nie udowodni i tylko wszystko przedłuży.

– No dobrze, bądźcie więc na tyle ostrożni, na ile możecie.

– Jasne, szefie – wtrącił Cleveland – dbamy o siebie nie mniej niż ktokolwiek inny, a może nawet bardziej, więc nie popełnimy samobójstwa, jeśli będziemy mogli coś na to poradzić.

Dopilnuj, by wszyscy byli wewnątrz, gdy będziemy startować. Możliwe, że startując będziemy potrzebowali dużo miejsca. Do zobaczenia.

– Do zobaczenia, chłopaki.

Masywna brama w wewnętrznej grodzi została zamknięta, a przez otwarte na zewnątrz ogromne metalowe wrota wjechały do środka wielkie, krępe ciągniki gąsienicowe. Zamocowano łańcuchy i kable, potężne stalowe szyny jęknęły pod ciężarem i kosmolot został wyciągnięty po rolkach ze Szczytu, daleko na płaskie dno doliny, gdzie ciągniki zostały odłączone i odprowadzone z powrotem do fortecy.

– Wszyscy są już wewnątrz – Samms poinformował Rodebusha. Obserwował z uwagą ekran, na którym widać było mostek oblatywanego superstatku. Słyszał co Rodebush mówi do Clevelanda; słyszał zwięzłe odpowiedzi obserwatora; widział nawigatora naciskającego dźwignię, po czym ekran zgasł. Nie była zwykła czerń wyłączanego monitora, ale dziwnie denerwujący brak obrazu. W miejscu, gdzie spoczywał wielki kosmolot pozostała pustka.

Dokładnie nic, próżnia. Statek, rusztowanie montażowe, rolki, wózki, ogromne stalowe belki wózków, a nawet gruby betonowy pirs wraz z fundamentami i ogromna półkula stałego gruntu — wszystko zniknęło

błyskawicznie i całkowicie. W tej samej chwili próżnia wypełniła się huraganem powietrza. Rozległ się huk, jakby jednocześnie uderzyło sto straszliwych piorunów, a wśród wyjących podmuchów wiatru na dolinę, płaskowyż i metalową górę spadła prawdziwa lawina szczątków, pociętych, poskręcanych, połamanych szyn i belek, potrzaskanych desek, kawałków betonu i tysiące metrów sześciennych ziemi i skał. Zasilane energią jądrową neutralizatory "Rodebusha-Clevelanda" okazały się daleko bardziej potężne i działały w dużo większym promieniu, niż to wynikało z obliczeń ich twórców, więc przez chwilę wszystko w granicach około stu jardów od "Boise" zachowywało się tak, jak gdyby było integralną częścią kosmolotu. Prawie natychmiast cały ten balast pozostał w tyle za statkiem osiagającym prawie nieograniczoną prędkość, znalazł się z powrotem w zasięgu działania zwykłych praw natury i spadł na ziemię.

– Randolph, masz go na swoim dalekowizorze? – głos Sammsa ostro przerwał ciszę, która zapanowała wśród osłupiałych pracowników Szczytu. Nie wszystkich jednak ogarnął szok.

Nie było takiej rzeczy, która mogła odwrócić uwagę szefa sekcji dalekowizorów podprzestrzennych od jego instrumentów.

– Nie, sir – padła odpowiedź z centrum radiowego. – Zniknął i nie mogę go znaleźć.

Skierowałem wszystko, co mamy na jego ślad, ale nic nie udało się wykryć.

– I nie ma też wraku – dokończył cicho Samms. – Albo udało im się ponad wszelkie oczekiwanie, albo... co bardziej prawdopodobne... – zamilkł i wyłączył ekran. Czyżby obaj jego przyjaciele, nieustraszeni naukowcy, wciąż żyli i triumfowali, czy też może przedłużyli listę ofiar tego kosmolotu-zabójcy? Rozum mu mówił, że nie ma nadziei. Musieli umrzeć, przecież fale podprzestrzenne — promieniowanie o tak

niewyobrażalnej prędkości rozchodzenia się, że najczulsze ludzkie instrumenty nie były w stanie jej zmierzyć — utrzymałyby łączność z okrętem bez względu na osiągalną prędkość materii w jakichkolwiek wyobrażalnych warunkach. Statek musiał zostać zniszczony natychmiast, gdy tylko Rodebush uwolnił swoje moce. Przecież fizyk powinien wziąć pod uwagę prawdopodobieństwo takiej prędkości? Cóż, ludzie przychodzą i odchodzą, a Służby działają. Nieświadomie wykrzywił się ponuro i poszedł niespiesznie do swojego gabinetu.

– Mr Fairchild chciałby na chwilę jak najszybciej – poinformowała go sekretarka zanim zdążył usiąść. – Senator Morgan jest tu od rana, wie pan? Nalega na osobistą rozmowę.

– Tak, wiem. Dobrze, spotkam się z nim. Daj mi Fairchilda, proszę... Dick? Możesz mówić czy on tam jest i słucha?

– Nie, obecnie przekrzykuje Saundersa. Jest tu już dość długo. Możesz poświęcić chwilę i pozbyć się go?

– Jasne, jeśli tak uważasz, ale czemu nie załatwisz tego sam, jak zwykle?

– On chce sobie podporządkować ciebie, osobiście. Wiesz, to jest gruba ryba, a jego poplecznicy robią duży hałas, więc byłoby lepiej, gdyby to wyszło z samej góry. Poza tym, ty to robisz najlepiej. Jak ich przyszpilisz, to nigdy tego nie zapominają.

– Dobrze. On jest radykalnym nacjonalistą? Precz z Unią Trójplanetarną, niech żyje Niepodległość. A my, to żądni władzy dyktatorzy. Żelazna stopa na szyi ludu. A osobiście?

Gruboskórny i inteligentny?

– Gruboskórny jak nosorożec i sprytny jak łasica. Dorwij go, wbij głęboko harpun i przekręć.

– Okej, masz już oczywiście jakiś harpun?

– Nawet trzy – Fairchild, szef pi-aru Unii Trójplanetarnej uśmiechnął się drapieżnie.

– Prezes Jim Towne płaci mu regularnie. Numer jego gorącej skrytki to N469T414. Ma kochankę Fi-Chi le Bay... tak, imię mówi za siebie. Kupił jej luksusowe futro z marsjańskich tekkili. Za ten interes z elektrownią na rzece Mackenzie. Potrójna gra, można by powiedzieć.

Clander Morganowi, a ten tej le Bay.

– Fajnie, dawaj go więc.

– Senator Morgan, pan Samms – przedstawił ich Fairchild. Dwaj mężczyźni zmierzyli się szybkim spojrzeniem. Samms zobaczył wielkiego, rumianego mężczyznę ze skłonnościami do tycia, z zadowoloną twarzą i taksującymi oczami przebojowego polityka. Senator zobaczył wysokiego, wysportowanego mężczyznę około czterdziestki, szczupłego, bystrego i gładko ogolonego, z rudawymi, nieco za długimi włosami i złotymi plamkami w brązowych oczach, których świdrujące spojrzenie wzbudzało niepokój.

– Mam nadzieję, panie senatorze, że Fairchild zadbał odpowiednio o pana?

– Tak, z jednym czy dwoma wyjątkami. – A ponieważ Samms nie zapytał o te wyjątki, Morgan musiał kontynuować. – Jak pan wie, jestem tutaj oficjalnie jako przewodniczący Komisji Śledczej Senatu Ameryki Północnej d/s Działalności Szkodliwej. Przez wiele lat w publikowanych raportach waszej organizacji zaobserwowaliśmy wiele niedopowiedzeń.

Powszechnie wiadomo, że dopuszczono się despotycznych nadużyć, dokonanych, jeśli nie przez waszych ludzi osobiście, to w takich okolicznościach, że wasi agenci nie mogli o tym nie wiedzieć. W takiej sytuacji podjęto decyzję o przeprowadzeniu wiarygodnego i wyjaśniającego śledztwa, przy którym wasz pan Fairchild w ogóle nie współpracował.

– Kto zdecydował?

– Senat Północnoamerykański, oczywiście, za pośrednictwem Komisji...

– Tak myślałem – przerwał Samms. – A wie pan, senatorze, że Szczyt nie jest częścią Ameryki Północnej? Że Służby Unii Trójplanetarnej są odpowiedzialne jedynie przed Radą Trójplanetarną?

– To jest dyskusyjne, proszę pana i nieaktualne! Mamy demokrację – zaczął Senator tonem przemówienia. – To się zaraz zmieni, a jeśli jest pan tak sprytny, jak pan myśli, to nie muszę mówić, że pan i pański personel, który współpracuje...

– Niczego pan nie musi mówić – uciął Samms. – Nic się na razie nie zmieniło. Rząd Północnej Ameryki rządzi tym kontynentem, tak jak pozostałe rządy kontynentalne. Połączone rządy kontynentalne z Trzech Planet tworzą Radę Trójplanetarną, która jest ciałem niepolitycznym, a jej członkowie są mianowani dożywotnio, i która posiada nadrzędną władzę we wszystkich sprawach, małych i dużych, wykraczających poza kompetencje pojedynczego rządu kontynentalnego. Rada ma dwie główne agencje operacyjne: Patrol Trójplanetarny, który wprowadza jej decyzje w życie i pilnuje przestrzegania prawa oraz Służby Trójplanetarne, przeprowadzające wszelkie pozostałe działania zgodnie z poleceniami Rady. Nie zajmujemy się czysto wewnętrznymi sprawami Ameryki Północnej. Czy ma pan inne informacje na ten temat?

– To wciąż dyskusyjne – zagrzmiał senator. – Nie pierwszy raz w historii brutalna dyktatura próbuje zmylić demokrację. Żądam, proszę pana, pełnego dostępu do waszych akt, żeby móc przedstawić Senatowi Ameryki Północnej pełne sprawozdanie na temat różnych spraw, o których wspominałem Fairchildowi, jak na przykład sprawa “Pelariona”. W demokracji, proszę pana, nie ukrywa się faktów. Ludzie muszą i powinni

mieć pełną informację o każdej sprawie, która dotyczy ich bytu i życia politycznego!

– Naprawdę? W takim razie, jeśli poproszę, w celu dostarczenia Radzie Trójplanetarnej i, za jej pośrednictwem, pańskim mocodawcom, pełnej informacji, to pan mi niewątpliwie da klucz do skrytki depozytowej N469T414? Bo jest powszechnie wiadomo, przynajmniej w Radzie, że są tam pewne, powiedzmy, niejasności w wymaganej transparentności politycznej Ameryki Północnej.

– Co? To są bzdury? – Morgan z trudem usiłował zapanować nad sobą. – Tam są jedynie prywatne dokumenty!

– Być może. Jednak niektórzy z członków Rady uważają, że jest tam szereg interesujących rzeczy, takich jak zapisy pewnych transakcji z udziałem Jamesa F. Towne, odnośniki i szczegóły kontraktów, nie mówiąc o układach z Mackenzie Power, zwłaszcza z panem Clanderem. Być może również jeden czy dwa soczyste kawałki dotyczące osoby znanej jako le Bay i tekilowego futra. Wybitnie interesujące, nie sądzi pan, dla drogiego narodu Ameryki Północnej?

Gdy Samms wbijał harpun i przekręcał go, po wielkim mężczyźnie było widać, że cierpi.

– A więc odmawia pan współpracy? – wybuchnął. – Bardzo dobrze. Pójdę, ale jeszcze pan o mnie usłyszy, Samms!

– Być może, ale zanim zacznie pan dalej jątrzyć, proszę pamiętać, że ta skrytka jest tylko przykładem. Służby wiedzą o mnóstwie rzeczy, o których nie wspominają nikomu, chyba że w samoobronie.

– Mr Samms, jest Fletcher. Dać go teraz? – zapytała Norma, gdy całkiem oklapły Morgan sobie poszedł.

– Tak, poproszę... Halo, Sid, cieszę się, że cię widzę. Baliśmy się trochę. Co robiłeś?

Masz coś?

– Cześć, szefie! Głównie speluny. Heroina, sporo marsjańskiej ladoliny. Wszawę zajęcie. Trzech mi uciekło z jedną czwartą towaru. Dlatego tak się spieszyłem. Mieli fałszywe meteory. Pierwszy raz widziałem.

Samms zeszywniał w fotelu.

– Poczekaj chwilę. Norma, połącz również Redmonda... Harry, posłuchaj tego. Dobrze, Fletcher, widziałeś taki fałszywy meteor osobiście? Dotykałeś go?

– I to i to. Po prawdzie, to wciąż go mam. Jeden z tych uciekinierów, przedstawił się jako członek Służb i błysnął mi nim. To naprawdę działa, szefie. Nawet w tej chwili mogę go odróżnić od własnego tylko w ten sposób, że własny mam w kieszeni. Mam go wysłać?

– Koniecznie. Na adres: dr H.D. Redmond, Kierownik Działu Badań. Bądź czujny, Sid.

Do widzenia. Co o tym myślisz, Harry? Nie sądzisz, że to mógł być jeden z naszych?

– Mógł, ale prawdopodobnie nie był. Dowiemy się, jak będzie w naszym laboratorium.

Ale chyba nas znów dogonili. Można się było tego spodziewać. Wszystko co nauka stworzy, nauka może odtworzyć. A bez względu na moralność czy etykę, piraci umieją myśleć.

– I nie jesteś w stanie wymyślić nic lepszego?

– Są różne wersje, ale rozgryzienie ich nie zajmie im dużo czasu. Generalnie, obecna wersja meteoru jest najlepszą, jaką możemy wymyślić.

– Masz kogoś, kto mógłby się tym od razu zająć?

– Oczywiście. Myślę, że jeden z tych nowych będzie odpowiedni do tego. Nazywa się Bergenholm. Jest niezły. Błyskotliwy, kapryśny, ale ma

przebłąski prawdziwego geniuszu, których nie potrafi wytłumaczyć nawet nam. Natychmiast go do tego skieruję.

– Wielkie dzięki. Norma, trzymaj teraz wszystkich, których możesz z daleka ode mnie.

Muszę pomyśleć.

I zaczął myśleć. Niewidzącymi oczami wpatrywał się w papiery porozrzucane po biurku.

Służby Trójplanetarne potrzebują znaku, czegoś, co pozwoli zidentyfikować ich ludzi wszędzie, w każdym czasie, w każdych warunkach, bez wątpliwości czy pytań... czegoś, czego nie będzie można sfalszować ani naśladować, nie mówiąc już o skopiowaniu... czegoś, czego naukowcy spoza Służb nie będą mogli podrobić... albo jeszcze lepiej, czegoś, czego ktoś spoza Służb nie będzie mógł nosić...

Samms uśmiechnął lekko na tę myśl. Trudna sprawa. *Deus ex machina*, to się może zemścić... A niech to licho, przecież musi być jakieś rozwiązanie...

– Przepraszam, sir – przerwał mu drżący głos sekretarki, zwykle zimnej i spokojnej – ale komisarz Kinnison dzwoni. Coś strasznego się wydarzyło, na kierunku Oriona. Łączę.

Na ekranie Sammsa pojawiła się twarz Komisarza Bezpieczeństwa Publicznego, szefa sił zbrojnych, morskich, powietrznych i kosmicznych, Unii Trójplanetarnej.

– Virgil, oni wracają – zaczął bez wstępu i powitań. – Cztery statki zniknęły.

Frachtowiec, liniowiec pasażerski i dwa okręty eskorty. Wszystko w sektorze M, Dx, około 151.

Zarządziłem alarm i wstrzymanie lotów, a ponieważ nawet nasze okręty wydają się bezsilne, poleciłem wszystkim wracać do najbliższego portu. Co

z tymi waszymi nowymi statkami. Masz coś, co nam pomoże?

Nikt poza Szczytem nie wiedział o starcie “Boise”.

– Nie wiem. Nie wiem nawet, czy mamy jeszcze super-statek – powiedział Samms i krótko opisał początek, a prawdopodobnie i koniec, próbnego lotu, podsumowując: – Wygląda to kiepsko, ale jeśli była jakaś możliwość poradzenia sobie z nim, Rodebush i Cleveland zrobili to. Nasze urzędnicy jednak nic nie wykryły, więc wciąż nic...

Urwał, gdyż komisarz otrzymał nagłą wiadomość z Pittsburgha; wiadomość, którą nie tylko mógł usłyszeć, ale i zobaczyć.

– Miasto zostało zaatakowane – usłyszał – potrzebujemy natychmiast wszelkiego wsparcia. – Na ekranach obserwatorów pojawił się okropny w swoich szczegółach obraz napadniętego miasta widoczny z lotu ptaka. Komisarz w ciągu kilku sekund wydał rozkaz skierowania ludzi i sprzętu w celu opanowania konfliktu, po czym obaj, Kinnison i Samms, patrzyli bezsilnie na fascynujące okropieństwa, rzeź i zniszczenie, pokazywane na ekranach.

Statek Nevian — ten siostrzany, wezwany przez Nerada i widziany przez Costigana po drodze, gdy leciał w kierunku Ziemi — zawisł, nie kryjąc się, nieruchomo ponad metropolią.

Wisiał tak, nie reagując na żałosne ataki ludzi, a jego szatańsko piękna sylwetka odbijała się ostro na tle bezchmurnego nieba. Z błyszczącego kadłuba tryskała w dół niematerialna, choć sztywna, wiązka purpurowej energii i powoli przemieszczała teren w poszukiwaniu miejsc najbardziej obfitujących w cenny metal, po który Nevianie przylecieli z tak daleka. Stałe żelazo, przekształcone w lepłą czerwoną ciecz, płynęło leniwie do góry coraz grubszym, nierealnie wyglądającym, purpurowym strumieniem do pojemnych zbiorników neviańskiego rabusia. Tam gdzie dotarł ognisty promień, tam pojawiały się ruiny, śmierć i zniszczenie. Budynki biurowe,

wieżowce, górujące nad miastem swoją majestatyczną architekturą i pięknem, po wyekstrahowaniu stalowego szkieletu, zamieniały się w kupy gruzu. Promień przesuwiał się, drążąc daleko w głąb, a za nim, w miarę jak znikająca podziemna plątanina rur, szły powodzie, pożary i wybuchy. Ludność w budynkach umierała błyskawicznie i bezboleśnie, nie zdając sobie z tego sprawy, gdy życiodajne żelazo zawarte w ich ciałach zostawało wchłonięte przez neviański strumień.

Obrona Pittsburgha prezentowała się śmiesznie. Kilka antycznych dział kolejowych w bezsilnym oporze wystrzeliło swoje pociski do góry, po czym zostało bezgłośnie wchłonięte. W pośpiechu poderwane terytorialne siły powietrzne Unii Trójplanetarnej, świeżo wyposażone w zasilane żelazem miotacze, bez powodzenia zaatakowały najeźdźcę. Ekran obronny statku obcych jedynie zaświeciły biało, po czym wszystko, nieruchomy kosmolot i eskadrę samolotów otoczyła nieprzezroczysta zasłona purpurowego ognia. Wkrótce potem chmura rozproszyła się i na ziemię spadł deszcz pozbawionych żelaza szczątków. Z najbliższej bazy trójplanetarnej skierowano do Pittsburgha eskadrę statków w szyku stożkowym, nie oczekując jednak nic więcej, ponad ponurą i beznadziejną klęskę.

– Rod, wycofaj ich! – krzyknął Samms. – To będzie rzeź. Nic nie zdziałają. Nie mają nawet reaktorów żelazowych!

– Wiem – jęknął komisarz – admirał Barnes też wie, niemniej nie mamy wyjścia.

Poczekaj chwilę! Stożek z Waszyngtonu się zgłasza. Są znacznie bliżej niż inni i mają nowe uzbrojenie. Filadelfia jest zaraz za nimi. Także Nowy Jork. Może coś się da zrobić.

Eskadra z Buffalo zwolniła i zatrzymała się. Po kilku minutach przybyły eskadry z pozostałych baz. Sformowano stożek bojowy, okręty z zasilaniem

żelazowym na obwodzie, te starszego typu z tyłu. Formacja zanurkowała w dół, na Nevian, ziejąc z pustego wnętrza stożka słupem anihilującego ognia. Ekran Nevian ponownie zaświeciły się i ponownie rozsnuła się wokół czerwona chmura zniszczenia. Te okręty okazały się jednak nie być tak całkiem bezbronne. Ich zasilane żelazem generatory wytworzyły tarcze skonstruowane na tej samej zasadzie, co neviańskie — ekrany o ogromnej mocy, na których atak płazów załamał się. Bój szalał przez kilka minut, podczas których wydzielająca się gigantyczna energia rozładowywała się w postaci niszczycielskich błyskawic bombardujących leżące w dole miasto.

Bitwa pochłaniająca takie ogromne moce nie mogła trwać zbyt długo. Okręty trójplanetarne uruchomiły już całą swoją moc, podczas gdy Nevianie, lekceważąc solaryjską naukę, nie zastosowali jeszcze swoich wszystkich możliwości. Desperacki wysiłek ludzkości okazał się więc nieefektywny. Ataki najeźdźców wdzierały się głębiej i głębiej w przeciążone tarcze okrętów uważanych za niepokonane i strącały je jeden po drugim w postaci poszarpanych wraków na szczątki tego, co kiedyś było miastem.

Rozdział 15

OKAZY OBCEJ FAUNY

Przekonanie Costigana, że łódź podwodna ryb z głębin nie jest w stanie przewyciężyć wspaniałych narzędzi zniszczenia posiadanych przez Nerada, okazało się być nie pozbawione podstaw. Przez wiele dni neviańska szalupa z trójką ziemskich pasażerów mknęła bez przeszkód przez międzygwiazdną pustkę, ale w końcu obawy agenta się zmateriałizowały: ekran dalekosięznego detektora zareagował. Mamuci statek Nerada pokazał się w pościgu za swoim uciekającym promem.

– Chodźcie ludzie, teraz to już nie potrwa długo – zawołał Costigan, a Bradley i Clio przybiegli do niewielkiej sterówki.

Ubrawszy się w skafandry, trójka Ziemiaków obserwowała ekran, śledząc szybko powiększający się obraz neviańskiego kosmolotu. Nerado wykrył ich i leciał za nimi z taką ogromną szybkością, że niewyobrażalnie szybki dotychczas prom wydawał się wlec w porównaniu ze ścigającym okrętem.

– Do Układu Słonecznego wciąż jeszcze daleko i oczywiście nie udało ci się nawiązać połączenia? – Bradley raczej stwierdził niż zapytał.

– Próbowałem cały czas, dopóki nie zagłuszyli mojej fali, ale bez rezultatu. Tysiące razy za daleko dla mojego transmitera. Całą nadzieję pokładałem w niewielkiej możliwości, że nasz super-statek polecą w tym kierunku, ale tak się nie stało. Za to przylecieli tamci!

Costigan sięgnął do panelu kontrolnego i zaczął raz za razem strzelać do wielkiego statku zabójczym promieniowaniem. Tarcze Nevian rozbłysły bielą, ale, co było dziwne, nie odpowiedziano ogniem. Lekceważąc wszelką broń znajdującą się na pokładzie promu, statek macierzysty po prostu tylko

bronił się przed atakiem, w podobny sposób jak samica żbika broni się przed kłami i zębami swojego parskającego i drapiącego kociaka, złoścącego się z powodu karcącej łapy matki.

– Chyba nie będą z nami walczyć – Clio zrozumiała sytuację. – To ich szalupa i chcą nas wziąć żywcem.

– Możemy zrobić jeszcze jedną rzecz! – warknął Costigan. Wyłączył ekrany obronne i przerzucił całą moc na wiązkę odpychającą.

Prom reagując na uderzenie wiązki w wielką masę neviańskiego statku odskoczył z ogromnym przyśpieszeniem, a cała trójka upadła na podłogę. Lot jednak trwał krótko. Wzdłuż wiązki popłynął ciemnoczerwony strumień pola siłowego, otoczył kadłub uciekiniera i stopniowo wyhamował. Costigan z furią wstał i uruchomił wszystko, co mógł, silniki i broń, ale nic nie było w stanie przeniknąć czerwonego zamglenia. Szalupa pozostawała nieruchoma. Chociaż nie.

Czerwony promień skracał się, ciągnąc krnąbrny pojazd do doku, który z taką nadzieją opuścili kilka dni temu. Przyciągano ich powoli, a największe wysiłki Costigana na całym dystansie nie dały większego efektu niż o szerokość włosa. Przez otwartą bramę prom wślizgnął się gładko na swoje stanowisko, a kolejne wrota w wielowarstwowym poszyciu potwora zasunęły się za nimi jedno po drugim.

Ściana błękitnego ognia pojawiła się i uderzyła w trzy trójplanetarne skafandry — dwie duże postacie i jedna mała zostały obrysowane oślepiającym niebieskim światłem.

– I to jest pierwsza rzecz, która nam się udała zgodnie z założeniem – parsknął Costigan. – To jest ich promieniowanie paraliżujące. Powstrzymaliśmy je i mamy dość żelaza, żeby powstrzymać je na zawsze.

– Ale jedyne, co możemy zrobić, to tak trwać – powiedział Bradley. – Nawet jeśli nie mogą nas sparaliżować, my też im nie możemy nic zrobić, a

wiozą nas na Nevię.

– Myślę, że Nerado przyjdzie negocjować i zdołamy wytargować jakieś warunki. Musi wiedzieć, do czego są zdolne lewistony i zdaje sobie sprawę, że będziemy mogli ich użyć w taki czy inny sposób, zanim nas schwyta – argumentował z przekonaniem Costigan, ale znów się mylił.

Drzwi otworzyły się i przez nie, drepcząc, tocząc się czy czołgając, wdarł się metalowy potwór, rzecz z kołami, nogami, wijącymi się mackami z nitowanego brązu, zaopatrzona w tarcze obronne wystarczająco potężne, by powstrzymać bez wysiłku pełne wyładowanie trójplanetarnych miotaczy. Trzy spizowe macki sięgnęły przez niszczycielskie promienie lewistonów i połamało je na kawałki, po czym przymocowało opancerzonych więźniów do siebie. Maszyna, albo stworzenie, wyniosło swój bezsilny ładunek przez drzwi na główny korytarz, skąd wkrótce trójka Ziemiaków, bez broni, pancerzy i prawie bez ubrania została dostarczona na mostek i postawiona przed spokojnym i nieruchomym Neradem. Ku zdumieniu Costigana dowódca Nevian zupełnie nie miał do nich żalu.

– Potrzeba wolności jest prawdopodobnie najpowszechniejsza wśród wszystkich ruchomych form życia – skomentował przez przetwornik. – Jak już wam wcześniej mówiłem, jesteście okazami przeznaczonymi do badań w Akademii Nauk i bez względu na to, co zrobicie, zostaniecie tam dostarczeni. Przestańcie więc próbować.

– A jeśli obiecamy, że nie będziemy więcej sprawiać kłopotów, będziemy współpracować w badaniach i dostarczymy wam wszelkich wiadomych nam informacji – zapytał Costigan – to możemy oczekiwać, że dacie nam statek i pozwolicie wrócić do naszego świata?

– Nigdy więcej nie pozwolimy wam sprawić kłopotów – oświadczył zimno płaz. – Wasza współpraca nie będzie potrzebna. Wydostaniemy od was całą waszą wiedzę, wszystko, co będziemy chcieli.

Najprawdopodobniej nigdy nie dostaniecie zezwolenia na powrót do waszego układu, gdyż jako unikalne okazy jesteście zbyt cenni. Ale dość tego marnowania czasu. Zabrać ich z powrotem do kajut!

Do swojej potrójnej kwatery więźniowie zostali doprowadzeni pod silną strażą. Zgodnie z zapowiedzią, Nerado nie dał im więcej sposobności do ucieczki. Podróż na Newię upłynęła bez żadnych wydarzeń i Ziemianie, w kajdankach, zostali dostarczeni do Akademii Nauk w celu poddania fizycznym i psychicznym badaniom, tak jak to zapowiedział Nerado.

Uczony-kapitan nie mylił się, mówiąc, że ich współpraca nie będzie potrzebna ani pożądana. Wściekli, lecz bezsilni, Ziemianie zostali poddani badaniom w kolejnych laboratoriach przez zimno analitycznych, nieczułych naukowców, dla których nie przedstawiali innej wartości niż jako próbki obcej fauny. Zrozumieli też w pełni, co to znaczy grać rolę nieznanego, niższego organizmu w badaniach biologicznych. Zostali sfotografowani z zewnątrz i wewnątrz. Każda kość, mięsień, organ, naczynie czy nerw zostały zbadane i skatalogowane. Każdy odruch, każda reakcja została odnotowana i przedyskutowana. Przyrządy zmierzyły każdy impuls i zarejestrowały każdą myśl, każdy pomysł i każde uczucie. Bez końca, dzień za dniem, odbywały się szarpiące nerwy tortury, aż doprowadzone do ostateczności obiekty nie mogły dłużej tego znieść. Błada i roztrzęsiona, rozciągnięta na stole laboratoryjnym, Clio zaczęła w końcu dziko histerycznie skomleć, co Costigana wyprowadziło ostatecznie z równowagi i doprowadziło do szalonej furii.

Szarpanina mężczyzny i jęki dziewczyny były bezskuteczne, ale zdziwiły Nevian, którzy po konsultacji, zdecydowali się pozwolić okazom na wakacje. Do tej chwili trzymano ich, wraz z resztą ziemskiego wyposażenia, we wspólnym trzypokojowym pomieszczeniu z przezroczystego metalu pływającym w wielkiej lagunie miasta. Gdy tam

przebywali, pozostawiano ich w spokoju, jeśli nie liczyć ciągłego tłumy pławów przewijającego się za przezroczystą ścianą pływającego domku.

– Przede wszystkim jesteśmy robakami pod mikroskopem – warknął Bradley – a w drugiej kolejności złotymi rybkami w akwarium. Nie wiem, czy...

Urwał, gdy dwóch strażników weszło do pomieszczenia. Nie wydając dźwięku przez przetworniki, pochwycili Bradleya i Clio. Gdy mackowate ramiona sięgnęły w kierunku dziewczyny, Costigan skoczył, ale na próżno. W połowie drogi dosięgnął go paraliżujący promień Nevian. Upadł ciężko na kryształową podłogę i dusząc się z wściekłości, patrzył bezsilnie, jak jego ukochaną i kapitana wynoszą do czekającej łodzi podwodnej.

Rozdział 16

SUPER-STATEK W AKCJI

Doktor Frederick Rodebush siedział przy panelu sterowniczym nowo przerobionego super-statku Unii Trójplanetarnej, trzymając palec na małym czarnym guziku. Stojąc przed nieznanym, fizyk uśmiechał się wesoło do swojego przyjaciela.

– Co będzie, to będzie. Startujemy. Jesteś gotów, Cleve?

– Startuj! – odpowiedział lakonicznie Cleveland, również niezdolny do wyrażania głębszych uczuć w stresie.

Rodebush nacisnął guzik i obaj natychmiast doznali intensywnego wrażenia upadku. Wrażenia tak silnego, że porównanie go do choroby przestrzennej w stanie nieważkości, wyglądało tak, jak porównanie tej ostatniej do lekkich mdłości. Pilot sięgnął bezradnie w kierunku panelu, ale jego pozbawione bezwładności ręce całkowicie odmówiły wykonywania poleceń zdezorientowanego umysłu. Mózg stał się wirującym, ogarniętym konwulsjami, źródłem nieopisanego zamętu; ekspandującą, eksplodującą, pęczniejącą masą nieznośnie cisnącą się w przepełnionej czaszce. Ogniste spirale, obramowane tryskającymi, migającymi pasmami czerni i zieleni, płonęły wewnątrz rozsadzanych gałek ocznych. Wszechświat wirował, kręcił się w szalonych obrotach wokół niego, gdy jak pijany gramolił się dookoła, próbując stanąć na nogach.

Spadał. Zorientował się, że spada, lecz nie może spaść. Szarpiąc się dziko po sterówce, rzucił się na oślep, w groteskowej agonii, wprost ku grubej stalowej ścianie. Końcem pojedynczego włosa potarganej fryzury dotknął ściany, lecz włos nie tylko się od tego nie ugiął, ale wyhamował

natychmiast ruch stu osiemdziesięciu kilku funtów masy — masy całkowicie pozbawionej inercji — masy jego ciała.

W końcu moc ludzkiego umysłu przeważyła nad fizyczną torturą. Siłą woli zmusił swoje dłonie do zaciśnięcia się na lince ubezpieczającej ledwo zauważanej przez oszołomiony umysł i przez ucieleśniony koszmar piekielnej tortury przedostał się z powrotem do panelu sterowniczego. Zahaczył się nogą o pionowy wspornik i z widocznym wysiłkiem nacisnął czerwony guzik. Spadł płasko i bezradnie na pokład, lecz odetchnął z ulgą, wdzięczny, że jego wymęczone ciało znów odczuwa powszechne zjawisko ciężenia i inercji. Błdzi, drżący i całkiem chorzy, obaj mężczyźni spojrzeli na siebie z oszołomieniem i satysfakcją.

– To działa – uśmiechnął się słabo Cleveland, gdy już odzyskał mowę i zdołał stanąć na nogach. – Włącz to, Fred, bo się rozbijemy! Musimy szybko spadać.

– Nigdzie nie spadamy – Rodebush podszedł do ekranu obserwacyjnego i z niepokojem w oczach zaczął oglądać niebo. – Ale, nie jest tak źle, jak się obawiałem. Wciąż rozpoznaję kilka gwiazdozbiorów, chociaż niektóre z nich są mocno zniekształcone. Z tego wynika, że nie możemy być dalej niż kilka lat świetlnych od Układu Słonecznego. Oczywiście, dlatego że moc napędu była niewielka i praktycznie cała energia i czas zostały zużyte na pokonywanie atmosfery. Niemniej, gdyby nie to, że kosmos nie jest doskonałą próżnią, to już byśmy opuścili ten wszechświat.

– Co? O czym ty mówisz? Niemożliwe! Gdzie, w takim razie, jesteśmy? Musimy robić... Och, rozumiem – wykrzyknął nieco bełkotliwie Cleveland, również patrząc w ekran.

– Właśnie. Teraz już się nie poruszamy – odpowiedział Rodebush. – Od zakończenia tego bezinercyjnego skoku stoimy zupełnie nieruchomo w stosunku do Tellusa. Nieoczekiwanie udało nam się uzyskać sto procent

neutralizacji, sto przecinek zero zero zero zero zero. Co za tym idzie, musieliśmy się zatrzymać natychmiast, gdy tylko inercja powróciła. Tak się składa, że prędkość, którą posiadaliśmy przed zniesieniem inercji, przypuszczam, że możemy ją nazwać “prędkością wewnętrzną”, powoduje mnóstwo komplikacji. Niemniej, to nie jest problem na teraz. W tej chwili bardziej martwi mnie nie to *gdzie* jesteśmy, bo to łatwo możemy określić na podstawie rozpoznanych gwiazd, ale *kiedy* jesteśmy.

– To prawda. Załóżmy, że jesteśmy dwa lata świetlne od domu. Myślisz, że jesteśmy też dwa lata do przodu w czasie? Bez wątplenia ciekawe i teoretycznie możliwe. Na ile prawdopodobne, bo ja wiem? Było kiedyś sporo dyskusji na ten temat, ale o ile wiem, jesteśmy pierwsi, którzy mają szansę sprawdzić tę teorię doświadczalnie. Wracajmy na Tellus i zajmijmy się tym.

– Dobrze, ale musimy najpierw trochę poeksperymentować. Wiesz, wcale nie miałem zamiaru dać takiego długiego impulsu. Chciałem tylko włączyć i wyłączyć, ale widziałeś, co się stało. Niemniej jest w tym jedna dobra rzecz, warta dwóch lat życia: definitywne wyjaśnienie tych czasoprzestrzennych zależności.

– Racja. Słuchaj, nasz podprzestrzenny dalekowizor ma ogromną moc. Myślę, że uda się nawiązać kontakt z Tellusem. Zlokalizujmy Słońce i połączmy się z Sammsem.

– Musimy najpierw rozwiązać problem sterowania, będziemy mieli go o czym zawiadomić. Tutaj jest doskonale miejsce na wypróbowanie statku, żadnych przeszkód.

– Niech będzie. Wolałbym jednak wiedzieć czy jestem dwa lata starszy, czy nie.

Przez cztery godziny testowali wielki kosmolot, tak jak pilot oblatywacz sprawdza działanie każdego urządzenia w nowo skonstruowanym

samolocie. Stwierdzili, że straszliwe mdłości można przezwyciężyć z pomocą silnej woli, a może z czasem również wyeliminować, tak jak wyeliminowano chorobę kosmiczną; że ich nowy środek transportu ma możliwości, o których nawet Rodebush nie marzył. I w końcu, po wyjaśnieniu najbardziej dręczących pytań, skierowali dalekowizor ku żółtawej gwiazdzie, którą rozpoznali jako stare Słońce.

– Samms... Samms – wolno i wyraźnie powtarzał Cleveland – tu Rodebush i Cleveland. Zgłaszamy się z “Wampusa1 — Pożeracza Przestrzeni”, aktualnie na kierunku Bety Małej Niedźwiedzicy, w odległości dwa i dwie dziesiąte roku świetlnego. Żeby się z nami połączyć musisz zastosować LSV3, spójną wiązkę w układzie sześć-lampowym. Tu wszystko działa pięknie, nawet lepiej niż oczekiwaliśmy, jeśli pominąć atak bardzo nieprzyjemnej choroby w bezinercyjności. Jedną rzecz chcielibyśmy wiedzieć jednak natychmiast: nie było nas parę godzin z minutami czy może dłużej niż dwa lata? – Odwrócił się do Rodebusha i powiedział: – Nikt nie wie, jak szybko te fale podprzestrzenne się rozprzestrzeniają, ale jeśli tak szybko jak my, to nie powinniśmy czekać zbyt długo. Dam mu pół godziny, a potem wywołam ponownie...

W tym momencie, przerywając mu, na ekranie pojawiła się ostro i wyraźnie przygnębiona twarz Virgila Sammsa, a z głośnika rozległ się jego głos: – Dzięki Bogu, że żyjecie i dodatkowo, że statek działa – wykrzyknął. – Nie było was cztery godziny, jedenaście minut i czterdzieści jeden sekund, ale dajcie sobie teraz spokój z opracowywaniem teorii. Wracajcie jak najszybciej. Musicie lecieć do Pittsburgha. Statek Nevian, ten sam albo inny podobny, dewastuje miasto i zniszczył już połowę Floty!

– Będziemy za dziewięć minut – rzucił Rodebush w kierunku mikrofonu. – Dwie stąd na granicę atmosfery, cztery przez atmosferę na dół na Szczyt i trzy, by ostygnąć. Zbierz pełną, czterowachtową załogę,

wszystkich wyznaczonych. Nikt więcej nie będzie potrzebny. Okręt i broń są gotowe!

– Dwie minuty? Myślisz, że dasz radę? – zapytał Cleveland, gdy Rodebush uruchomił zasilanie i skoczył do panelu kontrolnego. – Zresztą, dlaczego nie?

– Moglibyśmy nawet szybciej, gdybyśmy musieli. W tę stronę użyłem niewiele mocy, a teraz chcę użyć dużo więcej – wyjaśnił pospiesznie fizyk, ustawiając pokręta wyznaczające kurs.

Główne przełączniki zostały ustawione i znów dopadł ich atak choroby bezinercyjnościowej, ale tym razem daleko słabszy niż poprzednio. Na ekranach obserwacyjnych pojawiły się widoki nie widziane nigdy wcześniej przez człowieka. W porównaniu do światła widzialnego obraz podprzestrzenny nie jest zniekształcany przez żadną osiągalną dotychczas prędkość. Konwertowany w urządzeniu na światło widzialne pokazywał na ekranie lot tak naturalnie, jakby podróżowali z szybkością wyrażaną w milach na godzinę. Żółta gwiazda odcepiała się od firmamentu i skoczyła ku nim, rosnąc wyraźnie i zamieniając się szybko w oślepiające, rozżarzone monstrum. Ziemia również poleciała ku nim, powiększając się z taką gwałtowną szybkością, że Cleveland, mimo iż świadomy dziwnych zasad mechaniki pojazdu, którym lecieli, odruchowo zaprotestował. – Stój. Fred, stój! Wystarczy! – wykrzyknął.

– Używam tylko kilku kilogramów ciągu i zanim wejdziemy w atmosferę, wyłączę go.

Dużo wcześniej, zanim zacznie się grzać – wyjaśnił Rodebush. – To tylko tak wygląda.

Zatrzymamy się bez hałasu.

– Jak byś określił ten rodzaj lotu, Fritz? – zapytał Cleveland. – Co jest przeciwieństwem “inercji”.

– Niech mnie szlag, jeśli wiem. Chyba nie ma takiego określenia. Lekki? Nie... może “swobodny”.

– Brzmi nieźle. Lot “swobodny” i “inercyjny”, hm. Może być.

Poruszając się więc lotem “swobodnym”, super-statek wyhamował swoją praktycznie nieskończoną prędkość, zatrzymując się na najbardziej zewnętrznej granicy ziemskiej atmosfery.

Manewr był momentalny. Inercja powróciła i statek zaczął spadać pod ostrym kątem w dół. Upadek został przyspieszony pełnym ciągiem projektorów, zasilanych przez żelazowe generatory. Wkrótce znaleźli się ponad Szczytem, którego fioletowa tarcza została wyłączona na żądanie.

Rozżarzony do białości tarcie o atmosferę, “Boise” zwolnił gwałtownie i poleciał ku powierzchni niewielkiego, lecz głębokiego sztucznego jeziora położonego poniżej stalowego fartucha Szczytu. Zanurzył się w zimnej wodzie, wywołując już samym zbliżeniem gejzery pary i wrzącej wody. Trzy minuty ciągnęły się bez końca. Stop poszycia niechętnie oddawał swoje ciepło cieczy chłodzącej. Kiedy woda przestała się gotować, Rodebush poderwał statek z jeziora i wprowadził go w rozdziawione wrota doku. Masywne drzwi śluzy otworzyły się i podczas, gdy załoga w pełnym ekwipunku pospiesznie ładowała się na pokład, na mostku Samms toczył poważną rozmowę z obydwoma naukowcami.

– ... i prawie połowa Floty jest wciąż w powietrzu. Nie atakują. Próbuja jedynie powstrzymać ich od dalszych zniszczeń, zanim wy tam nie dotrzecie. Kiedy będziecie mogli wystartować? Nie możemy już was wyciągnąć na zewnątrz, bo tory zostały zniszczone. Ale wprowadziliście go bez trudu.

– To moja wina – przyznał Rodebush. – Nie sądziłem, że pole rozciąga się poza kadłub. Tym razem wystartujemy na projektorach, tak jak wylądowaliśmy. A prowadzi się jak rower. Projektory spalą niektóre rzeczy,

ale nic ważnego. Macie już ten obraz z Pittsburgha dla mnie? Zaraz startujemy.

– Już jest, doktorze Rodebush – rozległ się głos Normy, po czym na ekranie ukazał się widok skazanego miasta. – Dok jest opróżniony i zabezpieczony przed waszym startem.

– Do widzenia. I niech moc was wypełni! – usłyszeli dźwięczny głos Sammsa.

Po wypowiedzeniu tych słów projektory napędowe rozbłysły potężnym blaskiem i ogromna masa super-statku wystrzeliła przez wrota ku stratosferze. W rozrzedzonym powietrzu wielka kula ruszyła z maksymalną prędkością. Gdy nadzieja Trzech Planet przemieszczała się na wschód, Rodebush studiował na swoim ekranie ciągle zmieniający się obraz bitwy i wydawał szczegółowe instrukcje doskonale wyszkolonej załodze na stanowiskach ogniowych wszystkich, obronnych i zaczepnych, systemów uzbrojenia.

Nevianie nie czekali, aż nowy przybysz przyłączy się do bitwy. Dzięki czułym detektorom operującym na ogromnych dystansach, natychmiast wykryli działającą na Szczycie ultratarczę jako jedyne prawdopodobne źródło kłopotów na Ziemi. Również start “Boise” nie przeszedł niezauważony, a fakt, że nawet używając swoich najbardziej przenikliwych promieni, nie byli w stanie zbadać jego wnętrza, dał dowódcy Nevian sporo do myślenia. Natychmiast więc, gdy wykryto, że wielki statek kieruje się do Pittsburgha, rybiokształtny statek przystąpił do akcji.

Lecąc na wschód, wysoko w stratosferze, ogromna masa “Boise” zwolniła gwałtownie, mimo że żaden z projektorów nie zmniejszył ciągu. Cleveland, obserwujący podziały interferometrów i wykresy spektrofotometrów, przebiegł palcami po klawiszach kalkulatora, uśmiechnął się i odwrócił do Rodebusha.

– Tak jak myślałeś, skipper, C4V63L29, pchacz podprzestrzenny. Mam go lekko pociągnąć?

– Jeszcze nie. Wybadajmy go trochę, zanim pójdziemy do zvarcia. Mamy ogromną masę. Zobaczymy, co zrobi, gdy dam pełny ciąg.

Gdy statek Tellurian ruszył z pełną mocą, Nevianie zostali natychmiast odepchnięci od niszczonego miasta. Wkrótce jednak powstrzymali napór. W jaki sposób — obaj naukowcy mogli zobaczyć na ekranie. Ze statku nieprzyjaciół wysunęły się w dół potężne podpory. Trzy z nich rozłożyły się jak wachlarz, opierając o zbocze niewysokiej góry, podczas gdy czwarta, potężna wiązka holownicza, uderzyła pionowo, przytrzymując się nierozzerwalnym uchwytem walca gruntu sięgającego głęboko w skalne podłoże.

– My też tak możemy! – Rodebush wystrzelił podobną wiązkę w dół oraz do przodu.

– Trzymajcie się wszyscy – krzyknął ostrzegawczo – coś wkrótce nie wytrzyma, a wtedy nami rzuci.

I rzeczywiście wkrótce rzuciło. Neviański statek był masywny i potężny, ale “Boise” był jeszcze masywniejszy. Gdy ogromne ilości energii zasilającej wiązki holownicze, pchacze i projektory napędowe osiągnęły swoje maksimum, wrogim statkiem rzuciło w górę i wstecz, a ziemski został pociągnięty za nim z takim impetem, że utracił nawet swoje uchwyty. Kotwice Nevian nie pozrywały się, lecz wyrwały z ziemi wielkie cylindry twardej skały, do których były przymocowane.

– Teraz – wrzasnął Rodebush. Nie zważając na skalne lawiny pustoszące okolice, skierował na latającą rybę wiązkę holowniczą i spróbował pociągnąć.

Nevianie nie mieli zamiaru się poddać. Dwa walczące pancerniki rzuciły się na siebie i z okrętu najeźdźcy popłynął straszliwy purpurowy obłok,

przesądzający, jak dotychczas, los wszelkich rzeczy Solarian. Rozprzestrzeniająca się chmura czerwonego, nieprzenikliwego mroku pochłonęła wielki statek, ostatnią nadzieję ludzkości. Lecz nie na długo. Ziemska broń nie była jedynym wyposażeniem super-statku. Chroniły go również ultratarcze, bariery trudne do oceny, ale nieprzenikalne dla wszelkich nieprzyjaznych oddziaływań. Czerwony woal Nevian przylgął nieustępliwie do zewnętrznej powierzchni, liżąc zachłannie każdy cal kwadratowy kulistego pola siłowego tarczy, lecz nie znalazł żadnego otworu, przez który mógłby się dostać do stalowego poszycia "Boise".

– Wracać, wycofać się! Pomóżcie Pittsburghowi! – krzyknął Rodebush przez komunikator do ziemskiego admirała, gdyż ocalałe okręty Floty, jej najpotężniejsze jednostki, rzuciły się w kierunku czerwonego zniszczenia. – Nikt z was nie przetrwa sekundy w tym czerwonym polu. Uważajcie również na fioletowe, jest znacznie gorsze niż to. Powinniśmy sobie sami poradzić, a jak się nie uda, to nie ma już ratunku dla Układu Słonecznego.

W tej chwili pasywny dotychczas ekran super-statku przeszedł w stan aktywny i zaczął świecić jasnym fioletowym światłem. Blask stał się nieznośnie intensywny, a promień sferycznego pola powiększył się, rozszerzając na zewnątrz od środka statku. Jego energetyzowana powierzchnia pochłaniała purpurowy mrok, jak gorąca fala ciepła pochłania chmurę płatków śniegu w otaczającym powietrzu. Pochłaniała nie tylko czerwoną mgłę, w jej obrębie na zewnątrz poszycia "Boise" nie pozostało nic, żadnych szczątków, powietrza, par, gazów, nawet jednego atomu materii. Po raz pierwszy w ziemskiej historii udało się otrzymać próżnię absolutną.

Niechętnie, cały czas się opierając, neviańska mgła cofała się przed fioletową sferą nicości. Coraz bardziej wstecz, aż znikła całkowicie, gdy fioletowe pole otoczyło wrogi statek.

Latająca ryba jednak nie zniknęła. Jej potrójne ekrany rozbłysły straszliwym żarem i nieuszkodzona przeniknęła do wnętrza próżniowej sfery, przekształconej w tym momencie w wydłużoną elipsoidę, w której ogniskach znalazły się walczące okręty.

W tej próżniowej rurze rozegrał się spektakularny pojedynek potężnych broni, broni bezsilnych w atmosferze, ale śmiercionośnych w pustej przestrzeni. Strumienie energii o wielkiej mocy uderzyły w równie potężne ekrany obronne. Raz za razem każdy z walczących strzelał z całej posiadanej broni, by stwierdzić, że jest to bezskuteczne. Bitwa toczyła się w ten sposób przez kilka minut.

– Cooper, Adlington, Spencer, Dutton! – wywołał Rodebush przez komunikator. – Gotowi? Podprzestrzenne nie dają rady, musimy spróbować w paśmie makro. Rzućcie na niego wszystko, co mamy, natychmiast jak tylko wyłączę fiolet. Teraz!

Na to hasło fioletowa bariera opadła i z hukiem pękającego wszechświata w powstałą próżnię runęło powietrze. Przez ten huragan poszedł atak najbardziej śmiercionośnych pocisków Unii Trójplanetarnej. Torpedy — niezelazne, osłonięte polami siłowymi, zdalnie sterowane torpedy uzbrojone w najbardziej efektywne środki niszczące znane człowiekowi. Cooper wystrzelił pociski wypełnione przenikliwym gazem. Adlington, bomby jądrowe na bazie alotropowego żelaza. Spencer, niezniszczalne pociski przeciwpancerne. A Dutton pojemniki zawierające kwintesencję korozji — lepką gęstą ciecz o takiej sile żrącej, że tylko bardzo rzadki solaryjski materiał mógł się jej oprzeć. Setki z nich wystrzelono tak szybko, jak tylko mogły nadażyć automatyczne wyrzutnie i Nevianie nie mogli tego zbagatelizować. Pomijając rozmiar, tarcze pocisków były nie gorsze niż miał “Boise”. Ofensywne promienie Nevian błyskały na nich nieszkodliwie, a neviańskie dopracowane ekrany,

neutralizowane nimi przy uderzeniu, nie były w stanie powstrzymać lotu. Każdy pocisk musi być przechwycony i zniszczony osobno wiązką o wysokiej energii. W tym czasie atakują tuziny innych, więc gdy wijący się i robiący uniki napastnik był zajęty drobnymi, lecz nieustannymi atakami, Rodebush uruchomił swoją najcięższą broń.

Makrowiązka! Potężne strumienie niebieskozielonego ognia, seria za serią, wdzierały się z uporem w tarczę Nevian. Zabójcze kły, uderzały tak szybko i z taką mocą, że wgryzły się w poszycie wrogiego statku, zanim płazy zorientowały się, że ich obronne pole siłowe zostało przebite. Awaryjny ekran najeźdźcy również stał się bezskuteczny. Szła seria za serią, brutalnie błyskając w zakresie całego widma.

Neviański statek, już pokonany, rzucał się w szalonych unikach, ale gdy próbował odskoczyć, został przyszpilony przez Clevelanda wiązką holowniczą. Wtedy okazało się, że Nevianie mają jednak w rezerwie jakieś środki na wypadek odwrotu. Wiązka holownicza pękła przecięta prostopadłym polem siłowym i rybiokształtny statek zniknął z ekranów na mostku, tak jak "Boise" zniknęło podczas pierwszego startu z ekranów centrali łączności Szczytu. Lecz tym razem Randolph, obecnie szef łączności "Boise", zdołał utrzymać ślad uciekiniera. Ostrzeżony i zawstydzony poprzednim przypadkiem zniknięcia statku z ekranów, teraz był w pełnej gotowości. Tak więc szpiegowski dalekowizor Randolpha, zasilany całą mocą dwunastu generatorów żelazowych, utrzymał automatycznie jego ślad i pałający chęcią odwetu statek Ziemi rzucił się natychmiast w pościg. Mknąc przez pustkę z niewyobrażalną prędkością, bezinercyjny super-statek Unii Trójplanetarnej zatrzymywał się na krótko, by umożliwić załodze przystosowanie się do nowej choroby.

– Myślałem, że będzie gorzej – mruknął Cleveland, spoglądając w ekran.

– Też myślałem, że mają coś więcej w zapasie – zgodził się Rodebush – ale przypuszczam, że Costigan wypatrzył wszystko, co mają. A z tym, co my mamy i w dodatku z większością tego, co oni mają, powinniśmy ich pokonać. Dane Conwaya wskazują, że ich statek posiada możliwość tylko częściowej neutralizacji inercji. Gdyby mieli sto procent, nigdy byśmy ich nie dogonili, a tak... To oni!

– Tym razem ich przytrzymam, dopóki nie spalą się generatory – oświadczył poważnie Cleveland. – Hej, na dole, wszyscy gotowi? Pięknie! Obrzućcie go, czym się da.

Podobnie jak wcześniej Rodebush i Cleveland, załoga złożona z zahartowanych kosmicznych weteranów pokonała paskudne mdłości związane z brakiem inercji. Zielone, żarłoczne makrowiązki ponownie uderzyły w lecący statek, ponownie potężne tarcze obu kosmolotów zadrżały nieprzyjemnie, gdy Cleveland uruchomił wiązkę holowniczą, ponownie torpedy manewrujące wystartowały ze swoim ładunkiem śmierci i zniszczenia. I ponownie niewiańskie pole tnące uderzyło wiązkę holowniczą “Boise”. Ale tym razem wiązka wytrzymała.

Świecąc i plując iskrami płaszczyna wgrzyzała się coraz głębiej w oporną wiązkę energii. W miarę jak zwiększano moc płaskiego pola, iskry stawały się coraz jaśniejsze, grubsze i dłuższe, ale moc wiązki holowniczej również rosła proporcjonalnie. Efekty pirotechniczne stawały się coraz bardziej spektakularne, gdy nagle wiązka holownicza zniknęła. W tej samej chwili burta “Boise” rozbłysła potężnym wybuchem, a całym statkiem wstrząsnęła potężna detonacja.

– Randolph, nie widzę ich! Atakują czy uciekają? – krzyknął Rodebush. Był pierwszym, który zorientował się, co się stało.

– Uciekają, bardzo szybko.

– Może to i lepiej. Śledź ich. Adlington!

– Tak jest!

– W porządku! Już myślałem, że cię straciliśmy. To była jedna z twoich bomb?

– Tak. Wystrzelona prawidłowo. Musiała się zderzyć z czymś twardym i gorącym.

Jeszcze wewnątrz tarczy, sądząc po czasie eksplozji. Gdyby wybuchła trochę wcześniej, już by nas nie było. Najbardziej oberwała szóstka, grodzie ograniczyły uszkodzenia. Co to było?

– Dokładnie nie wiemy. Oba generatory wiązki holowniczej poszły. W pierwszej chwili myślałem, że to wszystko, ale neutralizatory też nie działają i nie wiem co jeszcze. Neutralizatory pewnie zostały zwarte, gdy stopił się G-4. Tam na dole musi być okropny bałagan, w szóstej wyrzutni musiało wywalić niezłą dziurę. Zejdziemy tam z Clevelandem i się rozejrzemy.

Po włożeniu skafandrów obaj naukowcy przeszli przez służbę awaryjną do uszkodzonej sekcji. Wykonane ze stopu zbrojeniowego ściany, wewnętrzna i zewnętrzna, zostały rozerwane straszną siłą wybuchu. Porozdzierane płyty zwisały bezładnie, pogniecione, skręcone i połamane.

Wielka wyrzutnia torped z całą skomplikowaną automatyczną maszyną została rzucona gwałtownie do tyłu i spiętrzona w nierozpoznawalnej masie pod grodzia oporową. W całym pomieszczeniu nie było jednej sprawnej rzeczy.

– Wiele to tu nie zrobimy – powiedział w końcu Rodebush przez komunikator – zobaczmy co z generatorem numer cztery.

To pomieszczenie, chociaż z zewnątrz nietknięte, było całkowicie zniszczone wewnątrz.

Wciąż panował okropny żar. Powietrze było przesycone gryzącym odorem palących się smarów, izolacji i rozgrzanego metalu. Podłogę

pokrywała na pół stopiona masa tego, co było kiedyś żywotną maszyną. Po wypaleniu prętów generatora, energia wydzielająca się w wyniku rozpadu alotropowego żelaza, nie mając ujścia po pokonaniu izolacji, przedarła się z nieopanowaną siłą przez wszystkie przeszkody na swej drodze do rozładowania.

– Hm... hm... powinien mieć automatyczny wyłącznik. Drobnego szczegółu, który przeoczyliśmy – myślał głośno Rodebush – ale elektrycy powinni sobie poradzić. Co innego z tą dziurą w kadłubie.

– Też tak uważam, to całkiem co innego – potwierdził szpakowaty pierwszy mechanik – statek stracił sferyczną sztywność. Zakotwiczenie wiązki holowniczej spowoduje wywrócenie go na drugą stronę. Powinniśmy polecieć do najbliższego warsztatu.

– Daj pan spokój, chief – powiedział Cleveland – nikt z nas nie będzie żył tak długo.

Napęd bezinercyjny nie działa. Jeśli go nie zreperujemy sami, to fatalnie.

– No nie wiem, musielibyśmy jakoś podeprzeć podnośniki... – mechanik urwał na chwilę, po czym mówił dalej – Jeśli nie Mars ani Tellus, to może jakaś inna planeta? Atmosfera jest niepotrzebna, tylko masa. Jeśli posadzimy go na czymś wystarczająco ciężkim, by utrzymać nasze podnośniki i prasy, to dam radę go usztywnić w ciągu trzech, czterech dni. Ale jeśli będziemy musieli zbudować dok w kosmosie, to zajmie nam to dużo czasu, najprawdopodobniej kilka miesięcy. Jak ma pan jakąś odpowiednią planetę gdzieś pod ręką...?

– Chyba mam – odpowiedział niespodziewanie Rodebush. – Kilka sekund przed atakiem lecieliśmy w kierunku układu z przynajmniej dwoma planetami. Właśnie miałem zrobić unik, gdy wyłączyły się neutralizatory. Powinien więc tu być gdzieś niedaleko. Tak, tam jest gwiazda, w tym

kierunku. Mała i błada, ale stosunkowo blisko. Chodźmy na mostek i poszukajmy planet.

Obce słońce posiadało trójkę dużego i łatwego do zlokalizowania potomstwa, a obserwacje wykazały, że okulawiony statek, może dolecieć do najbliższej planety w ciągu pięciu dni. Projektor napędowe zostały uruchomione i cała załoga, naukowcy, mechanicy i elektrycy zabrali się do reperowania zniszczonych generatorów, przebudowując je tak, by mogły wytrzymać wszelkie możliwe obciążenia. Przez dwa dni "Boise" przyspieszał, po czym ciąg odwrócono i w końcu wylądowano na niegościnniej powierzchni obcego skalistego świata.

Planeta była większa niż Ziemia i miała trochę większą grawitację. Mimo bardzo zimnego klimatu i krótkiego dnia, rosła tu niezwykła bujna roślinność. Powietrze zawierało wystarczające stężenie tlenu i w zasadzie nie było trujące, niemniej przesycone takim wstrętnym zapachem, że nie dało się oddychać. Ubranej w skafandry ekipie naprawczej to nie przeszkadzało. Nie zwracając większej uwagi na temperaturę i scenerię, nie czekając na analizy powietrza, przystąpili do swoich zadań. Zgodnie z obietnicą chiefa, w ciągu czasu niewiele dłuższego niż obiecał, kadłub i gigantyczna rama super-statku została usztywniona, tak jak dawniej.

– W porządku, skipper – padło w końcu. – Może pan zrobić próbny lot wokół planety, zanim pan da całą naprzód.

W oślepiającym blasku projektorów napędowych statek podniósł się do góry, po czym, gdy Rodebush raz za razem włączał to wiązkę holowniczą, to pchacz, mechanicy poszukiwali uszkodzeń. Okrążyli w międzyczasie połowę planety, nie znajdując żadnych problemów.

Rodebush sięgnął, by włączyć neutralizatory i cofnął rękę, osłupiały, gdyż na pulpicie zapłonęło jasne purpurowe światło i rozległ się drażniący sygnał alarmu.

– Co, do diabła – zdziwił się. Skierował wiązkę dalekowizora w kierunku wskazywanym przez detektor i zapało mu dech z wrażenia. Stał przez chwilę patrząc z otwartymi ustami, po czym wrzasnął: – Roger jest tutaj. Odbudowuje swoją planetoidę.

Wszyscy na stanowiska!

↑Wampus – stworzenie podobne do kota występujące w amerykańskim folklorze.

Rozdział 17

ROGER NIE REZYGNUJE

Jak to było sugerowane, Szary Roger nie zginął wraz z planetoidą w obłoku neviańskiej energii. Dopóki śmiertcionośne pole siłowe wytworzone przez purpurowy woal otaczający kosmolot płazów napierało na jego ekrany obronne, Roger siedział nieruchomo przy biurku, metodycznie i bez emocji obserwując wskaźniki i rejestratory.

Ale gdy otaczająca planetoidę zasłona zaczęła zmieniać się z ciemno czerwonej w kierunku coraz krótszych długości fali, powiedział do komunikatora: – Baxter, Hartkopf, Chatelier, Anandrusung, Penrose, Nishimura, Mirsky ... – wyliczył listę nazwisk. – Natychmiast do mnie.

– Planetoida jest stracona – poinformował wybraną grupę naukowców – i musimy ją opuścić w ciągu maksimum piętnastu minut, czyli w czasie potrzebnym robotom na zgromadzenie w sekcji pierwszej najpotrzebniejszych maszyn i narzędzi. Spakujcie rzeczy, które chcecie zabrać do jednego pudełka i zameldujcie się z powrotem nie później niż za trzynaście minut. Pozostałym nic nie mówcie.

Rozkaz przyjęto spokojnie, ale gdy wyszli do holu, Baxter, być może nieznacznie mniej bezduszny niż koledzy, wyraził głośno swoje myśli na temat okrutnego pozostawienia reszty załogi.

– Uważam, że to trochę nie w porządku ulotnić się w ten sposób, pozostawiając całą resztę, chociaż przypuszczam...

– I słusznie przypuszczasz – wtrącił obojętny i bezlitosny Nishimura. – To, że niewielka część planetoidy może uciec, jest dla mnie całkiem miłą wiadomością. Nie pomieści wszystkich ludzi i maszyn, więc zabrać się

mogą tylko najważniejsi. Nie sądzisz? Resztę spotka to, co nazywają “szczęściem na wojnie”.

– No tak, ale piękna... – zaczął kobieciarz Chatelier.

– Cicho głupcy! – warknął Hartkopf. – Jak Roger usłyszy, to was też pozostawi.

Wszechświat jest pełen takich wyborów. W spokojniejszych czasach można się tym przejmować, ale nie teraz. Dzisiejsze czasy są naprawdę *schrecklichkeit* 1!

Grupa rozeszła się po kwaterach, by zebrać się ponownie w sekcji pierwszej na minutę lub dwie przed czasem zero. “Biuro” Rogera było tak zapchane urządzeniami i zapasami, że dla naukowców pozostało niewiele miejsca. Szary potwór wciąż siedział bez ruchu przy swoim panelu.

– Roger, czy to ma sens? – zapytał rosyjski fizyk. – To promieniowanie jest w pasmie podprzestrzennym o częstotliwości dużo, dużo wyższej niż cokolwiek znanego dotychczas.

Nasze ekrany w ogóle nie powinny go zatrzymywać. Zupełnie nie rozumiem, jak wytrzymały tak długo i nie sądzę, żeby pozwolili tej sekcji opuścić planetoidę.

– O wielu rzeczach nie wiesz, Mirsky – padła chłodna, pozbawiona emocji odpowiedź.

– Nasze ekrany, o których sądzisz, że są wyłącznie twoim wynalazkiem, mają kilka udoskonaleń według moich pomysłów i trzymałyby wiecznie, gdyby nie problem z zasilaniem.

Ekrany tej sekcji są mniejsze, więc będą działać tak długo, jak potrzeba.

– Zasilanie – wykrzyknął osłupiały Rosjanin – nasze zasilanie jest nieograniczone.

Starczy nam do końca życia przy maksymalnym obciążeniu.

Roger nie odpowiedział, nadszedł czas ucieczki. Nacisnął małą dźwignię, a mechanizm w siłowni wcisnął wielki przełącznik, kierując na Nevian gigantyczny strumień energii, który tak osłabił pewność siebie Nerada. W atak, nie dbając czy się spali, czy wyczerpie, została nieodwracalnie włożona cała moc posiadana przez planetoidę. I wtedy, gdy cała uwaga Nevian i praktycznie cała ich dostępna moc była skierowana na neutralizację tego ostatniego desperackiego uderzenia, metalowa ściana planetoidy rozsunęła się i sekcja pierwsza wystrzeliła w kosmos. Ekran sekcji, ustawione na pełną moc, rozbłysły bielą, gdy przechodzili przez chwilowo osłabione pole siłowe Nevian. Ci jednak, zajęci czym innym, nie zwrócili na to uwagi.

Niezauważona i niewykryta sekcja pierwsza zniknęła w przestrzeni.

Jak już byli daleko, Roger podniósł oczy znad instrumentów i zaczął mówić dalej, jak gdyby w międzyczasie nic się nie wydarzyło.

– Wszystko jest względne, Mirsky, a ty mocno nadużyłeś określenia “nieograniczona”.

Nasza moc była i jest bardzo wyraźnie ograniczona. To prawda, mogło ci się wydawać, że mamy jej więcej niż dosyć, bo jest tego daleko więcej, niż posiadają mieszkańcy któregośkolwiek znanego mi układu planetarnego, ale istoty za czerwonym ekranem, kimkolwiek są, mają źródła energii o tyle potężniejsze od naszych, o ile nasze przewyższają solaryjskie.

– Skąd wiesz?

– Co to za energia?

– Mamy więc już analizy tych pól siłowych – naukowcy zaczęli równocześnie wykrzykiwać pytania.

– Ich źródło wykorzystuje energię wewnętrzną atomu żelaza. Całkowitą energię atomu; nie jej część uwalnianą w wyniku rozpadu jąder

niestabilnych izotopów toru, uranu, plutonu i tym podobnych. Mamy więc mnóstwo do zrobienia, zanim będę mógł kontynuować mój plan.

Muszę dysponować największą mocą w makrokosmosie.

Roger zamyślił się. Przez kilka minut trwała cisza. Żaden ze sługusów nie ośmielił się jej przerwać. Mimo poznanych faktów, Gharlana z Eddoru nie dziwiło, że tak niewiarygodny postęp dokonał się bez jego wiedzy. Wciąż był bowiem spętany siłą umysłu — umysłu, z którym w odpowiednim czasie będzie musiał się zmierzyć.

– Wiem już, co powinniśmy zrobić – powiedział. – W porównaniu z wiedzą, którą uzyskałem, strata czasu, ludzi i zasobów, a nawet planetoidy, nie ma żadnego znaczenia.

– Tylko do czego to się teraz przyda? – jęknął Rosjanin.

– Do wielu rzeczy. Na podstawie zapisów możemy zrobić analizę ich pól siłowych, a od tego jest tylko krok do ich metody uwalniania energii. Zbudujemy roboty. Te zbudują kolejne roboty, które skonstruuują nową planetoidę, tym razem o mocy odpowiedniej dla moich potrzeb.

– Tylko gdzie to zrobimy? Już nie możemy liczyć na niewidzialność. Patrol Trójplanetarny znajdzie nas nawet, jeśli ukryjemy się za orbitą Plutona!

– Jesteśmy już daleko poza Układem Słonecznym. Zmierzamy w kierunku innej gwiazdy, na tyle dalekiej, że szpiegowskie urządzenia Trójplanetarian nigdy nas nie znajdą i na tyle bliskiej, by być w naszym zasięgu. Niemniej to będzie i tak około pięciu dni podróży, a nasze kwatery są teraz bardzo ciasne. Rozłokujcie się, gdzie możecie i starajcie się ułatwić nam przetrwanie, zajmując się pracą w swoich dziedzinach nad najbardziej palącymi problemami.

Szary potwór ucichł, zagłębiony w myślach nieznanym dla nikogo, a naukowcy zajęli się wypełnianiem jego rozkazu. Baxter, brytyjski chemik,

poszedł za Penrosem, chudym zgorzkniałym amerykańskim inżynierem i wynalazcą, który wybrał sobie kabinę w najbardziej oddalonym kącie sekcji.

– Słuchaj, Penrose, jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym cię zapytać o parę rzeczy?

– Pytaj. Normalnie nie jest bezpiecznie paplać za dużo w jego pobliżu, ale tutaj nie wyobrażam sobie jak mógłby podsłuchiwać. Jego systemy muszą być nieźle poszatowane.

Chcesz, żebym ci powiedział wszystko, co wiem o Rogerze?

– Dokładnie. Jesteś z nim znacznie dłużej niż ja. On robi jakieś takie wrażenie, jakby nie był człowiekiem. Nie wiem czy rozumiesz, co mam na myśli. Oczywiście, to może wydawać się śmieszne, ale ostatnio zacząłem się zastanawiać, czy on rzeczywiście jest człowiekiem. Wie zbyt dużo o zbyt wielu rzeczach. Wydaje się znać wiele układów planetarnych, do których lot trwałby dłużej niż ludzkie życie. Robił uwagi sugerujące, że widział rzeczy, które wydarzyły się długo, długo przedtem, zanim mógł się urodzić jakikolwiek żyjący obecnie człowiek. I w końcu, wygląda — no cóż, dziwnie, a z pewnością nie reaguje jak człowiek. Od dawna mnie męczy, że nic o nim nie wiem. Ale, jak powiedziałaś, taka rozmowa na pokładzie planetoidy byłaby nierozsądna.

– Przede wszystkim nie powinieneś się martwić o zapłatę. Jeśli przeżyjemy, co przecież było wyraźnie zaznaczone w umowie, dostaniemy to, za co się sprzedaliśmy. Ty zostaniesz lordem, ja już zarobiłem miliony i zarobię jeszcze więcej. Chatelier ma i będzie miał swoje kobiety. Anandrusung i Nishimura się zemszczą. Hartkopf dostanie władzę. I tak dalej — popatrzył znacząco. — Jak chcesz, to powiem ci wszystko, co wiem, bo lepszej szansy niż teraz może nie być. Masz prawo wiedzieć tyle samo co inni, płyniemy w tej samej łódce i smarujemy się tą samą smołą. Plotek

jest mnóstwo. Niektóre z nich mogą okazać się prawdą albo nie, niemniej znam jeden bardzo dziwny fakt, mianowicie: mój pra-pra-pradziadek pozostawił pewne notatki, które w połączeniu z czymś, co sam zobaczyłem na planetoidzie, dowodzą z całą pewnością, że Roger wstąpił na Harvard w tym samym czasie, co mój przodek. Mój pra-pra-pradziadek napisał, że Roger był już wtedy dorosły i miał taki znak... – Amerykanin narysował palcem kabalistyczny symbol.

– Co! – wykrzyknął Baxter – członek Loży Północno-polarnej Jowiszan?

– Tak. To było jeszcze przed pierwszą wojną jowiszową. Jowiszanie mieli wysokiej klasy uczonych, lekarzy. Przedłużyli tę wojnę...

– Wiesz co, Penrose, to wydaje się trochę zbyt naciągane. Kiedy ich wytkukli, okazało się, że było w tym mnóstwo *hocus-pocus*...

– Może wytkukli, a może nie – uciął Penrose. – Trochę *hocus-pocus* może i było, ale wiele rzeczy było prawdą. Wcale nie chcę, byś wierzył we wszystko, lecz w to, co ci powiedziałem musisz. Ich mistrzowie znali takie rzeczy... To, co robili, było trudne do wyjaśnienia. Jeśli chodzi o plotki, to żadna nie została potwierdzona. Według nich, rodzice Rogera pochodzili z Ziemi. Jego ojciec był podobno księżycowym piratem, a matka, Greczynka, poszukiwaczką przygód. Gdy piratów wypędzono z Księżyca, przenieśli się na Ganimedesa, gdzie wielu z nich zostało złapanych przez Jowiszan. Mówią, że Roger urodził się w czasie jakichś świąt. Jowiszanie zabrali go rodzicom. Wychowywał się w Zakazanym Gronie i przeszedł wszystkie stopnie wtajemniczenia, z rytualnymi zabójstwami i innymi okropnymi rzeczami włącznie. Doszedł do samego szczytu, do siedemdziesiątej siódmej tajemnicy...

– Tajemnica wiecznej młodości – westchnął Baxter z zawiścią.

– Właśnie. I został głównym diabłem, mimo starań wszystkich ambitnych diabląt próbujących go zabić. A gdy zaczęli przegrywać wojnę,

zmył się na statku kosmicznym i zaczął realizować jakiś własny tajemniczy projekt. I to jest cała historia. Prawdziwa czy nie, wyjaśnia wiele rzeczy. Może lepiej, jak już sobie pójdziesz. Nie kuśmy licha.

Baxter poszedł do swojej kabiny. Cała, składająca się z zimnych drani, załoga Rogera zajęła się swoimi zadaniami. Tak jak przewidywano, piątego dnia pojawiła się przed nimi planeta i statek zanurzył się w śmierdzącej atmosferze ponad skalistą niegościnną równiną. W następnych godzinami, lecąc na wysokości kilku tysięcy stóp ponad powierzchnią tego dziwnego świata, poszukiwali miejsca bogatego w surowce konieczne do budowy.

Planeta była zimna. Jej słońce było odległe, blade i chłodne. Równinę porastały dziwne, spotworniałe, niby roślinne formy życia, których pędy i gałęzie wiły się i walczyły, wykazując okropną groteskową aktywność. Często walczące części odłamywały się i żyły niezależnie, skacząc i pożerając lub same były pożerane przez podobne im, równie potworne stworzenia. Cała flora była w jednolitym kolorze brudnej chorobliwej żółci. Niektóre z roślin były podobne do paproci, inne do kaktusów, jeszcze inne wyglądały jak jakieś dziwne drzewa, wszystkie paskudne i odpychające dla ludzkich zmysłów. Niemniej okropne były formy zwierzęce, skradające się i ślizgające drapieżnie wśród fantastycznych pseudoroślin. Stworzenia podobne do węży, płazów, nietoperzy, wiły się, czołgały i latały. Pokryte lepkiem żółtym śluzem ulegały pospolitemu podwójnemu impulsowi — zabić i natychmiast pożreć. Przez tę cuchnącą dzicz, nie reagując na obrzydliwe zniechęcające otoczenie, Roger poprowadził swój statek.

– Musi tu być jakiś rodzaj inteligencji – mruknął, przemiatając powierzchnię planety promieniem skanującym. – No tak, tam jest coś w rodzaju miasta.

Kilka minut później grupa wyrzutków patrzyła w dół na stożkowate budynki miasta otoczonego metalowym murem. Wokół nich i wewnątrz

widać było jakieś bezkształtne bryły materii. Roger przechwycił jedną z nich wiązką holowniczą i wprowadził do wnętrza statku.

Pokryta metalicznymi plamkami skórzasta, dziwnie plastyczna, amebowata masa leżała na podłodze unieruchomiona w polu siłowym. Mimo braku jakichkolwiek organów, oczu, uszu, kończyn, wydzielała intensywnie wrogą aurę, umysłową emanację skoncentrowanej wściekłości i nienawiści.

– Z pewnością to jest inteligentny władca tej planety – skomentował Roger. – Dla nas te stworzenia są bezużyteczne. Dwa razy szybciej zbudujemy maszyny niż zdołalibyśmy je podporządkować i wyszkolić. Poza tym, nie możemy pozwolić, by się czegoś od nas nauczyły.

– Mówiąc to, wyrzucił dziwną istotę na zewnątrz i beznamiętnie zlikwidował miotaczem.

– Ta rzecz przypomniała mi faceta, którego znałem kiedyś w Penobscot – powiedział Penrose równie obojętny, jak jego mistrz – to był najagresywniejszy facet w mieście, cały czas się wściekał.

W końcu, Roger znalazł odpowiadające mu miejsce i wylądował na nieprzyjaznej glebie. Miotaczami oczyszczono z życia duży okrąg i wypuszczono roboty, które nie wymagały jedzenia ani odpoczynku, a jedynie energii i smaru. Poza tym były całkowicie niewrażliwe na okropny mróz i niezdrową atmosferę.

Zdobycie i utrzymanie przyczółka na tej wrogiej planecie nie poszło jednak łatwo. Z rosnącej poza wypalonym kręgiem niesamowitej roślinności wylała się horda zakutych w metal stworzeń, które odepchnęły gromadę robotów w kierunku statku. Mieszkańcy planety napływali setkami, poświęcając ochoczo swoje życie, by dotknąć robota metalową wypustką. Powodowało to silny błysk, ze spalonej izolacji, smaru i metalu wydzielał się ciężki dym, a robot przestawał reagować na polecenia. Roger

został zmuszony do odwołania swoich automatów i rozwinięcia ekranów obronnych. Zanim wściekli w bezsilnej nienawiści obrońcy planety w końcu wycofali się, przez wiele dni próbowali bezskutecznie sforsować nieprzenikalne ekrany. W końcu ataków zaniechano, ale w żadnym wypadku nie wyglądało to na przyznanie się do klęski.

Dalej sprawy zostały pokierowane przez Rogera i jego kohorty z wygodnego i wystarczająco już obszernego wnętrza statku. Dookoła zbudowano przemysłowe miasto metalowych konstrukcji zaludnione nieczułymi automatami. Ruszyły kopalnie, rafinerie zaczęły dymić, wydzielać siarczane smrody w już i tak nieznośne powietrze, zbudowano i wyposażono młyny, przetwornice i fabryki, a w miarę jak to wszystko powstawało, coraz więcej stanowisk obsługi obsadzano robotami. W rekordowym czasie uruchomiono ciężkie dźwigi, hale produkcyjne i transportery, a wkrótce potem lekkie, ruchliwe automaty rozpoczęły budowę i montaż wielkich ilości precyzyjnych mechanizmów potrzebnych w ogromnej konstrukcji.

Roger-Gharlane, upewniwszy się, że starczy mu na to czasu, skoncentrował się i angażując całą swoją mentalną moc, zaczął łagodnie sondować to, co wciąż go blokowało.

Znalazł to, zsynchronizował się z tym i błyskawicznie uderzył z całą siłą dostępną eddorskiemu umysłowi; siłą, która zabiła przynajmniej jednego z członków Wewnętrznego Kręgu; siłą, której energia, jak sądził do tej pory, jest w stanie zabić każde żywe stworzenie, może jedynie z wyjątkiem Jego Ultymatywnej Wysokości Suprematora Eddoru.

Niemniej teraz, uderzenie nie odniosło skutku, a błyskawiczna riposta była tak potężna, że musiał użyć całej swojej mocy do jej sparowania. Nie było to dla niego całkowitym zaskoczeniem. Z trudem odbił uderzenie, po czym posłał myśl do swego nieznanego przeciwnika.

– Kimkolwiek jesteś, posłuchaj. Już się przekonałeś, że nie dasz rady mnie zabić. Tak samo, jak ja nie dam rady zabić ciebie. Niech więc tak zostanie. Ale chyba nie wierzysz, że w dalszym ciągu będziesz mógł powstrzymać mnie od przypomnienia sobie tego, co moi przodkowie tak zupełnie zapomnieli?

– Teraz, gdy już się dowiedziałeś, nie jesteśmy w stanie zapobiec, byś sobie przypomniał wszystko. Dalsze próby zapobieżenia temu byłyby bezcelowe, możesz więc spokojnie sobie to przypomnieć.

Umysł Gharlana pograżył się w przeszłości. Coraz głębiej i głębiej... tysiąclecia... cykle... eony. Ślad był coraz bardziej niejasny, prawie niezrozumiały, zagrzebany głęboko pod nawarstwiającymi się pokładami wiedzy, doświadczenia i odczuć, którymi żaden z wielu setek jego przodków nawet się nie zainteresował. Ale każda odrobina informacji, którą uzyskali, była tam i chociaż niejasna, chociaż głęboko zagrzebana, chociaż przesłonięta i zakamuflowana przez wrogie siły, wciąż była dostępna.

Znalazł to i natychmiast poczuł się, jak gdyby Aryzjanin Enphilistor przemówił wprost do niego, jak gdyby zespolenie Starszych Aryzji próbowało, teraz już bezskutecznie, wymazać z jego umysłu wiedzę o istnieniu Aryzji. Sam fakt istnienia od tak dawna takiej rasy był wystarczającym złem, ale to, że Aryzjanie byli w tym czasie świadomi istnienia Eddorian i potrafili ukryć swoje istnienie, było jeszcze gorsze. Ukoronowaniem wszystkiego, tym co dobiło nieokiełznane ego Gharlana, było to, że Aryzja miała cały ten czas, by bez oporu działać przeciw jego rasie.

To było najważniejsze. Takie drobne sprawy, jak likwidowanie nonkonformistycznych kultur, których nadzwyczajnie szybki rozwój stał się teraz jasny, muszą poczekać. Eddor musi zrewidować całkowicie swój sposób myślenia; zintegrowany umysł Wewnętrznego Kręgu musi

przewartościować pod kątem tej nowo-starej wiedzy wszystkie fakty, wszystkie wnioski i założenia. Czy powinien teraz powrócić na Eddor, czy może poczekać i zabrać tam planetoidę z jej mocno zróżnicowaną i niezmiernie cenną zawartością? Raczej poczeka, w porównaniu do eonów, które minęły od chwili, gdy należało podjąć akcję, ten krótki czas jest bez znaczenia.

Kontynuowano więc budowę planetoidy. Roger nie miał powodów, by podejrzewać, że może mu tu grozić jakieś fizyczne niebezpieczeństwo. Niemniej wiedząc, że nie może już dłużej polegać na sygnałach dostarczanych przez własne siły mentalne, skanował od czasu do czasu okoliczną przestrzeń i gdy któregoś dnia jak zwykle uruchomił swoje detektory, jego szare oczy poszarzały jeszcze bardziej.

– Mirsky, Nishimura, Penrose, do mnie! – rozkazał. – Czy któryś z was ma jakieś wątpliwości, co do pochodzenia tego statku? – zapytał, pokazując na ekranie wielką stalową kulę, emitującą niszczycielskie wiązki z broni zaczepnej.

– Żadnych! To statek Solarian – odpowiedział Rosjanin – a żeby jeszcze bardziej zawęzić, to Unii Trójplanetarnej. Jest dużo większy niż jakikolwiek widziany dotychczas, ale konstrukcja nie pozostawia wątpliwości. Wyśledzili nas i teraz testują broń przed atakiem.

Atakujemy czy uciekamy?

— Jeśli to Trójplanetarianie, a to na pewno oni, to atakujemy – powiedział zimno Roger.

– Ta jedna sekcja jest wystarczająco uzbrojona, by zniszczyć całą ich flotę. Zdobędziemy ten statek i dodamy jego niewielkie zasoby do naszych. Być może zabrali na pokład tych troje, którzy uciekli... Nikt mi jeszcze nigdy nie uciekł. Dobrze, zdobądźmy ten statek. A tych troje prędzej czy później... Do Bradleya i kobiety nic nie mam, tyle że taka ucieczka, to

sprawa, którą koniecznie należy skorygować. Ale Costigan, to co innego, Costigan mnie schwytał... – zimne oczy Rogera błysnęły nienawiścią niewyobrażalną dla zwykłego umysłu.

– Na stanowiska – polecił. – To nie potrwa długo, maszyny mogą popracować pod automatyczną kontrolą.

– Zaczekajcie – z głośników rozległ się obcy głos – w imieniu Rady Trójplanetarnej jesteście aresztowani. Poddajcie się, a będziecie mieli uczciwy proces, walczcie z nami, a nigdy nie staniecie przed sądem. Z tego, co wiemy o Rogerze, nie oczekujemy, żeby się poddał, ale ktokolwiek z pozostałych ludzi chce uniknąć natychmiastowej śmierci, powinien opuścić natychmiast ten statek. Wrócimy po niego później.

– Jeśli ktoś chce opuścić statek, to ma moją pełną zgodę – oznajmił Roger, nie kłopotząc się odpowiedzią na wywołanie “Boise”. – Ale jak wrócimy po zniszczeniu tamtych, nie będzie miał wstępu w rejon planetoidy. Atak za minutę.

– Nikt nie uważa, że lepiej zostać? – zapytał Baxter, w kwaterze Amerykanina, mając wciąż wątpliwości, która opcja jest lepsza. – Jeśli oni mają wygrać, to powinniśmy natychmiast wysiąść. Jednak nie wyobrażam sobie tego. A ty?

– Oni? Jeden statek Trójplanetarian przeciwko nam? – Penrose roześmiał się chrapliwie. – Rób, co chcesz. Poszedłbym zaraz, gdybym myślał, że możemy przegrać. Ale nie sądzę, więc zostaję. Wiem, z której strony mój chleb jest smarowany masłem. Te gliny blefują i tyle. Może nie do końca, bo z pewnością nie ustąpią. Głupcy, ale tacy już są. Zamiast uciec, będą próbować do śmierci, chociaż wiedzą, że nie mają szansy. Brakuje im zdrowego rozsądku.

– Nikt nie wysiada? Bardzo dobrze, wszyscy wiedzą, co mają robić – rozległ się oschły głos Rogera. Minuta upłynęła, nacisnął dźwignię i statek

banitów uniósł się lekko do góry.

Roger skierował się bezpośrednio na pozycję “Boise” i gdy znalazł się w zasięgu, odpalił swoją nową broń, zabójczą dla wszystkich rzeczy i stworzeń zawierających żelazo, czerwone pole konwertujące Nevian. W tych ostatnich przerażających minutach, gdy planetoida uległa brutalnej sile ataku, detektory analityczne Rogera wykonały wspaniałą robotę; tak wspaniałą, że z ich zapisu naukowcy nie tylko zdołali odtworzyć zasadę działania generatorów atakującego pola, ale również ekranów używanych przez płazy do neutralizowania tego typu pól. Z dużo gorszym uzbrojeniem najmniejsze okręty Rogera niszczyły potężne pancerniki Trójplanetarian. Dlaczego więc miałyby się martwić teraz, prowadząc taki ciężki pojazd jak ten, tak dobrze uzbrojony i wyposażony? Był spokojny, tym bardziej, że nawet mu nie przyszło do głowy, że ta niegroźnie wyglądająca kula, którą tak beztrąsko atakował, była w rzeczywistości osławionym, półmitycznym, super-statkiem, nad którym Służby Trójplanetarne pracowały tak długo. Nie wiedział też, że bezprecedensowe uzbrojenie super-statku zostało, dzięki Costiganowi, którego tak nienawidził, wzmocnione pomysłami podpatrzonymi zarówno na jego planetoidzie, jak i na statku Nerada.

Nieświadomy i lekceważący, Roger uruchomił pole konwertujące, po czym błyskawicznie znalazł się w opałach. Cała załoga “Boise”, poczynając od Rodebusha na mostku, odpierała ataki, fala za falą, salwa za salwą, wykorzystując wszelkie posiadane narzędzia zniszczenia. Nikomu nie przyszło do głowy, że piratom należy okazać litość. Wszyscy banicy mieli szansę, by się poddać i wszyscy odmówili. Wiedzieli, tak samo jak Trójplanetarianie, tak jak wiedzą wszyscy czytający teraz te słowa, że odmowa oznacza postawienie życia na szali zwycięstwa, gdyż przy nowoczesnym uzbrojeniu niewielu jest w stanie przeżyć klęskę w bitwie bojowych kosmolotów.

Czerwone pole Rogera nawet nie dotknęło ekranów “Boise”. Cała przestrzeń eksplodowała fioletem. Rodebush zneutralizował je, odpychając swoim polem siłowym, po czym zaatakował. Ekranów obronne Rogera okazały się jednak odporne nawet na tę pożerającą wszystko strefę. Statek banitów pozostawał nietknięty. Ultrafiolet, podczerwień — czyste ciepło, infradźwięki, twarde uderzenia wysokim ciśnieniem, promieniowanie wysokiej częstotliwości zdolne zamienić w parę najbardziej uparte metale — wszystko zasilane energią żelaza, a on wytrzymał. Nawet straszna siła makrowiązki została rozproszona, odbita i skierowana na wszystkie strony w powodzi błyskawic oślepiającej energii. Cooper, Adlington, Spencer i Dutton rzucili do walki swoje bomby i torpedy, a on wciąż wytrzymywał. Ale najzacieklejsze ataki Rogera były również nieskuteczne przeciwko tarczom siłowym super-statku. Nie przepadając za walką na równych warunkach, Roger próbował uciec, lecz został powstrzymany silną wiązką holowniczą.

– To muszą być te ekrany policykliczne, o których donosił Conway – Cleveland zmarszczył brwi w zamyśleniu. – Dużo nad tym pracowałem i myślę, że wiem jak to otworzyć, ale musiałbym mieć do dyspozycji projektor numer dziesięć i całą moc jego siłowni. Dasz mi się pobawić tym przez chwilę? W porządku, Blake, podkreć ją do pięćdziesięciu pięciu tysięcy. Tak trzymaj. A teraz pozostali, słuchajcie! Mam zamiar wywiercić dziurę w tym polu siłowym pustą w środku wiązką o przekroju w kształcie pierścienia, jak diamentowe ostrze do wycinania rdzenia. Z zewnątrz otwór będzie niedostępny, ale możecie tam wpuścić cokolwiek od wewnątrz, przez dyszę projektora. Jej otwór będzie zimny, bo chcę użyć tylko zewnętrzny pierścień. Nie wiem jak długo uda mi się utrzymać ten otwór, więc strzelajcie tak szybko jak możecie. Gotowi?

No to jazda!

Nacisnął kilka przycisków. Daleko w dole, w siłowni numer dziesięć, masywne styczniki przełączyły się i wielka masa statku zadrżała, reagując na pojawienie się potężnego słupa energii tryskającej ze statku Trójplanetarian. Wiązka w kształcie rury, pustego w środku cylindra niszczycielskiej energii, uderzyła i rozdarła dotychczas nieprzenikalną tarczę Rogera. Uderzyła, przywarła, krusząc i wierząc, a z miejsca, gdzie jej piekielny ogień stykał się z tarczą piratów bryzgała ulewa rozżarzonych iskieł, długich i jasnych jak błyskawice.

Gigantyczne wiertło wwierało się coraz głębiej. W końcu przebiło się na wylot. Przebiło policykliczny ekran Rogera; odsłoniło gołe metalowe poszycie. Zdwojony, wściekły ogień Trójplanetarian skoncentrował się w tym jednym punkcie — bez efektu. Bo nie mogąc sforsować tarczy Rogera, nie byli również w stanie przebić się do środka przez ścianę wiertła i cały atak skutkował jedynie kaskadą jaskrawych iskieł.

– Ale jestem tępak – jęknął Cleveland – trzeba było ustawić dodatkowy miotacz SX7 w wewnętrznym pierścieniu dziesiątki. Blake, możesz to jeszcze zrobić? Na wypadek, gdyby udało im się odeprzeć pociski.

Tymczasem Trójplanetarianie strzelali przez rurę tak szybko jak mogli. Tego ataku piratom nie udało się już powstrzymać. Roger, zdając sobie sprawę, że po raz pierwszy w swoim długim życiu stanął w obliczu prawdziwej klęski, nie zwracał na to uwagi, jak również na żadną ze swoich broni ofensywnych. Walczył z całych sił o wyrwanie się z uchwytu wiązki holowniczej “Boise”. Bezskutecznie. Nie mógł jej przeciąć ani rozciągnąć. Najbardziej desperackie wysiłki skutkowały jedynie większymi kaskadami ognia na styku obłej powierzchni kadłuba i penetrującego cylindra. A przez przepust przelatywały jedna za drugą: bomby, pociski przeciwpancerne, granaty z trującymi gazami i korodującymi płynami. Wiele z nich zostało zniszczone przez jego załogę, naukowców, którzy przeżyli, strzelców i

ekspertów od broni, ale nikt nie był w stanie powstrzymać wszystkich. Wyłomu, podtrzymywanego nieugiętą siłą “otwieracza” Clevelanda, nie udało się zamknąć. Mimo ogromnej mocy nie mógł obrócić statku utrzymanego wiązką holowniczą w taki sposób, by skierować miotacz wzdłuż niechronionej osi wąskiej, lecz niszczycielskiej rury.

Koniec nadszedł więc szybko. Głowica bojowa uderzyła w stalowe poszycie, detonując bombę żelazową. Przez wyłom, nie natrafiając na opór, wpadły kolejne bomby i torpedy dopełniając zniszczenia nadwyreżonego kadłuba. Bomby atomowe zamieniły większość pirackiego statku w parę, korodujący płyn zamienił całe fragmenty w podziurawioną ruinę.

Trujące gazy wypełniły otaczającą przestrzeń i to co pozostało ze statku Rogera zaczęło spadać na ziemię. Rodebush zniżył “Boise” w ślad za wrakiem i skierował na niego dalekowizory.

– ... konstrukcja była tak mocna, że stało się konieczne zastosowanie środków korozyjnych, w wyniku czego statek wraz z zawartością został całkowicie zdeintegrowany – podyktował trochę później do dziennika okrętowego. – Nie udało się znaleźć żadnych resztek rozpoznawalnych jako ludzkie ciała, niemniej, biorąc pod uwagę warunki, w których nikt żywy nie mógł ocaleć, nie ulega wątpliwości, że Roger zginął, wraz z jedenastoma swymi ostatnimi ludźmi.

* * *

Rzeczywiście, forma cielesna znana jako Roger, została zniszczona. Stałe i ciekłe składniki ciała zostały rozproszone w postaci cząsteczek i atomów. Ale to, co kierowało formą cielesną, nie mogło zostać zniszczone żadną siłą fizyczną. W efekcie, Gharlane z Eddoru, czyli to co stanowiło istotę Rogera, znalazł się z powrotem na swojej rodzimej planecie zanim jeszcze Rodebush zakończył przegląd resztek pirackiego statku.

Wewnętrzny Krąg zebrał się i przez czas bardzo długi dla przeciętnego ziemskiego umysłu potworne istoty, zespolone w jedną zwielokrotnioną inteligencję, analizowały wszystkie nowo poznane elementy prawdy. W końcu dowiedzieli się o Aryzjanach tyle samo, co Aryzjanie o nich. Supremator zwołał wówczas konferencję wszystkich umysłów Eddoru.

– ... więc jest oczywiste, że ci Aryzjanie, chociaż posiadają umysły o ogromnych uspiionych możliwościach, są w zasadzie miękczy i co za tym idzie nieefektywni – podsumował.

– Nie słabi, weźcie to pod uwagę, ale skrupulatni i nierealistyczni. Wykorzystując tę przewagę powinniśmy całkowicie ich pokonać.

– Przepraszam, ale jeśli Wasza Ultymatywna Wysokość nie ma nic przeciwko temu – zgłosił się jeden z mniej ważnych Eddorian – to poprosiłbym o wyjaśnienie kilku szczegółów.

Niektórzy z nas nie całkiem zrozumieli, jaka jest optymalna linia postępowania.

– Dopóki nie wypracujemy szczegółowego planu kampanii, będzie kilka podstawowych linii ataku. Czysto militarne przedsięwzięcie będzie oczywiście jedno, ale to nie jest najważniejsze. Akcja polityczna z udziałem sabotażu i oporu mniejszości wydaje się być bardziej użyteczna. Najskuteczniejsze będą, zwłaszcza, operacje względnie małych, lecz dobrze zorganizowanych grup, których zadaniem będzie negocjować, dezorganizować i niszczyć każdy bastion tych słabych i pozbawionych kręgosłupa zwolenników Cywilizacji, uważających miłość, prawdę, honor, lojalność, czystość, altruizm, poprawność i tym podobne za najcenniejsze wartości w życiu.

– Ach, miłość... szalenie interesujące. Oni to nazywają seks, Wasza Wysokość – wtrącił Gharlane. – Straszna głupota, rzecz bez znaczenia! Badałem to intensywnie, ale nie mam jeszcze na tyle pełnych danych, by

móc sporządzić wyczerpujący raport. Chociaż wiem już, że możemy i powinniśmy to wykorzystać. W naszych rękach zło stanie się rzeczywiście potężną bronią. Zło... narkotyki... chciwość... hazard... haracze... szantaż... żądza... porwania... zabójstwa... ach!

– Dokładnie. Będziemy potrzebować całej mocy każdego Eddorianina. Ale muszę was ostrzec, że to nie jest coś, co powinniście robić osobiście. Jeśli mamy efektywnie kontrolować aktywność bilionów operatorów, których chcemy i musimy zatrudnić, musimy działać za pośrednictwem całego szeregu podwładnych, wyższych i niższych nadzorców. Każdy poziom kontroli będzie liczbowo dużo większy niż ten bezpośrednio nad nim i będzie miał odpowiednio niższe kompetencje. Sfera działalności każdego nadzorcy, bez względu na pozycję w hierarchii, będzie ściśle zdefiniowana. Stanowisko, poczynając od operatorów na poziomie mieszkańców planety do poziomu zarządu Eddorskiego włącznie, będzie zależało wyłącznie od zdolności osobistych. Władza będzie absolutna, a odpowiedzialność pełna. Za sukces będzie awans i nagrody, a fiasko będzie karane śmiercią.

– Ponieważ personel niższych poziomów nie będzie dla nas specjalnie cenny, zwłaszcza, że będzie łatwy do zastąpienia, więc jest bez znaczenia czy da się wciągnąć, czy nie, w działalność przeciwko nam. Istotne jest, natomiast, żeby poziom podlegający bezpośrednio Eddorowi — a nawiasem mówiąc, uważam, że Plooranie będą najlepsi jako nasi pomocnicy — nie może nigdy, w żadnym wypadku, pozwolić, aby jakieś szczegóły prawdziwego celu zostały wyjawione członkowi niższego poziomu czy komukolwiek ze zwolenników Cywilizacji. To jest najważniejszy wymóg i każdy z was musi zdać sobie sprawę z tego, że tylko w ten sposób możemy zapewnić sobie bezpieczeństwo. Powinniście też wiedzieć, że każdy kto złamie ten zakaz zostanie natychmiast stracony.

– Musimy również podjąć prace nad skonstruowaniem lepszych urządzeń i technologii oraz wypracować nowe metody psychologiczne, które będziemy mogli zastosować zarówno przeciw Aryzjanom, jak i użyć do kontroli słabszych umysłów. Każdy Eddorianin, bez względu na zainteresowania i zdolności, dostanie zadanie odpowiadające jego możliwościom. To wszystko.

* * *

Również w Aryzji, chociaż tutaj nie było zaskoczenia, odbyła się konferencja. Mimo że młodsi Strażnicy poczuli się zadowoleni z wybuchu konfliktu, do którego przygotowywali się tak długo, Aryzja, jako całość, nie była zadowolona ani zmartwiona. W Wielkim Planie obejmującym cały Wieloświat ta afera była zupełnie nieznaczącym incydentem. Została przewidziana i do niej doszło. Każdy Aryzjanin miał robić to, co do niego należy, z racji tego, że jest Aryzjaninem. Tak miało być.

– Nasza sytuacja w zasadzie się więc nie zmieniła – raczej oznajmił niż zapytał Eukonidor, gdy Starsi przedstawili do publicznej dyskusji swoją wizualizację. – Wydaje się, że ta rzeź musi być kontynuowana. Ten postęp, wzloty i upadki; ten marsz po omacku; te klęski; te frustracje; ten zalew zła i nieszczęścia, ten rozlew krwi. Dlaczego? Moim zdaniem, obecnie byłoby lepiej — czyściej, prościej, szybciej, wydajniej, z mniejszym rozlewem krwi i cierpieniem — wziąć w tym bezpośredni i aktywny udział, tak jak to robią i będą robić Eddorianie.

– Czyściej, młodzieńcze, tak i prościej. Łatwiej i mniej krwi. Ale nie lepiej, a nawet nie dobrze. Ponieważ nigdy nie osiągnęlibyśmy celu. Młode cywilizacje rozwijają się dzięki przewyciężaniu trudności. Każda przewyciężona przeszkoda, każdy krok postępu, przynosi im zarówno cierpienie jak i nagrodę. To prawda, możemy zniweczyć wysiłki wroga na

wszystkich poziomach, ale nie to, co robią sami Eddorianie. Możemy osłaniać i chronić nasze protegowane rasy, tak żeby uniknęły wojen i łamania prawa. Ale jak długo? Jeśli się zastanowicie dłużej, niedojrzali myśliciele, zrozumiecie, że w takim przypadku żadna z naszych ras nie rozwinie się tak, jak tego wymaga obecność Eddorian.

– Z tego wynika, że nigdy nie będziemy w stanie pokonać Eddoru ani nie osiągniemy stałej równowagi. Mając wystarczająco długi czas na działanie, mogą zwyciężyć. Jeśli jednak każdy Aryzjanin wykona swoje zadanie nakreślone w tej wizualizacji, wszystko skończy się dobrze. Czy są jeszcze jakieś pytania?

– Nie ma? Wątpliwości, które być może się pojawią, mogą być wyjaśnione nawet przez umysł o bardzo umiarkowanej mocy.

* * *

– Spójrz, Fred – Cleveland wskazał ekran, na którym widać było horde dziwnych mieszkańców tej odpychającej planety, zaciekle niszczących swoją elektryczną bronią wszystko, co pozostało po Rogerze w kręgu ogołoconym z miejscowego życia. – Właśnie miałem zaproponować, żebyśmy uprzątnęli planetoidę, którą zaczął budować Roger, ale widzę, że miejscowi chłopcy i dziewczęta już się tym zajęli.

– Też bym chętnie tu został, żeby zbadać trochę tubylców, ale musimy dalej ścigać Nevian – po czym “Boise” skoczył w przestrzeń, w kierunku, w którym odleciały płazy.

Po wejściu na kurs statek przyspieszył do maksymalnej prędkości. Detektory, odbiorniki i wzmacniacze — urządzenia podprzestrzenne zdolne do wykrycia wszelkich sygnałów z odległości wielu lat świetlnych i nadania im formy zrozumiałej dla człowieka, pracowały podczas podróży z

największą czułością. Instrumenty, przez cały czas, obserwowały wszystkimi zmysłami co najmniej dwóch ludzi.

Nasłuchiwali w tle ogłuszającego szumu przeciążonych wzmacniaczy, poszukując jakiegokolwiek sygnału. Nasłuchiwali, a w tym czasie, miliony milionów mil od granicy ogromnego zasięgu ich urządzeń, troje istot ludzkich wysyłało w pustą przestrzeń rozpaczliwe wołanie o pomoc.

↑ *Schrecklichkeit* (z niem. — terror, przerażenie) — angielski termin oznaczający politykę terroru stosowaną w czasie II wojny światowej przez armię niemiecką w stosunku do ludności krajów okupowanych.

Rozdział 18

UCIECZKA OKAZÓW

Dobrze wiedząc, że kontakt z innymi osobnikami jest jedną z najważniejszych potrzeb istot inteligentnych, Nevianie pozwolili ziemskim okazom zatrzymać swoje podprzestrzenne komunikatory. Dzięki temu Costigan mógł się porozumiewać ze swoją ukochaną i Bradleyem.

Dowiedział się, że każde z nich zostało umieszczone na wystawie w innym Neviańskim mieście i że zostali rozdzieleni w odpowiedzi na żądania publiczności ciekawej dziwnych, lecz interesujących stworzeń z odległego systemu słonecznego. Nie zrobiono im żadnej krzywdy.

Wprost przeciwnie, codziennie byli badani przez specjalistów upewniających się, że przebywają w dobrych warunkach i są w dobrej kondycji.

Costigan, gdy tylko się o tym dowiedział, stracił dobry nastrój. Siedział nieruchomo, oklapnięty i w widoczny sposób zbolały. Odmawiał jedzenia, a od zmartwionego specjalisty zażądał uwolnienia. Następnie, gdy to nie przyniosło rezultatu, czego się spodziewał, zażądał czegoś do roboty. Odpowiedziano mu, dość przekonująco, że w tak rozwiniętej cywilizacji jak ta, nie ma niczego, co mógłby robić. Zapewniono go, że zostanie zrobione wszystko, co możliwe, żeby ulżyć mu w tym psychicznym cierpieniu, ale ponieważ jest eksponatem muzealnym, to musi się z tym liczyć, że chociaż na krótko, ale musi być widoczny na wystawie. Niech więc się zachowuje rozsądnie i zacznie jeść. Costigan boczył się jeszcze jakiś czas, po czym zrezygnował.

W końcu zgodził się na kompromis. Będzie jadł i ćwiczył, jeśli mu zorganizują laboratorium, w którym będzie mógł kontynuować swoje badania rozpoczęte na rodzinnej planecie. Zgodzono się na to i tak pewnego dnia doszło do następującej rozmowy: – Clio? Bradley? Tym razem muszę wam o czymś powiedzieć. – Wcześniej nic im nie mówił, obawiając się, że rzeczy pójdą źle, ale tak się nie stało. – Ogłosiłem strajk głodowy i dali mi całkowicie wyposażone laboratorium. Jako chemik, jestem raczej kiepskim elektrykiem, ale szczęśliwie z tą wodą morską, którą oni tu mają, mogę w prosty sposób zrobić...

– Stój! – wykrzyknął Bradley. – Ktoś nas może podsłuchiwać.

– Nie może. A przynajmniej nie bez mojej wiedzy. Mogę odciąć każdego próbującego połączyć się ze mną. Wracając do tematu, otrzymanie V dwa jest bardzo proste i mam wszystko, co potrzeba...

– I pozwolą ci? – zapytała Clio.

– Och, oni nie mają pojęcia, co robię. Przez kilka dni mnie obserwowali, jak robiłem i butelkowałem kilka trudnych do wyobrażenia, dziwnych substancji, ale kiedy zorientowali się, że nie wiem nic o żadnej z nich ani co z nimi zrobić, gdy już je mam, orzekli, że jestem prymitywną małpą i od tej pory nie zwracają na mnie uwagi. W taki sposób wszedłem w posiadanie wielu kilogramów ciekłego V dwa, gotowego do użycia. Wyruszam stąd za około trzy i pół minuty i przylecę po was, ludzie, nową zasilaną żelazem kosmiczną wyścigówką. Właśnie ją przetestowali i myślą, że o niej nie wiem. Czegoś takiego jeszcze nie widzieliście.

– Conway, najdroższy, prawdopodobnie nie będziesz mógł mnie uratować – głos Clio załamał się – tu jest ich dookoła tysiące. Kochany, jeśli możesz uciec, uciekaj, ale nie...

– Powiedziałem, że przylecę po ciebie, więc jeśli się wydostanę, to tak zrobię. Większy powiew tego świństwa położy tysiące tak samo łatwo jak

jednego. Na tym to polega. Zrobię maskę gazową dla siebie, ponieważ będę w miejscu o wysokim stężeniu, ale wy oboje nie potrzebujecie. To się dobrze rozpuszcza w wodzie, więc wystarczą trzy, cztery warstwy mokrej tkaniny na nos. Powiem wam, kiedy macie to zrobić. Chcemy uciec lub zginąć próbując, nie ma tylu Nevian w całym wszechświecie, by utrzymać nas, ludzi, zamkniętych w klatce, jak zwierzęta w zoo, na zawsze. Dobrze, są już moi specjaliści z kluczami do miasta. Czas zacząć. Do zobaczenia.

Neviański lekarz skierował swój klucz na przezroczystą ścianę komory. W ścianie pojawił się otwór, który zamknął się natychmiast po jego wejściu. Costigan przekręcił kurek zaworu i z różnych rurek, do wody centralnej laguny rzygnęły śmiertelne opary. Gdy Nevianin odwrócił się do więźnia, rozległ się prawie niesłyszalny syk i cienki strumień strasznej, zabronionej przez prawo trucizny, uderzył w jego nieosłonięte skrzela, tuż poniżej dużej stożkowatej głowy. Płaz momentalnie zeszywniał, zwinął się i upadł bez ruchu na podłogę. Na zewnątrz, strumienie bardzo dobrze rozpuszczalnego skroplonego gazu tryskały do wody i w powietrze. Gaz rozprzestrzeniał się, rozpuszczał i dyfundował z ogromną, charakterystyczną dla niego, szybkością. A gdy tak dyfundował i rozprzestrzeniał się, na zewnątrz umierały masowo setki Nevian. Umierali nie wiedząc, co ich zabija, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, że umierają. Costigan, gorzko urażony nieludzkim potraktowaniem ich trojga i mocno obawiający się o powodzenie planu ucieczki, wstrzymał oddech i z ponurym skupieniem obserwował śmierć płazów. A gdy już nikt w pobliżu się nie poruszał, założył maskę gazową, umocował na plecach kanister z trucizną — mniejsze pojemniki miał już pochowane po kieszeniach — wymknęły mu się dwa zdania wyrażające dziką satysfakcję: – Więc jestem biednym, głupim okazem małpy, której można dać aparaturę do zabawy? – wymruczał, podnosząc klucz lekarza i otwierając wejście do swojego

więzienia. – Dostaną nauczkę, że nie należy mierzyć skoku pchły po jej wyglądzie!

Wyszedł przez otwór wprost do wody i z całym obciążeniem popłynął do najbliższej rampy. Wyszedł z wody i pobiegł głównym korytarzem poprzedzany straszliwym V2. Wraz z gazem szła fala utraty przytomności, pogłębiającej się stopniowo w stałą zapaść nieodwracalną nawet w wyniku natychmiastowej interwencji kogoś, kto dysponowałby nie tylko koniecznym antidotum, ale równie ważną wiedzą dotyczącą jego użycia. Na podłodze korytarza leżały rozciągnięte ciała Nevian, którzy upadli tu idąc. Costigan omijał ich lub przeskakiwał, zatrzymując się tylko chwilami, by wpuścić zabójczy gaz do bocznych korytarzy lub w otwarte drzwi mijanych pomieszczeń. Zmierzał w kierunku wlotu kanałów wentylacyjnych miasta i żadne pozbawione maski, oddychające tlenem, stworzenie nie mogło mu zagrozić drogi. Gdy dotarł na miejsce, zdjął kanister z pleców i opróżnił śmiertelniejącą zawartość do głównego kanału pobierającego powietrze dla całego miasta.

Wszyscy Nevianie zamieszkujący skazane miasto upadli spokojnie i bez walki, niczego nieświadomi. Zajęci kierownicy upadli w swoich wyściełanych fotelach, śpieszący się podróżni i posłańcy upadli na podłogę w korytarzach lub zatonęli w trujących wodach, obserwatorzy przed swoimi ekranami, kierujący pojazdami na swoje deski rozdzielcze. Obserwatorzy i kontrolerzy w odleglejszych rejonach miasta dziwili się przez krótki czas niezwykłemu o tej porze zamieraniu ruchu, po czym zdziwieni również tracili świadomość — na zawsze.

Następnie Costigan pobiegł przez zamarłe miasto do pewnego magazynu, gdzie z całą ostrożnością założył swój własny skafander. Z reszty solaryjskiego wyposażenia zrobił niezgrabny pakunek, który pociągnął z hałasem za sobą. Gdy był już blisko doku, gdzie stał

przycumowany, upatrzony przez niego neviański ścigacz, zatrzymał się i wyjął swoje szpiegowskie podprzestrzenne gogle. Wiedział, że to jest słaby punkt planu. Załoga statku, korzystająca z niezależnego systemu podtrzymywania życia, wciąż była przytomna. Byli uzbrojeni, bez wątpliwości zaalarmowani i prawdopodobnie bardzo podejrzliwi. Posiadali również podprzestrzenne urządzenia obserwacyjne i mogli go wykryć, chociaż to, że był tak blisko, powinno go chronić przed tym. Przykucnął za filarem i z napięciem obserwował przez gogle, czekając na chwilę, gdy nikogo nie będzie w pobliżu wjazdu, zdecydowany do natychmiastowego działania, w wypadku najsłabszych oznak wykrycia.

– I tu jest problem – warknął do siebie. – Znam kod zamka, ale jeśli są rzeczywiście podejrzliwi i działają szybko, zablokują wjazd, zanim zdąży się otworzyć i zrobią ze mnie plamę; ale... O!

To była ta chwila. Wycelował klucz i wjazd otworzył się. Natychmiast do środka wleciała butelka z łatwo tłukącego się szkła, której rozbicie oznaczało śmierć. Naczynie rozleciało się na kawałki po uderzeniu w metalową ścianę, a dawna załoga została, jeden po drugim wyrzucona za burtę, prosto do laguny. W chwilę później Costigan podniósł pojazd w powietrze i wylądował przy wejściu pływającego więzienia, w którym tak długo był przetrzymywany. Ostrożnie przetransportował na statek zestaw niebezpiecznych pojemników z V2, szybko upewnił się, czy czegoś nie przeoczył i wystartował. Włączył zabezpieczony komunikator i powiedział: – Clio, Bradley, wystartowałem bez żadnych problemów. Teraz lecę po ciebie, Clio.

– Och, wspaniale, że ci się udało, Conway! – wykrzyknęła dziewczyna. – Ale może lepiej, jak najpierw weźmiesz kapitana Bradleya? Bo gdyby coś się wydarzyło, będzie użyteczny, a ja...

– Jeśli tak zrobi, to tak go kopnę, że wywinie beczkę – roześmiał się kapitan.

– Nie będziesz musiał. Oczywiście ty pierwsza, Clio. Tylko musisz cały czas mówić, żebym mógł cię namierzyć. Nie chcę używać wiązki dużej mocy, żeby mnie nie wykryli, a przy małej mocy nie widzę cię.

– Och, w tym, to jestem dobra! – Clio roześmiała się z prawdziwą ulgą – gdyby mowa była muzyką, byłabym całą orkiestrą. – Paplała tak bez przerwy, dopóki Costigan nie powiedział jej, że starczy, gdyż udało mu się ustalić kurs.

– Coś tam się dzieje w pobliżu ciebie? – zapytał.

– Nic niezwykłego nie widzę – odpowiedziała. – A coś się powinno dziać?

– Mam nadzieję, że nie, ale gdy uciekałem, to z pewnością nie udało mi się zabić wszystkich i zastanawiam się, czy nie powiążą tego wydarzenia z moim pustym więzieniem i nie ostrzegą pozostałych miast, żeby was przypilnowano. Ale myślę, że tam musi być ogromny bałagan, ponieważ nie wiedzą, kto, czym i dlaczego ich zaatakował. Najprawdopodobniej dostałem wszystkich, którzy nie byli w jakimś uszczelnionym miejscu, więc nie ma powodu, by przypuszczać, że ci co ocaleli szybko się domyślą. Niemniej nie są głupi i z pewnością się połapią, gdy porwę ciebie. Może zanim... Chyba widzę twoje miasto.

– Co teraz zrobisz?

– To samo, co tam, o ile będę mógł. Zatruję powietrze i całą wodę w zasięgu...

– Och, Conway! – Clio podniosła głos. – Chyba się zorientowali. Wychodzą z wody i uciekają pośpiesznie do budynków.

– Widzę – powiedział ponuro – jestem teraz dokładnie nad tobą. Szukam głównego wlotu powietrza. Mają tuzin statków wokoło i strażników w

korytarzach prowadzących do niego.

A strażnicy są w maskach. Sprytni faceci te płazy; wiedzą co się stało i dlaczego. To wszystko zmienia sytuację, dziewczyno. Jeśli użyjemy gazu, za chiny nie uda nam się wydostać Bradleya.

Przygotuj się do skoku, gdy tylko otworzę drzwi!

– Pospiesz się, kochany. Idą tu do mnie!

– No pewnie – Costigan już zobaczył dwóch Nevian płynących do klatki Clio. Rzucił statek w dół, aż zawyło powietrze. – Jesteś zbyt wartościowym okazem, by pozwolili cię zagazować, ale jeśli liczą, że dotrą do ciebie przede mną, to są głupi.

Przeliczył się trochę i zamiast wylądować na powierzchni, wrył się w wodę wzniesając ogromną falę na długości kilkuset metrów. Zderzenie tego typu w żadnym stopniu nie mogło uszkodzić statku, a jego grawitacyjne stabilizatory miały duży zapas mocy, więc gdy wystrzelił z powrotem na powierzchnię, zarówno statek jak i pilot wyszli z tego bez szwanku. Costigan wycelował klucz w kierunku wejścia do klatki, po czym go odłożył.

– Inna kombinacja – warknął – muszę wyciąć otwór. Połóż się w kącie po przeciwnej stronie!

Jego dłonie przebiegły po panelu sterującym i gdy Clio posłusznie i bez pytań rzuciła się na podłogę, potężna wiązka energii zdmuchnęła sporą część dachu budowli. Ścigacz podniósł się w powietrze i osiadł na górnych krawędziach przeciwległych ścian, wciąż rozżarzonych i na pół stopionych. Dziewczyna postawiła stołek na stole, stanęła na nim i wyciągnęła rękę. Costigan chwycił ją, silnym szarpnięciem wciągnął do pojazdu, zasunął właz, skoczył do sterów i poderwał statek do góry.

Twój skafander jest w tym pakunku. Lepiej włóż go i sprawdź swoje lewistony i pistolety.

Nie wiadomo, na co się natkniemy – rzucił, nie odwracając się. – Bradley zaczynaj mówić...

dobrze. Przygotuj sobie mokre szmaty i bądź gotowy. Teraz się liczy każda sekunda. Będziemy lecieć tak szybko, że poszycie rozgrzeje się do białości. Żeby się tylko nie okazało, że i tak za wolno.

– Niestety za wolno – powiedział spokojnie Bradley. – Właśnie idą po mnie.

– Nie opieraj się, to może cię nie sparaliżują. Cały czas mów, żebym wiedział gdzie cię zabierają.

– Costigan, jest źle – gdy to mówił, głos starego wygi kosmicznego nie wykazywał emocji – oni się wszystkiego domyślili. Nie będą ryzykować, sparali... – głos załamał się wpół słowa.

Costigan zaklął gorzko i włączył na pełną moc dalekowizor ścigacza. Skierował go na więzienie Bradleya, nie dbając już o wykrzyki, gdyż Nevianie i tak byli ostrzeżeni. Na ekranie zobaczył Nevian wiozących bezwładne ciało kapitana w małej łodzi. Śledził ich, dopóki nie wnieśli go do największego budynku w mieście. Niosąc nieruchome ciało, doszli szeregiem pochylni do niezwykle mocno strzeżonej centralnej sali i położyli na miękkiej leżance. Costigan odwrócił się do swojej towarzyszki. Nawet mimo hełmów, na jego twarzy było widać oznaki cierpienia. Zwilżył wargi i dwukrotnie próbował coś powiedzieć. Niemniej nie zwolnił ani nie zawrócił.

– Oczywiście – przyznała z determinacją – musimy to zrobić. Wiem, że chciałbyś uciec ze mną, ale gdybyś to zrobił, nigdy więcej bym cię nie chciał widzieć ani nawet słyszeć o tobie, a ty też byś mnie znienawidził po wsze czasy.

– Masz rację – powiedział chrapliwym głosem, wciąż z cierpieniem w oczach, ale ręce na sterach nawet mu nie drgnęły. – Jesteś najlepszym

towarzyszem, jakiego spotkałem i będę cię kochał bez względu na wszystko. Oddałbym diabłu moją nieśmiertelną duszę, żeby wydostać cię z tej opresji, ale siedzimy w niej po szyje i nie możemy zawrócić. Jeśli go zabiją to trudno, obaj wiedzieliśmy, że jeśli zabiorę najpierw ciebie, najprawdopodobniej tak się to potoczy, ale tak długo, jak wszyscy troje jesteśmy żywi, uciekamy wszyscy albo nikt.

– Oczywiście – powiedziała z taką samą determinacją, ale teraz wstrząśnięta do głębi jego męskim wyznaniem, w którym tak prosto wyraził swoje zasady, silniejsze niż miłość życia czy nawet nieskończenie większa miłość do niej. – Zrobimy to. Zapomnij, że jestem kobietą.

Jesteśmy dwojgiem ludzkich istot, walczących ze światem pełnym potworów. Jestem po prostu jedną z naszej trójki. Będę prowadziła pojazd, strzelała z miotaczy lub rzucała bomby. Co będzie najlepsze?

– Rzucanie bomb – polecił krótko. Wiedział, co trzeba zrobić, żeby była jakaś szansa powodzenia. – Wypalę dziurę w dół, do tego audytorium, a ty staniesz we włączce i zaczniesz rzucać tam butelki z naszymi perfumami. Jak tylko wytnę przejście w ścianie, wrzuc kilka tych dużych w wypalony szyb, a pozostałe gdziekolwiek dookoła. Będą skuteczne, bez względu na to gdzie upadną, na ląd czy do wody.

– A kapitan Bradley? Przecież też zostanie zagazowany – jej ładne oczy spojrzały z zakłopotaniem.

– Nic na to nie poradzimy. Mam antidotum. Działa w ciągu godziny. To mnóstwo czasu. Jeśli nie odlecimy w ciągu dziesięciu minut, to już nie odlecimy w ogóle. Ściągają tu plutony milicji w pełnym uzbrojeniu, więc jeśli nie zdążymy przedtem pokonać tych chłopaków, to będziemy mieli problem. Dobrze, rzucaj!

Ścigacz zawisł nad imponującą budowlą, w której trzymano Bradleya. Potężna wiązka energii trysnęła w dół, drążąc w twardym metalu ognistą

studnię, kondygnacja po kondygnacji.

Sufit amfiteatru został przebity. Słup ognia zgasł i w dół poleciały dwa pojemniki z V2, roztrzaskując się i napełniając powietrze niewyczuwalną śmiercią. Wiązka energii rozbłysła ponownie, tym razem z pełną mocą, wypalając połowę budynku i otwierając na zewnątrz pokój za pokojem na kształt półek. Wielka sala przypominała teraz wlot do ogromnego gołębnika, otoczony mniejszymi wlotami. Costigan wprowadził statek w największy otwór i posadził go na podłodze, miażdżąc jego wielkim ciężarem biurka i wyściełane meble.

Wszyscy strażnicy zostali skierowani do tego pomieszczenia, bez względu na przydział i wyposażenie. Większość była zwykłymi strażnikami, nie posiadającymi nawet masek i ci natychmiast stracili przytomność. Wielu posiadało jednak maski, a niektórzy byli nawet w skafandrach, Niemniej żadna przenośna broń nie była w stanie przeciwstawić się strasznej sile broni ścigacza, więc jeden błysk miotacza wymiół z sali wszelkie życie.

– Z tego dużego miotacza nie mogę strzelać zbyt blisko Bradleya, wymiotę ich ręcznym. Zostań tutaj, Clio i ubezpieczaj mnie – polecił Costigan i otworzył właz.

– Nie mogę! – odparła – nie umiem się tym posługiwać. Zabiję ciebie albo kapitana Bradleya. Ale potrafię strzelać – poderwała się, depcząc mu po piętach.

Strzelając jedną ręką z lewistonów, a drugą z pistoletów, dwie opancerzone postacie pobiegły w kierunku kapitana Bradleya, teraz podwójnie bezradnego, sparaliżowanego przez wrogów i zagazowanego przez przyjaciół. Gromada Nevian przed nimi stopniała, ale zanim dobiegli do leżanki, na której leżał kapitan, zobaczyli sześć postaci ubranych w skafandry nie gorsze niż ich. Strzały z lewistonów odbijały się od ich

pancerzy, nie robiąc większej szkody niż efekty pirotechniczne, a pociski z automatów rozpryskiwały się i eksplodowały bezskutecznie. Za linią opancerzonych strażników stało przynajmniej dwudziestu nieopancerzonych, lecz zaopatrzonych w maski żołnierzy. A pochylniami prowadzącymi do sali już nadciągały plutony ciężko uzbrojonych postaci widziane wcześniej przez Costigana.

Costigan błyskawicznie podjął decyzję i pobiegł z powrotem do ścigacza. Nie miał jednak, bynajmniej, zamiaru porzucić towarzyszy.

– Zostań tutaj – biegnąc, instruował dziewczynę – ja załatwię tych patałachów ołówkiem i zajmę się nadchodzącą grupą, a ty zastrzel pozostałych i przyciągnij Bradleya.

Wróciwszy do pojazdu, wycelował wąską, ale bardzo gęstą wiązkę energii — jakby permanentną błyskawicę — kolejno w sześciu opancerzonych strażników. Wiedząc, że Clio poradzi sobie z resztą oporu, skoncentrował się na posiłkach nadciągających szybko ze wszystkich stron. Ciężki miotacz znów zagrał raz za razem, wypalając pomieszczenie to po tej, to po tamtej stronie. Na trasie strumienia ognia, w gęstych świecących chmurach oparów, znikali nie tylko Nevianie, ale również ściany, podłogi, pochylnie i wszelkie materialne rzeczy.

Chwilowo pozbywszy się wrogów skoczył na pomoc Clio, ale ta już zdążyła poradzić sobie sama. “Załatwiwszy” wszystkich przeciwników, ciągnąc Bradleya energicznie za nogi, przyciągnęła go prawie do burty pojazdu.

– Co za dziewczyna – ucieszył się Costigan, chwytając kapitana i wrzucając przez właz. – Bardzo przydatna. Dziewczyna moich snów, równie piękna jak użyteczna. Właz do środka i spadamy stąd!

Ale wydostanie ścigacza ze zrujnowanej obecnie sali okazało się być trudniejsze niż posadowienie go tutaj, gdyż ledwo Costigan pozamykał

włazy, część budynku zawaliła się za nimi, odcinając im drogę. Nieviańskie łodzie podwodne i statki powietrzne zaczynały pojawiać się na scenie, skanując intensywnie budowlę i starając się pochwycić lub zgnieść intruzów w ruinach. Costigan w końcu wypalił drogę miotaczem, ale Nevianie zdążyli tymczasem wzrosnąć w siłę, więc przywitał ich skoncentrowany ogień z broni wszelkiego rodzaju, jaka znalazła się w zasięgu.

Nie przypadkiem jednak Conway Costigan wybrał na swoją ucieczkę ku wolności statek, który, jeśli nie liczyć dwóch ogromnych krążowników międzygwiazdnych, był najpotężniejszym kosmolotem zbudowanym kiedykolwiek na Nevii. Nie na próżno też w czasie długich dni i nocy samotnego uwięzienia dogłębnie i szczegółowo studiował wszystko, co dotyczyło obsługi, uzbrojenia i sterowania tym pojazdem. Studiował go w czasie testów, w akcji i w czasie spoczynku. Studiował, aż poznał jego wszystkie możliwości. Zasilane energią jądrową tarcze ochronne radziły sobie bez trudności ze straszną siłą neviańskiego ataku; ekrany policykliczne były odporne na wszelkie pociski materialne, a urządzenia dostarczające mocy broniom zaczepnym były przynajmniej równe tamtym. Skierowane teraz przeciw blokującą drogę Nevianom uderzyły w tarcze, rozbłyskując oślepiająco w całym zakresie widma, po czym zgasły, zamieniając nieprzyjacielskie statki dosłownie w nicość. Nie było niechronionego tarczą materiału, choćby najbardziej odpornego, który oparł by się przez moment temu zasilanemu żelazem tornadu czystej energii.

Statek po statku rzucali Nevianie przeciw ścigaczowi w desperackich samobójczych próbach staranowania go, ale każdy z nich napotykał ten sam los, zanim dotarł do celu. Nagle z grupy łodzi podwodnych daleko w dole wyskoczyły w górę czerwone kolumny pól siłowych, które pochwyciły statek i zaczęły ściągać go w dół.

– Dlaczego oni to robią, Conway? Nie mogą z nami walczyć?

– Oni nie chcą z nami walczyć. Chcą nas unieruchomić, ale wiem jak sobie z tym poradzić – powiedział, po czym potężne pole wiązki holowniczej uderzyło płasko niczym nóż.

Ścigacz skoczył w górę z największą dopuszczalną prędkością, wymijając i robiąc uniki przed paroma statkami wciąż znajdującymi się nad nim. Po chwili niczego już nie było między nim, a wolnością nieograniczonej przestrzeni.

– Udało ci się, Conway, udało ci się! – krzyknęła Clio radośnie. – Conway, jesteś cudowny!

– Niestety jeszcze nie – odpowiedział Costigan – najgorsze dopiero nadejdzie. To Nerado. Dlatego próbowali nas opóźnić i dlatego też tak się spieszyłem. Ta jego szalupa była niezłą nauczka, więc najlepiej jak odlecimy mnóstwo kilometrów, zanim zaczną nas gonić.

– Sądysz, że będzie nas ścigał?

– Czy sądzę? Ja wiem! Sam fakt, że jesteśmy rzadkimi okazami i że, jak powiedział, mamy zostać tam do końca życia, oznacza, że będzie nas ścigał do mgławicy Lundmarka. Poza tym dosyć mocno nastąpiliśmy mu na odcisk przed odlotem i wiemy teraz zbyt wiele, by pozwolił nam wrócić na Tellus. No i w końcu, jeśli odlecimy stąd zabierając zdobyty statek, to oni wszyscy umrą z powodu ostrej niewydolności śledziona. Zapewniam cię więc, że będą nas ścigać.

Zamilkł, skupiając całą uwagę na pilotażu. Prowadził statek do góry z taką prędkością, że poszycie nagrzało się do granicy wytrzymałości. W krótkim czasie znaleźli się w otwartej przestrzeni i wykorzystując całą moc, do ostatniego wata, skierowali się w stronę Słońca.

Costigan zdjął skafander i zbliżył się do bezwładnego ciała kapitana.

– Conway, on wygląda jak... jak... jak martwy. Jesteś pewny, że zdołasz go ocucić?

– Oczywiście. Jest jeszcze dużo czasu. Trzy małe zastrzyki w odpowiednie miejsca zrobią swoje.

Z pojemnika w skafandrze wyjął małe stalowe pudełko, w którym była strzykawka podskórna i trzy fiołki. Jedna, druga, trzecia — wstrzyknął małą, lecz dokładnie odmierzoną ilość płynu w trzy żywotne miejsca, po czym położył bezwładne ciało na miękkiej leżance.

– I już! W ciągu pięciu, sześciu godzin gaz zostanie zneutralizowany. Paraliż powinien ustąpić dużo wcześniej, więc jak się obudzi, powinien być w porządku. My w tym czasie musimy stąd wiać jak najdalej. Niestety nic więcej nie mogę zrobić w tym kierunku.

Costigan odwrócił się i spojrzał w dół, prosto w oczy Clio, w jej duże wyraziste niebieskie oczy spoglądające na niego miękko i ufnie, wyrażające odwieczne przesłanie kobiety do wybranego mężczyzny. Gdy patrzył na nią, jego twarde rysy zmiękły w zadziwiający sposób.

Wystarczyły dwa kroki i padli sobie w ramiona. Wargi na wargach, oczy błękitne utkwione w szarych. Stanęli nieruchomo pogrążeni w rozkoszy, nie myśląc o okropnej przeszłości ani przerażającej przyszłości, świadomi jedynie wspaniałej, cudownej teraźniejszości.

– Clio, dziewczyno... kochana... dziewczyno, jak ja cię kocham! – Głęboki głos Costigana przepełniało uczucie. – Nie całowałem cię od siedmiu tysięcy lat. Nie doceniłem cię na milion sposobów, ale przysięgam na wszystkich bogów przestrzeni międzygwiazdnej, jeśli tylko dam radę cię wydostać z tej opresji...

– Kochany, nic nie musisz. Dobry Boże. Conway, nie doceniłeś mnie? Ty tylko zrobiłeś to w inny sposób...

– Przestań! – powiedział jej do ucha. – Wciąż kręci mi się w głowie na myśl, że możesz mnie w ogóle kochać, nie mówiąc już, że okazujesz to w taki sposób. Ale to prawda i o to tylko proszę, teraz i zawsze.

– Żeby cię kochać? Kocham cię! – Objęli się mocniej, a jej głos zadrżał, gdy mówiła dalej – Conway najdroższy... Nie potrafię tego wyrazić, ale powinieneś wiedzieć... Och, Conway!

Ale po chwili realia ich sytuacji jeszcze raz wyłoniły się z głębi świadomości. Clio wzięła głęboki, przepełniony szczęściem oddech i łagodnie uwolniła się z ramion Costigana.

– Naprawdę myślisz, że mamy szansę dolecieć na Ziemię i zostać razem... na zawsze?

– Szansę, tak. Ale prawdopodobieństwo żadne – odpowiedział spokojnym tonem. – To zależy od dwóch rzeczy. Po pierwsze, od tego, jak dużą przewagę mamy nad Neradem. Jego statek jest największą i najszybszą rzeczą jaką widziałem. Jeśli więc polecą za nami, a ręczę, że polecą, dogoni nas dużo wcześniej, niż dolecimy do Tellusa. A z drugiej strony, przekazałem Rodebushowi mnóstwo danych i jeśli on i Lyman Cleveland połączą to z tym, co mieli i przebudują nasz super-statek na czas, to będą gdzieś tu się skradać i będą mieli coś, co przemówi nawet do Nerada. Nie ma się zresztą teraz o co martwić, nic się nie dowiemy, dopóki któryś z nich nie pojawi się w detektorach, wtedy będziemy musieli coś zrobić.

– A jeśli Nerado nas schwyta, czy ty... – urwała.

– Czy zabiję cię? Nie. Nawet jeśli nas schwyta i zabierze z powrotem na Navię, nie zrobię tego. Jeszcze wiele czasu przed nami. Nerado nie zrobi nikomu z nas krzywdy, po której zostałyby ślady, fizyczne czy psychiczne. Zabiłbym cię natychmiast, gdybyśmy mieli do czynienia z Rogerem. On jest niemoralny, całkowicie zły. Natomiast Nerado jest, na swój sposób, jak

dobry zwiadowca. Jest wielki i uczciwy. Wiesz, naprawdę mógłbym polubić tę rybę, gdybyśmy się spotkali na równych prawach.

– Ja nie mogłabym! – zapewniła żywo. – Jest pokryty łuskami, czołga się jak wąż i śmierdzi... tak...

– Śmierdzi rybą? – Costigan roześmiał się szczerze. – To drobiazgi, dziewczyno, tylko drobiazgi. Widziałem ludzi wyglądających jak pieniądze w banku, pachnących jak bukiet fiołków, którym nie zawierzyłabyś nawet na pół długości szyi Nerada.

– Ale patrz, co on z nami zrobił – zaprotestowała. – I próbowali nas zabić, a nie złapać.

– Robili to, co należało. Co innego mogli zrobić? – zapytał. – I jeśli już o tym mówimy, to powiedzmy też, co my zrobiliśmy im? Ja powiedziałbym, że mnóstwo. Ale wszyscy musieliśmy to zrobić i żadna strona nie może winić tej drugiej. Powiem ci, on jest uczciwym przeciwnikiem.

– No dobrze, może masz rację, ale i tak go nie lubię. Nie rozmawiamy już więcej o nim. Porozmawiamy o nas. Pamiętasz, co kiedyś powiedziałaś, gdy poradziłeś mi, bym “ci odpuściła” czy jakoś tak? – Clio, kobiecym zwyczajem, chciała znów zanurzyć się nieco w odmętach czystych uczuć, nawet jeśli to ona przed chwilą spowodowała ich powrót do rzeczywistości. Tymczasem Costigan, w którego surowym życiu nigdy wcześniej nie było miłości do kobiety, jeszcze nie otrząsnął się całkiem z poprzedniego odurzającego przeżycia, żeby za nią podążyć. Nie dowierzając swemu nowo uzyskanemu wielkiemu szczęściu, czuł potrzebę powstrzymania się od ponownego zanurzenia w tych osławionych zaczarowanych regionach. Wciąż uważając siebie za niegodnego miłości tej cudownej dziewczyny, obawiał się tego, mimo że każdą komórką pragnął ponownie poczuć w ramionach jej smukłe ciało. Nie myślał o tym

świadomie, ale działał odruchowo, na poziomie podstawowych instynktów, które składały się na Conwaya Costigana.

– Pamiętam i wciąż uważam, że to jest dobry pomysł, nawet jeśli teraz jestem daleki od tego, by ci na to pozwolić – zapewnił ją na wpół żartobliwie. Pocałował ją czule i z uniesieniem, po czym przyjrzał się jej dokładnie. – Wyglądasz, jakbyś brała udział w marsjańskim pikniku.

Kiedy ostatnio coś jadłaś?

– Nie pamiętam dokładnie. Chyba rano.

– Albo wieczorem... lub wczoraj rano? Chyba tak! Bradley i ja możemy jeść wszystko, co się da, przeżuć i wypić każdą ciecz, a ty nie możesz. Rozejrzę się i zobaczę czy tu jest coś, co mogłabyś zjeść.

Zaczął szperać w ładowni, skąd wynurzył się z jakimiś niezidentyfikowanymi smakołykami, z których przygotował całkiem niezłe jedzenie.

– Myślisz, że teraz mogłabyś usnąć, kochanie? – Po kolacji, ponownie w objęciach Costigana, Clio oparła głowę na jego ramieniu.

– Oczywiście, kochany. Teraz, gdy ty jesteś ze mną, już się niczego nie boję. Jakoś w końcu dostarczysz nas na Ziemię. Wiem, że tego chcesz. Dobrej nocy, Conway.

– Dobrej nocy, Clio... najdroższa – szepnął i poszedł zobaczyć Bradleya.

W przewidzianym czasie kapitan odzyskał przytomność i zasnął. Mijały dni. Ścigacz mknął ku odległemu Systemowi Słonecznemu, a szerokokątne detektory statku wciąż nie wykrywały niczego.

– Nie wiem, czego się bardziej boję, że detektory coś wykryją czy że nie – po raz kolejny oznajmił Costigan. W końcu jednak na ekranie pojawiła się plamka interferencyjna i gdy wzdłuż wyznaczonej prostej został skierowany promień dalekowizora, jego twarz stwardniała na widok dobrze znanej sylwetki międzygwiazdowego krążownika Nerada.

– No cóż, z zacieklego pościgu nie rezygnuje się łatwo – powiedział w końcu. – Ale minie wiele dni zanim nas dogoni... a to co? – przerwał mu kolejny alarm, Na ekranie detektora pojawiła się jeszcze jedna plamka interferencyjna. Costigan sprawdził ją. Prosto na kursie, między nimi i Słońcem, zbliżając się z prędkością sumaryczną obu statków, nadlatywał drugi kosmolot Nevian.

– To musi być ten siostrzany statek wracający z Układu Słonecznego z ładunkiem żelaza – domyślił się Costigan. – Ciężko załadowany, nadlatuje bardzo szybko, więc jeśli będziemy się trzymać poza zasięgiem, może uda nam się wywinąć. Miną trzy, cztery dni, zanim uda mu się zatrzymać. A jeśli nasz super-statek bierze w tym udział, to teraz jest najlepszy moment, by się tu pojawił.

Skierował ścigacz pełnym ciągiem w bok, po czym uruchomił wszystkie komunikatory i zaczął jak najwęższą wiązką nadawać w kierunku Słońca komunikat do swoich kolegów ze Służb Trójplanetarnych.

Neviański statek zbliżał się coraz bardziej, ze wszystkich sił próbując przechwycić ścigacz. Wkrótce stało się oczywiste, że chociaż ciężko obciążony, zdoła zboczyć z kursu wystarczająco, by znaleźć się w chwili mijania w odpowiednim zasięgu.

– To jasne, mogą częściowo neutralizować inercję, w takim samym stopniu jak my – zastanawiał się Costigan – i sądząc po ich kursie, dostali rozkaz zniszczyć nas. Wiedzą równie dobrze jak my, że przy tej prędkości z jaką się miniemy, nie zdołają nas pochwycić żywcem. Ja już nie mogę zwiększyć bocznego ciągu, bez przeciążenia grawitatorów, więc muszę je przeciążyć. Zapnijcie oboje pasy, bo mogą sięść całkowicie!

– Myślisz, Conway, że uda ci się odbić wystarczająco. – Clio patrzyła na ekran z przerażeniem i fascynacją, śledząc wzrokiem powiększający się z każdą chwilą obraz kosmolotu.

– Nie wiem, ale mam zamiar spróbować. A na wypadek, gdyby nam się nie udało, będę też cały czas nadawał wołanie o pomoc. Zgoda? W porządku, rób stateczku, co musisz?

Rozdział 19

SPOTKANIE GIGANTÓW

– Fred, możesz trochę zmniejszyć hałas, chyba coś słyszę. Ktoś usiłuje się do nas przebić – zawołał głośno Cleveland. Od wielu dni “Boise” pokonywał niezmierzone obszary pustej przestrzeni, ale dopiero teraz długi czas bezowocnego nasłuchu miał się skończyć.

Rodebush wyłączył silniki. Przez trzaski i szумы zakłóceń przebił się ledwo słyszalny głos.

– ... wszystkich o pomoc. Samms, Cleveland, Rodebush, ktokolwiek z Unii Trójplanetarnej, kto mnie słyszy. Tu Costigan, panna Marsden i kapitan Bradley. Lecimy w kierunku gwiazdy, która prawdopodobnie jest Słońcem z punktu o rektascencji około sześciu godzin i deklinacji około plus czternaście stopni. Odległość nieznaną, ale prawdopodobnie wiele lat świetlnych. Namierzajcie nasz sygnał. Jeden statek Nevian dogania nas powoli, a drugi leci naprzeciw, od Słońca. Będziemy próbować go ominąć, ale nie wiemy czy się uda. Prosimy wszystkich o pomoc. Samms, Cleveland, Rodebush, ktokolwiek z Unii Trójplanetarnej...

Wołanie powtarzało się bez końca, ale Rodebush i Cleveland dłużej nie słuchali. Czułe dalekowizory wyznaczyły kurs i trójplanetarny super-statek pomknął z niestosowaną dotychczas prędkością; pomknął przez prawie doskonałą próżnię z całkowicie niezrozumiałą, prawie nieobliczalną prędkością, osiągalną dzięki bezinercyjnemu napędowi; pomknął popychany maksymalnym ciągiem projektorów, który zwiększyłby jego gigantyczny ciężar pięciokrotnie w stosunku do ziemskiej grawitacji. Przy tej oszałamiającej prędkości “Boise” dosłownie anihilował dystans,

przemiatając przestrzeń przed sobą promieniem dalekowizora w poszukiwaniu trójki Trójplanetarian wołających o pomoc.

– Masz jakieś pojęcie, jak szybko lecimy? – zapytał Rodebush, odwracając się na chwilę od ekranu obserwacyjnego. – Powinniśmy go widzieć. Słyszymy go i na pewno nasz zasięg nie jest gorszy od tego, co on może mieć.

– Nie. Nie mogę obliczyć prędkości, nie mając wiarygodnych danych na temat ilości atomów na metr sześcienny – powiedział Cleveland spoglądając na kalkulator. – Oczywiście jest stała i ma wartość, przy której opór środowiska jest równy naszemu ciągowi. Nawiasem mówiąc, nie możemy tak lecieć zbyt długo. Nagrzewamy się, co dowodzi, że lecimy znacznie szybciej, niż ktokolwiek dotychczas mógł przewidzieć. Wskazuje to także na konieczność posiadania czegoś, czego nikt z nas dotychczas nie przewidywał, urządzeń chłodzących, radiatorów, odpychających pól siłowych czy czegoś w tym rodzaju. Ale wracając do naszej prędkości, jeśli wziąć pod uwagę oszacowania Throckmorta, to rząd wielkości może być w przybliżeniu od dziesięciu do dwudziestu siedmiu. Dostyć szybko, w każdym bądź razie, więc patrz się lepiej w ten ekran. Nawet gdy ich już zobaczysz, nie będziesz wiedział, gdzie naprawdę są, bo nie znamy żadnej z wchodzących w grę prędkości: naszej, ich czy prędkości promienia dalekowizora. Możemy też wpaść na nich.

– Albo jeśli prześcigniemy promień, nie zobaczymy ich wcale. W tym cała przyjemność tego pilotażu.

– A co zrobisz, jak już tam dolecimy?

– Przechwyczę ich i wezmę na pokład, o ile będę miał czas. Jeśli nie, jeśli oni walczą...

O, są! – Obraz sterówki ścigacza rozbłysnął na ekranie.

– Cześć, Fritz! Cześć, Cleve! Witamy w mieście. Gdzie jesteście?

– Nie wiemy – odpowiedział Cleveland – i nie wiemy też, gdzie wy jesteście. Nie mogę nic wyliczyć bez danych. Widzę, że wciąż oddychacie powietrzem. A gdzie Nevianie?

Dużo mamy czasu?

– Obawiam się, że niewiele. Wygląda na to, że oni będą mieć nas w zasięgu za parę godzin, a wy nie pokazaliście się jeszcze nawet na ekranach naszych detektorów.

– Parę godzin! – wykrzyknął z ulgą Cleveland. – To możemy się jeszcze poopalać. W tym czasie moglibyśmy Galaktykę... – przerwał, słysząc krzyk Rodebusha.

– Szeroką wiązką, Spud, nadawaj szeroką wiązką! – wrzasnął fizyk, ale widok Costigana już zniknął całkowicie z jego ekranu.

Wyłączył silniki “Boise” i zatrzymał go całkowicie w przestrzeni. Połączenie zostało zerwane. Costigan prawdopodobnie nie usłyszał polecenia, żeby zmienić sygnał na szerokokątny albo nie był w stanie tego zrobić, więc przestali go odbierać. Ich prędkość była tak niezmiernie wielka, że minęli ścigacz i byli teraz tysiące albo miliony mil od uciekinierów oczekujących pomocy, daleko poza zasięgiem transmisji bezkierunkowej. Cleveland od razu zrozumiał, co się stało. Miał teraz jakieś dane do pracy i jego ręce zatańczyły na klawiaturze kalkulatora.

– Daj ciąg wsteczny na maksimum siedemnaście sekund – polecił sucho – to powinno nas ustawić, w przybliżeniu oczywiście, wystarczająco blisko, żeby ich zobaczyć na naszych detektorach.

Przez wyliczone siedemnaście sekund “Boise” leciał wstecznym kursem z dokładnie taką samą ogromną prędkością jak przedtem. Gdy ciąg został wyłączony, na ekranach obserwacyjnych pojawił się wyraźny obraz neviańskiego ścigacza.

– Niezły jesteś, Cleve, jako rachmistrz – pochwalił Rodebush. – Są tak blisko, że nie możemy nawet użyć neutralizatorów, żeby ich przechwycić. Używając napędu z siłą jednej dyny, zanim zdążę sięgnąć do wyłącznika, już będziemy milion kilometrów stąd.

– A przy prędkości inercyjnej, są tak daleko i lecą tak szybko, że przy pełnym ciągu możemy stracić cały dzień na pogoń. O ile ich w ogóle dogonimy – Cleveland zastanawiał się.

– Co możemy zrobić? Może zbocznikować potencjometr?

– Nie, nie trzeba – Rodebush odwrócił się do komunikatora. – Costigan! Pochwycimy was bardzo słabą wiązką holowniczą, a właściwie manipulatorem, więc cokolwiek robicie, nie opierajcie się, bo nie będziemy mogli przechwycić was w porę. To może wyglądać na zderzenie, ale nim nie będzie. Po prostu dotkniemy was, może nawet bez wstrząsu.

– Bezinercyjna wiązka holownicza? – zdziwił się Cleveland.

– Czemu nie? – Rodebush ustawił wiązkę na absolutne minimum mocy i nacisnął przełącznik.

Mimo że statki oddzielały od siebie setki tysięcy mil, a wiązka holownicza ustawiona była na minimalną siłę, “Boise” skoczył w kierunku mniejszego statku z taką szybkością, że pokonał dystans w czasie niemal zerowym. Obiekty na ekranach powiększyły się tak szybko, że automaty ustawiające ostrość nie zdążyły zareagować. Cleveland, patrząc na pierwsze bezinercyjne dokowanie statków w przestrzeni, uchylił się odruchowo i chwycił za podłokietniki.

Nawet Rodebush, który wiedział lepiej niż ktokolwiek, czego oczekiwać, widząc niewiarygodną szybkość z jaką oba statki zbliżyły się do siebie, wstrzymał oddech i przełknął ślinę.

A skoro ci dwaj, którzy zbudowali ten super-statek, z trudnością byli w stanie kontrolować swoje odruchy, to co powiedzieć o trójce w ścigaczu,

która nic nie wiedziała o potencjalnych możliwościach cudownego statku? Clio, patrząc w ekran razem z Costiganem, wrzasnęła przeraźliwie i wpiła paznokcie w jego ramię. Bradley zaklął paskudnie i przygotował się na natychmiastową śmierć. Costigan patrzył przez chwilę, nie wierząc własnym oczom. po czym, mimo ostrzeżenia, rzucił się do przełączników, by odciąć wiązkę. Za późno. Zanim jego palce dotarły do panelu, "Boise" był na miejscu, zderzając się czołowo ze ścigaczem. Poruszając się ze swoją pełną, niewyobrażalną prędkością, super-statek uderzył błyskawicznie, niemniej najczulsze instrumenty ścigacza nie zarejestrowały najłżejszego wstrząsu, gdy ogromna sfera uderzyła w nieporównywalnie mniejszy pojazd i przywarła do niego, dopasowując błyskawicznie i bez wysiłku swoją własną przerażającą prędkość do prędkości mniejszego i nieskończenie wolniejszego statku. Clio westchnęła z ulgą, a Costigan, obejmując ją ramieniem, odetchnął głośno.

– Hej wy, kosmiczne szczury! – krzyknął. – Fajnie was widzieć i tak dalej, ale w ten sposób mogliście nas pozabijać, przerażając na śmierć. To jest ten super-statek? Całkiem przyzwoity wehikuł!

– Witaj, Murf! Cześć, Spud! – rozległo się z głośnika.

– Murf? Spud? No proszę! – Clio, która praktycznie już doszła do siebie, spojrzała pytająco. Wyglądało na to, że nie bardzo wie czy ma lubić, czy nie, imiona, którymi ratownicy nazywali jej Conwaya.

– Na drugie mam Murphy. Nazywają mnie tak od czasu, gdy byłem taki – Costigan pokazał długość około dwunastu cali. – Wygląda na to, że teraz pożyczysz wystarczająco długo, by usłyszeć o mnie jeszcze gorsze rzeczy.

– Lepiej już nic nie mów. Czy teraz już nam nic nie grozi, Con... Spud? To miło, że tak cię lubią... oczywiście, powinni. – Przytuliła się mocniej i wsłuchali się w to, co mówi Rodebush.

– ... zdaję sobie sprawę z tego, że to nie wyglądało dobrze. Sam się też przestraszyłem, tak jak wszyscy. A to rzeczywiście on. I naprawdę działa. Nawiasem mówiąc, w dużej mierze dzięki Conwayowi Costiganowi. Ale może lepiej przenieście się tutaj. Weźcie wasze rzeczy...

– “Rzeczy”, dobre sobie! – roześmiał się Costigan, a Clio zachichotała radośnie.

– Tyle razy się już przenosiliśmy, że wszystko co mamy, widać na ekranie – wyjaśnił Bradley. – Weźmiemy siebie i pospieszmy się. Zaraz tu będą ci Nevianie.

– Chcecie może coś stąd? – zapytał Costigan.

– Pewnie przydało by się to i owo, ale nie mamy takiej dużej śluzy, by go wziąć na pokład, a nie ma też czasu, żeby go oglądać. Powyłączajcie wszystko, obliczymy pozycję i jak będziemy chcieli, to go znajdziemy później.

Trzy postacie w skafandrach przeszły do śluzy “Boise”, po czym wiązka holownicza została wyłączona i ścigacz odpadł od nieruchomego teraz super-statku.

– Lepiej odłóżmy te formalności na później – kapitan Bradley przerwał wzajemne prezentacje. – Przestraszyłem się jak dziesięciolatek, gdy zobaczyłem, jak na nas lecicie i być może wciąż drzę ze strachu, ale ten Nevianin zbliża się bardzo szybko i może jeszcze nie wiecie, że to nie jest mała szalupa.

– Też tak myślę – zgodził się Costigan. – Wystarczy wam sprzętu na niego? Możecie oczywiście dać nogę. Z pewnością dacie radę mu uciec!

– Uciec? – roześmiał się Cleveland. – Mamy z nimi własne porachunki. Raz już go dopadliśmy, ale spaliła nam się sekcja generatorów. Po naprawieniu, ścigamy ten statek po całym kosmosie. Właśnie jego

ścigaliśmy, gdy usłyszeliśmy wasze wołanie o pomoc. O, widzisz? To oni uciekają.

Nevianie rzeczywiście uciekali. Dowódca statku zobaczył i rozpoznał wielki statek, pojawiający się znikąd na pomoc trojgu uciekinierom z Nevii i mając już jedno doświadczenie ze spotkania z żadnym zemsty superpancernikiem, nie miał ochoty na następne spotkanie. Odwrócił więc ciąg w przeciwnym kierunku, próbując otwarcie jak najbardziej zwiększyć odległość między oboma statkami. Bezskutecznie. Lekka wiązka holownicza przywarła do niego i zanim Rodebush zdążył włączyć inercję, "Boise" znalazł się w bliskiej odległości. Cleveland, zwiększając stopniowo moc wiązki wyrównał prędkość obu statków. Tym razem Nevianie nie mogli odciąć wiązki holowniczej. Płaskie pole siłowe uderzało w nią raz za razem, ale nie mogło jej przerwać. Przebudowane generatory Numer Cztery były zaprojektowane tak, żeby wytrzymać obciążenie. I znów zagrała potężna broń Trójplanetarian.

Pociski zostały odpalone, wiązki energii ultra i infra wycelowane, wściekły ogień makrowiązki przegryzał się łapczywie przez tarcze Nevian. Systemy obronne padały jeden po drugim. W desperacji dowódca przerzucił wszystkie swoje generatory na ekran policykliczny, żeby zobaczyć jak wiertło Clevelanda przewierca się nieubłagane przez niego. Po przebiciu koniec nadszedł szybko. Miotacz SX7 pracował tym razem tam, gdzie był potrzebny, wewnątrz pierścienia dziesiątki. Jeden ognisty strzał przebił neviański statek na wylot. Przez dziurę Adlington posłał swoje straszliwe bomby i ich paskudne towarzystwo. Tam, gdzie dotarły, tam życie umarło. Obrona umilkła i pod ogniem baterii "Boise" metal neviańskiego statku zamienił w chmurę gazów, iskrzących oparów, które być może tu i tam upstrzone były kropelkami roztopionej materii.

Tak zginął siostrzany statek. Rodebush skierował teraz swoje ekrany na kosmolot Nerada.

Wysoce inteligentny płaz widział wszystko, co się wydarzyło. Już dawno zrezygnował z pogoni za ścigaczem i nie miał zamiaru brać udziału w beznadziejnej bitwie swoich pobratymców z Ziemianami. Jego czujniki i analizatory zarejestrowały każdy szczegół użytych broni zaczepnych i obronnych. Podczas gdy potężne silniki pełną mocą hamowały lot i zawracały go z powrotem w kierunku Nevii, naukowcy i mechanicy pracowali nad podwojeniem, potrojeniem mocy jego tytanicznych już instalacji, żeby nie ulec i jeśli to możliwe pokonać trójplanetarny superpancernik.

– Wykończymy go teraz czy pozwolimy mu jeszcze pocierpieć? – zapytał Costigan.

– Moim zdaniem, jeszcze nie – odparł Rodebush. – A co ty myślisz, Cleve?

– Później – powiedział poważnie Cleveland, odczytując intencje pozostałych i zgadzając się z nimi. – Niech nas pilotuje do Nevii. Bez przewodnika nie trafimy. Bo jak już tu jesteśmy, to powinniśmy im trochę przetrzepać skórę, żeby na przyszłość, gdy znajdą się w pobliżu Układu Słonecznego, zastanowili się dwa razy czy warto zbliżyć się bardziej.

“Boise” zwiększył ciąg o kilka dyn, by dopasować swoje przyśpieszenie do przeciwnika, ściganego statku Nevian. W oczywisty sposób starali się nie wchodzić w zasięg uciekającego, ale też nie pozostawali na tyle daleko za statkiem Nerada, żeby ten mógł zniknąć z ekranów obserwacyjnych.

Nie tylko Nerado modernizował po drodze swój statek. Costigan, dobrze znając i bardzo szanując neviańskiego uczonego-kapitana, zasugerował wiele usprawnień w uzbrojeniu super-statku, wzmacniających go do granic teoretycznych możliwości napędu żelazowego.

W połowie drogi statek Nevian zwolnił.

– Co się dzieje? – zapytał ogólnie Rodebush. – Wydaje mi się, że jeszcze nie pora?

– Nie – potrząsnął głową Cleveland. – Jeszcze przynajmniej jeden dzień.

– Myślę, że coś szykują na Nevii – powiedział Costigan. – O ile znam tę jaszczurkę, to on wysłał wiadomość dla komitetu powitalnego. Lecimy zbyt szybko, więc stara się opóźnić.

Zgadza się?

– Zgadza się – przyznał Rodebush. – Cleve, jeśli już wiesz, która z tych gwiazd przed nami to Nevia, to po co mamy czekać?

– Jasne.

– Pozostaje tylko ustalić czy najpierw ich wykończymy.

– Możesz spróbować – powiedział Costigan. – To znaczy, jeśli masz pewność, że w razie czego uciekniesz.

– Co? Mam uciekać? – zdziwił się Rodebush.

– Tak, masz uciekać. Pisze się u-c-i-e-k-a-ć, uciekać. Znam ich lepiej niż ty i wierz mi, Fritz, mają to, co trzeba.

– No dobra – zgodził się Rodebush. – Rozegramy to bez niepotrzebnego ryzyka.

“Boise” skoczył na Nevian, otwierając ogień ze wszystkiego, co miał, ale tak jak przewidywał Costigan, statek Nerada był przygotowany na wszelkie niespodzianki. W przeciwieństwie do swego siostrzanego statku, był obsadzony naukowcami dobrze znającymi podstawowe teorie dotyczące każdego rodzaju broni będącej w użyciu. Wiązki, strumienie i lance energetyczne błyskały i pluły ogniem; płaszczyzny i ołówki cięły, zmiatały i żgały; ekrany obronne świeciły czerwono, błyskały nagle intensywną jasnością, błyszcząły żarem.

Purpurowy woal uparcie napierał na fioletową kurtynę anihilacyjną. Pociski z materii i torpedy latały w pełni sterowane, eksplodując bez efektu w połowie odległości, wybuchając w nicość lub znikając bezskutecznie w nieprzenikalnych ekranach policyklicznych. Nawet wiertło Clevelanda było nieefektywne. Oba statki były wyposażone w pełen komplet zasilanych żelazem mechanizmów; oba były obsadzone przez naukowców zdolnych do wyciśnięcia maksymalnej mocy ze swoich instalacji. Żaden nie był w stanie uszkodzić drugiego.

“Boise” wycofał się i po kilku minutach znalazł się na Nevii. Zanurkował w purpurową atmosferę, w kierunku miasta, które Costigan znał jako rodzinny port Nerada.

– Zatrzymaj się – ostrzegł nagle Costigan. – Tam jest coś, co mi się nie podoba.

Gdy to mówił z miasta wystrzeliło w górę mnóstwo błyskających kul. Nevianie rozpracowali tajemnicę broni ryb głębinowych i miotali je teraz przeciwko przybyszom z Tellusa, powodując prawdziwą burzę.

– O to ci chodzi – zapytał spokojnie Rodebush. Wybuchając, niszczycielskie kule anihilowały dosłownie wszystko, nawet powietrze na zewnątrz ekranu policyklicznego, ale sama tarcza pozostawała nienaruszona.

– Nie, raczej o tamto – Costigan wskazał półkulistą kopułę, przeświecającą czerwono, otoczoną grupą budynków wystających powyżej swoich sąsiadów. – Gdy byłem tu poprzednim razem, tych wież ani tego ekranu nie było. Nerado chciał zyskać na czasie z powodu tego, co oni robią tam na dole. Te ogniste kule mają to samo zadanie. To dobry znak, nie są jeszcze gotowi.

Zajmijmy się nimi lepiej dopóki możemy. Gdyby byli gotowi na nasze przyjęcie, nasza gra polegałaby na zabranii się stąd dopóki jesteśmy w

jednym kawałku.

Nerado był w kontakcie z naukowcami ze swego miasta; poinstruował ich jak zbudować reaktory i generatory o takiej mocy, by mogli sobie poradzić nawet z obroną super-statku.

Urządzenia jednak nie były jeszcze gotowe. Zupełnie nieoczekiwana szybkość całkowicie nieinercyjnego napędu nie była brana pod uwagę w jego kalkulacjach.

– Rzućmy kilka puszek na tę kopułę, koledzy – zaproponował Rodebush swoim kanonierom.

– Nie możemy odpowiedzieć natychmiast Adlington. – Nie ma co próbować. To jest ekran policykliczny. Możecie go przewiercić? Jeśli to zrobicie, to ja mam tutaj prawdziwą bombę, specjalnej konstrukcji. Jeśli potraficie ją ochronić, dopóki nie dotrze do wody, zrobi niezły numer.

– Spróbuję – odpowiedział Cleveland, gdy fizyk skinął głową. – Tarczy Nerada nie mogłem przewiercić, bo moment był za słaby. Jego statek pod naciskiem odsuwał się. Ta kopuła na dole nie może się odsunąć, więc powinno się udać. Bądźcie gotowi. Uwaga, wszyscy.

“Boise” zrobił pętlę w górę, po czym z wysokości kilku mil zanurkował w dół przez burzę kul anihilacyjnych, wiązek energii i pocisków. Opadanie zostało powstrzymane gwałtownie, gdy wydrążona rura energetyczna wiertła Clevelanda wystrzeliła wściekle w dół i siejąc dookoła błyskawicami, uderzyła z całym impetem nurkującego kosmolotu w półkulistą tarczę. Napędzana pełną mocą potężnych generatorów zaczęła wiercić, przecinać, przebijać się przez warstwy zwartej i odpornej bariery energetycznej. Rozgrywało się niepowtarzalne, spektakularne starcie; na szali zwycięstwa postawiono potężne wiertło i dociskającą je masę z jednej strony przeciw zasilanej żelazem barierze z drugiej.

Szczęściem dla Trójplanetarnych, ich super-statek miał duży zapas alotropowego żelaza; szczęściem również, moc jego gargantuicznych reaktorów i generatorów została znacznie powiększona w drodze na Newię, bo oceaniczna forteca została wyposażona tak, żeby oprzeć się każdemu wyobrażalnemu atakowi. Moc “Boise” była jednak teraz niewyobrażalna. Każdy wat, każda dyna była włożona w ten piekielny ogień, w ten wściekle drążący, niepowstrzymany, drapieżny słup nieprawdopodobnej energii.

Wiertło wygryzło otwór w neviańskiej tarczy i przez jego puste wnętrze poleciała “specjalna” bomba Adlingtona. To była rzeczywiście specjalna bomba. Zawierała tak dużo aktywowanego żelaza, że ledwo się zmieściła w centralnym otworze projektora napędowego numer Dziesięć. Jej detonacja na jakiegokolwiek planecie w ogóle nie byłaby brana pod uwagę, gdyby ta planeta miała jakieś znaczenie dla atakującego. “Specjalna” bomba poleciała w dół pod osłoną rury i wpadła do neviańskiego oceanu.

– Odetnij – krzyknął Adlington, a gdy jarzące się wiertło zostało wyłączone, bombardier nacisnął detonator.

Przez chwilę wydawało się, że efekt eksplozji jest minimalny. Głuchy, niski grzmot był wszystkim, co dało się słyszeć z ogłuszającego ciosu, który wstrząsnął czerwoną Newią do samego jądra, a wszystko, co można było zobaczyć, to powolne uniesienie się wody. Z tą różnicą, że ten powolny wzrost nie ustawał. Bardzo wolno, jak wydawało się to obserwatorom wysoko w górze, woda wznosiła się i rozdzielała, pokazując rozległą rozpadlinę sięgającą głęboko do skalistego podłoża oceanu. Coraz wyżej wznosiły się leniwe wodne góry, zagarniając, łamiąc i mieląc na kawałki, a potem miotając, budynki, konstrukcje i całą zawartość neviańskiego miasta.

Spiętrzone, wypchnięte i odrzucone w dal masy wodne odsłoniły skalne rumowisko tam, gdzie przedtem było zagospodarowane dno oceanu.

Przerazająca chmura rozżarzonego gazu wyrwała się w górę, wstrząsając nawet ogromną masą super-statku wiszącego wysoko ponad miejscem eksplozji. Następnie, przemieszczone miliony ton wody runęły z powrotem, dopełniając totalnego zniszczenia miasta. Szalejące prądy wlewały się w odsłonięte komory, zatapiając je i spiętrzając się ponad nimi. Cofając i spiętrzając znów, i znów, powodując fale przyptywowe ogarniające połowę wielkiej wodnej planety. Miasto zostało uciszzone. Na zawsze.

– O mój... Boże! – Cleveland pierwszy wyszedł z osłupienia, przerywając straszną ciszę. Oblizął wargi. – Musieliśmy... Oni Pittsburgh potraktowali gorzej... Na pewno wcześniej ewakuowali wszystkich, oprócz personelu wojskowego.

– Na pewno... – zgodził się Rodebush. – Co dalej? Proponuję rozejrzeć się trochę.

Może mają więcej...

– Conway, nie! Nie pozwól im – Clio rozplakała się. – Pójdę do mojej kabiny i schowam się pod łóżkiem. Będę to miała przed oczyma do końca życia.

– Uspokój się, Clio – Costigan objął ją mocno. – Musimy sprawdzić, ale pewnie nie mają drugiego. To jedno by wystarczyło, gdyby zdążyli...

Raz za razem “Boise” okrążał planetę, ale więcej podobnych instalacji nie znaleziono. O dziwo Nevianie nie okazywali więcej wrogości.

– Ciekawe dlaczego? – zastanawiał się Rodebush. – Oczywiście, my ich nie atakujemy, ale jak myślicie... czekają na Nerada?

– Najprawdopodobniej – Costigan zastanawiał się przez chwilę. – Może my też na niego poczekamy. Tak tego zostawić nie można.

– Jeśli jednak nie uda się zmusić ich do starcia... znajdziemy się w impasie... – Cleveland wydawał się być zakłopotany.

– Coś poradzimy – oświadczył Costigan. – Tak czy inaczej, musimy coś zrobić, zanim odlecimy. Spróbujmy pogadać. Mam taki pomysł... w każdym bądź razie, to nikomu nie zaszkodzi. Wiem, że on przynajmniej cię usłyszy i zrozumie.

Nerado przybył, ale zamiast zaatakować, jego statek zawisł nieruchomo w odległości mili czy dwóch od tak samo demonstracyjnie bezczynnego "Boise". Rodebush wycelował promień komunikatora.

– Kapitanie Nerado, tu Rodebush z Unii Trójplanetarnej. Jak chciałby pan rozwiązać tę sytuację?

– Chciałbym rozmawiać – z głośnika padła wyraźna odpowiedź Nevianina. – Muszę teraz przyznać, że jesteście znacznie wyższą formą życia, niż nam się wydawało; prawdopodobnie dorównującą nam pod względem ewolucyjnym. Szkoda tylko, że nie zdążyliśmy nawiązać kontaktu w czasie, gdy po raz pierwszy zbliżyliśmy się do waszej planety i kosztowało to nas tyle ofiar, Tellurian i Nevian. Ale co się stało, już się nie odstanie. Będąc rozumnymi istotami, zdajecie sobie sprawę z bezsensu dalszej walki, w której żadna ze stron nie może wygrać. Możecie oczywiście zniszczyć więcej naszych miast, a ja będę wtedy zmuszony polecieć i zniszczyć również wasze miasta, na Ziemi, ale dla rozumnych istot byłaby to całkowita głupota.

Rodebush wyłączył mikrofon.

– On naprawdę tak myśli? – zapytał Costigana. – To brzmi rozsądnie, ale...

– ... ale podejrzenie – wtrącił Cleveland. – Zbyt rozsądne, by było prawdziwe.

– On myśli dokładnie to, co powiedział. Dokładnie – zapewnił Costigan. – Byłem przekonany, że tak do tego podejdzie. Oni tacy są. Rozsądni i pozbawieni emocji. Zabawne, ale brak im wielu rzeczy, które my mamy, a z

drugiej strony mają dużo tego, co, moim zdaniem, nam by się przydało. Włącz, ja z nim pogadam.

– Kapitanie Nerado – Costigan zwrócił się do dowódcy Nevian – przebywając z tobą i wśród was, przekonałem się, że zawsze mówisz, to co myślisz i że mówisz to w imieniu swojej rasy. Jestem przekonany, że ja również mogę złożyć oświadczenie w imieniu Rady Trójplanetarnej, sprawującej rządu na trzech planetach Układu Słonecznego, że nie ma potrzeby dalszego kontynuowania konfliktu między naszymi ludami. Zostałem zmuszony przez okoliczności do pewnych czynów, do których wolałbym, żeby nie doszło, ale jak powiedziałaś, przeszłość jest nieodwracalna. Nasze rasy mogą osiągnąć dużo więcej dzięki przyjacielskiej wymianie materiałów i wiedzy, podczas gdy kontynuacja tej wojny nie da nic oprócz wzajemnej eksterminacji. Oferuję wam przyjaźń Unii Trójplanetarnej. Czy opuścisz tarczę i przylecisz podpisać traktat?

– Opuzczam tarczę. Przylecę.

Rodebush, chociaż z pewną obawą, również wyłączył ekrany i szalupa Nevian wleciała do głównej śluzy “Boise”.

Pierwszy w historii Traktat Międzyukładowy podpisany został przy stole na mostku super-statku Unii Trójplanetarnej. Po jednej stronie zasiadło troje Nevian, ziemnowodnych płazów o stożkowatych głowach i wijących szyjach, pokrytych łuskami czworonożnych istot sprawiających na nas wrażenie potworów. Po drugiej, istoty ludzkie, okrągłogłowe i z krótką szyją, dwunogie lądowe stworzenia o gładkiej skórze, dla wrażliwych Nevian również mający wygląd potworów. Szacunek, jaki te obie, tak różniące się rasy, odczuwały do siebie, rósł z każdą minutą prowadzonych rozmów.

Nevianie zniszczyli Pittsburgh, z kolei bomba Adlingtona całkowicie zniszczyła ważne neviańskie miasto. Neviański statek zlikwidował flotę

Unii Trójplanetarnej, a Costigan wytruł wszystkich mieszkańców z jednego neviańskiego miasta i wielu z drugiego. Stracił też wiele statków. Straty, zarówno w ludności, jak i materialne, były więc zrównoważone. Układ Słoneczny był zasobny w żelazo, co Nevianie sami sprawdzili, z kolei czerwona Nevia posiadała zasoby naturalne, które na Ziemi były rzadkie lub miały ogromne znaczenie. Perspektywy handlowe rysowały się więc korzystnie. Nevianie posiadali wiedzę i technologie nieznane Ziemianom i byli zupełnymi ignorantami w dziedzinach trywialnych dla nas. Wymiana naukowa byłaby więc pożądana. I tak dalej.

Podpisano więc Traktat Ustanawiający Pokój Wieczysty między Unią Trójplanetarną i Newią. Nerado i jego dwoje towarzyszy zostali ceremonialnie odprowadzeni na ich statek, a “Boise” uruchomił napęd bezinercyjny i odleciał na Ziemię, niosąc dobrą nowinę, że zagrożenie ze strony Nevian zostało oddalone.

Clio, obecnie zahartowany wilk kosmiczny, odporna nawet na straszliwą przypadłość wywoływaną bezinercyjnością, wpasowała się z wdziękiem w krzywiznę ramienia Costigana i powiedziała z uśmiechem: – Możesz mówić, co chcesz, Conwayu Murphy Spud Costiganie, ale ja ani trochę ich nie polubiłam. Jak o nich pomyślę, to dostaję gęziej skórki. Owszem, zgadzam się, są naprawdę godni szacunku, utalentowani, o wysokiej kulturze i tak dalej, ale i tak założę się, że minie dużo, dużo czasu, zanim ktokolwiek na Ziemi naprawdę ich polubi.

KONIEC